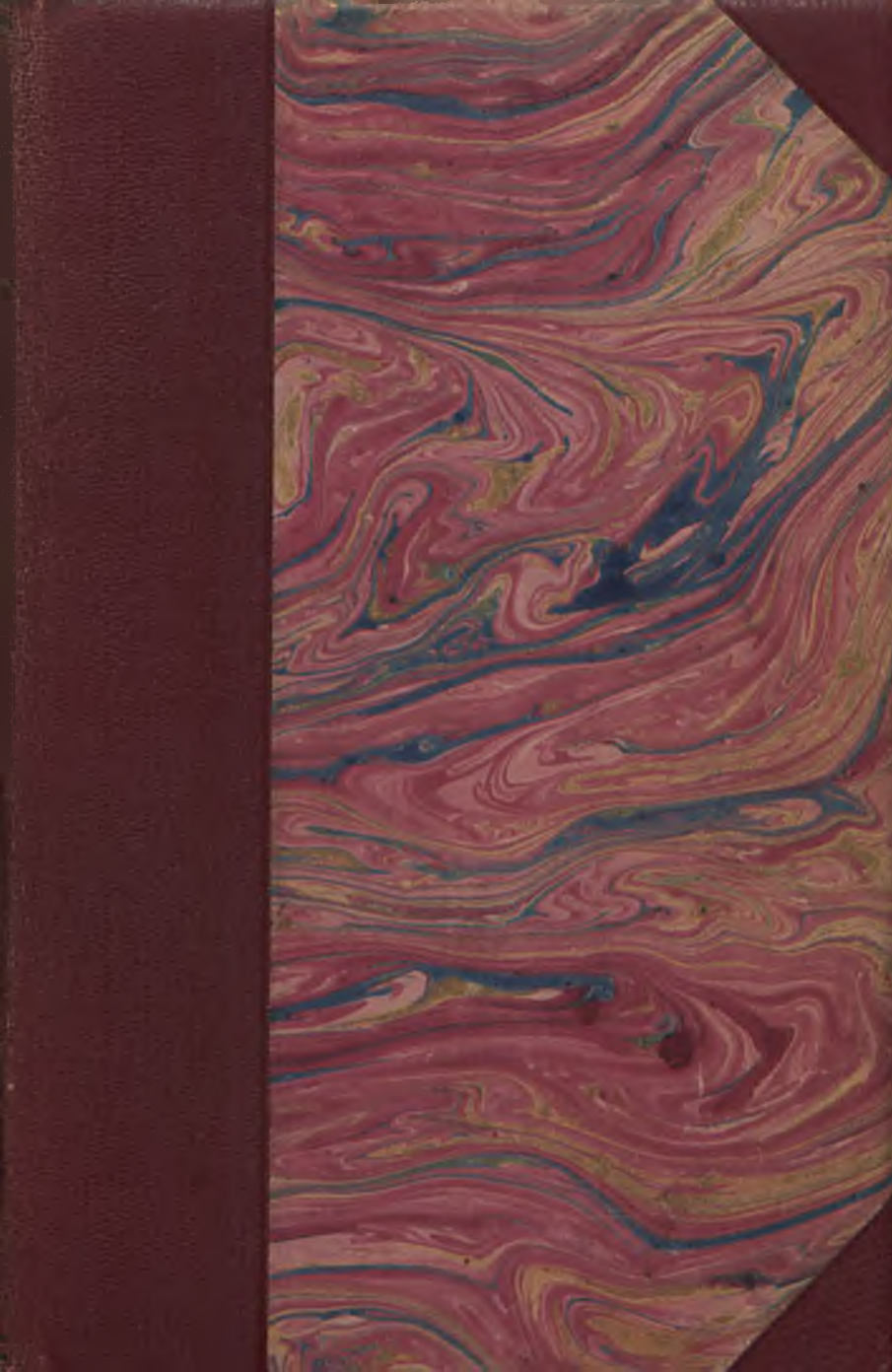






WILLIAM SHAKESPEARE
DZIEŁA DRAMATYCZNE

WILLIAM SHAKESPEARE DZIEŁA DRAMATYCZNE

W DWUNASTU TOMACH

Z PORTRETEM AUTORA

ŻYCIORYS SHAKESPEARA I PRZEDMOWY DO
POSZCZEGÓLNYCH UTWORÓW OPRACOWAŁ
PROF. DR. ROMAN DYBOSKI. — STU-
DYUM »SHAKESPEARE W POLSCE« NAPISAŁ
DR. LUDWIK BERNACKI. — WYBORU
PRZEKŁADÓW DOKONAŁ STANISŁAW
□ □ □ KRZEMIŃSKI. □ □ □



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

WILLIAM SHAKESPEARE DZIEŁA DRAMATYCZNE

TOM V.

ZIMOWA POWIEŚĆ
W PRZEKŁADZIE L. ULRICHA.

KRÓL JAN
W PRZEKŁADZIE J. KORZENIOWSKIEGO

KRÓL RYSZARD II
W PRZEKŁADZIE ST. KOŹMIANA.



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 57271



BGZs 57271



57271
820(091) + 929(41) A/z + 884-2

2-6/84/141

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYKA I SPÓŁKI



TEOMACZENIE L. ULRICHA.

Zarówno znamiona stylistyczne, jak świadectwa zewnętrzne wyznaczają dramatowi *The Winter's Tale*¹⁾ chronologiczne miejsce na samym końcu kariery poetyckiej Shakespeara, w bezpośrednim sąsiedztwie »Burzy«. W jednej pogardliwej aluzji łączy oba dzieła w roku 1614 Ben Jonson, mówiąc w komedii *Bartholomew Fair*, o »Powieściach« (*Tales*), »Burzach« (*Tempests*) i »tym podobnych błazeństwach« (*and such-like Drolleries*); — z tych samych dokumentów dowiadujemy się o przedstawieniu obu w r. 1613 na weselu w domu królewskim; — te same zapiski (dawniej uważane za falsyfikaty) zawierają wiadomość o wcześniejszem jeszcze przedstawieniu obu dzieł na dworze w roku 1611: »Powieść zimowa« figuruje pod datą 5 listopada; kilka miesięcy przedtem, 15 maja, widział dramat na scenie teatru *Globe* lekarz londyński, Dr. Szymon Forman, który pisze o tem w swoim pamiętniku. Jeszcze dalej wstecz posuwają datę tylko różne wątpliwe przypuszczenia; zresztą zawiła budowa zdań, — często przerywanych lub niedokończonych — konwulsywne zgęszczenie myśli w słowach i zwrotach²⁾, swoboda wierszowania i luźność budowy dramatycznej, wre-

¹⁾ Tytuł oznacza powieść w rodzaju tych, jakie sobie w długie wieczory zimowe opowiadano przy kominku; podobnie jak tytuł młodocianego »Snu nocy letniej«, zapowiada on nieprawdopodobne przygody i tę fantastyczną mieszaninę klasycznych i romantycznych elementów, która stanowi wspólny obu tym utworom, odrębny urok. Bezpośrednim impulsem do wyboru takiego tytułu mogła być okoliczność, że znana całemu pokoleniu shakespeareowskiemu kolekcja ballad historycznych »Zwierciadło dla dostojników« (*A Mirror for Magistrates*) właśnie w roku 1610 wyszła w nowym wydaniu z dodatkowym tytułem *A Winter Night's Vision* (»Widzenie nocy zimowej«). O »powieści zimowej« mówi w dramacie *Mamilius* (II, 1), a o podobieństwie akcji do »starej baśni« dworzanin (V, 2).

²⁾ Trudny pod względem gramatycznym tekst na szczęście drukowany jest niezwykle starannie w pośmiertnem wydaniu *in folio*; osobnego druku *in quarto* nie posiadamy.

szenie podobieństwo w treści i poglądach na życie do »Burzy«, »Cymbelina« i »Peryklesa«, — wszystko to dowodzi, że mamy do czynienia z jednym z ostatnich utworów poety.

Źródłem fabuły niewątpliwie była nowela jednego z bezpośrednich poprzedników Shakespear, młodo zgasłego Roberta Greene p. t. *Pandosto*, czyli »tryumf czasu« (*The Triumph of Time*), także według pary młodych kochanków zwana *Dorastus and Fawnia*, — rzecz widocznie poczytna, bo po pierwszym druku w r. 1588 wychodzi ponownie w latach 1607 i 1609, a jeszcze w r. 1735 przedrukowana była jako książka dla ludu (*chap-book*). Wobec wielu dosłownych analogii między tekstem Shakespear a Greene niema potrzeby dla wyjaśnienia »Powieści zimowej« rozglądać się za innymi wersjami¹⁾. Poeta, zmieniając nazwiska figur, jak to zwykle czyni w swoich dramatach, po nowe imiona sięgnął do jednej ze swych książek ulubionych — Plutarcha: tam znajdujemy nazwiska wszystkich prawie osób dramatu prócz Leontesa; romantyczne miano książęcego amanta nosi bohater dziewiątej księgi sławnej hiszpańskiej powieści »Amadis«: i ten Florizel, jak Shakespearowski, kochankę - pasterkę odwiedza w przebraniu pasterza²⁾.

Stosunek dramatu do noweli w szczegółach podobnie się przedstawia, jak stosunek sielanki »Jak wam się podoba« do pasterskiej opowieści Lodge'a; tylko że Shakespear tutaj — mianowicie w początkowych fazach — jeszcze daleko mniej odstępuje od swego oryginału. Nie tylko treść, ale nawet porządek pojedynczych dyalogów i monologów odtwarza wiernie, przemieniając przytem zwykłą swą alche-

¹⁾ Znakomity wrocławski historyk, Jakób Caro, w czasopiśmie *Englische Studien* (tom II, 1878) zwrócił uwagę na podobieństwo między tematem »Powieści zimowej« a podaniami w kronikach o życiu rodzinnem Ziemowita III, księcia Mazowsza. Różnice jednak są znaczne: w historii Ziemowita osoba, której stosunki z księżną są powodem zazdrości małżeńskiej, przy straceniu objawia się jako niewiasta. Niema żadnej podstawy do przypuszczenia, że to podanie polskie było znane Shakesparowi. Fantastyczne również są zestawienia wierności Florizela dla Perdity ze stałością Zygmunta Augusta dla Barbary Radziwiłłówny, oraz sądu nad Hermioną ze sądem wiślickim nad »oszczerstwami Gniewosza z Dalewic przeciwko królowej Jadwidze: oba motywy wziął Shakespear wprost z noweli Greenea.

²⁾ »Amadis« rozpowszechniony był po całej Europie w tłumaczeniach; w noweli Greene chłopiec Garinter (u Shakespear Mamilius) także nosi nazwisko z tego źródła zaczerpnięte.

miczną sztuką przewlekłe tyrady eufuistyczne, pełne trywialnych maksym ogólnikowych, w argumentację o dobitnej sile i czarującej poezji. Oryginalnym pomysłem Shakespear w ekspozycji jest jedynie użycie dziecka jako narzędzia charakterystyki obojga z kolei rodziców (I, 2; II, 1), a potem noworodka jako materialnego argumentu w rozprawie Pauliny z królem (II, 2, 3); u Greene niema na to wszystko wzoru prócz wzmianki, że królową uwięziono w chwili, gdy się bawiła z małym synkiem.

Staranie o efekt specjalnie dramatyczny widocznem staje się dopiero w traktowaniu motywu wyroczni: u Greene do niej pierwsza odwołuje się królowa; u Shakespear już przedtem postał do niej król: przez to osiągnięte jest połączenie obrony Hermiony i ogłoszenia wyroczni w jednej wielkiej scenie (III, 2), i poeta unika niepotrzebnego powtarzania tych samych wywodów, nużącego cierpliwych czytelników noweli; ale w samej mowie obronnej nie waha się Shakespear pewnych potężnych zwrotów dosłownie przejmować z Greene¹⁾.

Pomysłowość komiczna poety samodzielnie objawiać się poczyną w scenie znalezienia dziecka przez pasterzy (III, 3); w noweli zabawie służą narady między starym pasterzem a jego żoną, energicznie dzierżącą berło władzy domowej.

O dzieciństwie i młodości księżniczki, wychowanej wśród pasterzy, Greene opowiada we wdzięcznych i idyllicznych słowach; dramaturg tutaj — jak między drugim a trzecim aktem »Peryklesa« — musiał uczynić śmiały skok; lukę wypełnia kronika wypadków, oddeklamowana przez uosobienie Czasu, niezręczna i niejasna w wyrażeniu, dlatego też przez niektórych uważana za dzieło jakiejś obcej ręki.

Jeżeli tutaj z konieczności poeta dramatyczny pozostaje w tyle za nowelistą, to stanowczo i wysoko wznosi się Shakespear nad Greene przez piękny pomysł ujęcia kilku głównych faz historii miłosnej królewiat w poetyckie ramy

¹⁾ III, 2:

»Lecz jeśli bóstwo ludzkie czyni widzi (Jak silnie wierzę)...«

W oryginale:

...if powers divine

Behold our human actions (as they do)

W noweli: *If the divine powers be privy to human actions (as they are)...*

Dosłownie z Greene także pochodzi zdanie Hermiony: »To srogość nie prawo« (*'tis rigour, and not law*).

sielskiego święta strzyżenia owiec (IV, 3). W noweli dzieje tego uczucia rozgrywają się w szeregu długich, sztucznych, retorycznych mono-i dyalogów, które Shakespeare pomija lub skraca, znowu zresztą nie gardząc czasem wystąpieniem oryginału¹⁾.

Poważniejsze i głębsze różnice między dramatem a nowelą pojawiają się pod koniec akcji. Kochanków do wspólnej ucieczki skłania, nie, jak w noweli, rozumowanie, że ojciec królewicza nie zezwoliłby na ich małżeństwo, lecz, jak przystało na dramatyczne przedstawienie rzeczy, doraźna interwencja ojca samego w scenie uroczystości pasterskiej; że młodzi szukają schronienia u Leontesa, to w dramacie przedstawia się jako planowy pomysł Kamilla; w noweli ich wyładowanie w kraju ojca narzeczonej jest jedynie dziełem przypadku. Jak w pierwszej połowie dramatu stworzone *ad hoc* figury Pauliny i Antigonusa, tak tutaj wymyślony raczej dla zabawy i lirycznej dekoracji łotrzyk Autolycus bierze na swe ramiona coś ze szczegółów intrygi; u Greena ten udział w akcji ma bezbarwna postać zaufanego sługi królewicza. Stanowczą zmianę podyktował dalej Shakespeareowi niezawodny, jak prawie zawsze w stosunku do źródeł, jego takt artystyczny: opuścił, a raczej do kilku delikatnych słów ograniczył²⁾ długi i dręczący epizod lubieżnych starczych afektów, którymi ojciec prześladuje niepoznaną córkę. U Greena wynikiem tej namiętności jest uwięzienie obojga kochanków; królewicz wyzwolony jest dopiero na żądanie posłów od ojca, który się dowiedział o miejscu jego pobytu; na jego żądanie także dziewczyna i jej wychowawca mają być straceni, i wtedy opowiadanie

¹⁾ IV, 3: Florizel, broniąc swego przebrania pasterskiego, opowiada, jak to

»Bogowie sami zniżali swe bóstwo
I dla miłości byli zwierzętami...«

i przytacza kilka przykładów mitologicznych, przejętych z noweli.

²⁾ V, 1:

Florizel. »Na twoją prośbę, jakby fraszkę jaką,
Największą łaskę ojciec mój wyświadczy.«

Leontes. »Odyby tak było, prosiłbym u niego
O tę księżniczkę, która dlań jest fraszką.«

Paulina. »W oczach twych, królu, zbyt wiele młodości.
Twoja królowa na miesiąc przed śmiercią
Stokroć godniejszą spojrzeń takich była,
Niż na nią rzucasz.«

Leontes. »W tych nawet spojrzeniach
O niej myślałem. —«

pasterza o znalezieniu dziecka wyjawia tajemnicę jej królewskiego pochodzenia; zupełnie, jak u Shakespeara, złoty łańcuch i inne znalezione z niemowlęciem przedmioty służą jako świadectwa. Shakespeare wzruszającej sceny poznania księżniczki nie przedstawił nam naocznie, tylko w sprawozdaniu (V, 2), a to widocznie w tym celu, ażeby Perditę po wypełnionym jej wdziękiem akcie czwartym znów usunąć na drugi plan, a całą uwagę widza znowu, jak z początkiem dramatu, skoncentrować na postać i losy Hermiony, tym razem na zdumiewającą scenę jej powrotu między żyjących. Tu kardynalne odstępstwo od opowieści Greena: u niego królowa w scenie ogłoszenia wyroczni na wieść o śmierci małego synka rzeczywiście umiera, a jej pokutujący małżonek po wielu latach, po szczęśliwym odnalezieniu córki, z żalu odbiera sobie życie, i tak mąż i żona zjednoczeni są w śmierci.

Shakespeare wolał połączyć ich na nowo za życia, i czyni to w śmiały teatralny sposób, nie wtajemniczając w istotny stan rzeczy aż do ostatka nie tylko osób dramatu, ale nawet samej publiczności, która zakończeniem równie jest zaskoczona, jak one: inaczej było w komedii »Wiele hałasu o nic«, gdzie plan ukrywania bohaterki i podawania jej za umarłą wyraźnie się omawia na scenie, i zmartwychwstanie Hero dla widza nie jest niespodzianką.

Pomysł ukazania Hermiony zrazu jako posągu w nowożytnej literaturze ma analogię w dramacie Lope de Vega *El Marmol de Felisardo*, gdzie — wśród całkiem odmiennych resztą okoliczności — bohaterka figuruje jako statua w ogrodzie. Większe podobieństwo do sytuacji shakespeareowskiej w istotnej jej treści, a nie w akcesoryach tylko, ma dzieło starożytne: tragedia Euripidesa *Alkestis*. U niego jak u Shakespeara, początkiem sprawy jest brutalny egoizm małżonka: przyjmuje on ofiarę życia żony zamiast własnego, i dopiero po jej pogrzebie rozpacz nad niżkością swego postępu. Żona, ze szponów śmierci wydartą przez Heraklesa, także jak u Shakespeara, przed oczyma męża staje zrazu w przebraniu — zasłonięta — i, jak Hermiona z ust Leontesa, słyszy jeszcze przed poznaniem słowa szczerzego żalu. Tak samo jak u Shakespeara także, zmartwychwstała żona w scenie ostatniej ani słowem nie przemawia do skruszonego małżonka; Hermiona dopiero na widok córki odzyskuje mowę.

»Powieść zimowa«, bardziej niż niejedno inne dzieło poety, do rozpaczy doprowadzała racjonalistyczną krytykę. Co zrobić z dramatem, w którym król sycylijski, żonaty z córką cesarza rosyjskiego, jest przyjacielem króla Czech, i te Czechy leżą nad morzem; w którym o zająciach między temi osobami rozstrzygać ma wyrocznia delficka, a »Delphos« leży na wyspie¹⁾, w którym jako rzekomy twórca pomnika Hermiony wspomniany jest Włoch XV wieku, Giulio Romano, znany historii tylko jako malarz? — Czy mogło coś bardziej uragać wymaganej przez klasycystyczną dramaturgię jedności czasu i miejsca, jak utwór, rozgrywający się naprzemian w dwóch krajach i w dwóch z kolei generacjach, w którym tę samą osobę widzimy w trzecim akcie na scenie jako niemowlę, a w czwartym jako dorosłą dziewczinę? — To też Garrick, gdy wprowadził dzieło na scenę angielską XVIII wieku, objął swą trzyaktową wersją tylko wypadki po wielkiej szesnastoletniej przerwie, informując nas o poprzednich przez rozmowę między dworzanami; a pani Lennox, pisząca pod egidą Johnsona, w swej książce *Shakespeare Illustrated* (1753) bezlitośnie ośmiesza wszystkie zmiany, jakie Shakespeare porobił w fabule Greena; z jej punktu widzenia jako nieprawdopodobne potępić trzeba to, że król a nie królowa najpierw żąda wyroczni, jako niezręczne machinacje autora wydrwić należy i usługłość niedźwiedzia, co pożera Antigonusa a nie tyka dziecka, i dogodność burzy, usuwającej równocześnie wszystkich innych świadków; nienaturalne są i publiczne oświadczenia królewicza dla wygody sprowadzonego w przebraniu na miejsce ojca, i obojętność zakochanej pary wobec podróżujących z nią wychowawców Perdity, i nadewszystko wreszcie wytrwałość Hermiony, ukrywającej się przez tyle lat mimo oczywistej skruchy męża. Błazeństwem (*buffoonery*) poprostu nazwała pani Lennox scenę udawania posagu.

Od czasu romantyków nauczyliśmy się brać wszelkie takie szczegóły w budowie dzieła poprostu jako fakta, nie podlegające rozumowej krytyce. Bez wątpienia Shakespeare mniej niż gdziekolwiek dba w tej dyalogizowanej powieści i o prawdopodobieństwo i o spistość dramatyczną;

¹⁾ Wszystkie te szczegóły zresztą pochodzą z noweli Greena, tylko że u niego zazdrosny król Pandosto jest władcą nadmorskiej Bohemii, a jego przyjaciel i gość Egistus panuje nad Sycylią. By złagodzić »niedorzeczność« shakespeareowską, wydawca Hammer (1744) zmienił Bohemię na Bitynię w całym dramacie.

jakby znużony sztuczną konstrukcją utworów teatralnych, z końcem kariery pisarskiej daje nam i w »Powieści zimowej« i w »Henryku VIII« nieprzyrządzone dla sceny wycinki z życia, szeregi wypadków, powiązanych tylko jednością głównych osób. Nie brak, co prawda, sztuczności w sprowadzaniu wykombinowanych z góry przez poetę sytuacji; nienaturalnym jest nagły wybuch zazdrości u Leontesa, potrzebny jako podstawa akcji, — wymuszonym trochę sposób zgromadzenia wszystkich głównych osób w jednej grupie na strzyżeniu owiec, — zaś arcy-wyrafinowane, jak zwykle w komediach Shakespeara, *tableau* końcowe; motyw posagu winniśmy traktować wyłącznie jako doraźnie stworzoną sposobność do świetnych popisów aktorskich: jako taka stanowi ta scena zdawna ulubiony przedmiot artystycznych ambicji i przez to nadaje całemu dramatowi nadzwyczajną żywotność w repertuarach teatralnych całego świata. Mimo zupełnie luźnej kompozycji dalej widoczny jednak jest niewygasły u poety dramatycznego instynkt architektonicznej symetrii: losy matki zajmują początek i koniec utworu, córce poświęcony jest środek¹⁾; w charakterystyce obu podobieństwo objawia się przez równoległość: córka w krytycznej chwili młodego żywota, w obliczu śmierci, tak samo jak nigdyś matka przed sądem, zdobywa się na wzniosłe akcenty prawdziwie bohaterskiej rezygnacji (IV, 4).

Chociaż więc nie brak w budowie pewnych dążeń do schematycznego układu wypadków, jednak najbardziej »Powieść zimową« zawsze za to podziwiać będziemy, że nieobliczalne i bez konstrukcyjnego przymusu rozwijające się losy i czyny ludzkie geniusz poety wyposażył w niepożytą siłę przekonywającą. Szczególnie widząc utwór na scenie, wierzymy mocno, że inaczej być nie mogło; nie tylko uwielbiamy w przedstawieniu dalszych stadyów zazdrości Leontesa subtelność i prawdę psychologiczną, ale przyjmujemy bez wahania jej początek, a zmartwychwstanie Hermiony miłsze nam jest w swej sztuczności, niżby było prostsze, a w bajce równie możliwe, wskrzeszenie jej przez jakąś moc nadprzyrodzoną. Przedewszyst-

¹⁾ Mocą tego rozkładu Hermiona i Perdita nigdy nie pojawiają się na scenie razem prócz w części ostatniego aktu, gdzie córka mówi za ledwie kilka słów i łatwo ją zastąpić: z tego korzystając, amerykańska aktorka, Mary Anderson, pierwsza się odważyła grać obie role naraz, i wielkie miała powodzenie.

kiem atoli ten swój boski dar ożywiania wszystkiego, co tworzy, wspaniale objawił poeta w postaciach drugorzędnych. Kamillo, Antigonus, Paulina, potrzebni tylko jako narzędzia do posuwania naprzód akcji, stają przed nami jako całe i prawdziwe istoty ludzkie, których koleje szczerze nas obchodzą; Paulina mianowicie, z domieszką humoru w swej dzielnej wytrwałości i stanowczej wymowie, zupełnie nas ujmuje, i gdy stanęła u celu długoletnich starań, głęboko wzruszeni, słuchamy jej słów końcowych:

»Ja, synogarlica
Biedna i stara, wybiorę siedlisko
Na uschłem drzewie, i tam płakać będę
Po stracie, której nie znajdę już nigdy...« (V, 3).

Właśnie dlatego też razi nas szablonowe zakończenie jej historii w dramacie przez ponowne małżeństwo.

Równie ujmującym — w odmiennym rodzaju, bo *jenseits von Gut und Böse* — jest najmilszy ze złodziei, Autolycus, jakby godłem ozdobiony imieniem syna Merkurego i arcy-złodzieja z *Metamorfoz Owidyusza*¹⁾. Od wagabundów jego typu, żyjących własnym przemysłem z dziś na jutro, rościło się w Anglii od zniesienia klasztorów przez Henryka VIII; praktyki ich opisywała cała rozległa literatura; Shakespeare, według przypuszczenia W. C. Hazlitta, mógł korzystać z książki Tomasza Newbery *The Book of Dives Pragmaticus* (1563); ale wystarczyło mu rozejrzeć się po kraju, by poznać mnóstwo oryginałów łotrzyka. Autolycus, jak Falstaff i Shylock, choć nie do tych rozmiarów, urosł poecie pod ręką i, jak oni, nieprzepartą wywiera fascynację. Pełno w czwartym akcie jego złodziejstw, ale pełno uroczych piosenek; szczególnie z pierwszej z nich z nieporównaną świeżością tchnie ta radość z wiosennego przebudzenia przyrody, jaką sam poeta musiał odczuwać, gdy pod koniec życia, coraz częściej i dłużej przebywając w rodzinnym Stratfordzie, pogodnym okiem spoglądał na pola i lasy w okóło. Liryki włóczęgi i wdziek uroczej królowej święta pasterskiego, w melodyjnych roztaczający się wierszach, to tylko część najnamienitsza klejnotów rytmu i wyrażenia, obficie po utworze rozsianych. Czytelnik zawsze

cenic będzie to dzieło nietylko jako całość, ile jako skarbiec piękności rozłożonych po częściach i szczegółach.

Plastyka i żywotność figur zarówno głównych jak pobocznych raczej obojętnie nastrojać nas musi wobec domysłów i tłumaczeń biograficznych. Czy z Courthopem zechcemy uważać za pewnik, że poeta, co tak trzykrotnie odmalował zazdrość — w »Otellu«, »Cymbelinie« i w »Powieści zimowej« — sam musiał cierpieć jej męki; czy z innymi uważać szlachetną postać królowej za hołd dla cierpliwej małżonki poety; — zawsze Leontes i Hermiona pozostaną postaciami bardziej żywymi i wyrazistymi w naszej świadomości, bliżej nam znanymi i silniej apelującymi do naszych ludzkich uczuć, niż William Shakespeare i Anna Hathaway.

¹⁾ *Met.* IX, 312: »Alipedis de stirpe dei versuta propago

Nascitur Autolycus, furtum ingeniosus ad omne«.

Autolycus sam objaśnia (IV, 3), że go tak nazwano, bo »wylał się, jak ojciec, »pod Merkurem«, i jak on, »wędził drobnostki«.

OSOBY:

Leontes, król sycylijski.
Mamiliusz, jego syn.
Kamillo, }
Antygon, } panowie sycylijscy.
Kleomenes, }
Dyon, }
Polixenes, król czeski.
Flroryzel, syn jego.
Archidamus, pan czeski.
Autolikus, rzezimieszek.
Stary pasterz, mniemany ojciec Perdyty.
Pajac, syn jego.
Majtek.
Dozorca więzienia.
Czas, jako chór.
Hermiona, żona Leontesa.
Perdyta, córka Leontesa i Hermiony.
Paulina, żona Antygona.
Emilia, }
Dwie inne Panie, } damy honorowe Hermiony.
Mopsa, }
Dorkas, } pasterki.
Panowie, szlachta, panie, sędziowie, służba,
pasterze i pasterki.

Scena częścią w Sycylii, częścią w Czechach.

ZIMOWA POWIEŚĆ.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Sycylia. Przedpokój w pałacu Leontesa.

(*Kamillo i Archidamus*).

Archidamus. Kamillo, jeśli przypadkiem odwiedzisz Czechy z powodów podobnych tym, które mnie tu sprowadziły, ujrzysz, jak ci już powiedziałem, wielką różnicę między naszymi Czechami a waszą Sycylią.

Kamillo. Zdaje mi się, że na przyszłe lato król sycylijski zamierza oddać wizytę królowi czeskiemu, która mu się słusznie należy.

Archidamus. Jeśli nas przyjęcie nasze zawstydzi, niech nas usprawiedliwi miłość nasza, bo prawdziwie...

Kamillo. Proszę cię...

Archidamus. Wierź mi, mówię to z głębokiego przekonania. Nie możemy z równą wspaniałością... w tak rzadki... nie wiem, jak się mam wyrazić. Uczestujemy was usypiającymi napojami, aby zmysły wasze niezdolne dostrzedz niedostatku, nie mogąc nas wielbić, nie mogły nas przynajmniej oskarżać.

Kamillo. Płacisz zbyt drogo, co my chętnie dajemy.

Archidamus. Mówię tylko, jak mnie przekonanie uczy i co mi moja uczciwość w usta kładzie.

Kamillo. Król sycylijski nie może dość przychylności okazać królowi czeskiemu. Razem chowali się w dzieciń-

stwie, i wtedy już przyjaźń takie puściła między nimi korzenie, że teraz musi rozrastać się w gałęzie. Odkąd wiek dojrzalszy i wymagania królewskiej godności rozzerwały ich towarzystwo, ich spotkania, choć nie osobiste, po królewsku były zastąpione przez wymianę darów, listów i poselstw przyjaznych, tak, że choć nie-przytomni zdawali się żyć razem, podawać sobie ręce przez morza i ścisnąć się, że tak powiem, z przeciwnych kończyn wiatrów. Niech niebo miłość ich zachowa!

Archidamus. Zdaje mi się, że niema na ziemi ani dość złośliwości, ani przyczyn, któreby ją zmienić były w stanie. — Niewypowiedzianą macie pociechę w waszym młodym księciu Mamiliuszu: jest to pan większych nadziei, niż kiedykolwiek widzieć mi się zdarzyło.

Kamillo. W zupełności podzielał twoje o nim zdanie. Szlachetne to dziecię poddanych wśród cierpień pociesza, stare serca odświeża. Ci, którzy na kulach chodzili, nim się urodził, pragną żyć, aby go mężem jeszcze zobaczył.

Archidamus. A gdyby nie to, czy umarliby chętnie?

Kamillo. Gdyby nie znaleźli innej wymówki, dla której żyćby pragnęli.

Archidamus. Gdyby król nie miał syna, pragnęliby żyć na kulach, dopóki się go nie doczekał. (*Wychodzą*).

SCENA II.

Sala w pałacu.

(*Leontes, Polixenes, Hermiona, Mamiliusz, Kamillo i Dwór*).

Polixenes. Już dziewięć przemian niebios wodnej gwiazdy Pasterz naliczył, jak tron jest nasz pusty,
A gdyby równie długie znów miesiące
Zbiegły, mój bracie, na mem dziękczynieniu,
Jeszczebym w końcu twój piękny kraj rzucił
Wiecznym dłużnikiem: dlatego, jak zero
W liczby wysokiem postawione miejscu,
Jednem »dziękuję« tysiąckroć pomnażam,
Co przed nim stoi.

Leontes. Wstrzymaj dziękczynienia;
Będziesz je spłacał w godzinę rozstania.

Polixenes. Więc jutro, królu. Dręczy mnie obawa,

Co wypaść może w mej nieobecności.

Bodaj w mej ziemi wiatr nie powiał ostry,
I przeczuc moich nie sprawdził boleśnie!

Zbyt długo, królu, ciężarem ci byłem.

Leontes. Możem znieść więcej, niżli ty nałożyć.

Polixenes. Muszę powracać.

Leontes. Chociaż tydzień jeszcze.

Polixenes. Nie, królu, jutro.

Leontes. To choć czas rozdzielmy:

Ale dalszego nie zniosę oporu.

Polixenes. Błagam cię, królu, nie nalegam dłużej;

Niema języka na tej wielkiej ziemi,

Który od twego łatwiejby mnie skłonił;

Anibym teraz twej odmówił prośbie,

Choć z własną krzywdą, gdyby trzeba było;

Lecz interesa do domu mnie ciągną.

Broniąc mi tego, miłością mnie chłostasz.

Mój pobyt tylko kłopotem dla ciebie;

Przez wzgląd dla obu, bywaj zdrów, mój bracie!

Leontes. Niema królowo, przemówże na koniec.

Hermiona. Chciałam, o panie, milczenie zachować,

Ażby ci przysięgł, że nie może zostać.

Wszystkie twe prośby nazbyt zimne były.

Powiedz, żeś pewny, iż w czeskich dzielnicach

Wszystko bezpieczne, o tem zapewniają

Wczorajsze wieści, a gdy to mu powiesz,

Jego najlepszą odbierzesz mu twierdzą.

Leontes. O, Hermiono, dobrześ powiedziała.

Hermiona. Jeśli królowi za synem jest tęskno,

To ma swą wagę; ale to niech wyzna,

Niech to przysięże, a puścisz go wolno,

My kądzielami stąd go wypędzimy.

Lecz się poważam od twej obecności

Tydzień pożyczyć. Gdy do Czech zabierzesz

Mojego męża, pozwalam mu z góry

Miesiąc zabawić nad jego odjazdu

Dzień wyznaczony: choć wierzaj, Leontes,

Że cię nie kocham jeden tyk zegaru

Mniej, niżli żona swego męża kocha.

A więc zostaniesz?

Polixenes. Nie, pani.

Hermiona. Zostaniesz.

Polixenes. Prawdziwie, pani, nie mogę.

Hermiona.

Prawdziwie!

Daremnie błahą chcesz mnie zbyć przysięgą.
Choćbyś chciał gwiżdzy przysięgą odrywać
Od niebios sklepu, ja mówię: zostaniesz;
Zaprawdę, królu, nie możesz odjechać:
Zaprawdę pani tak dobre, jak pana.
Jeszcze chcesz jechać? A więc mnie przymusisz,
Że cię zatrzymam jak mojego więźnia,
A nie jak gościa; sam opłacisz kosztą,
A odjeżdżając od dziek będziesz wolny.
Wybieraj między gościem albo więźniem,
Bo ja przysięgam na twoje »prawdziwie«,
Że jedno z dwojga musisz teraz wybrać.

Polixenes. Pani, więc gościem twoim zostać wolę.

Być twoim więźniem, znaczy cię obrazić,
Co dla mnie, pani, trudniej jest dokonać,
Niżeli tobie obrazę ukarać.

Hermiona. Więc nie dozorcą, ale gospodynią
Jestem ci teraz. Więc mi opowiadaj
O figlach waszych z owych lat młodzieńczych:
Piękni, jak wnoszę, byli z was panicze.

Polixenes. Tak jest, królowo, szczęśliwe chłopięta
Bez myśli o tem, co w przyszłości drzemie,
Pewni, że jutro będzie tak, jak dzisiaj,
Że młodość z nami na wieki zostanie.

Hermiona. A czy nie większym mąż mój był psotnikiem?

Polixenes. Byliśmy obaj, jak bliźnie baranki,
Kiedy na stońcu igrają wesoło,
Dają niewinność w zamian za niewinność.
Grzechów nauki nieświadomi obaj,
Aniśmy śnili, że ją znali inni.
Gdybyśmy ciągle takie wiedli życie,
Słabego ducha gdyby nigdy wyżej
Nie była wzniosła silniejsza krew w żyłach,
Śmiało z nas każdy mógłby rzec przed niebem:
Jestem niewinny, prócz pierworodnego
Grzechu ludzkości.

Hermiona. Wypada więc wnosić,
Że czas stracony dognaliście później.

Polixenes. O, święta pani, później na nas spadły
Mnogie pokusy: w tamtych dniach młodości
Dziewczyną jeszcze była żona moja;

Ty, droga pani, jeszcze nie przebiegła
Przed młodem okiem mego towarzysza.

Hermiona. Przebacz nam, Boże! Z twojej więc powieści
Wypadnie, jeśli wyciągnąć chcesz wnioski,
Że jestem czartem wraz z twoją królową.
Za wszystkie grzechy, których my przyczyną,
My odpowiemy, jeśliście spełnili
Z nami grzech pierwszy, jeśli tylko z nami
W grzechuście trwali, jeśli z żadną inną
Wasza się noga nie poślizła nigdy.

Leontes. Jak stoi sprawa?

Hermiona. Zostaje się z nami.

Leontes. Na moją prośbę nie chciał przecie zostać.
Nigdy wprzód jeszcze, droga Hermiono,
Nie, nigdy w lepszym nie mówiłaś celu.

Hermiona. Nigdy?

Leontes. Nie, nigdy, raz jeden wyjąwszy.

Hermiona. Co? aż dwa razy mówiłam do rzeczy?

Powiedz mi, proszę, kiedy po raz pierwszy?
Tucz mnie pochwałą, jak domowe ptactwo,
Jeden czyn dobry, gdy ginie bez wzmianki,
Morduje tysiąc przyjąć z nim gotowych.
Wasze pochwały są zapłatą naszą.
Słodkim całunkiem pognasz nas mil tysięcy,
Nim jedno staję wymęczysz ostrogą.
Mym dobrym czynem ostatnim tą prośbą,
Odzie jest czyn pierwszy? jeśli cię rozumiem,
On ma starszego brata; o, daj Boże,
By imię jego było: przebaczenie!
Raz jeden wprzód mówiłam do rzeczy?
Kiedy? jak pragnę dowiedzieć się, kiedy?

Leontes. Podówczas, kiedy trzy gorzkie miesiące
Zatruty prawie na śmierć moją duszę,
Nim otworzyłaś twoją białą rękę,
Na znak miłości dałaś ją i rzekłaś:
Królu, na wieki oddaj jestem twoją.

Hermiona. A, to prawdziwe było przebaczenie.
Niech i tak będzie; wiedźcie więc, panowie,
Dwa tylko razy mówiłam do rzeczy:
Raz, by na zawsze zyskać króla męża,
Raz, na dni kilka króla przyjaciela.
(Daje rękę Polixenesowi).

Leontes. (*na str.*). To za gorąco! Tak mieszać uczucia,
Jest to krew mieszać. Czuję *tremor cordis*,
Serce mi skacze, lecz nie, nie z radości.
Uprzejmość może świadków się nie lękać,
W wylaniu serca czerpać poufałość,
W granicach przecie niewinności zostać.
Nie wątpię o tem, wiem, że to być może:
Lecz ścisnąć dłonie, ale szczypać palce,
Jak oni teraz, uśmiechać się sztucznie,
Jak do zwierciadła, wzdychać znowu potem
Jak sarna, kiedy od postrzału ginie,
Tego nie lubi moja myśl ni czoło. —
Ha, Mamiliuszu, jesteś moim synem?

Mamiliusz. Jestem, mój ojciec.

Leontes. Tak myślisz? Zaprawdę.

O, ty mój gaszku! Skąd nos twój czerwony
Mówią, że nos twój mego wierną kopią.
Mój kapitanu, kto dał ci w nos byka?
Unikaj byków: byki rogi noszą.

(*Patrząc na Polixenesa i na Hermionę*).

Po jego palcach jakby po klawiszach
Wciąż biega ręką. — No, drogie cielątko,
Czy jesteś moje?

Mamiliusz. Jestem, jeśli pragniesz.

Leontes. Abyś zupełnie do mnie był podobny,
Na twojej głowie brak ci mych narostów.
A przecie, mówią, jesteście podobni,
Jak krople wody: to mówią kobiety,
Którym koniecznie mówić coś potrzeba.
Lecz choćby były fałszywe, jak wiatry,
Jak wodne fale, lisy farbowane,
Jak kostki tego, co nie zna różnicy
Pomiędzy twojem a pomiędzy mojem,
Zawsze jest prawdą, gdy mówią: to dziecię
Podobne do mnie. Pójdź tu, moje chłopię,
Śładki błazenku, laleczko, spojrz na mnie
Błękitnem okiem, — jakto? — matka twoja...
O wyobraźni! ty aż na dno serca
Sztylet twój wpychasz; robisz podobnemi
Rzeczy, na które podobieństwa niema,
Ty z marzeniami w tajnej jesteś zmowie,
Z przywidzeniami ty działasz do spółki,
A *nic* jest twoim wiernym towarzyszem.

Ale się czasem i z rzeczywistością
Sprzymierzyć możesz, jak to robisz teraz,
Jak ja to czuję w przewróconym mózgu
I kostniejącem na róg mojem czoło.

Polixenes. O czem tak dumasz, królu sycylijski?

Hermiona. Jakiś niepokój duszą jego miota.

Polixenes. Cóż to, mój królu?

Leontes. Jak tam, drogi bracie?

Hermiona. Na twojem czoło pomieszanie widać;

Jakież uczucie duszę twą zmaściło?

Leontes. Jestem spokojny, wierz mi, Hermiono.

Jak czasem zdradza natura swe głupstwo
I czułość swoją! staje się szyderstwem
Dla dusz chłodniejszych! Rozważając rysy
Mego dziecięcia, nagle mi się zdało,
Żem się w tył cofnął lat dwadzieścia i trzy,
W moich zielonych aksamitnych majtkach
Biegałem współ z sztyletem stępionym,
Aby ozdoba, jak się często dzieje,
Szkodą nie była. Myślałem, jak wtedy
Byłem podobny do tego migdałka. —
Słuchaj, czy wziętyś za siekierkę kijek?

Mamiliusz. Nie, ojciec, raczej biłbym się za swoje.

Leontes. Biłbyś się? Boże, daj ci dni szczęśliwe!

Bracie, czy kochasz swego królewicza,
Jak my naszego?

Polixenes. Kiedy jestem w domu,
On jest mych zabaw i myśli przedmiotem;
To moim wrogiem, to mym przyjacielem,
Moim dworakiem, żołnierzem, statystą;
On mi dni lipca na grudniowe skraca;
On szczebiotaniem myśli moje leczy,
Które inaczej krewby mi zwarzyły.

Leontes. Szlachcic ten przy mnie ten sam sprawia urząd.

Pójdę z nim teraz, a ciebie, mój królu,
Twym poważniejszym zostawiamy krokom.
Bądź mu uprzejmą, luba Hermiono,
Wszystko, co drogie, niech dlań tanie będzie,
Po tobie bowiem i po tym łotrzyku
On pierwsze prawo do mego ma serca.

Hermiona. Jeżeli zechcesz połączyć się z nami,

Będziem czekali na ciebie w ogrodzie.

Leontes. Idźcie, gdzie chcecie, znajdę was, dopóki

Niebo nad wami. — Teraz ryby łapię,
Choć nie widzicie, gdzie zapuszczam wędkę.
(*Na stronie, patrząc na Polixenesa i Hermionę*).
Więc dalej, dalej! Jak swe trzyma usta!
Jak obróciła dziobek swój ku niemu!
Ach, jak naprzeciw powolnego męża
W śmiałość się zbroi!

(*Wychodzą: Polixenes, Hermiona i dwór*).

Już się oddalili.

O, pokalana po uszy! — Rogaty! —
Idź grać, mój chłopcze; matka twa grać poszła,
I ja gram także, lecz tak nędzną rolę,
Że wyświstany do grobu się schronię;
Śmiech i szyderstwo dzwonem moim będą.
Idź grać, mój chłopcze! — Byli już przede mną,
Albo się myślę, byli już rogacze.
I dziś, i teraz właśnie, kiedy mówię,
Mąż jest niejedyn, co żony dłoń trzyma,
Nie myśląc biedny, że może przed chwilą
Staw jego spuścił i ryby mu wybrał
Sąsiad Śmiechalski, najkochańszy sąsiad.
Jest w tem pociecha myśleć, że są ludzie,
U których sąsiad, właśnie tak jak u mnie,
Mimo ich woli bramy poroźtawiał.
Gdyby rozpaczał każdy mąż zwiedziony,
Każdy dziesiąty człowiek jużby wisiał.
Niema lekarstwa: nierządny planeta
Potężnym wpływem rozsiewa zarazę
Na wschód i zachód, północ i południe.
Niema barykad na kobiety wiarę,
Ona do woli wpuszcza i wypuszcza
Z twierdzy twej wroga twego z bagażami.
Tysiące na tę słabość chorowały,
Nie znając swojej choroby. — Cóż, chłopcze?

Mamiliusz. Mówią, że jestem podobny do ciebie.

Leontes. W tem podobieństwie jest trochę pociechy.

Ty tu, Kamillo?

Kamillo. Czekać na rozkazy.

Leontes. Idź, Mamiliuszu, idź się teraz bawić!

(*Wychodzi Mamiliusz*).

Król ten potężny zostaje tu dłużej.

Kamillo. Kotwica długo nie chciała jąć gruntu,

Lecz zapuszczona ślizgała się ciągle.

Leontes. Czy uważałeś?

Kamillo. Nad twoje błagania
Przenosił naprzód swoje interesa.

Leontes. I tyś to spotrzegł? — O, widzę, już tłumy
I patrzą na mnie i szemrzą do ucha:
Nasz sycylijski król jest — i tam dalej.
Rzecz już daleko, gdy i ja wiem o niej.
Jak się to stało, że zostać tu przyrzekł?

Kamillo. Na naszej dobrej królowej błaganie.

Leontes. Prośby królowej! o tak, to być może.
Dobrej! powinna być dobrą, lecz nie jest. —
Czy prócz twojego jaki mózg rozumny
Rzecz całą zbadał? Bo myśl twa, jak gąbka,
Więcej niż inna z każdej wyssie sprawy.
Czyli natury tylko subtelniejsze
I lepsze głowy spostrzegły się na tem,
A niższe duchy są, jak krety, ślepe,
Na całą sprawę? Odpowiedz, Kamillo.

Kamillo. Na całą sprawę? Sądzę, wszyscy wiedzą,
Że król tu czeski na dłużej zostaje.

Leontes. Co?

Kamillo. Król tu czeski na dłużej zostaje.

Leontes. Tak, lecz dlaczego?

Kamillo. Aby zaspokoić
Twoje, mój królu, i królowej prośby.

Leontes. Aby królowej zaspokoić prośby?

Co? zaspokoić? Przestań; dosyć na tem!

Kamillo, ja ci dotąd powierzałem

Najdroższe serca mego tajemnice,

Równie jak wszystkie stanu interesa.

Ty, jakby kapłan, pierś mą oczyszczałeś,

Ja, jak pokutnik, lepszy odchodziłem.

Lecz się zawiodłem na twej uczciwości,

Na tem przynajmniej, com brał za uczciwość.

Kamillo. Uchowaj Boże!

Leontes. Nie masz uczciwości,

Lub, jeśli masz ją, brak ci na odwadze.

Uczciwość twoją skoślawiłeś w drodze,

Tak że do mety nie zdołałeś dobieść;

Albo też jesteś mym niedbałym sługą,

Choć w tobie całą mą pokładam ufność;

Lub jesteś głupcem, widziałeś, jak inny

Kosztowną stawkę oszukaństwem wygrał,
Lecz, obojętny, za żart wszystko wzięłeś.

Kamillo. Dobry mój królu, mogę być niedbałym,
Tchórzem i głupcem, bo od wad tych żaden
Człek nie jest wolny, bo jego niedbalstwo,
Trwoga lub głupstwo na jaw mogą wybiedz
Wśród nieskończonych ziemi tej wydarzeń.
Lecz, królu, jeśli kiedy w twojej służbie
Byłem niedbały, to głupoty winą;
Jeśli rozmyślnie rolę głupca grałem,
To przez niedbalstwo na skutki niebaczne;
Jeśli się czynu dokonać wahałem,
Gdy mi wypadek wątpliwym się zdawał,
A wykonanie groziło nieszczęściem,
To była krótka, chwilowa obawa,
Która najędrze chwytła czasem serca.
Wszystko to ludzkiej natury słabości,
Żadna uczciwość nie jest od nich wolna.
Lecz błagam, królu, bądź ze mną otwarty,
Racz mi pokazać grzechów mych oblicze,
Gdy ich nie poznam, grzechy nie są moje.

Leontes. Czy nie widziałeś (ale bez wątpienia
Widziałeś, albo twoje okulary
Mniej przezroczyste od rogała rogów),
Czy nie słyszałeś, (o rzeczy tak jasnej
Wieści milczenia zachować nie mogły),
Czy nie myślałeś, (bo mózg ten niezdolny
Do ludzkich myśli, co o tem nie myślał),
Że moja żona niewierna! Chcesz, wyznaj,
Tak, albo wyznaj, lub powiedz beczelnie,
Że nie masz oczu, ni uszu, ni myśli,
Wyznaj, że moja żona rozpustnicą,
Że na ostatnie zasługuje imię,
Jak pusta prządka, która się oddała,
Długo przed ślubem, swemu kochankowi.
Powiedz i dowiedz.

Kamillo. Podobnych potwarzę
Nie chciałbym słuchać na moją królowę,
Abym ich zaraz szablą tą nie skarcił.
Niech zginę, królu, ale nigdy jeszcze
Mniej ci przystojnych słów nie wymówiłeś.
Ich powtórzenie byłoby występkiem
Czarnym, jak dzieło słowa sprawdzające.

Leontes. Więc nic są szeptu, lic do lic zbliżenie,
Nic ust całunki, mieszanie oddechów?
Nic śmiech przzerwany głębokiem westchnieniem,
(Znak nieomylny łamiącej się wiary)
Nóg zakładanie, krycie się po kątach?
Nic chęć przemiany godzin na minuty,
Południa w północ? nic żywe pragnienie,
By wszystkich oczy bielmem zaleciały,
Ażeby mogli grzeszyć niewidzialni?
Czyli dla ciebie i to nic nie znaczy?
Więc świat ten niczem, niczem co na świecie,
Niczem to niebo i czeski król niczem,
Niczem ma żona, w tem niczem nic niema,
Jeśli to niczem.

Kamillo. O, dobry mój królu,
Racz się wyleczyć z tych chorych przywidzeń,
Wyleczyć śpiesznie, bo są niebezpieczne.

Leontes. To niech i będą, skoro są prawdziwe.

Kamillo. Nie, nie, mój królu!

Leontes. Są, są, a ty kłamiesz,
Ty kłamiesz, kłamiesz! Jak cię nienawidzę!
Jesteś nikczemnym, podłym niewolnikiem,
Zawsze gotowym wszystkiemu pobażać.
Oko twe razem zle i dobre widzi,
I obu sprzyja. Gdyby krew mej żony
Była popsuta tak, jak jest jej dusza,
Padłaby trupem przed godziny końcem.

Kamillo. Kto, o mój królu, kto uwiódł jej duszę?

Leontes. Ten, co ją nosi na szyi jak medal —
Monarcha czeski. Gdyby moi studzy
Wierni mi byli, otwierali oczy
Tak na mój honor jak na swoje zyski,
Toby spełnili, coby przeszkodziło
Dalszym robotom; tak, ty, jego cześnik,
Którego z nizin wyniosłem do szczytu,
Któryś mógł patrzeć, jak niebo na ziemię,
Ziemia na niebo, na me pokrzywdzenie,
Ty, tak, ty mógłbyś zaprawić mu czarę,
Coby mu oczy zamknęła na wieki;
Ten napój byłby kordyałem dla mnie.

Kamillo. Królu, gotowy byłbym to wykonać,
A nie kielichem gwałtownej trucizny,
Ale napojem trawiącym powoli

Ogień żywotny, lecz daruj mi, królu,
Jeśli nie wierzę w płamę tę mej pani,
Która aż dotąd wzorem cnoty była.
Jam kochał ciebie...

Leontes. Zgnij więc wśród wątpienia!

Toż myślisz, że mam tak zmącone myśli,
Iż sam swej własnej męczarni szukałem?
Chciałem splugawić czystość mego łoża,
Gdy czystość snem jest, kiedy jej splamienie
Jest kolcem, cierniem, pokrzywą, os żądlę?
Rzucić zakałę na krew mego syna,
Którego kocham jak mego, bo wierzę,
Że jest mym synem; chciałębym to zrobić,
Gdybym dojrzałych przyczyn na to nie miał?
Kto bez powodów chciałby tak oszaleć?

Kamillo. Wierzyć ci muszę; więc czeskiego króla,
Jak pragniesz, panie, własną zgładzę ręką;
Ale ty, królu, skoro tamten zniknie,
Twoją królowę do łaski racz przyjąć,
Przez wzgląd na syna, aby zahamować
Po dworach obcych języków złośliwość.

Leontes. Jak ty mi radzisz, jużem wprzód w myśli
Działaniom moim bieg podobny wytknął.
Honor królowej szwanku nie poniesie.

Kamillo. Więc teraz, królu, z pogodnem obliczem,
W jakie się przyjaźń ubiera wśród uczt,
Witaj królowę i króla czeskiego.
Jam jego cześnik; jeśli z mojej ręki
Odbierze puhar zdrowego napoju,
Nie licz mnie, królu, do sług twoich rzędu.

Leontes. Dość tego! Dopełń twojej obietnicy,
A bądź połowy serca mego pewny;
Złam ją, a własne pokruszysz w kawałki.

Kamillo. Dopełnię, królu.

Leontes. Tak, jak mi radziłeś,
Twarz mą w przyjazne uśmiechy oblekę.

(*Wychodzi*).

Kamillo. O, biedna pani! — Lecz ja, co mnie czeka?
Mamże dobrego otruć Polixena,
Dlatego, że mi król to rozkazuje,
Który, w otwartej będąc z sobą wojnie,
I w nasby także wojnę tę chciał zbudzić?
Lecz czyn spełniony podniesie mię w górę.

Ha! gdybym nawet tysiąc miał przykładów,
Że kwitł szczęśliwie, kto się raz poważił
Na pomazańca pańskiego wznieść rękę,
I takbym nawet nie podjął się zbrodni;
Ale gdy tego nie znalazłem śladów
Na pergaminie, spiżu lub kamieniu,
Niech zbrodniarz nawet od czynu się wstrzyma.
Co mam więc robić? Muszę dwór opuścić,
Bo, co bądź pocznę, zły koniec mnie czeka.
Szczęśliwe gwiazdy, prowadźcie mnie teraz!
Otóż król czeski. (*Wchodzi Polixenes*).

Polixenes. To rzecz niepojęta;
Przyjaźń ma, widzę, blednąć tu poczyną.
Ani wyrazu! — Dzień dobry, Kamillo.

Kamillo. Witaj, o królu!

Polixenes. Co słyhać na dworze?

Kamillo. Nic ciekawego.

Polixenes. Królewskie oblicze
Tak się zaćmiło, jakgdyby utracił
Powiat, tak drogi dlań jak własne życie.
Właśnie go z zwykłem spotkał powitaniem
Gdy on na stronę żrenice odwrócił,
Z ust swoich uśmiech pogardy upuścił,
I odszedł. Darma w myśli mojej szukam,
Coby tak nagle przemienić go mogło.

Kamillo. Królu, powodu nie śmiem szukać.

Polixenes. Nie śmiesz?

Lub czyli nie wiesz? Lub czy wiesz, a nie śmiesz?
Bądź ze mną szczery. Tak jest, nie śmiesz mówić;
Boć sam dla siebie, co wiesz, wiedzieć musisz,
A nie śmiesz, czego powiedzieć nie możesz.
Dobry Kamillo, rysów twoich zmiana
Jest mi zwierciadłem, w którym własną zmianę
Dobitnie czytam, bo muszę być częstką
Tych przeobrażeń, gdy jasno postrzegam
Przeobrażonym siebie z niemi razem.

Kamillo. Jest słabość, która część dworu posiadała,
Lecz jej imienia powiedzieć nie mogę:
Ty nią nas, królu, choć zdrów, zaraziłeś.

Polixenes. Ja zaraziłem? Nie przemieniaj, proszę,
W bazyliżkowe spojrzenia mych spojrzeń.
Widziałem tłumy, którym oczy moje
Przyniosły szczęście, lecz nikomu śmierci.

Dobry Kamillo, jak jesteś szlachcicem,
 Uczonym, pełnym doświadczenia mężem,
 (Skarb równie drogi jak nazwisko ojców,
 Którzy szlachetną krew nam przekazali)
 Błagam cię, jeśli wiesz o tajemnicy,
 Której znajomość potrzebna jest dla mnie,
 Nie więź jej, błagam, w myśli twoich cieniu.

Kamillo. Królu, nie mogę na to odpowiedzieć.

Polixenes. Jam słabość przyniósł, chociaż sam zdrow jestem?

Śluchaj, Kamillo, muszę mieć odpowiedź.
 Więc cię zaklinam na wszystko, co człowiek
 Honorem zowie — którego ta prośba
 Częstką niemałą — powiedz mi, zaklinam,
 Jakie nieszczęście widzisz, że się czołga
 Ku mej osobie, blizkie czy dalekie;
 Jeśli je można usunąć, co począć,
 Lub na cierpliwość jak się przygotować?

Kamillo. Odpowiem teraz, na honor zaklęty
 Przez męża, który jest honoru pełny.
 Śluchaj mej rady i spełnij ją, królu,
 Szybko, jak słowa z mych ust wybiegają,
 Inaczej oba zawołamy wkrótce:
 Giniem! dobranoc!

Polixenes. Mów dalej, Kamillo.

Kamillo. On mi rozkazał dziś cię zamordować.

Polixenes. Kto on, Kamillo?

Kamillo. Król.

Polixenes. Król? a dlaczego?

Kamillo. On myśli, raczej z pewnością przysięga,
 Jakby był świadkiem, albo pomocnikiem
 Twojej rozpusty, żeś się żony jego
 Występnie dotknął.

Polixenes. Jeślim go obraził,
 Krew ma najlepsza na jad niech się zgęści,
 Niech imię moje na zawsze zostanie
 W parze z tym, który Najlepszego zdradził!
 Niech sława moja, gdziekolwiek przybędę,
 W najtępszych nozdrzach zbudzi obrzydzenie;
 Niechaj świat cały mojego zbliżenia
 Jak najstraszniejszej unika zarazy,
 O której głoszą podania lub księgi!

Kamillo. Odybyś mu przysiągł, że się w zdaniu myli,
 Na wszystkie gwiazdy na niebie świecące,

Na tych gwiazd wszystkich potęgi i wpływy,
 Równiebyś łatwo zakazać mógł morzu
 Księżycą słuchać, jak przysięgą twoją
 Jego przywidzeń budowę obalić,
 Która, na wierze jego fundowana,
 Przetrwa z nią razem do końca żywota.

Polixenes. Lecz jak wyrosła myśl ta w jego duszy?

Kamillo. Nie wiem; lecz lepiej unikać, co wzrosło,
 Niżeli pytać, jak się urodziło.

Jeśli więc ufasz mojej uczciwości,
 Zamkniętej w skrzyni tej, którą wraz z sobą
 W zakład zabierzesz, uciekaj tej nocy.
 O wszystkim służbę twoją zawiadomię,
 Po dwóch, trzech razem, w wielkiej tajemnicy,
 Przez różne furtki z miasta wyprowadzę.
 Co do mnie, w dłoń twą losy moje składam,
 Bo tem wyznaniem wszystko tu straciłem.
 Odrzuć wahanie, bo na przodków honor,
 Wyznałem prawdę; jeżeli zamierzasz
 Dowodów szukać, ja nie śmiem tu zostać,
 Ani ty, panie, jesteś bezpieczniejszy,
 Niż ten, którego sam król na śmierć skazał,
 A egzekucję przysięgą zatwierdził.

Polixenes. Wierzę ci. Serce w jegom twarzy widział.

Daj mi twą rękę. Bądź moim sternikiem:

Godność twa odtąd mojej jest sąsiadem.

Okręty moje gotowe, żeglarze

Już na mój odjazd od dwóch dni czekają.

Drogie stworzenie zbudziło tę zazdrość.

Zazdrość tak wielką, jak piękny jej przedmiot,

I tak gwałtowną, jak on jest potężny;

A kiedy myśli, że mu honor skałał

Ten, który zawsze bratem mu się mienił,

Zemstę zaprawia tem większą goryczą.

Strach mnie ocienia. Niech teraz fortuna

Zbawcą mi będzie! Niebo niech pocieszy

Grzesznych podejrzeń niewinną przyczynę!

Śpieszmy, Kamillo! Jeśli mnie ocalisz,

Będę cię odtąd jak ojca szanował.

Śpieszmy!

Kamillo. Od wszystkich bram swojej stolicy

Król mi powierzył klucze, więc bez zwłoki

Ze sposobności korzystać nam trzeba;
Idźmy więc, panie! ja drogę pokażę.
(*Wychodzą*).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Sycylia. — Pałac.

(*Hermiona, Mamiliusz i Dama*).

Hermiona. Zabierzcie chłopca, nie jestem już w stanie
Znieść jego krzyków.

Pierwsza Dama. Pójdź ze mną, paniczku;
Czy chcesz się ze mną bawić?

Mamiliusz. Nie chcę, nie chcę.

Pierwsza Dama. Dlaczego nie chcesz?

Mamiliusz. Bo tybyś mnie chciała
Całować ciągle, i tak do mnie mówić,
Jakgdybym jeszcze był dzieckiem. Ja wolę
Ciebie.

Druga Dama. Dlaczego?

Mamiliusz. Nie temu, że twoje
Brwi są czarniejsze, choć brwi czarne, mówią,
Pewnym kobietom najlepiej do twarzy,
Byleby tylko niezbyt były gęste,
Lecz jak półksiężyc piórem zakreślony.

Druga Dama. Kto cię nauczył tego, mój paniczku?

Mamiliusz. Jam się nauczył tego z kobiet twarzy.

Powiedz mi, proszę, jaki brwi twych kolor?

Pierwsza Dama. Niebieski, panie.

Mamiliusz. Szydzisz sobie ze mnie;

Damy z niebieskim widziałem już nosem,
Lecz nigdy jeszcze brwi z niebieskim włosom.

Druga Dama. Słuchaj, paniczku, królowa, twa matka,
Ze dniem się każdym coraz zaokrągla,
Wkrótce dostaniem nowego księcia,
Wtedy, paniczku, będziesz igrał z nami,
Jeśli zechcemy.

Dama. Królowej ciążarność
Jest niewątpliwa. Błogosław jej Boże!

Hermiona. Co tam za mądre toczycie rozprawy?

Pójdź tu sam, chłopcze, znów jestem dla ciebie.

Siadaj tu przy mnie, praw mi jaką powieść.

Mamiliusz. Maż to być powieść smutna, czy wesoła?

Hermiona. Jak najweselsza.

Mamiliusz. Smutna lepsza w zimie,
Właśnie też umiem jedną o upiorach.

Hermiona. Więc mi ją powiedz. Siadajże tu przy mnie,

Staraj się tylko, a wiem, że to umiesz,

Żeby twój upiór strasznie mnie przeraził,

Mamiliusz. Był raz mąż pewien...

Hermiona. Siadź wprzód. Dalej.

Mamiliusz. Mieszkał przy cmentarzu...

Ale ci muszę cicho opowiadać,

Żeby mnie świerszcze tam nie podsłuchały.

Hermiona. Więc dobrze, — czekaj, — praw mi ją do ucha
(*Wchodzi: Leontes, Antygon i Panowie*).

Leontes. Tam go spotkałeś z dworem i Kamillem?

Dworzanin. Królu, w jodłowym spotkałem ich lasku;

Nigdy nie widział takiego pośpiechu.

Sam byłem świadkiem, jak na statki wsiedli.

Leontes. Jak przenikliwy sąd niebo mi dało!

Ale przeklęty jestem zbytkiem wiedzy!

W puharze pajak mógł długie dni moknąć,

Człowiek mógł spełnić puhar i wyjść zdrowy,

Bo myśli jego zatrute nie były.

Lecz pokaż oczom hydneho pajaka,

Powiedz, co wypił, a wnet gardło jego

I piersi jego połamię konwulsye —

Jam spełnił puhar i widział pajaka.

Kamillo, widzę, był mu pośrednikiem

W spisku na moje życie i koronę.

Me podejrzenia wszystkie się sprawdziły:

Fałszywy, podlec, któremuś dał służbę,

Jemu się wprzód wynajął, odsłonił

Wszystkie me plany, teraz mnie zostawił

Przedmiotem wzgardy i śmiechów swych celem.

Lecz kto im bramy otworzył tak łatwo?

Pierwszy Pan. Jego powaga, królu, która często

Była potężną, jak twoje rozkazy.

Leontes. Wiem o tem dobrze. — Przywiedźcie tu dziecię.

(*Do Hermiony*).

Cieszę się, pani, żeś go nie karmiła,

Bo choć w swej twarzy rysów mych ma ślady,
Ty w żyłach jego twej krwi masz za wiele.

Hermiona. Cóż to jest? żarty?

Leontes. Wynieście stąd chłopca,

Niechaj się odtąd nie przybliża do niej.

Wynieście chłopca! Niech się ona bawi

Z dziećciem, które w łonie swoim nosi,

Bo ojcem jego jest król Polixenes.

Hermiona. Ja mówię: nie jest, i przysięgnę na to,

A ty, jakkolwiek do przeczenia skłonny,

Uwierzysz mojej przysiędze.

Leontes. Panowie,

Na twarz jej wasze obróćcie żrenice,

A jeśli oczy powiedzą: »jak piękna!«

Serc sprawiedliwość waszych niechaj doda:

»Co za nieszczęście, że cnotliwą nie jest!«

Sypcie pochwały na zewnętrzną postać,

Bo ich jest godna, lecz zaraz ruch ramion,

Lub ha! stłumione, te malutkie piętna

W ustach potwarzy, ale nie, zbłądziłem,

W ustach litości, bo potwarz się rzuca

Tylko na cnotę — to ha! ten ruch ramion,

Po słowie »piękna« drogę wam zaskoczy,

Zanim dodacie: »i cnotliwa razem«.

Bo wiedźcie o tem, wiedźcie z ust człowieka,

Którego prawda najboleśniej rani,

Że Hermiona jest cudzołożnicą.

Hermiona. Gdyby to słowo wyrzekł nędznik jaki,

Najgorszy nędznik na tej wielkiej ziemi,

Za toby słowo większym był nędznikiem:

Ale ty, panie, tylkoś się omylił.

Leontes. I ty, o pani, tylko przez omyłkę

Za Leontesa wzięłaś Polixena.

O! ty istoto, której nie chcę nazwać

Wedle twych zasług, bo nie chcę przykładem

Dawać powodu, by potem lud prosty

Jednym językiem wszystkie sądził stopnie,

Złamał zapory, które dziś się wznoszą,

Miedzy książęciem, a między żebrakiem. —

Jak powiedziałem, jest cudzołożnicą,

Z kim? powiedziałem, a teraz dodaję,

Że jest zdrajczynią, że za powiernika

Wzięła Kamilla, który dobrze wiedział,

O czymby sama bez rumieńca wstydu,

Z swym współ-zbrodniarzem wiedzieć nie powinna,

Że jest nierządna, jak ostatnia dziewczka,

Którą pospólstwo słowy poniewiera,

Że o ucieczce ich wiedziała wszystko.

Hermiona. Nie, na me życie, wszystko mi to obce!

Jaki żal, królu, serce twoje ściśnie,

Kiedy się prawda wyświeci, gdy ujrzysz,

Że mnie przed dworem niewinnie osławiasz!

O! królu, wtedy omyłki wyznanie

Ledwo mi zdoła boleść mą zapłacić.

Leontes. Tu myłki niema; bo jeśli się myślę,

Na takich prawdę fundując podstawach,

Ta wielka ziemia nie zniesie ciężaru

Frygi dziecięcia. Precz z nią do więzienia!

Kto jedno słowo w obronie jej powie,

Ten w oczach moich zbrodni winnym będzie.

Hermiona. Zła jakaś gwiazda panuje nad światem.

Niechaj cierpliwość będzie tarczą moją,

Aż przyjaźniejsze zejda znów planety.

Dobrzy panowie, łez na rozkaz nie mam,

Jak płeć ma nasza; brak tej próżnej rosy

Może litości waszej źródło suszy;

Lecz czysta boleść tutaj jest zamknięta,

Której płomienia palącego duszę

Łez żadna struga zalać nie potrafi.

Raczie mnie, błagam, taką sądzić myślą,

Jaką wam miłość wasza poddać może.

Teraz królewska wola niech się stanie!

Leontes. (*do straży*). Długoż mam czekać? Znajdę posłu-
[szeństwo?

Hermiona. Kto pójdzie ze mną? Upraszam cię, królu,

Dozwól mi kobiet moich towarzystwa:

Widzisz, pomocy ich stan mój wymaga.

(*Do kobiet*).

A wy nie płaczcie; niema łez powodu.

Jeśli się kiedy dowiecie, że pani

Stała się godną kary i więzienia,

Wtedy niech wasze łzy mnie towarzyszą:

Dzisiaj ta kara będzie mi zasługą.

Bądź zdrow, mój królu! Nigdy nie pragnęła

Smutnym cię widzieć, teraz pewna jestem,

Że cię niedługo smutnym widzieć muszę.

Krół wam pozwala, idźmy, towarzyszki!

(*Wychodzą: Królowa i Damy pod strażą.*)

Pierwszy Pan. Błagam cię, panie, przywołaj królowę.

Antygon. Rozkazy twoje racz rozważyć wprzód,

By sprawiedliwość gwałtem się nie stała,

Nie pokrzywdziła trzech dostojnych osób:

Ciebie, mój królu, królowej i syna.

Pierwszy Pan. Co do niej, królu, stawiam życie moje,

Jeśli ofiarę moją przyjąć raczysz,

Że jest niewinną przed niebem i tobą

Występkę, który zarzucasz jej teraz.

Antygon. Jeśli się ona występną okaże,

Zmienię na stajnię żony mej komnatę,

Zawsze z nią razem, nie będę jej wierzył,

Tylko gdy będę widział ją przed sobą;

Cał bowiem każdy wszystkich kobiet świata,

Ba! każdy atom siedliskiem jest fałszu,

Jeżeli ona pogwałciła wiarę.

Leontes. Dość tego, milczcie!

Pierwszy Pan.

Łaskawy mój panie...

Antygon. W twojej, nie w naszej sprawie przemawiamy.

Jakiś oszczerca podły myśl twą wiodł —

Za co niech ogień piekielny go pożre!

Ach, gdybym znał go, z mej zginałby ręki!

Jeśli jej honor takiej skazie uległ —

Ja mam trzy córki, starsza jedenaście,

Druga lat dziewięć, trzecia pięć ma tylko,

Jeśli się sprawdzi na niej oskarżenie,

One mi ciężko za grzech jej zapłacą.

Na honor, królu wszystkie trzy omniszę,

Żadna z nich wiosny czternastej nie ujrzy,

Ani w fałszywy płód życia nie wejde.

Oprócz nich, nie mam żadnego potomka,

Alebym wolał sam rzezańcem zostać,

Niż je matkami bękartów zobaczyć.

Leontes. Dość na tych słowach! Ty wachasz tę sprawę

Zmysłem tak zimnym, jak nos umarłego;

Ja widzę, czuję, (*chwytając go za rękę*) czuję, jak ty czu-
[jesz

Moje dotknięcie, tak jasno to widzę,

Jak ty mą rękę!

Antygon.

Jeśli tak jest, królu,

Dla cnoty sypać nie trzeba mogiły;

Niema jej ziarenka, by na jedną chwilę

Chmurną twarz ziemi rozpogodzić można.

Leontes. Więc słowo moje wiary u was nie ma?

Pierwszy Pan. W tej sprawie, królu, wołałbym, wyznając,

By me, nie twoje słowo miało wiarę;

Więcej mnie czyste jej pocieszmy imię,

Niżli sprawdzenie twego podejrzenia.

Gañ mnie, jak zechcesz, królu, za te chęci.

Leontes. Lecz na co z wami spory te daremne?

Czemu własnego nie słucham natchnienia?

Mym przywilejom rad waszych nie trzeba,

Choć dobroć moja zasięga ich teraz.

Kiedy w głupocie, sztucznej czy prawdziwej,

W prawdzie nie chcecie, czy też nie możecie

Jak ja smakować, pamiętajcie o tem,

Że nam rad waszych nie potrzeba więcej:

Cała ta sprawa, jej zyski i straty,

Od waszej woli wyłącznej zależą.

Antygon. Pragnąłbym, królu, abyś całą sprawę

W twojej milczącej rozsądził był myśli

Bez uczestników.

Leontes.

Czy mogłem tak zrobić?

Albo cię starość w głupca przemieniła,

Albo wyszedłeś głupcem z łona matki.

Domysł, zbudzony zażyłości zbytkiem,

Nowy miał dowód w Kamilla ucieczce,

I nigdy pewno, bez świadectwa oczu,

Domysł pewniejszych świadków nie pokazał

Nie jako dowód, lecz jak potwierdzenie

Rzeczy sprawdzonych przez okoliczności:

To mnie do śpiesznych zagnęło przedsięwzięć.

Lecz dla lepszego zarzutów sprawdzenia,

Pomny, że w sprawie tak potężnej wagi

Byłaby zbrodnią nasza popędliwość,

Do delfickiego wysłałem Apolla

Kleomenesa z Dyonem, a wicie

Jaką naukę z roztropnością łączą;

Przez nich wyroczni odbierzemy słowa.

Działania moje duchowna jej rada

Wstrzyma lub popchnie. Czy dobrze zrobiłem?

Pierwszy Pan. Dobrze, mój królu.

Leontes.

Choć dla mnie nie trzeba

Nowych dowodów, lecz wyroczni słowa
 Mogą ustalić chwiejące się myśli
 Tych, których dotąd głupia łatwowierność
 Nie chciała jeszcze czystej ujrzeć prawdy.
 Za dobre jednak uznaliśmy wprzód
 Z przed oczu naszych królowę usunąć,
 Aby dwóch zbiegów uknowany spisek
 Nie był spełniony występłą jej ręką.
 A teraz, idźmy! do ludu przemówię,
 Sprawa ta zbudzi...
Antygon (*na str.*). Śmiech tylko, rozumiem,
 Byle się cała prawda wyświeciła. (*Wychodzą*).

SCENA II.

Więzienie.

(*Paulina i jej Służba*).

Paulina. Stróża więzienia zawołaj co prędzej,
 Powiedz, kto jestem.
 (*Wychodzi jeden ze Służby*).
 Dobra moja pani,
 Godnego ciebie dworu nie ma ziemia,
 A cóż w tem ciemnem robić masz więzieniu?
 (*Wchodzi Dworzanin z Dozorczą więzienia*).

Znasz mnie, przypuszczam?

Dozorca. Znam, dostojna pani,
 Jako osobę, którą czczę głęboko.
Paulina. A więc cię proszę, wiedz mnie do królowej.

Dozorca. Nie mogę, pani, wyraźne rozkazy
 Bronią mi twojej posłusznym być woli.

Paulina. To jest, masz rozkaz, by honor i cnotę
 Zamknąć przed okiem cieszącej przyjaźni.
 Czy mogę widzieć chociaż jej kobiety?
 Którąbądźkolwiek, na przykład Emilię?

Dozorca. Racz tylko, pani, świadków tych oddalić,
 A ja Emilię bez zwłoki przywiodę.

Paulina. Proszę cię, śpiesz się. Odejdźcie na stronę.
 (*Wychodzi Służba*).

Dozorca. Pani, rozmowie przytomnym być muszę.

Paulina. Niech i tak będzie. (*Wychodzi Dozorca*). Boże, co
 [zachodu,

Ażeby splamić, co było bez plamy!
 (*Wchodzą: Dozorca i Emilia*).

Droga Emilio, o powiedz mi, proszę,
 Jak się ma nasza królowa i pani?

Emilia. Zdrowa, o ile na to pozwalają
 Takie nieszczęścia przy takiej wielkości
 Lecz nagle trwoga i ciężkie strapienie
 (A cięższych serce kobiety nie znało)
 Dziecię do życia wywyłody przedwcześnie.

Paulina. Czy syn?

Emilia. Nie, córka; rozkoszne niemowlę,
 I życia pełne, dziś źródło pociechy
 Dla pani naszej, która często mówi:
 »Jestem niewinna, jak ty, biedny więźniu«.

Paulina. Co bez wahania stwierdzą mą przysięgą.

O, te przekłete króla przywidzenia
 Bodaj przepadły! Ja mu prawdę powiem,
 Rzecz ta kobiecie najlepiej przystoi.
 Jeżeli słodycz z moich ust wypłynie,
 Niech mi na zawsze język skamienieje,
 Mojej krwiookiej wściekłości tłómaczem
 Nie będzie więcej! Proszę cię, Emilio,
 Oświadczyć królowej moje posłuszeństwo;
 Jeśli mi zechce niemowlę powierzyć,
 Ja je poniosę przed królewskie oczy,
 I głośnym jego będę tam obrońcą.
 Widok dziecięcia może zmiękczy serce:
 Nieraz milczenie czystej niewinności
 Było silniejsze od głośniejszej wymowy.

Emilia. Szlachetna pani, honor twój i dobroć
 Tak są widoczne, że twe przedsięwzięcie
 Musi szczęśliwy uwieńczyć dziś skutek.
 Nikt ci w przymiotach nie wyrówna, pani,
 Do tak wielkiego potrzebnych poselstwa.
 Racz wejść na chwilę do przyległej sali,
 A ja królowej myśl twoją przełożę.
 Dziś o podobnym marzyła projekcie,
 Lecz przez obawę odmowy, nie śmiała
 Żadnego z dworzan prośbą swoją kusić.

Paulina. Powiedz, Emilio, że ust nie oszczędzę,
 A jeśli tyle znajdę w nich wymowy,
 Ile odwagi w piersiach moich czuję,
 Niech o szczęśliwym skutku nie rozpacz.

Emilia. Niech za to, pani, Bóg ci błogosławi!
Wejdz do tej sali; biegnę do królowej.
Dozorca. Jeśli królowa zechce oddać dziecię,
Sam nie wiem, jaka czeka na mnie kara,
Gdy je wypuszczę bez upoważnienia.
Paulina. O, co do tego, dobrej bądź otuchy.
Żona jej było niemowlę to więźniem,
Matki natury działaniem i prawem
Wyszło na wolność i na światło dzienne,
Nie było częstką gniewu królewskiego,
Niema udziału w występku królowej,
Jeśli jest jaki.
Dozorca. Wierzę ci, o pani.
Paulina. Bądź dobrej myśli; przysięgam, ja stanę
Pomiędzy tobą a niebezpieczeństwem. (*Wychodzą*).

SCENA III.

Sala w pałacu.

(*Leontes, Antygon, Panowie i Dwór*).

Leontes. Snu ani chwili, we dnie ani w nocy —
Słabością serca uleść tak cierpieniu —
Tak jest, to czystą byłoby słabością,
Gdyby nie żyła słabości przyczyna.
Na jej połowę — na cudzołożnicę —
(Bo król nierządnik uszedł mojej ręki
I wszystkich spisków przez zemstę natchnionych),
Na nią przynajmniej mogę hak zarzucić.
Gdy ją grób połknie lub ogień pochłonie,
Odzyskam może pół mego pokoju.
(*Wchodzi Dworzanin*).

Kto tam?

Dworzanin. Mój królu...**Leontes.** Jakie zdrowie chłopca?**Dworzanin.** Noc miał spokojną i mamy nadzieję,
Że słabość jego dziś się przesiliła.

Leontes. Patrz, na szlachetność małego chłopięcia!
Jakgdyby czując matczyną niesławę,
Pochylił główkę i siły utracił,
Do swego serca hańbę jej przyczepił,
Wyrzekł się śmiechów, snu i apetytu,

I sechł widocznie. Zostaw mnie samego,
A śpiesz do księcia.

(*Wychodzi Dworzanin*).

Precz, precz myśli o nim!

Myśl sama zemsty, tą szukanej drogą,
Tylko mnie groźna. Sam przez się potężny,
A potężniejszy przez związki i przyjaźń —
Niech tak zostanie, przyjdzie może pora —
Na niej przynajmniej pomścimy się teraz!
On i Kamillo śmieją się dziś ze mnie,
I urągają się boleściom moim;
Leczby ich odbiegł śmiech, gdybym ich dosięgnął,
I śmiech odbiegnie tę, którą mam w ręku.
(*Wchodzi Paulina z dzieciąciem*).

Pierwszy Pan. Nie, wejść nie możesz.

Paulina. Raczej, dobry panie,
Bądź mi pomocą; toż więcej uważasz
Na gniew tyrana, niż życie królowej,
Niewinnej duszy, której czystość większa,
Niż zazdrość jego.

Antygon. Dosyć na tem!

Pierwszy Pan. Pani,
Król noc bezsenną przepędził i nie chce,
Aby ktokolwiek zbliżył się do niego.

Paulina. Nie tak gorąco, łaskawy mój panie!
Powiedz królowi, że mu sen przynoszę.
O, wiem ja dobrze, iż tobie podobni,
Którzy się za nim jak cienie czołgają,
Na każde próżne wzdychają westchnienie,
O, wiem ja dobrze, iż tobie podobni
Karmią przyczynę tych nocy bezsennych.
Ja niosę słowo prawdy i lekarstwa,
Słowo uczciwe, które myśl oczyści,
Żrenicom jego słodki sen kradnącą.

Leontes. Co to za wrzawa?

Paulina. To nie wrzawa, królu,
Lecz o twych sprawach konieczna rozmowa.

Leontes. Precz z tą kobietą! Czyż ci, Antygonie,
Nie rozkazałem, ażeby się nigdy
Do mej osoby zbliżyć nie ważyła?

Antygon. Twój rozkaz, królu, oświadczyłem żonie,
Twoim i moim groziłem jej gniewem,
Jeśli próg twego pałacu przestąpi.

Leontes. Jakto? więc nie masz nad nią dość powagi?

Paulina. Dość ma powagi, gdzie uczciwość każe,

Lecz w tem, jeżeli twym śladem nie pójdzie,

Do ciemnych lochów za cnotę nie wtrąci,

Nie znajdzie, królu, powagi nade mną.

Antygon. Słyszysz, mój królu. Gdy raz się znarowi,

Puszczam jej cugle, bo nic jej nie wstrzyma.

Paulina. Łaskawy panie, słuchaj mnie, zaklinam,

Słuchaj tej, która wierną jest poddanką,

Najposłusznieszym radcą i lekarzem,

Która, ażeby ulżyć twym boleściom,

Mniej za pozorem gorliwości goni,

Niż ci, co formą poświęceń cię zwodzą.

Od twojej dobrej przychodzę królowej.

Leontes. Dobrej królowej?

Paulina. Tak, dobrej królowej,

Powtarzam, panie, twej dobrej królowej,

A jej dobroci dowiodłabym mieczem,

Gdybym ostatnim mężem tylko była

Twojego dworu.

Leontes. Wywiedźcie ją z sali!

Paulina. Niech się ten pierwszy dotknąć mnie poważy,

Który z was mało oczy swoje ceni.

Odejdę sama, gdy spełnię poselstwo.

Dobra królowa dobrą jest, albowiem

To ci niemowlę, córkę tę powiła,

Błogosławieństwu poleca ją twemu.

(Kładzie dziecko na ziemi).

Leontes. Precz z tą przebrzydłą, śmiałą czarownicą!

Precz z tą rajfurką w sztuce swej ćwiczoną!

Paulina. O nie, mój królu, ja sztuce tej obca,

Jak ty sam jesteś, co mnie skarżysz o nią;

Twym przywidzeniom równa ma uczciwość,

A to, Bóg świadkiem, aż nadto jest dosyć,

Jak świat dziś stoi, zwać się uczciwością.

Leontes. Zdrajcy, czy żaden za drzwi jej nie wypchnie?

Precz z nią! niech z sobą bękartą zabierze.

(Do Antygony).

Ty, stara babo, ty, przez swoją kurę,

Ty, z własnej grędy spędzony, czy słyszysz?

Oddaj bękartą twemu Herodowi.

Paulina. Dłoń twa na wieki niech będzie przeklęta,

Jeśli księżniczki dotknąć się odważyysz

Pod tem fałszywym podłości nazwiskiem,

Którym ją zhańbił!

Leontes. On się żony boi!

Paulina. Chciałabym, królu, byś ty bał się twojej,

Wtedybyś dzieci twoje zwał twojami.

Leontes. Ha, zdrajców gniazdo!

Antygon. Nie, zdrajcą nie jestem,

Na to ci światło niebieskie przysięgam.

Paulina. Ani ja, królu, i nikt tu z przytomnych

Prócz ciebie tylko; ty, święty twój honor,

Twojej królowej, twego niemowlęcia,

Twojego syna wydajesz na żądło

Potwarzy, stokroć od miecza ostrzejsze.

Ty, królu, nie chcesz (przekleństwo nad nami,

Że cię do tego zmusić nie możemy),

Wzdrygasz się wyrwać uprzedzeń korzenia

Tak spróchniałego jak kamień jest zdrowy,

Jak zdrowe serce stuletniego dębu.

Leontes. Niewstrzymanego języka przekupka,

Pobiła męża, teraz mnie wyzywa!

Ten płód jest nie mój lecz Polixenesa;

Precz z nim z mych oczu, niechaj z matką razem

Splonie na stosie!

Paulina. Dziecię to jest twoje,

A jak to stare powiada przysłowie:

Tem gorzej, że tak podobne do ciebie.

Patrzcie, panowie, choć mały obrazek,

Ale jest cały ojca swego kopią;

Jego nos, oczy, usta i zmarszczenie,

Jego jest czoło, ba! nawet i dołki,

Rozkoszne dołki twarzy i podbródka,

Jego uśmiechy i kształt jego dłoni,

I palców jego i jego paznokci.

Matko naturo, coś ją utworzyła

Na jej rodzica szczere podobieństwo,

Jeśli i myśli w twojej są potędze,

Do jej kolorów nie mieszaj żółtego,

Aby jak ojciec nie marzyła później,

Że nie są dziećmi męża jej, jej dzieci!

Leontes. Obrzydła baba! —

A ty, nędzniku, warteś szubienicy,

Że jej języka wstrzymać nie potrafisz.

Antygon. Każ tylko mężów mnie podobnych wieszać,
Ledwo ci jeden poddany zostanie.

Leontes. Precz z nią! raz jeden jeszcze ci powtarzam.

Paulina. Najokrutniejszy, najdzikijszy monarcha
Nie może więcej...

Leontes. Spalić cię raz zażę!

Paulina. Nie dbam o życie. Nie ten est kacerzem,
Kto w ogniu płonie, lecz kto ogień nieci.

Nie chcę cię, królu, tyranem nazywać,

A jednak srogość ta przeciw królowej,

Kiedy jedynym występku dowodem

Są wyobraźni twojej przywidzenia,

Tyranią trąci, i przed światem całym

Ośławi czyste niegdyś imię twoje.

Leontes. Przez posłuszeństwo, któreście mi winni,

Precz z tą kobietą! Gdybym był tyranem,

Powiedz, gdzie teraz byłoby twe życie?

Tyranembyś mnie nie śmiała nazywać,

Gdybyś wiedziała, że nim jestem. Precz z nią!

Paulina. Odejdę sama, — gwałtu nie potrzeba.

Patrz na to dziecię, — dziecię to jest twoje.

Niech jej lepszego Bóg da opiekuna!

Wy, co tak czuli na jego zaleństwa,

Żaden mu ulgi, żaden nie przyniesie,

Nie, nigdy, nigdy! Królu, już odchodzę. *(Wychodzi).*

Leontes. Ty, zdrajco, tyś ją podmówił do tego!

Ha! moja córka! Precz z nią! Antygonie,

Ty, który dla niej tak tkliwe masz serce,

Weź ją natychmiast i oddaj płomieniom.

Tak jest, płomieniom, ty sam własną ręką,

A za godzinę spełnienie rozkazu

Donieś i dowiedź, albo twoje życie

I wszystko twoje w godzinę utracisz.

Jeśli odmówisz, jeśli chcesz koniecznie

Na mą się wściekłość narazić, odpowiedz,

A moją dłońią mózg tego bękarta

Z czaszki wytrącę. Rzuć dziecię to w płomień,

Bo ty twą żonę, ty na mnie nasłałeś!

Antygon. Nie ja, mój królu; przytomni panowie,

Moi szlachetni w służbie twej koledzy,

Gdy zechcą, mogą mnie usprawiedliwić.

Pierwszy Pan. Królu, on żony przyjsia tu nie winien.

Leontes. Wszyscyście kłamcy!

Pierwszy Pan.

Błagam cię, mój królu,

Naszym wyznaniom racz lepszą dać wiarę.

Zawsze uczciwą nieśliśmy ci służbę,

Teraz cię, królu, na klęczkach błagamy,

Jako nagrodę za nasze usługi

Przeszłe i przyszłe, wyrok twój odwołaj,

Bo jest okrutny, bo jest straszny, krwawy,

I straszne skutki pociągnie za sobą.

Wszyscy klękamy... *(Klękają).*

Leontes. Mamże jak piórko z każdym chwiać się wiatrem?

Mamże doczekać, aż bękart ten klęknie,

I ojcem swoim zwać się mnie odważy?

Lepiej niech teraz spłonie, niżbym potem

Miał ją przeklinać. — Lecz nie, niechaj żyje,

Jest inny sposób. — *(Do Antyg.)* Zbliź się tu, szlachcicu,

Ty, co tak czule z damą Małgorzatą,

Małżonką swoją, pracowałeś nad tem,

By życie tego bękarta zachować,

Bo, że bękartem jest, tak jestem pewny,

Jak jestem pewny, że twa broda siwa —

Coś gotów zrobić, aby ją ocalić?

Antygon. Wszystko, mój królu, co zdolność potrafi,

Szlachetność każe: wszystko jestem gotów;

Resztki krwi mojej z rozkoszą przeleję,

Aby niewinne życie jej zachować,

Wszystko, co można, wykonam.

Leontes.

Więc dobrze,

Lecz pomnij, jedna jota niespełniona

Jest śmiercią twoją, twej bezczelnej żony,

Której na teraz przebaczam zuchwałość.

Na twoją lenną polecam ci wiarę,

Unieś z Sycylii to dziecię bękarce

Na jaką pustą i odległą ziemię,

I tam je zostaw, bez żadnej litości,

Jego losowi na łasce klimatu;

Bo tak jak dziwny dał je nam przypadek,

Tak sprawiedliwie zlecam ci pod karą

Utraty duszy i tortur cielesnych

Na obcych, pustych zostawić je brzegach,

Gdzie je los niechaj zbawi, lub zabije.

Weź je!

Antygon. Przysięgam dopełnić rozkazu,

Choć dobrodziejstwem śmierć byłaby śpieszna.

Pójdź, biedne dziecię! Niech opatrne duchy
 Kruki i kanie na mamki ci ześlą!
 Mówią, że kiedyś wilki i niedźwiedzie
 Wygnały z serca dzikość przyrodzoną,
 I wypełniały ten czyn miłosierdzia.
 Królu, szczęśliwszym bądź, niż zasługuje
 Rozkaz okrutny! — Ty biedna sieroto,
 Na śmierć skazana, niech błogosławieństwo
 Niebios za tobą z ojca okrucieństwem
 Walczy szczęśliwie! (*Wychodzi z dziecięciem*).

Leontes. Nie chcę wychowywać
 Dzieci nie moich.

(*Wchodzi Dworzanin*).

Dworzanin. Miłościwy panie,
 Godzina temu, jak przybyły wieści
 Od twoich posłów do Delfów wyroczni,
 Że Kleomenes i Dyon szczęśliwie
 Do portu wbiegli i na dwór twój śpieszą.

Pierwszy Pan. Pośpiech ich, królu, prześcignął rachuby.

Leontes. Byli w podróży dni dwadzieścia i trzy.
 Pośpiech dowodzi, że wielki Apollo
 Chce prawdę całą na jaw śpiesznie wywieść.
 Bądźcie gotowi; zwołać całą radę,
 Bo przed nią chcemy sprawę tę wytoczyć,
 A jak publiczna była skarga nasza,
 Tak i sąd cały publiczny niech będzie.
 Dopóki ona żyje, w moich piersiach
 Serce ciężarem. Zostawcie mnie teraz,
 A mych rozkazów nie spuszczajcie z myśli.
 (*Wychodzą*).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Sycylia. — Ulica.

(*Kleomenes i Dyon*).

Kleomenes. Klimat jest świeży, powietrze jest słodkie,
 A wyspa żyzna; świątynia prześciga
 Sławę powszechnem przyznaną jej zdaniem.

Dyon. Moje, przed wszystkim, uderzyły myśli
 Niebieskie czaty, bo tak je zwać muszę,
 I niezrównana kapłanów powaga.
 O, a ofiary! jaka uroczystość
 Pośród nadziemskich świątyni obrzędów!

Kleomenes. A głos wyroczni straszny i głuszący,
 Podobny trzaskom piorunów Jowisza,
 Tak mnie odurzył, żem się prochem sądził.

Dyon. Jeśli podróży wypadek przyniesie
 Radość królowej, (co daj nam, o Boże!)
 Tak jak nam przyniósł wesele i pośpiech,
 Czas nasz nie będzie stracony daremnie.

Kleomenes. Wielki Apollo, zmień wszystko na dobre!
 Te głośnie skargi przeciw Hermionie
 Nie po mej myśli.

Dyon. Gwałtowny bieg sprawy
 Wnet musi wszystko wyjaśnić i skończyć.
 Kiedy wyrocznia, (którą wielki kapłan
 Tak tajemniczą osłonił pieczęcią)
 Jawną się stanie, treść jej niewątpliwie
 Niezwykłe prawdy ludowi pokaże.
 Tymczasem śpieszmy; nakaz świeże konie,
 A niech wesele u mety nas czeka!
 (*Wychodzą*).

SCENA II.

Sycylia. — Trybunał.

(*Leontes, Panowie, Sędziowie siedzą w porządku*).

Leontes. Ten sąd, z boleścią musimy to wyznać,
 Ciężką jest raną dla naszego serca,
 Bo oskarżona królewską jest córką,
 A żoną naszą, zbyt tylko nam drogą;
 Niech o tyranie nikt nas nie posądza,
 Kiedy na jawność sądu zezwalamy,
 Który potępi ją, lub uniewinni.
 Przywiedźcie więźnia.

Woźny. Królewską jest wolą,
 Aby królowa w swej własnej osobie
 Przed sąd stanęła. Panowie, milczenie!
 (*Wchodzi: Hermiona pod strażą, Paulina i Damy*).

Leontes. Czytaj akt oskarżenia.

Woźny. Hermiono, królowo dostojnego Leontesa, króla Sycylii, oskarżoną tu jesteś o zbrodnię stanu, o cudzołóstwo z Polixenesem, królem czeskim, o sprzysiężenie się z Kamillem na życie naszego pana i króla, twojego królewskiego małżonka. Gdy okoliczności wykryły część ich planów, ty, Hermiono, gwałcąc wiarę i obowiązki wiernego poddanego, radziłaś im i pomogła, aby w ucieczce ratunku szukali.

Hermiona. Gdy co mam mówić, musi to być tylko Wszystkich oskarżeń prostem zaprzeczeniem, I gdy jedynem z mej strony świadectwem Jest to, sędziowie, które sama daję, Daremno powiem: »tak, jestem niewinną«, Bo gdyście cnotę mą wzięli za zbrodnię, Świadectwo moje za kłamstwo weźmiecie. Lecz jeśli bóstwo ludzkie czyni widzi, (Jak silnie wierzę) o, wtedy, nie wątpię, Że ma niewinność twarz oskarżycieli Wstydem oblecze, a przed cierpliwością Tyrana zblednie. — Królu, wiesz najlepiej, (Choć nieświadomość udawać chcesz teraz) Że przeszłe życie moje było czyste, Tak czyste, szczere, jak dziś me nieszczęścia, A równych nieszczęść nie znajdziesz w powieściach Zmyślonych, żeby rozrzewnić słuchacza. Patrzcie, spółniczka królewskiego łoża, Spółniczka tronu i córka królewska, Matka księżęcia pełnego nadziei, Dziś się rozprawiam o życie i honor W obliczu wszystkich, co mnie słuchać raczą. Me życie cenię jak moje boleści — Skończyć je pragnę — lecz czysty mój honor, Ten z przodków biorę, i dzieciom go winnam, I tego bronię. Niech twoje sumienie Świadczy mi, królu, czy, nim Polixenes Na dwór twój przybył, czy twojej miłości Godną nie byłam? od jego przybycia Jakimże krokiem niebacznym, występny Zarzut ściągnęłam? Jeśli przekroczyłam Na jedną jotę granice honoru Czynem, lub wolą, lub myśli skłonnością,

Najbliżsi krewni moi niech nie mają
Nic dla mogiły mojej prócz pogardy!

Leontes. Jeszcze nie słyszał, by zbrodniom podobnym
Na bezczelności zaprzeczenia brakło,
Kiedy jej dosyć było do spełnienia.

Hermiona. W słowach twych, królu, niemało jest prawdy,
Ale ich do mnie stosować nie możesz.

Leontes. Bo wyznać nie chcesz.

Hermiona. Wyznać nie powinienam

Niepopelnionych grzechów, za me grzechy.

Wyznamę: króla, z którym mnie oskarżasz,

Kochałam, bo to honorem zasłużył,

Miłością, jaka przystała kobiecie

Mojej godności, miłością nie inną,

Jak ta, mój królu, którąś sam nakazał;

Inaczej bowiem grzechbym popełniła

Przeciw wdzięczności, przeciw posłuszeństwu,

I przeciw tobie i przyjacielowi,

Którego miłość, odkąd mówić mogła —

Od lat dziecinnych — zawsze była twoją.

A co do spisku, smaku jego nie znam,

Choć mi potrawę dziś tę zastawiacie.

Wiem tylko, królu, o cnotach Kamilla;

Czemu opuścił dwór twój, i bogowie,

Jeżeli więcej ode mnie nie wiedzą,

Są nieświadomi.

Leontes. O jego ucieczce

Zarówno dobrze wiedziałaś, jak o tem,

Co po ucieczce wykonać przyrzekłaś.

Hermiona. Twego języka nie rozumiem, królu,

Od marzeń twoich życie me zależy,

Rób z niem, co zechcesz.

Leontes. Własne czyny twoje

Są mem marzeniem. Gdy z Polixenesem

Miałaś bękartą — ja tylko marzyłem.

Jak wstydu nie masz, (bo podobne tobie

Nie mają wstydu) tak nie masz i prawdy;

Lecz zaprzeczenie na nic się nie przyda.

Jak płód twój rzucić na puszcę kazałem,

Bo niema ojca, któryby go uznał,

(Co więcej twoją, niżli jego zbrodnią)

Tak ty uczujesz sprawiedliwość naszą,

I śmierci czekaj za największą łaskę.

Hermiona. Błagam cię, królu, oszczędź tych pogroźek;
 Śmierci tej szukam, którą ty mnie straszysz,
 Bo życie dla mnie straciło już urok.
 Koronę życia mego — twą miłość,
 Czuję, straciłam, choć nie wiem, dlaczego;
 Mój pierworodny, drugie szczęście moje,
 Wydarty z objęć moich, jakbym była
 Zapowietrzoną; trzecia rozkosz moja,
 Pod nieszczęśliwą urodzona gwiazdą,
 Z niewinnem mlekiem na niewinnych ustach,
 Od moich piersi na śmierć powleczone;
 Ja ogłoszona za cudzołożnicę
 Po ulic rogach; mnie zemsta nieskromna
 Odmawia srogo położyć spoczynku,
 Kobietom wszystkich przyznanego stanów;
 Ta zemsta, w końcu, tutaj mnie przywlekła,
 Wprzód nim natura wróciła mi siły.
 Powiedz mi teraz, czego mam żałować?
 Powiedz mi, czemu lękać się mam śmierci?
 Skończ więc, coś zaczął, lecz słuchaj mnie wprzód,
 Słów tylko moich nie tłómacz omylnie:
 Nie dla żywota — on piórka nie waży —
 Ale dla mego czystego honoru,
 Którybym chciała przed światem ocalić,
 Skoro mam zginąć ofiarą podejrzeń,
 Których jedynym świadkiem zazdrość twoja,
 Pozwól, że powiem: to srogość nie prawo.
 Więc w przytomności zebranych tu sędziów
 Ja do wyroczni uciekam się sądu:
 Niech sam Apollo sędzią moim będzie.

Pierwszy Pan. Twoje żądanie, pani, sprawiedliwe;
 A więc przynieście odpowiedź wyroczni,
 Ogłoście światu wyrok Apollina.

(*Wychodzi kilku Urzędników*).

Hermiona. Cesarz moskiewski moim był rodzicem.
 Gdyby żył jeszcze, ach, i gdyby widział
 Sąd swojej córki, ogrom jej boleści,
 Nie pomsty jednak, lecz litości okiem!
 (*Wchodzą Urzędnicy z Kleomenesem i Dyonem*).

Pisarz. Zbliż się, Dyonie, zbliż się, Kleomenie,
 I oba na ten miecz sprawiedliwości
 Przysiążcie, żeście oba w Delfach byli,
 Że stamtąd tajną wyrocznię niesiecie,

Kapłana ręką opieczętowaną,
 Żeście się świętej pieczęci nie tknęli,
 Ani tajemnic świętych nie czytali.
Kleomenes i Dyon. Na to przysięgam.
Leontes. Rozłam więc pieczęcie,
 Czytaj wyrocznię.

Pisarz. (*czyta*) **Hermiona** jest czystą, **Polixenes** niewinnym,
Kamillo wiernym poddanym, **Leontes** tyranem zazdro-
 snym. Niewinne jego dziecię prawowicie poczęte, a król
 żyć będzie bez dziedzica, jeśli straconej nie znajdzie.

Panowie. Błogosławiony niech będzie **Apollo**!
Hermiona. Błogosławiony!

Leontes. Czy wiernie czytałeś?
Pisarz. Czytałem, królu, jak na piśmie stoi.
Leontes. W całej wyroczni niema słowa prawdy;
 Wszystko jest fałszem; sąd niech sądzi dalej!
 (*Wchodzi Dworzanin*).

Dworzanin. Królu, mój panie!
Leontes. Cóż to?
Dworzanin. Królu, me poselstwo
 Zrobi mnie celem twojej nienawiści:
 Syn twój, królewicz, dręczony obawą
 Niepewnych skutków matki swojej sądu,
 Skonał.

Leontes. Co? skonał?
Dworzanin. Tak, królu mój, skonał.
Leontes. Gniewny **Apollo** i same niebiosy
 Niesprawiedliwość moją dziś chłostają.
 (*Hermiona mdleje*).

Cóż to?
Paulina. Wiadomość zabiła królowę.
 Spojrz na jej lica, na śmierci patrz dzieło!
Leontes. Weźcie królowę. Tylko zbytek żalu
 Pierś jej przepętni! życie wróci jeszcze.
 Zbyt wiele własnym podejrzaniom ufał.
 Błagam was, czułych nie szczędźcie zachodów,
 Wróćcie jej życie!
 (*Wychodzą: Paulina i Damy z Hermioną*).

Przebacz mi, **Apollo**,
 Grzeszne bluźnierstwo przeciw twej wyroczni! —
 Przywrócę dawną przyjaźń z **Polixenem**,
 Miłość królowej odzyskam na nowo,
 Na dwór przywołam dobrego **Kamilla**,

Który jest mężem prawdy i litości:
 Bo kiedy we mnie i zazdrość i zemsta
 Zbudziły myśli krwawe, on, Kamillo,
 Miał być narzędziem mojem, on miał otruć
 Polixenesa, mego przyjaciela,
 Ale uczciwa jego myśl spóźniła
 Gwałtownych moich rozkazów spełnienie.
 Gdy za uczynek obiecał nagrodę,
 Nieposłuszeństwu śmiercią zagroziłem,
 On, i ludzkości i honoru pełny,
 Gościowi memu odsłonił me spiski,
 Wielką fortunę w Sycylii zostawił,
 Rzucił się w odmęt niepewnych przypadków,
 Za skarb jedyny honor swój unosząc.
 Jak cnota jego przez rdzę mojej błyszczyl!
 Jak czyny moje przy jego litości,
 O, jak są czarne!

(*Wchodzi Paulina*).

Paulina. O dniu nieszczęśliwy!
 Przetnijcie gorset, aby serce moje
 Rwać jego taśmy, nie pękło z nim razem!
Pierwszy Pan. Ach, dobra pani, co rozpacz ta znaczy?
Paulina. Tyranie, jakież dla mnie masz męczarnie?
 Koło, pal, ogień, tortury, pieczenie,
 Lub gotowanie w ołowiu, oleju?
 Stare, czy świeżo wymyślone męki?
 Każde me słowo twoich jest najgorszych
 Godne katuszy. Patrz, co twa tyrania,
 I twoja zazdrość, twoje przywidzenia
 Za puste błahe i dla chłopiąt małych,
 Dla dziewczyn, które dziewięć wiosn nie liczą,
 Patrz, co zrobiły, a potem oszalej,
 Bo wszystkie twoje minione szaleństwa
 Tego, coś zrobił, są tylko przyprawą!
 To nic, żeś zdradził twego przyjaciela —
 To tylko dowód niewdzięcznego szatu;
 I to niewiele, że splamić pragnąłeś
 Honor Kamilla podłem królobójstwem;
 Małe to grzechy przy straszniejszych zbrodniach,
 Rzuceniu córki na pożarcie krukom,
 Na śmierć lub nędzę, chociażby sam szatan
 Z płonących oczu łyżę wprzód uroził,
 Nimby na takie odważył się dzieło;

Ani na ciebie bezpośrednio spada,
 Że w piersiach księcia uczucie honoru,
 Wysokie myśli w duszy młodocianej
 Rozdarły serce, które pojmoowało,
 Że głupi ojciec drogą hańbił matkę;
 O! nie, nie za to zdać musisz rachunek,
 Lecz za ostatnią — a wy, gdy wymówię,
 Biada! wołajcie — królowa, królowa —
 To słodkie, drogie stworzenie — umarła!
 A zemsta jeszcze nie spadła nań z nieba!
Pierwszy Pan. Broń nas od tego, niebieska potęgo!
Paulina. Tak jest, umarła; przysięgam, umarła!
 Jeśli nie wierzysz, idź słowa me sprawdzić.
 Jeśli jej licom, oczom blask przywrócisz,
 Żyłam jej ciepło, a oddech jej piersiom,
 Będę jak bogom służyć ci na ziemi. —
 Lecz ty, tyranie, zbrodni twych nie żałuj,
 Bo dla nich niema żalu ni pokuty,
 I jedna tylko zostaje ci rozpacz.
 Nie, tysiąc kolan lat dziesięć tysięcy,
 Nagie, na nagie krzemienistej skale
 Klęcząc wśród zimy i wśród wiecznej burzy,
 Jeszczeby żrenic bożych ku twej stronie
 Zwrócić nie mogły!

Leontes. Mów dalej! mów dalej!
 Nigdy zbyt wiele powiedzieć nie możesz,
 Bo zasłużyłem, by wszystkie języki
 Słowa goryczy wymierzyły na mnie.
Pierwszy Pan. Przestań! Cokolwiek wydarzyć się mogło,
 Śmiałością mowy obraziłaś króla.
Paulina. Żałuję tego. Gdy błąd popełniłam,
 A wiem o błędzie, nie wstydzę się żalu.
 Zbyt mnie niewieścia uniosła gwałtowność,
 Szlachetne jego zbyt dotknęłam serce:
 Co nad ratunek, niech będzie nad smutek.
 Niech słowa moje żalów twych nie budzą,
 Lecz raczej, królu, niech kara mnie dotknie,
 Że przypominam, co zapomnieć trzeba.
 O, przebac, panie, szalonej kobiecie!
 Me przywiązanie do twojej królowej...
 Znowu szaleję, nie wspomnę jej więcej,
 Ni o królowej, ni o dzieciach twoich,
 Ani o mężu moim wspomnę więcej,

Choć i on zginął. Pociesz się ty, królu,
A ja zamilknę.

Leontes. Dobrześ mówiła, gdy mówiłaś prawdę;
Nad twoją litość przenoszę wyrzuty.
Prowadź mnie teraz do ciała królowej
I mego syna; jeden grób je zamknie,
A na grobowcu, dla wiecznej mej hańby,
Przyczynę zgonu ich wypisać każę:
Codzień odwiedzę grobu ich kaplicę,
Płakać nad niemi pociechą mi będzie.
Póki natura woli mej dotrzyma,
Świętym do tego zwiążuję się ślubem.
Prowadź mnie teraz do moich boleści.
(*Wychodzą*).

SCENA III.

Czechy. — Pusta okolica nad morzem.

(*Antygon z Dzieciąciem i Majtek*).

Antygon. Więc jesteś pewny, że okręt nasz przybił
Do pustyń czeskich?

Majtek. Jestem pewny, panie,
Lękam się tylko, by nie w złą godzinę.
Burzą nam grozi rozdane niebo,
Jakby nas chciało za czyn nasz ukarać.

Antygon. Niechaj się stanie święta jego wola!
Powróć do statku i daj nań baczenie;
Ja też powrócę za niedługą chwilę.

Majtek. Śpiesz się; nie odchodź zbyt od wybrzeża,
Bo grozi burza, prócz tego, wokoło
Snują się ciągle dzikich zwierząt stada.

Antygon. Nie trwóż się; wracaj; nie zwlekę przybycia,

Majtek. Dobrze, żem tak się z tej wywinął sprawy.
(*Wychodzi*).

Antygon. Pójdź, biedne dziecię! Nie wierzyłem dotąd,
Że zmarłych dusze na ziemię wracają,
Lecz matkę twoją widziałem tej nocy,
Lub sen do jawu nigdy podobniejszy,
Nie, nigdy nie był. Zbliża się istota,
Skoń chyląc bładą w tę i tamtą stronę;
Nigdy kobiety nie widziałem jeszcze

Tak pełnej żalu, a tak pięknej razem.
W białej ostonie, jakby świętość sama,
Spłynęła cicha do mojej kajuty;
Trzykroć przede mną pochyliła czoło,
Chwytała oddech, jakby chciała mówić,
A gdy przez oczy, jakby dwa strumienie,
Spłynęła rozpacz, te słowa mi rzekła:
»Kiedy los, przeciw lepszej twojej woli,
Zrobił cię katem mej biednej sieroty
Wedle przysięgi, którą wykonałeś,
Na czeskich brzegach samotne są miejsca,
Tam, płacząc, zostaw płaczące me dziecię,
A gdy ją wszyscy mają za straconą
Na wieki wieków, nazwij ją Perdytą!
Za czyn tak srogi, spełniony przez ciebie,
Nie ujrzysz nigdy żony twej Pauliny«.
Rzekła i, płacząc, w wiatr się rozplynęła.
Gdym z przerażenia ochłonął po chwili,
Myśli mi przyszły, że to nie marzenie.
Sny są igraszką, lecz ten sen jedyny
Za przewodnika zabobonnie biorę.
Wierzę, śmierć sroga królowę spotkała
A to niemowlę, płód Polixenesa,
Wolą Apolla na ten brzeg zagnane
Na śmierć lub życie, wśród ziemi rodzica.
Rośnij szczęśliwy, biedny, piękny kwiatku!

(*Kładzie Dziecię na ziemię*).

Tu leż, a z tobą ten znak i podarek,
(*kładzie zawiniątko*).

Który wystarczy i na wychowanie
I na twój posag, gdy zechce fortuna.
Burza się zbliża. — Uboga sieroto,
Za grzechy matki na los porzucona,
Płakać nie mogę, lecz pierś krwią mi zaszła!
Jestem przeklęty, skoro mnie do tego
Przysięga zmusza. — Bądź zdrowa, na wieki!
Dzień się zachmurza bardziej, coraz bardziej;
Strasza cię piosnka do snu ukołysze.
Wśród dnia tak niebios ciemnego sklepienia
Jeszcze nie widział. — Co za dzikie wrzaski!
Muszę się śpieszyć. To krzyk polowania.
Boże, zginąłem! (*Ucieka ścigany przez niedźwiedzia*).
(*Wchodzi stary Pasterz*).

Pasterz. Chciałbym, żeby nie było przedziału między dziesiątym a dwudziestym trzecim rokiem życia, albo przynajmniej żeby go młodość przespała, bo w całym ciągu tego pośredniego czasu widzimy tylko uwiedzione dziewczyny, pokrzywdzonych starców, kradzież i bijatyki. Czy słyszysz? Chciał żeby kto prócz tych niedowarzonych mózgów dziewiętnasto- lub dwudziestoletnich na taki czas polować? Spłoszyli mi dwie z moich najlepszych owiec, które, lękam się bardzo, prędzej wilki niż właściciel ich znajdzie. Ale jeśli gdzie, to chyba nad morzem spotkać mi się je uda szczypiące bluszcz nadbrzeżny. — Co się to znaczy, fortuna? Cóż to znaleźliśmy takiego? (*Podnosi Dziecię*). Panie odpuść! wszak to niemowlę, prześliczne niemowlę! Chłopiec czy dziewczyna? Piękne, piękne dziecko! Ani wątpliwości, jakiś wybryk. Choć nie jestem w książkach ćwiczony, z miny widzę, że to jakiejś szlachcianki sprawa; robota na schodach, w garderobie, lub za drzwiami. Tym, co cię ulepili, cieplej było, niż tobie, biedna sieroto. Wezmę ją z litości, lecz zaczekam, póki mój syn nie wróci; przed chwilą dawał mi znaki. Hop! hop!

Pajac (*wchodząc*). Hop! hop!

Pasterz. Co? tak blisko? Jeśli chcesz widzieć rzecz, o której mówić jeszcze będziesz, kiedy umrzesz i zgnijesz, przybliż się. Co tobie?

Pajac. Widziałem dwa takie widowiska na lądzie i na morzu. Lecz nie mogę powiedzieć na morzu, teraz bowiem wszystko jest niebo: między morze a firmament nie wsadziłbyś końca szpilki.

Pasterz. Powiedz, chłopcze, co takiego?

Pajac. Chciałbym tylko, żebyś był widział, jak się dąsa, jak szaleje, jak brzegi zalewa. Ale to nie należy do rzeczy. O, bolesne krzyki biednych ludzi! To ich widzisz, to znowu tracisz z oczu; raz okręt bodzie księżyc koronnym masztem, to znowu ginie wśród piany i drożdży, jak gdybyś w beczkę korek rzucił. A teraz co do lądowej służby — widzieć, jak niedźwiedź szarpał jego łopatkę, słyszeć, jak wołał do mnie biedak o pomoc i powiedział, że się nazywa Antygon, że jest szlachcicem. Lecz skończmy naprzód z okrętem; widzieć, jak morze go połknęło, lecz naprzód słyszeć, jak biedne dusze ryczały, a morze z nich się śmiało, i jak biedny szlachcic ryczał,

a niedźwiedź się śmiał z niego, a oba ryczeli głośniejsze od morza i burzy.

Pasterz. Przez Boga żywego! kiedy się to stało, chłopcze?
Pajac. Teraz! teraz! Jeszcze nie mrugnąłem okiem od czasu, jak wszystko to widziałem. Ludzie nie ostygli jeszcze pod wodą, a niedźwiedź nie skończył jeszcze obiadować na szlachcicu; zajada go jeszcze.

Pasterz. Co za szkoda, że mnie tam nie było! byłbym uraował staruszkę.

Pajac. A ja żałuję, żeś nie był przy okręcie, aby go uratować, tylko że tam twoja litość nie miałaby podstawy.

Pasterz. Straszne wypadki! straszne wypadki! Ale patrz tylko, chłopcze. Czy widzisz? Ty spotykasz umierających, ja nowonarodzonych. To mi widok dla ciebie! Patrz tylko! Sukienka jakby na szlacheckim dziecku. A tam co leży? podnieś, podnieś, chłopcze, i rozwiń. Tak zobaczymy. Mówiono mi, że mnie wróżki zbogacą — to jakiś podrzutek — rozwiń — co tam znalazłeś, chłopcze?

Pajac. Masz skarby na stare lata. Jeśli ci są przebaczone grzechy twojej młodości, masz teraz żyć z czego. Złoto! samo złoto!

Pasterz. Wrózek to złoto i wrózek złotem się pokaże. Chłopcze, zabierz to i dobrze schowaj. A teraz, do domu! do domu najbliższą drogą! Jesteśmy szczęśliwi, chłopcze! a żebyśmy szczęśliwi zostali, trzeba tylko tajemnicy. Niech sobie, gdzie chcą, idą moje owce. Dalej, chłopcze, najbliższą drogą do domu!

Pajac. Ty wracaj najbliższą drogą z twojem znaleźćm, ja pójdę wprzód zobaczyć, czy niedźwiedź odszedł od szlachcica i jak wiele z niego pożarł. Niedźwiedzie są niebezpieczne tylko, kiedy głodne. Jeśli co z niego zostało, pogrzebię.

Pasterz. Dobry uczynek. Jeśli potrafisz rozpoznać z tego, co zostało, kto on jest, wracaj, żebyś mnie do niego poprowadził.

Pajac. Najchętniej, a razem spuścimy go do grobu.

Pasterz. Szczęśliwy dzień, chłopcze! co rok będziemy go obchodzić dobrymi uczynkami.

(*Wychodzą*).

AKT CZWARTY.

(Wchodzi Czas jako Chór).

Czas. Ja, co zacieram żale i rozkosze,
 Odstaniam prawdę i błędy mamidła,
 Jako czas dzisiaj rozwijam me skrzydła;
 Więc za występki nie bierzcie mi, proszę,
 Jeśli szesnaście przeskoczę jesieni,
 I przepaść całą zostawię wśród cieni,
 Bo ja obalam prawa moją siłą,
 Nowe zwyczaje buduję w godzinie. —
 Niechże czas teraz tak jak dawniej płynie,
 Gdy to, co dzisiaj jest, jeszcze nie było.
 Gdy świat się rodził, ja mu świadkiem byłem,
 Jak będę świadkiem, gdy to, co dziś świeci,
 Co świeżo kwitnie, zgaśnie i przeleci,
 Jak stare dzieje, o których mówiłem.
 Gdy to od waszej zyskam cierpliwości,
 Zwracam klepsydrę; scena się starzeje,
 Jakbyście spali długie lat koleje.
 W Leonta piersiach zazdrość już nie gości,
 Z rozpacz w ciemnej zamyka się sali.
 Myślcie, słuchacze, żeście się zbłąkali
 W czeskich dzielnicach, na pięknej dolinie.
 Już wam mówiłem o królewskim synie,
 Któremu daję imię Floryzela.
 Dziś do Perdyty chyżym pędzę lotem:
 Wdzięk jej, jak wiosna, oczy rozwesela.
 Nie chcę wam mówić, co stanie się potem:
 Ujrzycie wszystko, co przyszłość powije.
 Pasterska córka i to, co z nią żyje,
 Przedmiotem czasu od tej będzie chwili.
 Racście mnie słuchać, jeśliście spędzili
 Czas kiedy gorzej, jeśli nie, za trudy
 Czas wam nie życzy nigdy większej nudy.
(Wychodzi).

SCENA I.

Czechy. Pokój w pałacu Polixenesa.

(Polixenes i Kamillo).

Polixenes. Proszę cię, Kamillo, nie nalegać więcej. Cierpieniem jest dla mnie odmówić, o co prosisz, ale zezwolić na to byłoby śmiercią.

Kamillo. Już lat piętnaście, jak nie widziałem mojej ojczyzny. Choć większą część życia obcem oddychałem powietrzem, tam pragnę kości moje złożyć. Prócz tego, pokutujący król, pan mój, wzywa mnie do siebie; jeśli mnie zbytek miłości własnej nie zaślepią, może potrafię ulgę jaką przynieść głębokiej jego boleści; to jest drugą podniętą mojego odjazdu.

Polixenes. Jeśli mnie kochasz, Kamillo, nie zacieraj wszystkich twoich zasług minionych, opuszczając mnie teraz. Potrzebę twojej nieobecności twoja własna dobroć stworzyła; lepiejby było nie mieć cię wcale, niż dzisiaj cię stracić. Potworzyłeś interesa, których nikt prócz ciebie rozwikłać nie potrafi, musisz więc albo do ukończenia ich zostać, albo zabrać z sobą wszystkie twoje dawne zasługi. Jeśli tych zasług nie ocenilem dostatecznie (bo nigdy ich ocenić nie mogłem zbyt wysoko), usiłowaniem będzie mojem wdzięczniejszym się okazać, a zyskiem moim będzie większa twoja przyjaźń. O tej fatalnej ziemi sycylijskiej, proszę cię, nie mów mi więcej; imię jej samo dręczy mnie pamiątkami tego pokutnika, jak go nazywałeś, nawróconego króla, mojego brata, którego straty poniesione przez śmierć najdroższej królowej i dzieci jeszcze teraz musimy jakby świeże opłakiwać. Powiedz, kiedy widziałeś księcia Floryzela, naszego syna? Równem jest dla królów nieszczęściem widzieć dzieci wyrodne, jak tracić je, gdy ich cnoty wypróbowane już były.

Kamillo. Panie, trzy dni temu, jak widziałem księcia. Jakie być mogą jego przyjemniejsze zatrudnienia, nie wiem, lecz od pewnego czasu ze smutkiem uważałem, że stroni od dworu i nie tak gorliwie jak dawniej oddaje się ćwiczeniom swojej książęcej godności przystojnym.

Polixenes. I ja spostrzegłem to samo. Niespokojny, wziąłem na służbę oczy, które nieobecność jego śledzą. Od

nich to odebrałem wiadomość, że księżę rzadko się oddala od domu prostego pasterza, człowieka, który, jak mówią, z niczego, w niepojęty dla sąsiadów sposób, nagle przyszedł do nadzwyczajnych dostatków.

Kamillo. Słyszałem, panie, o tym człowieku. Ma on córkę rzadkiej urody; sława jej rozeszła się dalej, niżby się można było spodziewać po wieści, w takiej chatce poczętej.

Polixenes. I o tem także odebrałem doniesienie. Lękam się haczyka, który tam ciągnie mojego syna. Pójdziemy razem aż na miejsce; tam, nie pokazując, kim jesteśmy, zrobimy kilka pytań pasterzowi, a przy jego prostocie, nie trudno będzie, jak sądzę, wywiedzieć się o przyczynie odwiedzin mojego syna. Proszę cię, bądź moim pomocnikiem w tej sprawie, a odłóż na stronę myśli o Sycylii.

Kamillo. Chętnie słucham rozkazów twoich, królu.

Polixenes. Mój najlepszy Kamillo! Teraz musimy się przebrać.

(Wychodzą).

SCENA II.

Droga w bliskości chaty Pasterza.

(Autolikus wchodzi śpiewając).

Autolikus. Kiedy już narcyz z ziemi kielkuje,
Hej, ho! dziewczyna płasza w dolinie,
Bo słodkiej wiosny oddechy czuje;
W zimowych piersiach świeża krew płynie.

Już dziewczki płachty wynoszą z doma;
Hej, ho! jak wdzięcznie ptaszyna nuci!
Do mej też gęby przyszła oskoma,
Bo kwarty piwa i król nie rzuci.

Skowronek w górze swą piosnkę dzwoni,
W krzakach mu wtórzy kosów świstanie,
To mi muzyka, kiedy wśród błoni
Drzemie z kochanką schowany w sianie!

Służyłem kiedyś u księcia Floryzela i w swoim czasie chodziłem w bogatych aksamitach, ale teraz jestem bez służby.

Mamże dla tego płakać w rozpacz?
Księżyc rozświeca nocne ciemności;
Im mi się bardziej droga majaczy,
Do mego celu idę tem prościej.

Bo jeśli druciarz zarabiać może,
Włóczęgę się z torbą z sioła do sioła,
Ja też rachunki moje otworzę,
Chociaż mnie ceklarz po kwit zawoła.

Ja handluję płachtami; kiedy kania buduje gniazdo, baczność na drobniejszą bieliznę! Ojciec mój nazywał się Autolikus, a że jak ja wylął się pod Merkurym, jak ja wędził drobnostki. Dzięki kostkom i dziewczkom strój ten kupilem, a moim kapitałem jest niewinne rzemiosło rzezimieszka. Szubienica i rozbój na wielkiej drodze, to za wysokie dla mnie rzeczy, na widok postronka i batoga strach mnie bierze. Co do przyszłego życia, myśl o niem zwykle przesypiam. Zdobycz! zdobyć! *(Wchodzi Pajac).*

Pajac. Zobaczymy. Każde jedenaście baranów, kamień; każdy kamień, czterdzieści i coś złotych; piętnaście set ostrzyżonych ile przyniesie?

Autolikus *(na stronie).* Jeśli włosień dotrzyma, złapałem ptaszka.

Pajac. Bez szczot do ładu z tem nie dojdę. Zobaczymy teraz, co na strzyż mam kupić. »Trzy funty cukru; pięć funtów porzeczek, ryżu« — co też ta moja siostra chce robić z ryżem? Lecz mój ojciec zrobił ją panią świętą, ona więc nakazuje sprawunki. Zrobiła już dwadzieścia cztery bukiety dla strzygaczy; wszystko doskonale śpiewaki na trzy głosy, tylko że większa część tenorzyści i baciści; ale jest między nimi purytanin, który śpiewa psalmy przy towarzyszeniu kobzy. Trzeba mi szafranu na danie farby pierogom z gruszkami; muszkatołowych kwiatów, daktyli, nie, tego niema w mojej notatce, muszkatołowych gałek siedm; jeden lub dwa korzenie imbiru, to potrafię wyżebrać; cztery funty suszonych śliwek i tyleż rodzynek.

Autolikus. Och, czemuż się rodziłem!

(Jęczy i tarza się po ziemi).

Pajac. W imię...

Autolikus. O, ratuj mnie, ratuj! obedrzyj choć te łachmany, a potem śmierć! śmierć!

Pajac. Biedna duszo, tobie trzeba raczej więcej wdziać łachmanów, niż rzucić te, które masz na sobie.

Autolikus. O, panie, obrzydliwość ich obraża mnie więcej, niż plagi, które odebrałem, a były silne — miliony!

Pajac. Biedny człowieku! Milion plag, to nie żarty.

Autolikus. Odarli mnie, panie, i zbili mnie, moje pieniądze i ubiór zabrali, a włożyli na mnie obrzydłe te rzeczy.

Pajac. Piechur czy kawalerzysta?

Autolikus. Piechur, słodki panie, piechur.

Pajac. Prawda, musiał to być piechur, sądząc po łachmanach, które ci zostawił; jeśli to ma być płaszcz kawalerzysty, płaszcz ten siarczyste przebył tarapaty. Daj mi rękę, wstać ci pomogę. Dalej, daj rękę! (*Podnosi go*).

Autolikus. Och, dobry panie, ostrożnie! Och!

Pajac. Niestety, biedna duszo!

Autolikus. Och, dobry panie, ostrożnie! dobry panie. Zdaje mi się, panie, że moja łopatką wywichnięta.

Pajac. Próbuje, czy możesz utrzymać się na nogach.

Autolikus. Powoli, dobre panie! (*Kradnie mu sakiewkę*). Dobry panie, powoli! Miłosierną oddałeś mi przysługę.

Pajac. Czy ci trzeba pieniędzy? mam tu kilka groszy dla ciebie.

Autolikus. Nie, dobry, słodki panie, nie; proszę cię, panie, nie. Mam krewnego o trzy ćwierci mili, do którego właśnie szedłem, on da mi pieniędzy i wszystkiego, na czem mi zbywa. Nie ofiaruj mi pieniędzy, błagam cię, bo mi zakrwawiasz serce.

Pajac. Co to był za rodzaj człowieka ten rozbójnik?

Autolikus. Był to człowiek, panie, któregom widział włóczącego się z olejkami; wiem, że służył kiedyś u księcia, lecz nie mogę powiedzieć, dobry panie, dla której z cnót swoich był, jak tego jestem pewny, kijami z dworu wypędzony.

Pajac. Dla jakiego ze swoich występków, chcesz zapewne powiedzieć. Niema cnót, któreby kijami z dworu wypędzano; kochają tam cnotę i chętnie zatrzymują, choć prawda, że zatrzymać nie mogą.

Autolikus. Występków, chciałem powiedzieć, panie. Znam go dobrze. Potem wodził małpy; potem był woźnym i komornikiem; potem pokazywał w jasełkach historię marnotrawnego syna i wziął za żonę córkę druciarza o milę od wioski, w której mieszkam i w której leżą

moje posiadłości, a przebiegłszy niejedną łotrowską profesję, osiadł w końcu na oszustwie. Niektórzy nazywają go Autolikus.

Pajac. Precz z tym rzezimieszkim! na moje życie, to złodziej! Chodzi po odpustach, jarmarkach i hecach niedźwiedzich.

Autolikus. Prawda, panie, ten sam, panie, ten sam; ten to oszust tak mi się przysłużył.

Pajac. Niema tchórzliwszego łotra w całych Czechach. Gdybyś tylko był spojrzął z góry i plunął na niego, zaręczam ci, byłby drapnął.

Autolikus. Muszę ci się przyznać, mój panie, że i ze mnie zuch niewielki; z tej strony ubogie moje serce, a przysiągłbym, że wiedział o tem dobrze.

Pajac. Jakże ci teraz?

Autolikus. Słodki panie, daleko lepiej, niż było; mogę utrzymać się na nogach i chodzić. Muszę więc pożegnać się z tobą, dobry panie, i zwolna wlec się ku domowi mojego krewnego.

Pajac. Mamże cię wyprowadzić na drogę?

Autolikus. Nie, piękny panie, nie, słodki panie.

Pajac. Więc bywaj zdrow! Idę po korzenie na strzyż naszych owiec.

Autolikus. Szczęść ci Boże! słodki panie. (*Wychodzi Pajac*). Twoja kieska nie dość gorąca na kupno korzeni. I ja też będę na waszej strzyży. Jeśli ta pierwsza sztuka nie pomoże mi do wypłatania drugiej, a strzygacze nie pokaza się baranami, niech mnie z naszej listy wykreślą, a wciągną do księgi cnoty.

Dalej twą ścieżką, dalejże w cwały,
Płot niech nie wstrzyma podróży!
Wesołe serce dzień leci cały,
Leniwca i miła znuży. (*Wychodzi*).

SCENA III.

Chatka Pasterza.

(*Floryzel i Perdyta*).

Floryzel. Ten ubiór nowe nadaje ci życie,
Ty nie pasterką ale jesteś Florą
W maju wschodzącą. To owiec strzyżenie,

Zda mi się, bogów mniejszych jest zebraniem,
Ty ich królową.

Perdyta. Łaskawy mój panie,
Nie mnie przystoi zbytki twoje ganić,
I przebac, proszę, że o nich wspominam.
Ty wielkość twoją, cel miłości kraju,
Przyćmiłeś, panie, pasterskim ubiorem,
Mnie, wiejskie dziewczę, w półboginię strojąc;
I gdyby z dawna każde nasze święto
Nie było silnie szaleństwem zaprawne,
Które przytomni ze zwyczaju trawia,
Ubioru tego widokby mnie wstydził,
Byłby zwierciadłem, w któremby widziała
Nizkość mą własną.

Floryzel. Dzień ten błogosławię,
W którym mój sokół przeleciał przez pole
Twojego ojca.

Perdyta. Boże, sprawdź te słowa!
Wielkość twa, panie, bojaźni niezwykła,
Ale mnie stanów różnica zatrzaża;
I teraz, panie, drzę już na myśl samą,
Gdyby twój ojciec, takim jak ty traferem
Zbliżył się do nas; jakżeby poglądał
Na dzieło swoje w tak podłej oprawie?
Coby on mówił? jakim jabył okiem
W tych pożyczanych patrzyła falbanach
Na twarzy jego surowej przytomność?

Floryzel. Nie myśl o niczem, tylko o weselu.
Bogowie sami zniżali swe bóstwo,
I dla miłości byli zwierzętami:
Potężny Jowisz był bykiem i ryczał,
Zielony Neptun baranem i beczał,
Złoty Apollo, bóg w ognistej szacie,
Jak ja był prostym, ubogim pasterzem;
A ich przemiany, przysięgam, nie były
Dla większych wdzięków ni w czystszych zamiarach,
Bo mi honoru nie prześciga żądza,
Ni szalę goręcej pali mnie od wiary.

Perdyta. Lecz, drogi panie, twe postanowienie
Ustąpi, kiedy napotka zawady,
A spotkać musi w królewskiej potędze.
Wtedy nas czeka jedna z konieczności:

Albo ty musisz zamiar twój poświęcić,
Albo ja życie.

Floryzel. Najdroższa Perdyto,
Błądną tą myślą nie zachmurzaj, proszę,
Wesela święta. Albo twoim będę,
Albo się ojca mojego wyrzeknę;
Bo, droga, moim własnym być nie mogę,
Niczem nikomu, jeśli nie jest twoim.
Będę ci wierny choćby przeznaczenie
»Nie!« zawołało. Bądźże więc wesolą,
Podobne myśli uduś w tem, co widzisz.
Twoi się goście schodzić zaczynają;
Wypogódź lice, jakby to już dzień był
Naszego ślubu, który zejść nam musi,
Skorośmy na to przysięgli oboje.

Perdyta. A ty, fortune, ty nas nie opuszczaj!
(*Wchodzą: Pasterz, Polixenes i Kamillo przebrani, Pajac,
Mopsa, Dorkas i Pasterze.*)

Floryzel. Patrz, twoi goście. Teraz, moja droga,
Czas, by nam lice zrumieniła radość.

Pasterz. Wstyd, córko! Kiedy stara moja żyła,
W dniu tym szafarzem, piwniczym, kucharzem,
Zarazem panią była i służącą;
Witała wszystkich i służyła wszystkim;
Śpiewała piosnkę, tańczyła z kolei;
Dopiero w środku, już na końcu stołu,
To na tamtego, to tego ramieniu
Oparła rękę; twarz w ogniu od pracy,
A trunek, który piła dla ochłody,
Piła do wszystkich. Ty stoisz na stronie,
Jak gdyby ciebie dzisiaj zaproszono,
A nie tyś była ucztą gospodynią.
Proszę cię, pozdrów nieznanych przyjaciół,
Bo to jest droga lepszej znajomości.
Porzuć wstydlivość, pokaż się, czem jesteś —
Ucztą tej panią. Witajże nas teraz,
Jeżeli pragniesz, aby trzody twoje
Rosły szczęśliwie.

Perdyta (*do Polix. i Kamilla*). Witam was, panowie!
Mojego ojca taka była wola,
Żebym dnia tego była gospodynią,
A więc was witam! Dorkas, daj mi kwiaty.
Przyjmijcie, proszę, rutę i rozmaryn,

Które przez zimę liść i woń chowają,
A dobra pamięć niech wam towarzyszy!
Witajcie u nas!

Polixenes. Urodna pasterko,
Słusznie, że starcom dajesz kwiaty zimy.

Perdyta. Rok się starzeje, lato nie skonało,
Drżąc się jeszcze zima nie zrodziła;
Kwiat najpiękniejszy pory tej — goździki,
I lak pstrokaty, bękartem natury
Zwany czasami; wiejski mój ogródek
Kwiatów tych nie ma i nie chcę ich sadzić.

Polixenes. Piękna dziewczyno, czemu nie dbasz o nie?

Perdyta. Bo mi mówiono, że jest jakaś sztuka,
Która w ich listków pstrzeniu dzieli władzę
Z twórczą naturą.

Polixenes. Że tak jest, przypuścmy;
Lecz niema środków lepszania natury,
Jeśli natura środków tych nie dała:
A tak więc sztuka, o której powiadasz,
Że chce naturze dodawać, jest sztuka
Natury samej. Czyliż, piękne dziewczę,
Nie szczepim słodszej płonki na pniu dzikim,
W podlejszej korze szlachetniejszym pączkiem
Budząc owoce? Przyznasz, to jest sztuka,
Która poprawia, przemienia naturę,
Ale ta sztuka sama jest naturą.

Perdyta. Prawda.

Polixenes. Więc napełń ogródek twój lakiem,
I odtąd, proszę, nie zwij go bękartem.

Perdyta. Nigdy się grzędy mej nie dotknę rydlem,
By jedną laku gałązkę zasadzić.
Jak nie chcę, gdybym malowała lice,
Żeby ten młodzian mówił, że to pięknie,
I że dla różu miłości mej szukał.
To kwiaty dla was: gorąca lawenda,
Mięta i cząber, wonny majeranek,
Kaczyniec, co się kładzie spać ze słońcem,
I z słońcem oko płaczące otwiera;
Wszystkie te kwiaty średniego są lata,
I ludziom wieku średniego przystoją.
Jeszcze raz szczerem pozdrawiam was sercem!

Kamillo. Gdybym był jedną owcą z twojej trzody,
Rzuciłbym trawę, a karmił się okiem.

Perdyta. Takbyś wnet wysechł, że wiatry styczniowe
Na wskrószy mogły przez ciebie przewiewać. —
A ty, mój piękny, piękny przyjacielu,
Ach, czemuż nie mam kilka wiosny kwiatów,
Aby je zbratać z twego życia wiosną!
(*Do Wieśniaków*) I dla was także.

(*Do Wieśniaczek*) I dla was, me siostry,
Na których świeżych, zielonych gałązkach
Czysty, dziewiczy rozwija się pączek!
O Prozerpino! gdzie kwiaty, twą dłonią
Z Plutona wozu w trwodze poronione?
Powrót jaskółki przedzące narcyzy,
Które pięknością zwodzą wiatr kwietniowy;
Fiołki skromne, lecz czystsze, lecz słodsze
Nad wzrok Junony i oddech Cytery;
Blade pierwiosnki, co w dziewictwie giną,
Wprzód nim Feba w całym ujrzą blasku,
(Los smutny, często grożący dziewczom);
Harde łyszczaki, korony cesarskie,
Irys i wszystkie lilii odmiany,
Chciałbym wszystkie w jeden upleść wianek,
Osuć cię niemi, słodki przyjacielu.

Floryzel. Jak umarłego?

Perdyta. Nie, jak darń zieloną,
Na której miłość bawi się i drzemie,
Albo też tak jest, jakby umarłego,
By cię w ramionach mych pochować żywcem.
Weźcie te kwiaty! — Ale gram, jak widzę,
Jak ich już nieraz widziałam grających
Nową sielankę na Zielone Świątki.
Odzież ta moje przewróciła myśli.

Floryzel. Wszystko, co robisz, zawsze najpiękniejsze;
Gdy mówisz, chciałbym, byś mówiła ciągle;
Gdy śpiewasz, chciałbym, by śpiew był ci środkiem
Kupna, przedaży, dawania jałmużny,
Twojej modlitwy, chciałbym, żeby piosnka
Była rozkazów domowych tłómaczem;
Gdy tańczysz, słodka, chciałbym cię przemienić
Na morską falę, byś wiecznie tańczyła,
Taniec jedynem był ci zatrudnieniem;
Bo każda cząstka każdej twej czynności
Obecny czyn twój jak koroną wieńczy:
I wszystkie czyny twoje są królami.

Perdyta. O, Doryklesie, zbytnie te pochwały,
I gdyby młodość i szczerą krew twoją,
Która tak pięknie z twych liców przemawia,
Nie poświadczały, żeś pasterz bez plamy,
Miałabym prawo myśleć, Doryklesie,
Żeś drogą fałszu miłości mej szukał.

Floryzel. Tak mało, sędzę, powodów masz twogi,
Jak ja mam mało twogę w tobie budzić.
Ale do tańca! Daj rękę, Perdyto,
I tańczmy społem, jak synogarlice,
Które się nigdy rozłączyć nie myślą.

Perdyta. Przysięgam za nie.

Polixenes. Nigdy piękniejsze dziewczę z niskiej strzechy
Zielonej darni nogą nie trącało.

Wszystko, co robi, zda się szlachetniejsze
Nad dom ten biedny, i nad ród jej wyższe.

Kamillo. Szeptania jego krew jej wywołały:
To jest prawdziwa królowa śmietanki.

Pajac. Dalej, zaczynaj!

Dorkas. Mopsa niech twoją tanecznicą będzie;
Czonskiem całunek jej zaprawić musisz.

Mopsa. Teraz — prawdziwie...

Pajac. Tylko ani słowa!

Dzisiaj się musim zabawić przystojnie.

Dalej! zaczynaj! (*Muzyka. Taniec pasterzy i pasterek*).

Polixenes. Dobry pasterzu, powiedz teraz, proszę,
Co to za młokos z córką twoją tańczy?

Pasterz. Zwią go Dorykles, a jak sam powiada,
Jest on rozległych pastwisk posiadaczem,
A choć to z jego tylko ust słyszałem,
Wierzę mu jednak, prawda z ócz mu patrzy.
Mówi, że córkę mą kocha, — tak myślę,
Bo nigdy księżyc tak wiernie w wód stoku,
Jak on w mej córki przegląda się oczach.
Lecz, prawdę mówiąc, nie łatwo jest zgadnąć,
Które z nich dwojga bardziej zakochane,

Polixenes. Tańczy prześlicznie.

Pasterz. Każdą rzecz tak robi;

Choć ja to mówię, com milczeć powinien.

Jeśli Dorykles weźmie ją za żonę,

Ona w dom jego przyniesie w posagu

To, o czym teraz nie śni mu się nawet.

(*Wchodzi Stuga*).

Stuga. O, panie, gdybyś tylko słyszał kramarza przy drzwiach
domu, nigdybyś odtąd nie chciał tańczyć przy bębenu
i piszczałce, nie, nawet kozaby cię nie poruszyła.
Śpiewa kilka piosneczek prędzej, niżbyś ty liczył pie-
niądze: wydaje je z siebie, jakby się karmił balladami,
a uszy wszystkich ludzi rosą przy jego piosenkach.

Pajac. Nie mógł przyjść w lepszą porę; niech wejdzie.
Aż nazbyt lubię ballady, zwłaszcza jeśli smutny przed-
miot wesołą ma nutę, albo rzecz bardzo wesoła odśpie-
wana jest płaczliwie.

Stuga. Ma piosneczki dla mężczyzn i kobiet wszelkiego
wzrostu. Żadna modniarka nie dobierze tak rękawiczek
swoim kupującym. Ma najprześliczniejsze miłosne pio-
senki dla dziewczyn, a bez rozpusty, aż dziwna; a na
końcu każdej zawsze coś delikatnego, jak dana! dana!
hoc! hoc! i puc! puc! a gdzieby jaki inny szeroko-
gębny ladaco źle miał myśli, że tak powiem, i chciał z ja-
kim grubym żartem wyskoczyć, to on kładzie w usta
dziewczyny odpowiedź: hop! dobry chłopcze, nie krzywdź
mnie! i tak go wciąż odprawia, powtarzając: hop! do-
bry chłopcze, nie krzywdź mnie!

Polixenes. To jakieś pocziwe człeczysko.

Pajac. Wierżaj mi, panie, mówisz o niegłupim chłopaku.
Czy ma z sobą jakie inne towary?

Stuga. Ma wstążki wszystkich kolorów tęczy; koronki, wię-
cej, niż ich potrafi odmówić najpotężniejsza w całych
Czechach dewotka, choć on je na hurt kupuje; lnianki,
tasiemki, batysty, płócienna, a śpiewa o nich, jakby to
byli bogi i boginie; myślałbyś, że koszula jest aniołem;
tak śpiewa do rękawków i kołnierzyka.

Pajac. Proszę cię, przyprowadź go; a niech wejdzie, śpie-
wając.

Perdyta. Powiedz mu tylko, żeby nie było nieprzystojnych
słów w jego piosence.

Pajac. Są kramarze, siostry, więcej wari, niż ci się zdaje.

Perdyta. Ani wątpię, dobry bracie, więcej, niż mi się kiedy-
kolwiek zdawać może. (*Wchodzi Autolikus, śpiewając*).

Autolikus. Płótno gdyby z śniegu wite,
Krepa gdyby z kruczych piórek;
Rękawiczki jak z róż szyte,
Paciorków z bursztynu sznurek;
Maski na nosy i lice;
Woń kochana przez dziewice;

Złote czepce i gorsety,
I do kryzów pręt stalowy,
Wszystko, co trza dla kobiety
Na ubiór od stóp do głowy.
Hej, chłopcy, kupujcie, bierzcie,
Lub kochanek też się strzeżcie!

Pajac. Gdybym nie kochał Mopsy, nie dostałbyś ode mnie ani szelaga, ale że jestem jej niewolnikiem, muszę więc oddać ci w niewolę parę groszy za wstążki i rękawiczki.

Mopsa. Przrzekłeś mi je przed świętami, ale i teraz nie będą za późno.

Dorkas. On ci przrzekł coś więcej, niż to, jeśli ludzie nie kłamią.

Mopsa. Tobie wypłacił on już wszystko, co ci obiecał, a kto wie, może nawet i wypłacił co więcej, co jednak wstydziłabyś się mu zwrócić.

Pajac. Czy już między dziewczynami nic się obyczajności nie zostało? Będą one tam nosić spódnice, gdzieby nosić powinny głowy? Alboż to przy dojeniu krów, kładzeniu się do łóżka, suszeniu słodu, nie macie doścy czasu wygadać się o tych sekretach. Ale nie, wam trzeba koniecznie paplać o tem przy wszystkich naszych gościach. Szczęście, że rozmawiają na stronie; wygadacie się raz dobrze, i ani słowa więcej o tem!

Mopsa. Skończyłam. Przrzekłeś mi kupić piękny galonik i parę perfumowanych rękawiczek.

Pajac. Czy ci nie mówiłem, co mi się w drodze trafiło, jak wszystkie moje pieniądze straciłem?

Autolikus. O, prawda, panie; nie zbywa teraz na oszustach, i uczciwym ludziom trzeba się mieć na ostrożności.

Pajac. Bądź spokojny, dobry człeku, nie stracisz nic między nami.

Autolikus. Tak się spodziewam, panie, a mam przy sobie kilka kosztowności.

Pajac. A tu co masz? ballady?

Mopsa. Proszę cię, kup mi kilka. Lubię drukowane ballady, bo jestem przynajmniej pewna, że to prawda.

Autolikus. Mam tu balladę na smutną nutę, jak żona lichwiarza powiła mu naraz dwadzieścia worów pieniędzy i jak się jej zachciało jeść głowy żmii i ropuchy z sosem.

Mopsa. I myślisz, że to prawda?

Autolikus. Czysta prawda. Rzecz się stała miesiąc temu.
Dorkas. Zachowaj mnie, panie, od męża lichwiarza!

Autolikus. Stoi tam zapisane imię akuszerki, niejaka pani Piwożłopska, i pięciu czy sześciu uczciwych niewiast przytomnych położowi. Na cóżbym miał kłamstwa roznosić po świecie?

Mopsa. Proszę cię, kup mi ją.

Pajac. Więc odłóż ją na stronę. Pokaż teraz więcej ballad; inne towary kupimy później.

Autolikus. Mam tu starą balladę o rybie, która się pokazała nad brzegiem, we środę, ośmdziesiątego kwietnia, czterdzieści tysięcy sążni nad wodą i śpiewała tę balladę przeciw twardym sercom dziewczyn; myśleli ludzie, że to była kobieta w zimną rybę zmieniona za to, że nie chciała oddać się młokosowi, który ją kochał. Jest to ballada bardzo smutna, a tak prawdziwa jak smutna.

Dorkas. Myślisz, że i to także prawda?

Autolikus. Podpisało się pięciu podsędków, a świadków więcej, niżby wlało w moją skrzynię.

Pajac. Odłóż więc i tę na stronę. Co więcej?

Autolikus. Tu jest wesoła ballada, ale bardzo piękna.

Mopsa. Pokaż nam teraz co wesołego.

Autolikus. Ta ballada wszelki śmiech przechodzi, a śpiewa się na nutę: »Dwie się w jednym pokochały«. Niema dziewczyny w zachodnich prowincjach, któraby jej nie śpiewała; że ma odbyć, zaręczam.

Mopsa. My dwie umiemy tę nutę; jeśli chcesz podjąć się trzeciego głosu, piękną rzecz usłyszysz. Ballada jest na trzy głosy.

Dorkas. Nauczyliśmy się nuty przed miesiącem.

Autolikus. Ja też mogę moją część odśpiewać; bo trzeba wam wiedzieć, że to jest moje rzemiosło. Więc dalej, zaczynamy.

Autolikus. Odczep mi się, bo iść muszę,
Gdzie? nie ode mnie się dowiesz.

Dorkas. Gdzie?

Mopsa. O, gdzie?

Dorkas. Gdzie?

Mopsa. Wszak przysięgałeś na twą duszę,
Że sekrety mi te powiesz.

Dorkas. Pozwól mi iść w ślady twe.

Mopsa. Idziesz w pole lub do młyna.

Dorkas. Czy tu, czy tam, zawsze wina.

Autolikus. Nie.

Dorkas. Co? nie?

Autolikus. Nie.

Dorkas. Mnieś przysiągł miłość bez skazy.

Mopsa. Mnieś ją przysiągł tysiąc razy.

Więc gdzie idziesz, powiedz, gdzie?

Pajac. Skończymy piosneckę, jak będziemy sami. Ojciec mój i panowie w poważną zapuścili się rozmowę, nie trzeba im przeszkadzać. Chodź z nami a zabierz skrzynię. Dziewczyny, kupię prezenty dla obu, a ty, kramarzu, pokaż twoje najlepsze towary. Za mną, dziewczyny!

Autolikus (na str.). A dobrze za nie zapłacisz.

(Śpiewa).

Może kupić chcesz wstążeczki,

Może szychu do czapeczki?

Gołābeczku, wybierz sam.

Czy jedwabiu dla kochanki,

Czy przepaski, czy falbanki?

Pierwszej mody wszystko mam.

Kto pieniądze ma w kieszeni,

Niech się przybyć tu nie leni,

Za pieniądze wszystko dam.

(Wychodzą: Pajac, Autolikus, Dorkas i Mopsa).

(Wchodzi Stuga).

Stuga. Panie, jest tam trzech furmanów, trzech owczarzy, trzech pastuchów, trzech świniopasów, wszyscy postroili się w kudły i nazywają się psalterzami, a mają taniec, o którym dziewczyny opowiadają, że jest bigosem podrygów, dlatego, że one nie mają w nim udziału; ale im się zdaje, że taniec ten, jeżeli się nie wyda za gwałtowny ludziom, którzy nie znają nic prócz walca, będzie arcyzabawny.

Pasterz. Precz z nimi! Już i tak mieliśmy dosyć głupich figlów. Wiem, panie, że was fatygujemy.

Polixenes. Tych tylko fatygujesz, którzy nam rozrywkę przynoszą. Proszę cię, pozwól wejść tej poczwórnej trójce pasterzy.

Stuga. Jedna z tych trójek, jak powiada sama, tańczyła przed królem, a najgorszy z nich skacze dwanaście stóp i połowę, pod miarę.

Pasterz. Skończ swoją gadaninę. Skoro się to podoba moim zacnym gościom, powiedz, niech wejdą. Śpiesz się tylko.

Sługa. Czekają u drzwi na rozkazy.

(Wychodzi; po chwili wraca z dwunastu Wieśniakami, przebranymi za Satyrów. Tańczą i wychodzą).

Polixenes. O! ojcie, z czasem więcej będziesz wiedział.

(Na str.). Czy już nie zaszły rzeczy zbyt daleko?

Czas ich rozdzielić. On prosty i szczerzy.

(Głośno do Floryzela, który przechodzi)

Piękny pasterzu, serce twoje pełne

Myśl twą odrywa od zabaw i tańca.

Kiedym był młody, a jak ty się kochał,

Kochance mojej darów nie szczędziłem;

Z jedwabnych skarbów odarłbym kramarza,

I wszystko złożył u stóp jej w ofierze.

Tyś nic nie kupił i pójść mu dozwolił.

Gdyby kochanka chciała cię oskarżyć

O brak miłości lub szlachetnej myśli,

Nie bardzo łatwo znalazłbyś odpowiedź,

Jeżeli tylko przychylności jej cenisz.

Floryzel. O, panie, ona nie dba o drobnostki.

Podarki, których ode mnie wymaga,

Są w sercu mojem troskliwie zamknięte;

Jej są własnością, choć ich nie oddałem.

O! droga, słuchaj westchnień mej miłości;

W obliczu starca, który kochał kiedyś,

Dłoń twoją biorę, tak miękką jak puchy,

Białą jak puchy, jak murzyna zęby,

Śnieg przez północny wiatr dwakroć przesiany.

Polixenes. Co dalej będzie? Jak pięknie ten pasterz

Umywa rękę wprzód już tak białą!

Ja ci przerwałem; wróćmy do przysięgi:

Pozwól nam słyszeć twoje oświadczenia.

Floryzel. Więc słuchaj, starcze, i bądź świadkiem moim.

Polixenes. Czy i mój sąsiad?

Floryzel.

On i wszyscy ludzie,

Ziemia i niebo i świat nieskończony.

Gdybym był królem wszystkich królów ziemi,

I godnym tego; gdybym był młodzianem

Pięknym, jak nigdy oczy nie widziały,

Prześcignął wszystkich siłą i mądrością,

Bez jej miłości pogardziłbym wszystkim,

Dla jej usługi poświęciłbym wszystko,

Lub bez niej wszystko potraciłbym w piekło.

Polixenes. Piękna ofiara.

Kamillo. Żywego uczucia
Słowa dowodzą.

Pasterz. A ty, córko moja,
Czy masz dla niego równe oświadczenia?

Perdyta. Nie jestem w stanie, jak on, pięknie mówić,
Ni myśleć piękniej. Na wzór moich uczuć,
Czystości jego tworzę sobie obraz.

Pasterz. Dajcie mi ręce: zawarta ugoda.
Przy was, nieznani przyjaciele, świadkach,
Moją mu córkę oddaję w małżeństwo,
Z posagiem równym jego posiadłościom.

Floryzel. Ten posag będzie w cnotach twojej córki.
Bo gdy ktoś umrze, posiadłości moje
Przejdą ogromem wszystkie twe marzenia,
Rozbudzą w tobie podziw nieskończony.
Lecz teraz skończmy układy przy świadkach.

Pasterz. Daj mi twą rękę; córko, daj mi swoją.

Polixenes. Powoli tylko, pasterzu, powoli.
Powiedz mi, proszę, czy masz jeszcze ojca?

Floryzel. Mam; i cóż z tego?

Polixenes. Czyli wie on o tem?

Floryzel. Ani wie o tem, ni wiedzieć powinien.

Polixenes. Ja przecie myślę, że w dzień ślubu syna
Ojciec przy stole najwłaściwszym gościem.
Powiedz mi, proszę, czy ojciec twój stary
Jest już niezdolny do poważnych myśli?
Czy nie ogłupiał przez wiek i choroby?
Czy rozpoznaje ludzi? mówi? słyszy?
O interesach własnych czy rozprawia?
Czy go o łożu kalectwo rzuciło?
Czy działa, jakby do dzieciństwa wrócił?

Floryzel. Nie, dobry panie, ojciec mój jest zdrowy,
Silniejszy, niżli wielu w jego wieku.

Polixenes. A więc przysięgam na białą mą brodę,
Że tym postępkim ojca twego krzywdzisz,
Święte synowskie łamiesz obowiązki.
Słuszną, by syn mój sam wybierał żonę,
Lecz równie słuszną, ażeby i ojciec,
Którego szczęście całe w dzieciach leży,
W ważnej tej sprawie do rady należał.

Floryzel. Wszystko przyznaję; ale są przyczyny,
Choć mi ich odkryć teraz nie wypada,
Dla których sprawę tę przed ojcem taję.

Polixenes. Powiedz mu o niej.

Floryzel. Nie mogę powiedzieć.

Polixenes. Powiedz mu, proszę.

Floryzel. Nie, nie chcę, nie mogę.

Pasterz. Powiedz mu, synu, gdy wybór twój pozna,
Żadnej do smutku nie znajdzie przyczyny.

Floryzel. Nie, nie, nie mogę. — Wy bądźcie świadkami
Naszego ślubu.

Polixenes. Będziemy świadkami
Twego rozvodu, ty młody paniczku, *(odkrywa się)*
Którego synem moim nazwać nie śmiem.
Dziedzicu berła, kij pasterski wzięłeś!
Ty, stary zdrajco, jakże ubolewam,
Że, kości twoje śląc na szubienicę,
Tylko o tydzień skrócę twoje życie!
A ty, ty świeża, piękna czarownico,
Coś pewno znała królewskiego głupca,
Z którym się łączysz...

Pasterz. Biedne serce moje!

Polixenes. Piękność twą każe cierniami podrapać,
Zrobić uboższą nad stan twój ubogi.
Ty, czuły chłopcze, jeżeli się dowiem,
Że wzdychasz jeszcze za tem pieścidełkiem,
Od mej korony ciebie wydziedziczę,
Ani cię uznam krwi mojej pokrewnym,
Jakbyś pochodził od Deukaliona.
Pamiętaj o tem! Na dwór wracaj z nami!
Na teraz, chamie, choć gniew nasz zbudziłeś,
Od jego strasznych uwalniam cię ciosów.
Ty, czarodziejko, dość godna pastucha,
I tego, który wart twoim być mężem,
Gdyby i o nasz nie szło także honor,
Jeśli mu kiedy twą klamkę otworzysz,
Albo do twoich przyciśniesz go piersi,
Pomnij, tak straszną śmierć dla ciebie znajdę,
Jak jesteś czułą! *(Wychodzi).*

Perdyta. Na wieki zgubiona!
Nie drżałam przecie; bo już chciałam nieraz
Wprost mu powiedzieć, że to samo słońce,
Które nad jego pięknym dworem świeci,
Przed chatą naszą oblicza nie kryje,
Lecz równie jasnem patrzy na nią okiem.
(Do Floryzela) Ty, młody panie, proszę cię, racz odejść.

Przepowiedziałam, jak się to zakończy.
 Błagam cię, pomnij na stan swój wysoki.
 Marzenie moje, gdyś się raz zbudził,
 Nie będzie dłużej w myślach mych królować, —
 Lecz pójdę owce me doić, i płać.

Kamillo. Co ci to, ojczy? Przemów wprzód, nim umrzesz.

Pasterz. Nie mogę mówić, ani mogę myśleć,
 Ani śmiem wiedzieć tego, co wiem teraz.
(Do Floryzela) Panie, zgubiłeś starca, który przeżył
 Lat ośmdziesiąt, który się spodziewał,
 Że wśród pokoju zstąpi do mogiły,
 Na łożu ojca umrze, i swe kości
 Przy kościach jego pocziwych położy;
 Dziś mnie kat w odzież śmiertelną owiwe,
 Bez błogosławieństw kapłańskich w proch rzuci.
(Do Perdyty) Nędznico, wiedząc, że on był księżciem,
 Śmiałaś jednakże miłość z nim zamienić!
 Ach, gdybym umarł choć godziną wprzód,
 Umarłbym w chwili, w której umrzeć chciałem!
(Wychodzi).

Floryzel. Czemu, Perdyto, poglądasz tak na mnie?
 Tak, jestem smutny, lecz nieustraszony,
 Wstrzymany w biegu, lecz niezmienny w celach;
 Jestem, czem byłem. Silniej się opieram,
 Im silniej ojciec cugłem w tył mnie ciągnie:
 Nie ja na smyczy dam się poprowadzić.

Kamillo. Łaskawy książę, znasz ojca charakter:
 Na teraz żadnej nie posłucha mowy,
 Którą zapewne nie myślisz go drażnić;
 Nawet widoku twojego nie zniesie;
 Dlatego, radzę, chroń się jego spojrzeń,
 Dopóki cała wściekłość nie ostygnie.

Floryzel. I ja tak myślę. Wszak jesteś Kamillo.

Kamillo. Tak jest, mój książę.

Perdyta. Jak często mówiłam,
 Że to nas czeka! jak często mówiłam,
 Że godność moja dopóty trwać będzie,
 Dopóki o niej ludzie nie usłyszają!

Floryzel. Nie, godność twoją wtedy tylko stracisz,
 Gdy ja pogwałcę raz daną ci wiarę:
 A wtedy ziemię niech skruszy natura,
 I w proch obróci wszystkie jej zarodki!
 Podnieś twe oczy! — A teraz, mój ojczy,

Wymaż me imię z twojego dziedzictwa,
 Bo ja zostaję dziedzicem mych uczuć.

Kamillo. Słuchaj rad, książę...

Floryzel. Już się poradziłem
 Miłości mojej, jeżeli mój rozum
 Chce jej usłuchać, usłucham rozumu,
 Ody nie, me serce szaleństwo przynosi;
 Witaj, szaleństwo!

Kamillo. To rozpaczy rada.

Floryzel. Być może, ale wiary mej dopełnia;
 Muszę ją przeto uczciwością nazwać.
 Kamillo, słuchaj: nie, za Czechy café,
 Nie, za blask cały, który mnie tu czeka,
 Za wszystkie skarby, które słońce widzi,
 Lub wielka ziemia w wnętrznościach swych kryje,
 Lub morze chowa w nieznanach głębinach,
 Pięknej kochance przysięgi nie złamię.
 Proszę cię przeto, — skoro zawsze byłeś
 Wiernym mojego ojca przyjacielem, —
 Jak tylko zniknę, a wierz mi, nie myślę
 Widzieć go więcej, — gniewu jego wściekłość
 Łagodź twą radą, bo ja niestrwożony,
 Sam na sam pójdę w zapasy z fortuną.
 Powiedz mu, że się puściłem na morze
 Z tą, której posiąść nie mogłem na lądzie.
 Szczęśliwie dla mnie, jest okręt w bliskości,
 Choć w innym celu w strój przybrany cały;
 Wiedzieć, gdzie płynę, nie zda ci się na nic,
 Ani jest myślą moją ci powiedzieć.

Kamillo. Książę mój, chciałbym, ażeby twój umysł
 Słuchał rad chętniej, albo służył lepiej
 Twym interesom.

Floryzel. Słuchaj mnie, Perdyto.

(Odwodzi ją na stronę).

(Do Kamilla) Za krótką chwilę posłucham twych uwag.

Kamillo. *(na str.)* Zamiarów jego odmienić nie zdołam;
 Uciekać pragnie: jakbym był szczęśliwy,
 Gdybym mógł teraz i cel mój osiągnąć,
 I razem wiernie sprawie jego służyć,
 I kupić drogi widok mej Sycylii,
 Nieszczęśliwego króla znów zobaczyć,
 Za którym wzdycham z takim upragnieniem!
Floryzel. Dobry Kamillo, myśl moja ciężarna

Tak ważną sprawą, że na bok odrzucam
Czcze ceremonie. (*Chce odchodzić*).

Kamillo. Spodzielam się, książę,
Żeś nieraz słyszał o biednej mej służbie,
I o miłości mej dla twego ojca?

Floryzel. Zasługi twoje wielkie i szlachetne:
Twe czyny śpiewać jest mojego ojca
Wieczną muzyką, a jego staraniem
Zapłacić za nie tak, jak o nich myśli.

Kamillo. Dobrze więc, książę; jeśli raczysz wierzyć,
Że szczerze kocham króla twego ojca,
A więc i tego, który mu najdroższy —
Ciebie, mój książę — słuchaj mojej rady.
Jeżeli silne twe postanowienie
Zmienić się może, ja honorem ręczę,
Że tam cię poślę, gdzie twoje przyjęcie
Będzie wysokiej godności twej równe,
Gdzie z twą kochanką żyć będziesz w pokoju,
Bo od niej, widzę, nic cię nie rozdzieli,
Chyba, co nie daj Boże! śmierć twa jedna.
Weź ją za żonę, ja dołożę starań,
W nieobecności twej przebłagać ojca,
Do przebaczenia umysł jego skłonić.

Floryzel. Mów, w jaki sposób zdołasz ten cud zrobić?
Abym cię nazwał więcej niż człowiekiem,
Na przyszłość całą ufność w tobie złożył?

Kamillo. Wybrałeś miejsce, gdzie się pragniesz schronić?

Floryzel. Nie, jak przypadek nad wszelkie rachuby
Tej mojej dzikiej wyprawy jest winą,
Tak się dziś brańcem przypadku uznaję,
Igraszką pierwszych wiatrów, co powieją.

Kamillo. Więc słuchaj, książę, słuchaj mojej rady:
Gdy nie chcesz myśli powziętej odmienić,
Uciekać pragniesz, zwróć bieg do Sycylii,
A tam się pokaż na dworze Leonta
Z twoją księżniczką, skoro nią być musi;
On ją przystroi jak godną spólniczkę
Twojego łoża. Zda mi się, że widzę,
Jak swe ramiona otwiera Leontes;
Wita cię, płacząc, i od ciebie, syna,
Jakby od ojca błaga przebaczenia,
Całuje ręce świeżej twej księżniczki;
Po krótkiej walce gniewu a dobroci,

Pierwszy potrąca na samo dno piekła,
Gdy druga w piersiach jego chyżej rośnie,
Niż czas, lub myśli.

Floryzel. Zaczny mój Kamillo,
Jakiż dam pozór moim odwiedzinom?

Kamillo. Powiedz, że ojciec twój, król cię przysłał
Z pociechy słowem, słowem pozdrowienia.
A sposób, w jaki masz z nim postępować,
Co masz powiedzieć, jak w ojca imieniu,
O rzeczach tylko nam trzem dziś wiadomych,
Obejmę pismem, w którym ci wyłożę,
Co masz i kiedy w jaki mówić sposób,
By się nie spostrzegł, ale ciągle myślał,
Żeś przyniósł z sobą ojca twego piersi,
I mówisz, jakbyś w sercu jego czytał.

Floryzel. Dzięki ci! w słowach twoich jest nadzieja.

Kamillo. Krok ten przynajmniej więcej obiecuje,
Niż bieg szalony po wodach bezdrożnych,
Brzegach, o których nie marzyłeś dotąd,
Na których tylko nędza cię czekała,
A pośród smutków jedyną pociechą
Nadzieja ciągle gorzko zawodząca;
Gdzie wierną jedna zostanie kotwica,
A i tej służbą będzie to najlepszą,
Że cię zatrzyma, gdziebyś nie chciał zostać.
Wszak wiesz, że szczęście miłości jest węzłem;
Miłość i serce i świeże jej lica
Zmienia niedola.

Perdyta. W tem część tylko prawdy.
W niedoli, prawda, lica poblednieją,
Lecz serce zawsze świeże pozostanie.

Kamillo. Tak mówisz, pani? W ojca twego domu
Podobne dziecię w siedm lat się nie rodzi.

Floryzel. Dobry Kamillo, ona przez swe serce
Tak wyższa od nas, jak jest niższą rodem.

Kamillo. Nie mogę mówić: co za wielka szkoda,
Że brak jej nauk, bo widzę, że mistrzów
Uczyłby mogła.

Perdyta. O, racz skończyć, panie!
Tylko rumieńcem mogę podziękować.

Floryzel. Droga Perdyto! — Lecz ach! straszne ciernie,
Na których stoim! Drogi mój Kamillo,
Wprzód mego ojca, a teraz mój zbawco,

Domu naszego lekarstwo kosztowne!
Co mamy robić? Patrz, moja wyprawa
Króla czeskiego nie świadczy mnie synem;
Jakże w Sycylii...

Kamillo. Nie trwóż się, mój księżu.

Wiesz, że w Sycylii cały mój majątek:
Tak po królewsku w wszystko cię opatrzę,
Jakby twa rola była moją rolą.
Lecz, księżu, abym lepiej cię przekonał,
Że ci na niczem nie zbędzie, posłuchaj.

(Rozmawiają na stronie. Wchodzi Autolikus).

Autolikus. Ha, ha, ha! co za głupia ta uczciwość! a ufność,
jej rodzeniutka siostrzyczka, co za prostoduszna pani!
Cały mój brak wyprzedalem; nie został mi ani jeden
fałszywy kamyk, ani jedna wstążeczka, zwierciadełko,
woniańka, spinka, pugilares, piosneczka, nożyk, tasiemka,
rękawiczka, sprzączka, bransoletka, rogowy pierścionek;
rozkupili wszystko; cisnęli się, kto pierwszy ma kupić,
jakgdyby moje cacka były poświęcane i przynosiły na-
bywcy błogosławieństwo. Tym sposobem widziałem,
czyja kieska najtuczniejsza, a com widział, na dobry
mój użytek zachowałem w pamięci. Dobry mój pajac,
któremu niewiele brakuje, żeby został rozsądnym czło-
wiekiem, tak się rozkochał w piosneczce dziewczek, że
nogą nie ruszył, dopóki się nie nauczył słów i nuty,
co tak do mnie przywabiło resztę trzody, że wszyst-
kie inne zmysły w oczach im uwięzły; można było
targać spódnice, a nikt się nie postrzegł. Cóż więc
było trudnego rzezać mieszk? Można im było odpiło-
wać klucze na łańcuszkach wiszące; nie było słuchu,
nie było czucia tylko dla piosneczki mojego panicza;
wszystko zajmowało się jedynie tą marnością. Ja też
w czasie tego letargu wypróżniłem większą część ich
świętecznych sakiewek, i gdyby nie był nadszedł stary
dziad, wrzeszcząc jak opętany na córkę i królewskiego
syna, i nie odstraszył moich gawronów od słomy, nie
zostałaby jedna żyjąca sakiewka z całej armii.

(Kamillo, Floryzel i Perdyta wychodzą na przód sceny).

Kamillo. Nie, bo tą drogą listy mę przesłane,

Tak jak ty śpiesznie, wątpliwość usuną.

Floryzel. A otrzymane od króla Leonta...

Kamillo. Twojego ojca gniewy prześlągają.

Perdyta. O, szczęście ci, Boże! każde słowo twoje
Pomyślność wróży.

Kamillo *(sposstrzegając Autolika)*. Kogóż tu spostrzegam?

Niech i on naszym zostanie narzędziem;

Nic nie omińmy, co nam pomódz może.

Autolikus *(na str.)*. Jeśli mnie podsłuchali — szubienica.

Kamillo. Co ci się stało, dobry przyjacielu, że tak drżysz
[cały?

Uspokój się, nikt cię tu krzywdzić nie myśli.

Autolikus. Panie, ja jestem biedny człowiek...

Kamillo. Zostań więc biedny, nikt cię okraść z twojej biedy
nie zamierza. Jednakże, co do zewnętrznych oznak tej
biedy, musimy zrobić zamianę. Rozbierz się więc na-
tychmiast — pojmujesz, że muszą być tego ważne po-
wody — i zmień ubiór z tym panem. Choć i tak już
zarobisz na targu, weź jeszcze to w dodatku.

Autolikus. Panie, ja jestem biedny człowiek. *(Na stronie)*.
Znam ja cię dobrze.

Kamillo. Śpiesz się tylko. Pan ten, jak widzisz, już napót
oskubany.

Autolikus. Panie, czy to naprawdę? *(na str.)* Wącham w tem
jakiś figiel.

Floryzel. Proszę cię, śpiesz się tylko.

Autolikus. Prawda, że dostałem zadatek, ale sumienie mi
go przyjąć zabrania.

Kamillo. Śpiesz się, odpinaj.

(Floryzel i Autolikus zmieniają odzież).

Szczęśliwa pani, niech się me proroctwo
Spełni na tobie! — Teraz, śpiesz na stronę,
Zapuć na czoło kapelusza kochanka,
I twarz zamaskuj, zmień całe ubranie,
O ile możesz, przekształć całą postać,
Ażebyś mogła wśród ciekawych oczu,
Które, jak myślę, kroki twoje śledzą,
Wejść niepoznana na pokład okrętu.

Perdyta. Sztuka, jak widzę, tak jest ułożona,
Że i ja także rolę grać w niej muszę.

Kamillo. Niema lekarstwa. — Czyście już gotowi?

Floryzel. Gdyby mnie własny ojciec teraz spotkał,

Nigdy mnie swoim nie nazwałby synem.

Kamillo. Bez kapelusza musisz teraz zostać.

Śpieszmy się, pani. — Bądź zdrów, przyjacielu.

Autolikus. Żegnam cię, panie.

Floryzel. Droga Perdyto, cośmy zapomnieli!

Proszę cię, słowo. (*Rozmawiają na stronie.*)

Kamillo (*na str.*). Pierwszym moim krokiem

Będzie, królowi donieść o ucieczce,

O miejscu, w którym schronienia szukają;

Może go zdołam do pogoni skłonić,

Moją Sycylię zobaczę z nim razem,

Do której ciągle jak kobieta wzdycham.

Floryzel. Wiedź nas, fortune! Kamillo, śpieszmy

Nad brzegi morza.

Kamillo. Im prędzej, tem lepiej.

(*Wychodzą: Floryzel, Perdyta i Kamillo.*)

Autolikus. Rozumiem sprawę; słyszę ją. Rzeźmieszek musi mieć otwarte ucho, bystre oko i wprawna rękę, dobry nos także nie jest zanadto do wywietrzenia roboty dla innych zmysłów. Widzę, że teraz są czasy, w których kwitną i rosną w górę niesprawiedliwi. Co za doskonała zamiana bez dodatku! co za doskonały dodatek bez zamiany! Niema wątpliwości, tego roku bogowie patrzą na nas przez szpary, i możemy wszystko ex tempore przedsiębrać. Sam książę knuje coś nieuczciwego, wymyka się od ojca, a ciągnie za sobą klocek. Gdybym nie myślał, że uwiadomić o tem króla byłoby uczciwym uczynkiem, zrobiłbym to; ale gdy jestem pewny, że utaić całą sprawę jest łotrostwem, nie mruknę słowa, żeby zostać wiernym mojej profesyi. (*Wchodzą: Pasterz i Pajac*) Na stronę! na stronę! Zbliża się nowa praktyka dla czynnego mózgu. Każdy zaułek, każdy sklep, kościół, trybunał, egzekucya, dostarczają roboty przemysłnemu człowiekowi.

Pajac. Patrz tylko, patrz tylko, co z ciebie za człowiek! Tu niema innej rady, jak powiedzieć królowi, że to podrzutek, a nie krew twoja i ciało.

Pasterz. Nie, słuchaj tylko!

Pajac. Nie, słuchaj tylko!

Pasterz. Słucham, kontynuuj.

Pajac. Skoro nie jest ani krwią twoją ani ciałem, krew twoja ani ciało nie obraży króla, a tak, ani krew twoja ani ciało karane przez króla nie będą! Pokaż rzeczy, które przy niej znalazłeś, wszystkie znaki prócz tych, które ma na sobie, a jak to zrobisz, pozwól prawu, niech sobie śwista, zaręczam...

Pasterz. Powiem królowi wszystko co do słowa, tak jest,

i wszystkie figle jego syna, który, mogę powiedzieć, nie postąpił sobie uczciwie ani ze swoim ojcem, ani ze mną, chcąc mnie zrobić szwagrem królewskim.

Pajac. Tak jest, najmniej byłbyś mu szwagrem, a wtedy łut krwi twojej byłby o nie wiem ile droższy.

Autolikus (*na str.*). Bardzo mądrze, moje kundle!

Pasterz. Więc do króla! Znajdzie on w tem zawiniątku dosyć powodów, żeby się skrobać po brodzie.

Autolikus. Nie wiem, ale zdaje mi się, że to zaskarżenie może przeszkodzić ucieczce mego pana.

Pajac. Daj tylko Boże, żebyśmy go znaleźli w pałacu.

Autolikus. Choć nie jestem uczciwym z natury, jestem nim czasem z wypadku. Wsadźmy do kieszeni kramarską brodę. (*Zdejmuje fałszywą brodę*) Cóż to, chamy? gdzie idziecie?

Pasterz. Do zamku, z przeproszeniem wielmożnego pana.

Autolikus. Co tam macie za interes? co? z kim? co to za zawiniątko? miejsce waszego pobytu? imię i nazwisko? wiek? majątek? wychowanie? wszystko, o czem wiedzieć należy? mówcie!

Pajac. Panie, jesteście prosić ludzie.

Autolikus. Wierutne kłamstwo; jesteś krzywy i połamany. Tylko żadnych kłamstw, bardzo proszę! Kłamstwo tylko kupcom przystoi, którzy nas kłamstwem nieraz oszukują, a my im za nie płacimy bitymi talarami, zamiast płacić morderczą stąłą. Nie dają nam nawet kłamstwa za darmo.

Pasterz. Z pozwoleniem wielmożnego pana, czy pan od dworu?

Autolikus. Z pozwoleniem czy bez pozwolenia, jestem od dworu. Czy nie widzisz dworskiej miny w tych fałdach? Czy chód mój niema w sobie dworskiej miary? Czy nos twój nie czuje ode mnie dworskiego zapachu? Czy nie traktuję twojej nizkości z dworską pogardą? Czy sądzisz, iż dlatego, że dobrocią albo gwałtem chcę się o interesie twoim dowiedzieć, nie jestem dworzaninem? Jestem dworzaninem od stóp do głowy, a do tego dworzaninem, który może poprzeć lub zrujnować twój tam interes; dlatego rozkazuję ci, powiedz natychmiast swoją sprawę.

Pasterz. Mój interes, panie, jest do króla.

Autolikus. Jakiego masz przy nim adwokata?

Pasterz. Nie rozumiem, z przeproszeniem, co to znaczy?

Pajac. Adwokat jest dworski wyraz na bażanta. Powiedz, że nie masz żadnego.

Pasterz. Żadnego, panie; ani bażanta, ani bażanczy.

Autolikus. Szczęśliwy, kto się prostakiem nie rodził!

Ale natura i mnie mogła stworzyć

Jemu podobnym — więc nie chcę nim gardzić.

Pajac. To musi być jakiś wielki dworski urzędnik.

Pasterz. Ubiór ma bogaty, ale nie bardzo przystojnie go nosi.

Pajac. Tem większy pan, im dziwniejszy; wielki człowiek, wierzą; poznają to po sposobie, w jaki dłubie w zębach.

Autolikus. To zawiniątko, co w niem? mów natychmiast! Co w tej szkatułce?

Pasterz. Panie, w tem zawiniątku i w tej szkatułce są sekrety, o których nikt wiedzieć nie może prócz króla, a wiedzieć o nich będzie za godzinę, byłem otrzymał pozwolenie.

Autolikus. Staruszk, stracona twoja praca.

Pasterz. Dlaczego, panie?

Autolikus. Króla niema w zamku. Poszedł na pokład nowego okrętu dla rozpędzenia melancholii i przewietrzenia się; bo jeśliś zdolny do rzeczy poważnych, trzeba ci wiedzieć, że król przepełniony jest żalem.

Pasterz. Tak powiadają, panie; a to z powodu syna, który chciał się ożenić z córką pasterza.

Autolikus. Jeśli ten pasterz jeszcze nie w dybach, radzę mu, niech ucieka. Męki, które go czekają, tortury, które będzie musiał wytrzymać, połamałyby grzbiet człowieka a serce potwory.

Pajac. Czy tak myślisz, panie?

Autolikus. Nie tylko on sam będzie cierpieć, co najcięższego dowcip ludzi, a najstraszniejszego zemsta wymyślić mogą, ale i wszyscy jego krewni, choćby w pięćdziesiątym stopniu, wszyscy przejdą przez ręce katowskie. Smutna to rzecz, ale konieczna. Stary łotr, świ-stacz za owcami, podły baraniarz, prowadzić córkę do takich honorów! Niektórzy powiadają, że będzie ukamienowany; ale to śmierć za łagodna dla niego, mojem zdaniem. Ciągnąć tron nasz do owczarni! Wszystkie śmierci za mało! najstraszniejsza za łagodna!

Pajac. Czy staruszek ten ma syna? Czy słyszałeś co o tem, jasnie panie?

Autolikus. Ma syna, który będzie żywcem ze skóry odarty, potem wysmarowany miodem i postawiony przy osiem gnieździe, tam będzie stał, póki na trzy ćwierci i łut nie umrze; potem, przywrócony do życia okowitą albo jaką inną gorącą infuzją; potem, ranami okryty, w najgorętszym dniu w kalendarzu przepowiedzianym, postawiony przy ceglany murze, na południowym słońcu, dopóki go muchy na śmierć nie zajedzą. Ale co mamy mówić o tych łotrach, na których nędzę uśmiewać się należy, gdy ich występki tak są straszne? Powiedźcie mi raczej, bo z oczu patrzy wam prostota i uczciwość, co macie do króla? Dzięki mojej szlacheckiej powadze powiodę was tam, gdzie się teraz król znajduje, przedstawię was jego dostojnej osobie, szepnę za wami słówko, a jeśli jest człowiek prócz króla, który może sprawę waszą załatwić, widzicie tego człowieka przed sobą.

Pajac. Zdaje mi się, że to człowiek wielkiej władzy; dalej, ojcz, posmaruj mu łapę; bo choć władza jest upartym niedźwiedziem, niedźwiedzia tego często można za nos złotem wodzić. Pokaż wnętrze twojej sakiewki zewnątrz jego ręki i ani słowa więcej. Pamiętaj, ukamienowany i żywcem ze skóry odarty!

Pasterz. Jeśli wielmożny pan raczy zająć się naszą sprawą, daję złoto, które mam przy sobie; dodam drugie tyle, a zostawiam tego młodego człowieka na zastaw, póki reszty nie przyniosę.

Autolikus. Skoro załatwię, co przyrzekłem?

Pasterz. Tak jest, jasnie panie.

Autolikus. Więc daj mi połowę. Czy jesteś interesowany w tej sprawie?

Pajac. Pod pewnym względem, jasnie panie. Ale choć położenie moje bardzo opłakane, spodziewam się jeszcze, że nie będę ze skóry odarty.

Autolikus. To czeka pastusze go syna; on musi wisieć dla przykładu.

Pajac. Pocięcha! śliczna pocięcha! Śpieszmy do króla i odkryjmy nasze dziwne tajemnice. Niech się dowie, że ona nie jest ani twoją córką, ani moją siostrą; inaczej, zginęliśmy! Dam ci, jasnie panie, tyle, ile dał ten staruszek, jak tylko się sprawa załatwi, a dopóki pieniądze nie nadejdą, zostanę, jak on powiada, na zastaw.

Autolikus. Przestaję na waszem słowie. Idźcie naprzód ku brzegom morskim, na prawo, a ja popatrzę tylko ku płotowi i pośpieszę za wami.

Pajac. To nasze błogosławieństwo ten człowiek, tak jest, mogę powiedzieć, to nasze błogosławieństwo.

Pasterz. Spieszmy naprzód, jak polecił. Usłużyć nam było przeznaczeniem. (*Wychodzą: Pajac i Pasterz.*)

Autolikus. Gdybym nawet wziął postanowienie zostać uczciwym człowiekiem, widzę, żeby odtąd nie pozwoliła na to fortuna; ona mi pieczone gołąbki przynosi do gąbki. Mam teraz podwójną okazję: złoto i sposobność usłużenia księciu, mojemu panu, a kto wie, jak się to wszystko może obrócić na moją korzyść. Poprowadzę dwa te ślepe krety na pokład jego okrętu, jeśli uzna za dobre znowu na ląd ich wysadzić i przekona się, że ich skarga do króla nie tyczy się go wcale, niech mnie nazwie łotrem za tę moją usłużność: zahartowany jestem na ten tytuł i towarzyszącą mu hańbę. Bądźco-bądź, przedstawię mu ich, sprawa może mieć swoją wagę. (*Wychodzi.*)

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Pokój w pałacu Leontesa.

(*Leontes, Kleomenes, Dyon, Paulina i Dwór.*)

Kleomenes. Królu, już dosyć; jako święty człowiek Pokutowałeś, i nie znam występku, Którego żal twój nie mógłby odkupić.

Tak jest, pokuta miarę grzechów przeszła.

Zrób w końcu, królu, jak zrobiło niebo:

Win swych zapomnij i przebac sam sobie.

Leontes. Ilekroć wspomnę na nią i jej cnoty,

Własnej mej hańby zapomnieć nie mogę

I krzywdy sobie samemu zrobionej.

Wszak ja królestwo me osierociłem,

Zabiłem słodką moją towarzyszkę:

Nigdy na słodszej żaden mąż nadziei

Swych nie budował.

Paulina. Prawda, prawda, królu.

Gdybyś zaślubił wszystkie po kolei,

Albo od każdej żyjącej kobiety

Wziął piękność jedną i wzór jeden zlepił,

Tej, którąś zabił, nie zrównałbyś jeszcze.

Leontes. Tak myślę. Zabił! zabił! więc zabita!

A jam ją zabił! Słowo jednak twoje

Ciężko mnie rani; słowo to tak gorzkie

Na twym języku, jak na myślach moich.

Proszę cię, zbyt go często nie powtarzaj.

Kleomenes. Nigdy, o pani! Jest rzeczy tysiące,

O których mowa, w tych czasach bolesnych,

Lepsząby ludziom oddała przysługę

I twej dobroci przystałaby lepiej.

Paulina. Ty do dworaków tych liczby należysz,

Którzy do nowych skłonić go chcą ślubów.

Dyon. Jeśli ty życzeń naszych nie podzielasz,

Nie masz litości nad narodem całym,

Ani pamięci na imię królewskie;

Nie pomnisz, jaki ogrom niebezpieczeństw,

Jeśli monarcha bezpotomnie zejdzie,

Zwalić się może na królestwo nasze,

I pożreć tłumy obojętnych widzów.

Cóż jest świętszego jak z pierwszej królowej

Szczęścia się cieszyć? i cóż jest świętszego,

Jak dla narodu obecnej pociechy,

Przyszłego dobra, znowu łożyć króla

Pobłogosławić słodką towarzyszką?

Paulina. Od śmierci pierwszej, godnej tego niema,

A oprócz tego czyliż bogów wola

Swych celów tajnych nie chce dopełnienia?

Czyż nie powiedział wam boski Apollo,

Czy nie ta była treść jego wyroczni,

Że się dziedzica król nasz nie doczeka,

Póki stracone nie znajdzie się dziecię?

Co rozumowi tak zda się potworne,

Jak żeby grób swój Antygon otworzył,

I wrócił do mnie, gdy zginął z dziecięciem.

Waszą jest radą, aby król pogwałcił

Niebios wyroki, woli się ich oparł.

(*Do Leont.*) Niech ci potomstwo troski nie zadaje,

Królu, korona twa znajdzie dziedzica.

Swoją zostawił Aleksander Wielki

Najgodniejszemu — jego też następcą
Mógł być najlepszy.

Leontes. Dobra Paulino,
Wiem, że czcisz pamięć mojej Hermiony.
O, gdybym poszedł był za radą twoją,
Jeszczebym teraz przeglądał się może
W pełnych żrenicach mojej Hermiony,
Jeszczebym skarby na ustach jej zbierał!

Paulina. Potem zostawiał jeszcze bogatszymi
Za to, co dały.

Leontes. Co mówisz, jest prawdą.
Żon takich niema — nie pojme też żony.
Bo gorsza od niej, lepiej traktowana,
Duszę jej świętą wróciłaby w ciało,
I tu, gdzie słowem krzywdzimy jej pamięć,
Zbiegłaby nagle gnana niepokojem,
Wołając: »Czemu dla mnie byłeś innym?«

Paulina. Gdyby podobną władzę posiadała,
Tak wołać słuszne miałyby powody.

Leontes. Miałaby; myślby moją podkusiła,
Ażebym drugą żonę zamordował.

Paulina. Gdybym tą duszą zablakaną była,
Jabym ci wiecznie do uszu szeptała:
Patrz na jej oczy, czy ich osłupiałość
Była powodem, że na nią padł wybór?
A potem krzykiem przeciągłym, strasliwym
Rzuciła słowo: »Pamiętaj na moje!«

Leontes. O gwiazdy, gwiazdy! — wszystkie inne oczy
Węgle zagaste! O, bądź bez obawy,
Nie pojme innej ja żony, Paulino.

Paulina. Chceszże mi przysiądź, że nie pojmiessz żony,
Póki ja na to nie dam zezwolenia?

Leontes. Nigdy, niech tak mi niebo dopomoże!

Paulina. Panowie, bądźcie przysięgi tej świadkiem.

Kleomenes. Nazbyt go kusisz.

Paulina. Dopóki kobieta
Do Hermiony jak portret podobna
Ócz twych nie spotka...

Kleomenes. O, pani, racz skończyć!

Paulina. Lecz, królu, jeśli żonę pojąć pragniesz,
Jeśli nic woli twej nie może złamać,
Pozwól, niech twoją wybiorę królowę.
Nie będzie młoda, tak jak pierwsza była,

Lecz będzie taka, że gdyby na ziemię
Duch twojej pierwszej królowej powrócił,
Z radością w twychby widział ją objęciach.

Leontes. Wierna Paulino, małżonki nie pojme,
Póki mi nie dasz na to zezwolenia.

Paulina. Które dam wtedy, gdy pierwsza ożyje —
Nigdy inaczej.

(*Wchodzi Dworzanin*).

Dworzanin. Jakiś nieznamy,
Który się mieni księciem Floryzelem,
Polixenesa synem, z swą księżniczką,
Piękną, jak pięknej nie widziałem jeszcze,
O twe królewskie prosi postuchanie.

Leontes. A czego żąda? Nie przybywa do nas
Z całym przepychem swego ojca godnym.
Przyjazd tak nagły, tak niespodziewany,
Nie jest długiego namysłu owocem,
Ale przypadku i potrzeby dziełem.
Jaką ma switę?

Dworzanin. Kilku towarzyszy
Nizkiego rodu.

Leontes. Czyż widział księżniczkę?

Dworzanin. Widziałem; równie pięknej córki ziemi
To jasne słońce nie widziało jeszcze.

Paulina. O Hermiono, jak obecna chwila
Śmie się nad lepszą minioną wynosić,
Tak grób twój dzisiaj miejsce oddać musi
Temu, co kwitnie dzisiaj. Ty sam, panie,
Czy nie mówiłeś, czyli nie pisałeś,
(Lecz teraz, widzę, pismo twoje zimne,
Jak jego przedmiot) że nigdy nie było,
I nigdy, nigdy nie będzie jej równej?
Tak niegdyś wiersz twój z pięknością jej płynął;
Dziwne przemiany zaszły, gdy dziś mówisz,
Że znasz piękniejszą.

Dworzanin. Przebac mi, o pani!
O jednej, wyznam, prawie zapomniałem,
A druga, skoro twe uderzy oczy,
Wiem, że i język twój także podbije.
Ach, gdyby ona chciała stworzyć sektę,
Wszystkich sekciarzy zgasiłaby gorliwość,
Każdy, któremu rzekłaby: »idź za mną!«
Byłby jej więźniem.

Paulina. Ale nie kobiety.
Dworzanin. Kobiety za to będą ją kochały,
 Że jest kobietą od mężów godniejszą,
 Mężowie za to, że kobiet jest wszystkich
 Kwiatem najczystszy.

Leontes. Idź, Kleomenesie,
 I sam, z przyjaciół twoich zacnem kołem,
 Oboje prowadź do naszych uścisków.
(Wychodzą: Kleomenes, Panowie i Dworzanin.)
 Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego
 Przyjazd tak nagły.

Paulina. Ach, gdyby nasz księżę,
 Ta perła dzieci, godziny tej dożył,
 Mógłby o palmę z gościem twoim walczyć:
 W ich wieku ledwo miesiąc był różnicy.

Leontes. Proszę cię, przestań, bo wiesz, że na nowo
 On mi na każde umiera wspomnienie.
 Gdy ten młodzieniec przed oczy mi stanie,
 Lękam się, lękam, aby słowa twoje
 Takich w mej głowie nie zbudziły myśli,
 Że się mój rozum zamąci. To oni!
(Wchodzi: Kleomenes, Floryzel, Perdyta i Dwór.)
 Księżę, twa matka wierną była ślubom,
 Odbiła w tobie obraz twego ojca.
 Gdybym dziś liczył lat dwadzieścia jeden,
 Tak mi twojego ojca przypominasz,
 Żebyś cię bratem jak jego nazywał,
 I zaczął mówić o dzikich wybrzykach,
 W pierwszej młodości naszej dokonanych.
 Witam cię z serca! i ciebie, bogini,
 Piękna księżniczko! — Niestety, straciłem,
 Straciłem parę, któraby stać mogła
 Pomiędzy niebem i pomiędzy ziemią,
 I jak wy teraz, podziwienie budzić!
 Straciłem także przez szaleństwo moje,
 Twojego ojca towarzystwo, przyjaźń;
 Choć życie moje jest cierpienia ciągiem,
 Chcę je przedłużyć, aby choć raz jeszcze,
 Raz go zobaczyć.

Floryzel. Królu, z jego woli
 Zwiedzam Sycylię, od niego przynoszę
 Szczere jak brata króla pozdrowienie.
 Gdyby ułomność, towarzysz starości,

Życzeniom jego siły nie odjęła,
 Samby przemierzył i morza i lądy,
 Które tron jego od twojego dzięła,
 By tego ujrzał — tak mówić mi zlecił —
 Którego więcej kocha niżli berła,
 Niżli tych wszystkich, którzy berła dzierżą.
Leontes. O, bracie! krzywdy, którem ci wyrządził,
 Budzą się we mnie, a poselstwo twoje
 Tak czułe, dobre, jest jakby wyrzutem
 Memu lenistwu. Onżeli wystawił
 Ten wzór piękności na dziką swawolę
 Zimnych bałwanów straszego Neptuna,
 By mnie pozdrowić, mnie, com nie jest godny
 Trosk jej najmniejszych, a mniej jeszcze godny
 Jej niebezpieczeństw?

Floryzel. Ona, dobry królu,
 Z Libii przybywa.

Leontes. Gdzie waleczny Smalus
 Miłość w poddanych, w obcych twogę budzi?
Floryzel. Od niego, królu. On, z nią się żegnając,
 Strugą łez dowiódł, że córką jest jego.
 Pomyślnym wiatrem południowym gnany,
 Przybyłem woli ojcowskiej dopełnić.
 Część służby mojej od brzegów Sycylii
 Do Czech wysłałem, by donieść królowi
 Nie tylko skutek libijskiej wyprawy,
 Lecz żony, moje szczęśliwe przybycie
 Na dwór twój, królu.

Leontes. A niechaj bogowie
 Wszelką zarazę z powietrza odwieją,
 Dopóki w naszej przebywacie strefie!
 Twojego ojca wszystkie cnoty zdobią,
 Ja jednak przeciw jego świętej głowie
 Grzech popełniłem; zagniewane niebo
 Za karę moje wydało potomstwo,
 Gdy ojca twego, wedle jego zasług,
 Tak dobrym synem pobłogosławiło.
 Ach, jak szczęśliwy byłbym, gdybym teraz
 Na syna mego i córkę mógł patrzeć,
 Tak jak wy pięknych!

(Wchodzi Dworzanin.)

Dworzanin. Najłaskawszy panie,
 To, co mam donieść, nie miałoby wiary,

Gdybym niezbitych dowodów nie przyniósł.
 Król Czech przeze mnie pozdrawia cię, panie,
 Prosi, byś jego syna chciał zatrzymać,
 Który, nie pomny swojej powinności,
 Swojej godności, od swojego ojca,
 Od swych nadziei uciekł po kryjomu,
 Z córką pasterza.

Leontes. Mów, gdzie jest król czeski?

Dworzanin. Tu, w twoim mieście; od niego przychodzę.

W nieładzie mówię, bo nieład przystoi
 Zdziwieniu memu i memu poselstwu.
 Śpiesząc w pogoni za tą piękną parą,
 Wśród drogi spotkał brata i rodzica
 Mniemanej pani, którzy dom rodzinny
 Razem z tym młodym księciem opuścili.

Floryzel. Widzę, Kamillo, którego uczciwość
 I honor wszystkie wytrzymały próby,
 Zdradził mnie teraz.

Dworzanin. Skargę możesz zanieść,
 Bo i on razem z ojcem twoim przybył.

Leontes. Jakto? Kamillo?

Dworzanin. Kamillo, mój królu,
 Który z biedaków ciągnie wywód słowny.
 Jeszcze nie widział nigdy większej trwogi:
 To przyklękają, to całują ziemię,
 Za każdym słowem krzywoprzysięgają;
 Król swoje uszy zatyka i grozi
 Wśród śmierci samej nową jeszcze śmiercią.

Perdyta. Biedny mój ojcie! Samo niebo na nas
 Szpiegów nasłało, i nie chce zezwolić
 Na związki nasze.

Leontes. Czyście zaślubieni?

Floryzel. Nie, królu, nawet nie mamy nadziei.

Gwiazdy wprzód, widzę, ziemię pocałują,
 Nim los na nasze pozwoli złączenie.

Leontes. Powiedz, czy ona królewską jest córką?

Floryzel. Będzie nią, skoro żoną mą zostanie.

Leontes. Co, dzięki ojca twego pośpiechowi,
 Zbyt jest odległe. Żałuję, mój książę,
 Że gniew królewski ściągnąłeś na siebie;
 Żałuję równie, że wybór twój nie jest
 Tak w urodzenie jak piękność bogaty,
 Byś mógł w pokoju kochankę posiadać.

Floryzel. Droga, spojrz na mnie; droga, choć mój ojciec,
 Chociaż fortuna, wróg mój zaprzysięgły,
 W świat mnie pogonia, nie mają dość siły,
 Ażeby zmienić miłość mą dla ciebie.
 A ty, o królu, pomnij na twą młodość,
 Na twoją miłość jak moja namiętną,
 A przez tę pamięć, bądź obrońcą moim!
 Na twoją prośbę, jakby fraszkę jaką,
 Największą łaskę ojciec mój wyświadczy.

Leontes. Gdyby tak było, prosiłbym u niego
 O tę księżniczkę, która dlań jest fraszką.

Paulina. W oczach twych, królu, zbyt wiele młodości.
 Twoja królowa na miesiąc przed śmiercią
 Stokroć godniejszą spojrzeń takich była,
 Niż na nią rzucasz.

Leontes. W tych właśnie spojrzeniach
 O niej myślałem. — Lecz do twojej prośby:
 Śpieszę do ojca; skoro twa namiętność
 Nie czyni krzywdy twemu honorowi,
 Licz na mą przyjaźń dla niej i dla siebie.
 Z tą myślą idę, dlatego śpiesz za mną,
 I zważaj bacznie na moje zachody.

(*Wychodzą*).

SCENA II.

Przed pałacem.

(*Autolikus i Dworzanin*).

Autolikus. Proszę cię, panie, czy byłeś całej tej sprawie
 przytomny?

Pierwszy Dworzanin. Byłem przy otwarciu zawiniątka,
 słyszałem, jak stary pasterz opowiadał sposób, w jaki
 je znalazł. Po krótkiej chwili zadziwienia rozkazano nam
 wszystkim oddalić się z izby. Zdaje mi się tylko, że sły-
 szałem, jak pasterz powiedział, że znalazł niemowlę.

Autolikus. Jakże pragnę dowiedzieć się końca!

Pierwszy Dworzanin. Opowiadanie moje bezładne. Zmiany,
 jakie spostrzegałem na twarzach króla i Kamilla, naj-
 większe budziły podziwienie. Wytrzeszczali tak na sie-
 bie oczy, że się zdawało, że im z jam wyskoczą. W ich
 milczeniu była wymowa, język w ich ruchach; powie-

działbyś, że usłyszeli o odkupieniu albo o zniszczeniu jakiego świata. Zadziwienie bez granic było widoczne; ale najmędrszy widz, jeśli nie wiedział nic więcej nad to, co widział, nie mógł zgadnąć, czy zadziwienia tego treścią była radość czy rozpacz. To tylko wątpliwości nie podlega, że jedna lub druga najwyższego dosięgła szczybla. (*Wchodzi drugi Dworzanin*). Ale zbliża się pan, który może wie co więcej o tej sprawie. Jakże przynosisz nowiny, Rogero?

Drugi Dworzanin. Fajerwerki! wesele! Słowa wyroczni spełnione; znalazła się królewska córka; tyle cudów wydarzyło się w tej godzinie, że wszyscy poeci opisać ich nie będą w stanie. (*Wchodzi trzeci Dworzanin*). Lecz nadchodzi marszałek Pauliny, on może powiedzieć wam więcej. Jak stoją rzeczy, dobry panie? Nowina, która uchodzi za prawdziwą, tak wygląda na starą bajkę, że jej wiarygodność bardzo podejrzana. Czy król znalazł dziedzica?

Trzeci Dworzanin. Wszystko prawda najwiarygodniejsza, jeśli kiedykolwiek prawda dowiedziona była przez okoliczności. Zdaje mi się, że byłem naocznym świadkiem wszystkiego, co słyszałem, taka jest zgodność w dowodach. Płaszcz królowej Hermiony; — jej dyament na szyi dziecięcia; — znalezione przy niem listy Antygony, w których rękę jego poznano; — majestat dziewczicy; — jej podobieństwo do matki; — szlachetność postawy, objawiająca naturę wyższą nad wychowanie; — i wiele innych dowodów świadczą z pewnością, że ona jest córką królewską. Czy byłś przytomny spotkaniu się dwóch króli?

Drugi Dworzanin. Nie.

Trzeci Dworzanin. Więc straciłeś widok, którego trzeba było być świadkiem, bo jest nad wszelkie opisanie. Tambyś zobaczył, jak jedna radość wieńczyła drugą: zdawało się, że smutek płakał, żegnając się z nimi, bo radość ich we łzach tonęła. To oczy, to ręce podnosili ku niebu, a rysy ich tak się zmieniały, że po ubiorze tylko a nie po twarzy poznać ich można było. Król nasz, prawie odchodzący od zmysłów z radości, że córkę znalazł, jakby nagle radość ta stała się żalobą, wołał: »och, twoja matka! twoja matka!« potem błaga króla czeskiego o przebaczenie: potem całuje swojego zięcia; potem znowu ściska swą córkę, jakby ją chciał

udusić; to znowu dziękuje staremu pasterzowi, który stoi przy nim jak okopcona fortuna, świadek kilku królewskich pokoleń. Nigdy jeszcze nie słyszałem o podobnym spotkaniu. Wieść, któraby chciała iść z niem w parze, okuleje, a wszelki opis niemoc swoją uzna.

Drugi Dworzanin. Co się stało z Antygonem, który dziecię stąd uniósł?

Trzeci Dworzanin. I to znowu stara powieść, godny przedmiot opowiadania, choćby wszelka wiara usnęła a nie było ucha do słuchania. Antygon poszarpany był w kawałki przez niedźwiedzia, to twierdzi syn pasterza, a za nim świadczy nie tylko jego prostota, ale chustka i pierścionki dobrze znane Paulinie.

Pierwszy Dworzanin. Co się stało z jego okrętem i towarzyszymi?

Trzeci Dworzanin. Okręt się rozbił, ludzie potonęli w chwili śmierci ich pana, przed oczyma pasterza; tak więc wszystkie narzędzia, które służyły do porzucenia dziecięcia, zginęły w tej samej chwili, w której dziecię było znalezione. Lecz och, co za szlachetna walka w sercu Pauliny między radością a smutkiem! Raz zwracała oczy ku ziemi po stracie małżonka, to znowu wznosiła je ku niebu, że się spełniła wyrocznia. Uchwyciła księżniczkę i tak ją w swych trzymała w objęciach, iż zdawało się, że chce ją przypiąć do serca, aby nie straciła jej na nowo.

Dworzanin. Wielkość tej sceny godną była mieć królów i książąt za widzów, jak królowie i księżęta byli jej aktorami.

Trzeci Dworzanin. Jedną z najpiękniejszych okoliczności, która była wędką na moje oczy, (choć tylko złowiła wodę zamiast ryby) było widzieć, jak na powieść o śmierci królowej, o śmierci tej przyczynach, szczerze wyznanych i opłakiwanych przez króla, rosta coraz bardziej baczność jego córki, aż przechodząc od boleści do boleści, z jednym »niestety!« krwawe łzy uroniła; tak jest, krwawe, bo jestem pewny, że moje serce krwawi płakało. Najzakamieniali ludzie pobledli: niektórzy mdleli, wszyscy od łez się zanosili, i gdyby świat cały mógł sceny tej być świadkiem, boleść byłaby powszechną.

Pierwszy Dworzanin. Czy już wrócili do zamku?

Trzeci Dworzanin. Nie jeszcze. Księżniczka słyszała o po-

sagu matki, powierzonym pieczy Pauliny. Jest to praca lat kilku, niedawno ukończona ręką tego rzadkiego włoskiego mistrza Giulio Romano, który, gdyby tylko sam miał nieśmiertelność i mógł wlać duszę w swoje dzieła, wydarłby naturze jej przywileje, tak ją doskonale naśladuje. Powiadają, iż wyrzeźbił Hermionę tak podobną do Hermiony, że patrzący mówi do niej i czeka w nadziei odpowiedzi. Tam pośpieszyli wszyscy z całym zapałem miłości; tam zamierzają wieczerzać.

Drugi Dworzanin. Ja zawsze myślałem, że Paulina miała tam jakieś ważne zatrudnienia, bo od czasu śmierci Hermiony dom ten samotny dwa lub trzy razy na dzień tajemnie odwiedzała. Mamyż i my tam się udać i wspólnie z nimi radość dzielić?

Pierwszy Dworzanin. Ktoby, mając wolny przystęp do dworu, znajdować się tam nie chciał? Każda chwila nowe błogosławieństwa rodzi; nieobecność nasza okrada naszą wiedzę. Idźmy! (*Wychodzą*).

Autolikus. Teraz, gdybym nie miał na sobie śladów przeszłego życia, złałby się na mnie honory; wszak to ja przyprowadziłem starca i jego syna na pokład książęcego okrętu, ja powiedziałem mu, żem słyszał, jak rozmawiali o zawiniątku i nie wiem już o czym więcej; ale on był podówczas zbyt zajęty córką pasterską, (bo za pasterską miał ją wtedy córkę) która właśnie poczęła cierpieć na morską chorobę, choć i sam nie miał się lepiej; potem burza trwała ciągle, a tak cała tajemnica tajemnica została. Lecz dla mnie wszystko to jedno, bo gdybym ja był odkrył sekret, odkrycie złą miałoby minę przy moich innych bezecnościach. (*Wchodzi: Pasterz i Pajac*). Lecz spostrzegam zbliżających się ludzi, którym mimo woli oddałem przysługę. Widzę już na nich pierwsze kwiaty fortuny.

Pasterz. Dalej, chłopcze, trudno już, żebym miał więcej dzieci, ale przynajmniej twoi synowie i córki urodzą się szlachtą.

Pajac. Dobrze, że cię spotkałem, mój panie. Kilka dni temu nie chciałeś bić się ze mną, bo nie byłem urodzonym szlachcicem; czy widzisz tę suknię? powiedz, że jej nie widzisz, i przypuść jeszcze, że nie jestem urodzonym szlachcicem, powiedz nawet, że płaszcz ten nie jest urodzonym szlachcicem. Zadaż mi kłamstwo, zadaż, i spróbuj, czy nie jestem teraz urodzonym szlachcicem.

Autolikus. Wiem, panie, że jesteś teraz urodzonym szlachcicem.

Pajac. Tak jest, i być nim nie przestałem od czterech godzin.

Pasterz. I ja też, chłopcze.

Pajac. I ty też, ojczu! Lecz ja byłem urodzonym szlachcicem przed moim ojcem, bo syn królewski wziął mnie za rękę i nazwał mnie bratem, a potem dwaj królowie nazwali ojca mego bratem, a potem książe, brat mój, i księżniczka, siostra moja, nazwali ojca mego ojcem, a tak płakaliśmy wszyscy, a to były pierwsze szlacheckie łzy, któreśmy wyleli.

Pasterz. Możemy jeszcze doczekać się, mój synu, że wylejemy ich więcej.

Pajac. Bez wątpienia; inaczej byłoby to niesłychane nieszczęście dla ludzi postawionych w takim jak my znaczeniu.

Autolikus. Błagam cię pokornie, mój panie, przebac mi wszystkie błędy, które kiedykolwiek przeciw dostojności twojej popełniłem, a racz powiedzieć dobre o mnie słowo księciu, mojemu panu.

Pasterz. Proszę cię, mój synu, zrób to, boć należy nam postępować szlachetnie teraz, gdy jesteśmy szlachtą.

Pajac. Czy przyrzekasz poprawę?

Autolikus. Przyrzekam, z pozwoleniem waszej dostojności.

Pajac. Daj rękę. Przysięgnę księciu, że niema w Czechach uczciwszego lub wierniejszego nad ciebie człowieka.

Pasterz. Powiedz, lecz nie przysięgaj.

Pajac. Nie przysięgać? teraz, gdy jestem szlachcicem? Niech to powiedzą chłopcy i mieszczuchy, ja przysięgnę na to.

Pasterz. Jaktó, synu, choćby to było fałszem?

Pajac. Choćby to było najwierutniejszym fałszem. Prawdziwy szlachcic może na to przysiąc, żeby zobowiązać przyjaciela. Przysięgnę więc księciu, że jesteś tęgi chłopak, i że nie upijesz się nigdy, choć wiem, że nie jesteś tęgi chłopak, i że upijasz się często; przysięgnę jednak na to, bo chciałbym, żebyś został tegim chłopakiem.

Autolikus. Zrobię, co potrafię, żebym nim został.

Pajac. Staraj się wszelkimi sposobami zostać tegim chłopakiem, bo jeśli się nie zdziwię, gdy się upić odważysz, nie będąc tegim chłopakiem, nie wierz na przyszłość mojemu słowu. Słuchaj, królowie i księżęta nasi kre-

wni poszli oglądać obraz królowej. Idź z nami, a będziemy twoimi dobrymi panami. (*Wychodzą*).

SCENA III.

Kaplica w domu Pauliny.

(*Leontes, Polixenes, Floryzel, Perdyta, Kamillo, Paulina, Panowie i Dwór*).

Leontes. Dobra Paulino, jak wiele pociechy
Znalazłem w tobie!

Paulina. Chęci moje dobre,
Jeśli nie czyny. Wszystkie me usługi
Sowicieś spłacił. Teraz, gdy raczyłeś
Z królewskim bratem i tą młodą parą,
Przyszłymi królestw waszych dziedzicami,
Dom mój nawiedzić, jest to zbyt łaski,
Którego całem życiem nie opłace.

Leontes. Ten zaszczyt tylko kłopot ci przynosi.
Przyszliśmy posąg królowej oglądać:
Twoje galerie przebiegliśmy bacznie,
Niejednym pięknym zdziwieni przedmiotem,
Aleśmy dotąd jeszcze nie postrzegli
Tego, co tutaj córkę mą sprowadza —
Matki posagu.

Paulina. Jak pani za życia
Nie miała równej na ziemi kobiety,
Tak i jej ciała umarłego posąg
Prześciga wszystko, co ręce człowieka
Zdziałały kiedy, a widziały oczy;
Dlatego pilnie na stronie go chowam.
Ale jest tutaj; bądź przygotowany
Tak wierny, szczerzy obraz życia ujrzeć,
Jak wiernym śmierci obrazem sen cichy.
Królu, wzniesć oczy i powiedz: »o, prawda!«
(*Paulina podnosi zasłonę i pokazuje posąg*).
Dobrze, że milczysz; to świadek najlepszy
Twego podziwu. Przemów jednak, powiedz,
Czy nie podobny?

Leontes. Jej zwykła postawa!
Drogi kamieniu! skarż mnie, bym powiedział:
To Hermiona! Lecz nie, ty nią jesteś,

Bo się nie skarżysz. Ona była czułą,
Jak niebios łaska, jak czułe niemowlę.
Ale, Paulino, Hermiony lica
Marszczków nie miały, ani tej starości,
Którą tu widzę.

Polixenes. O! nie, ani śladu.

Paulina. Tem większa dłota snycerskiego sztuka,
Która szesnastu latom zbiegnać daje,
I kształci posąg, jakby dzisiaj żyła.

Leontes. Jakby dziś mogła żyć dla mej pociechy,
Gdy teraz duszę mą przenika bólem.
Tak stała niegdyś, z tą życia powagą,
Żywotnym ogniem, jak dziś zimna stoi,
Kiedym jej pierwsze miłości rzekł słowo.
O, sam się wstydzę; czyż mi nie wyrzuca
Kamień ten, żem jest zimniejszy od niego?
Królewskie dzieło! w twoim majestacie
Jest czarodziejska siła, co w mej myśli
Wszystkie me przeszłe rozbudza boleści,
Wydziera ducha z piersi mojej córki,
Która jak kamień przy kamieniu stoi.

Perdyta. Pozwól mi, ojcze, a nie zwij przesądem,
Gdy na kolanach o błogosławieństwo
Błagać ją będę. — O pani! królowo!
Zgasła dla ziemi, gdym ją dzień ujrzała,
Pozwól mi twoją pocałować rękę!

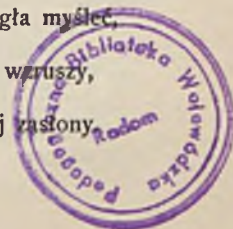
Paulina. Ostrożnie! Posąg świeżo postawiony,
I jeszcze na nim nie zaschły kolory.

Kamillo. Panie, w twem sercu żal głęboko utkwiał,
Gdy go szesnaście zim rozwiać nie mogło,
Ani go wiosen szesnaście osuszyć:
Nigdy wesele długo tak nie żyło,
I boleść także zwykle wcześniej kona.

Polixenes. Drogi mój bracie, proszę, dozwól temu,
Który twych nieszczęść był kiedyś przyczyną,
Od piersi twoich tyle odjąć żalu,
Ile pierś jego zamknąć go potrafi.

Paulina. Zaprawdę, królu, gdybym mogła myśleć,
Że widok mego biednego posagu,
(Bo mój jest kamień) tak silnie cię wzruszy,
Tweby go oczy nigdy nie widziały.

Leontes. O! nie, Paulino, nie spuszcza zasłony



Paulina. Nie, nie poglądaj dłużej na ten posąg,
Albo uwierzysz, że w nim ruch postrzegłeś.

Leontes. O, dozwól, dozwól! ach, jakbym chciał umrzeć!

Lecz mi się się zdaje, że to — już... Lecz teraz
Powiedz mi imię wielkiego snycerza.

Czybyś nie myślał, królu, że oddycha,
I że w tych żyłach krew się toczy?

Polixenes. Cudowne dzieło!

Zda się, że usta jej gorące życiem.

Leontes. Wlepione oko zda się ruch posiadać,

Jakby się sztuka uragać nam chciała.

Paulina. Spuszczam zasłonę; królewskie wzruszenie

Tak jest gwałtowne, iż uwierzysz wkrótce,
Że posąg żyje.

Leontes. Słodka Paulino,

Przez lat dwadzieścia dozwól mi tak wierzyć,

Bo żadna świata tego rzeczywistość

Nie zrówna tego szaleństwa rozkoszom.

Nie spuszczaj!

Paulina. Królu, żałuję głęboko,

Że żal zbudziłam, choć mogłabym jeszcze

Żal zbudzić głębszy.

Leontes. O! zbudź go, Paulino,

Bo żal ten słodką jest dla mnie pociechą.

Lecz czy się myślę, czyli mi się zdaje,

Że mnie dolata jej oddechu powiew?

A kiedyż dłoto oddech wykuć mogło?

Nie sztydźcie ze mnie, gdy ją pocałuję.

Paulina. Łaskawy królu, zatrzymaj się, proszę,

Lic jej rumieniec jeszcze jest wilgotny,

Twój pocałunek usta jej zamaże,

A twoje farbą olejną poszpeci.

Spuszczam zasłonę.

Leontes. Nie, przez lat dwadzieścia.

Perdyta. I ja tak długo mogłabym stać przy niej

I w twarz jej patrzeć.

Paulina. Lub raczcie natychmiast

Z kaplicy odejść, lub bądźcie gotowi

Na większe dziwy. Jeśli macie serce,

Ja posągowi ruch mogę nakazać,

Zejsć na podłogę, chwycić was za rękę;

Lękam się tylko, żebyście nie rzekli,

Iż mam na służbie potęgę piekielne.

Leontes. Czy w twojej mocy jest ruch jej nakazać —

Na ruch ten będę z rozkoszą poglądał;

Czy w twojej mocy w jej usta wlać słowa,

Każde jej słowo usłyszę z rozkoszą:

Równie nakazać łatwo czyn jak słowo.

Paulina. A więc rozbudźcie wszyscy wiarę waszą,

I stójcie wszyscy w poważnem milczeniu;

A komu czyn mój grzechem się wydaje,

Niech się oddali.

Leontes. O, zostaną wszyscy!

Paulina. Ozwij się, pieśni! rozbudź ją, muzyko! (*Muzyka*).

Już czas! zstąp do nas! przestań być kamieniem!

Zbliż się i rozbudź dziw wszystkich przytomnych!

O! przybądź, przybądź! Zamknę twą mogiłę.

Przybądź! a twoją martwość przekaż śmierci,

Od której drogie wyzwala cię życie!

Czy ruch postrzegasz? (*Hermiona zstępuje z piedestału*).

Nie cofaj się, królu,

Czyny jej bowiem będą święte, czyste,

Jak me zaklęcia; nie cofaj się, królu,

Chyba, że pragniesz powtórnie ją zabić.

Podaj jej rękę, — kiedy młodą była,

Ty jej miłości skwapliwie szukałeś,

Teraz, w starości, ona twojej szuka.

Leontes (*całując ją*). O, na jej ustach czuję ciepło życia!

Jeśli to czary, niech czary tę będą

Sztuką niewinną, jak branie pokarmu.

Polixenes. Ona całuje!

Kamillo. Wisi mu na szyi!

Jeżeli żyje, niech przemówi do nas.

Polixenes. Niechaj nam powie, gdzie aż dotąd żyła,

Lub jaka sztuka wykradła ją grobom.

Paulina. Gdybym wam tylko mówiła, że żyje,

Z słówbyście moich sztydźli, jak z bajki;

Lecz patrzcie, — żyje, choć nie mówi jeszcze.

Czekajcie chwilę. Racz się ty przyczynić,

Ty, piękna pani, uklękniij w pokorze,

I błagaj matkę o błogosławieństwo. —

Dobra królowo, twa Perdyta żyje.

(*Przyprowadza Perdytę, która kłeka przed Hermioną*).

Hermiona. Bogowie! rzućcie na nas oczy z nieba,

I raczcie wylać z świętych naczyń waszych

Błogosławieństwo na córki mej skronie!

Powiedz mi, droga, kto cię uratował?
 Gdzie żyłaś, ojca twego jak znalazłaś?
 Ja, gdym słyszała od mojej Pauliny,
 Że w słowach bogów można było znaleźć
 O twojem życiu choć słabą nadzieję,
 Czekałam końca, tu przed światem skryta.

Paulina. O, pani moja, dość jest na to czasu,
 Chyba, że pragną powieścią wypadków
 Przerwać bieg czysty twojego wesela.
 Idźcie szczęśliwi! dzielcie radość waszą
 Z królestwem całym! ja, synogarlica
 Biedna i stara, wybiorę siedlisko
 Na uszlęm drzewie, i tam płakać będę
 Po stracie, której nie znajdę już nigdy,
 Póki nie pójde za nią w świat szczęśliwszy.

Leontes. O! nie Paulino; jak ja po twej woli
 Żonę wybrałem, ty po mej weź męża:
 Pomnij, ten układ stanął między nami.
 Tyś mi znalazła żonę, choć jak? nie wiem,
 Bo mi się zdaje, że umarłą widział,
 I na jej grobie odmawiał modlitwy;
 I mnie daleko nie potrzeba szukać
 Męża godnego twych cnót i twych zasług,
 (Uczucia jego dość mi są świadome).
 Zbliż się, Kamillo, i weź ją za rękę;
 Twoje bogate poznaliśmy cnoty,
 Dwóch królów na nie świadectwo ci daje.
 Idźmy! Lecz wprzód spójrz na mnie, bracie;
 Przebaczone teraz, przebaczone oboje,
 Że śmiałem czystość świętych spojrzeń waszych
 Brudzić zazdrością. — Ten zięć twój, królowo,
 A syn królewski, przez nieba zrządzenie,
 Jest zaręczonym mężem córki twojej.
 Teraz, Paulino, prowadź nas, błagamy,
 Gdziebyśmy mogli, wolni od natręctwa,
 Słuchać, a potem wzajem opowiadać,
 Cośmy działali przez ciąg dni rozdziału,
 Dni długich, smutnych. Prowadź, prowadź śpiesznie!
 (Wychodzą).



TEŁOMACZENIE J. KORZENIOWSKIEGO.

Panowanie króla Jana Bez Ziemi, głównie z powodu jego zatargu z papieżem, szczególny miało urok dla pisarzy dramatycznych Reformacji angielskiej. Wyidealizowano króla na pierwszego bojownika protestantyzmu, i w tym duchu zrobił go bohaterem dramatu już w połowie XVI wieku biskup Bale, łącząc w swem dziele, w sposób nader znamienny dla rozwoju całego rodzaju literackiego, szablony alegoryczne staroświeckich dramatów moralnych z charakterami rzeczywistych osób w tej historycznej walce.

Shakespeare do tego popularnego przedmiotu zwrócił się prawdopodobnie podczas pauzy w swej twórczości historycznej, po ukończeniu pierwszego cyklu dramatów z dziejów narodowych, obejmującego wojny białej i czerwonej Róży, a przed rozpoczęciem cyklu drugiego, który również w czterech dramatach traktuje wcześniejszą fazę — wyniesienie na tron i świetne początki dynastii lancasterskiej. Na początku drugiego cyklu treścią swą stoi »Król Ryszard II«, najbliższej zapewne w twórczości poety sąsiadujący z »Królem Janem«. Które z tych dwóch dzieł wcześniej powstało, trudno rozstrzygnąć; oba wymienienia w roku 1598 Meres; jak »Ryszarda« z »Henrykiem IV« treść, tak znowuż »Króla Jana« z nim łączy humor żołnierski w postaci Filipa Faulconbridge; w »Ryszardzie II« humoru wcale niema, zaś wyraźniejsza zależność od Marlowa łączy dzieło z wcześniejszą grupą dramatów historycznych, w szczególności z »Ryszardem III«. Młodociana nierówność stylu, to prawdziwie potężnego, to napuszystego, cechuje zarówno »Króla Jana«, jak »Ryszarda II«; w obu dramatach panuje prawie wyłącznie wiersz, niema tej alternacji z prozą, która dojrzałszym dziełom poety tak wiele daje naturalności. Szanse więc są formalnie równie; gdyby jednak za pewnik uważać można, że rozwój pisarski Shakespeara był ciągłym

i konsekwentnym postępowaniem ku wyższej doskonałości, »Król Jan« bezwarunkowo zająłby miejsce wcześniejsze od »Ryszarda II«, z którym jako dramatyczna koncepcja zgoła równać się nie może. Jako datę absolutną dla »Króla Jana« rok 1596 oznaczają nie dające się udowodnić przypuszczenia, że lamente matki o krzywdę syna w III akcie są echem żalu samego poety po zmarłym w tym roku synu Hamnecie, a całe dzieło apelem do uczuć religijnych angielskich, podnieconych przez wydaną również w tym roku bullę papieską, która ogłasza królowę Elżbietę za pozbawioną tronu. Tekstu dzieła *in quarto*, któryby nam dopomagał stwierdzić autentyczną datę, nie posiadamy.

Istnieje, co prawda, druk *in quarto* dramatu o królu Janie z roku 1591¹⁾, i ten nawet wydawcy pośmiertnego zbioru dzieł Shakespearu *in folio* liczyl, jako wcześniejsze wydanie shakespeareowskiego »Króla Jana«, którego zatem nie zgłaszali już osobno do publikacji w cechu księgarzy; na rok przed nimi jakiś przedsiębiorczy księgarz przedrutował osobno ten dramat z r. 1591, podając go na tytule za dzieło Shakespearu. Na podstawie tych biograficznych faktów także niektórzy nowsi komentatorzy dopatrywali się w tym starym druku »pierwszego szkicu« shakespeareowskiego »Króla Jana«. Prawie pewnem jednak jest, że mamy do czynienia z dziełem nieznanego nam z nazwiska poprzednika poety, które Shakespearowi posłużyło za substrat do własnego utworu.

Posiadając w dramacie anonima bezpośrednie źródło Shakespearu, nie potrzebujemy »Króla Jana«, jak większości dramatów królewskich, porównywać z kroniką Holinsheda, z której poeta zazwyczaj czerpał materyały, i w której zapewne także rozdziały o rządach króla Jana były mu znane. Tem mniej zachodzi dla wyjaśnienia dzieła Shakespearu potrzeba zestawiania go z rzeczywistym przebiegiem wypadków, jak się w świetle badań historycznych przedstawia. Shakespeare w swych tematach historycznych zawsze szuka przedewszystkiem silnych, przydatnych dla poety dramatycznego osobistości; ich ogólnoludzkie impulsy są dla niego sprężynami wypadków dziejowych. W ten sposób tłómaczy się w »Królu Janie« i to, że z jednej strony niema w dziele ani wzmianki o najważniejszym w oczach dzisiej-

¹⁾ *The Troublesome Reigne of John King of England*, w dwóch częściach po pięć aktów, bez nazwiska autora na tytule.

szego człowieka wypadku całego panowania, mianowicie o wymuszeniu na królu przez magnatów podstawowego dokumentu konstytucji angielskiej, *Magna Charta*, — i to, że z drugiej strony postać króla nie ma jaskrawego, tendencyjnie-idealnego pokostu, jak u Bale'a, a przez ten realizm właśnie bardziej się zbliża do autentycznego, zgoła niepochlebnego portretu, jaki kreśli historia.

Główne wypadki siedemnastoletnich rządów króla Jana (1199—1216) dzielą się w kronice na dwie wyraźnie odrębne grupy: jedna z nich ma za środek pretendenturę królewskiego synowca Artura i kończy się jego zamordowaniem na rozkaz Jana, — druga spór z papieżem, zakończony upokorzeniem króla przed własnymi poddanymi, a wreszcie jego śmiercią. Wspólnym obu grupom rysem jest konsekwentne poparcie, jakie przeciwnicy Jana zawsze znajdują we Francji.

Z tych dwóch kompleksów już anonimowy poprzednik Shakespearu z niewątpliwym zmysłem dramatycznym tak powybierał i pościągał fakta, że w szkielecie akcji poeta nie potrzebował prawie niczego zmieniać; trzyma się swego wzoru wiernie i w układzie i porządku scen i w rysunku głównych charakterów.

Zaraz na początku pierwszej części anonimowego dramatu umiejętnie pomieszana jest chronologia: rozpoczynają się te stosunki z Francją, jakie według kroniki zapanały około roku 1200, a zarazem jesteśmy świadkami decydującego zwrotu w stosunkach z Kościołem, mianowicie klątwy, rzuconej na króla w roku 1209. W tensam mechanicznie-recytujący sposób, co we wszystkich prawie wcześniejszych dramatach Shakespearu, ekspozycja — zresztą za wzorem anonima¹⁾ — zawarta jest w wywodach niehistorycznego ambasadora francuskiego Châtillon'a o pretensjach jego pana w interesie Artura. U anonima dla historycznej orientacji publiczności i wytworzenia nastroju na samym początku jest wzmianka o królu Ryszardzie Lwie Serce, bracie i poprzedniku Jana; Shakespeare ten szczegół epicznej natury pomija; ale i u niego, jak u anonima, cały prawie pierwszy akt sobą wypełnia dziarski i sympatyczny syn nieślubny bohaterskiego króla. W charaktery-

¹⁾ Pewna formalna różnica w tem, że u Shakespearu tu, jak w całym dramacie, użyty jest wiersz; u anonima to i wszelkie inne urzędowe ogłoszenia z ust posłów i heroldów płyną ceremonialną prozą.

stycie tej od początku umiłowanej postaci poeta dla większej zwartości i krzepkości odstępować od swego wzoru: w dramacie anonimowym Filip długo i boleśnie walczy z sobą, czy pozostać prostym szlachcicem ziemskim, czy rzec się majątku dla godności syna królewskiego, i obwieszcza ten konflikt w długim monologu, zaczynając od śmiesznej perwersji horacjuszowskiego wiersza: *Philippus atavis edite regibus*; u Shakespeara, po żołniersku, rychło gotów jest za nazwisko królewskie oddać rodzinne posiadłości i być

»siebie samego panem, choć bez ziemi«.

Tutaj i wszędzie Shakespeare energicznie skraca i odziera z blichtru klasycznych porównań i cytat przewlekłe tyrady i argumentacje dramatu anonimowego; w tensam sposób kondensuje długą i nekającą spowiedź zawstyżonej matki; u anonima Filip nawet groźby zabicia używa, by na matce wymusić wyznanie, kto był jego ojcem. W miejsce ambicji i zawziętości, które na sposób tytanicznych bohaterów Marlowa charakteryzują królewskiego bękarta w dramacie anonima, Shakespeare okraślił jego postać, a przez jego ciągłe uwagi cały dramat, swobodnym, naturalnym, dosadnym dowcipem; ale i u Shakespeara Faulconbridge z dumą i uniesieniem w końcowych słowach I aktu mówi o »uprzywilejowanym grzechu«, którego jest owocem, — podobny do Edmunda w »Królu Lirze« (I, 2) przez ognistą energię wyzwania, jakie tu rzuca światu konwencji; tylko że do chlubnych, a nie do zbrodniczych czynów stąd pójdzie natchnienie.

Godną partnerką tej bujnej natury zaraz na początku okazuje się królowa Eleonora, co niegdyś jako głośna rozwódka na dwór londyński wniosła słońce trubadurskiej poezji i prowancką radość życia; jej niewygasły temperament szkicowymi rysami charakteryzuje już anonim.

Naprzeciwno dworu angielskiego symetrycznie w następnym akcie staje francuski: z bastarden skonstruowany jest — jak już u anonima — książę austriacki, figura skombinowana z Leopolda babenberskiego, który więził Ryszarda Lwie Serce, i z hrabiego Limoges, który go strzałem z łuku zabił; z Eleonorą kontrastuje również już anonim Konstancję, matkę pretendenta. Obie te pary, męska i żeńska, lżą się istic po homerycku; spór królowych przybiera charakter — mimo uroczystego białego wiersza —

tak mało dostojny, że uciszać go muszą królowie, znowuż symetrycznie sobie przeciwstawieni pod murami miasta Angers. Z efektem już wyraźnie zabawnym ta technika konsekwentnego przeciwstawiania rozciągnięta jest nawet na figury heroldów, z których każdy z kolei obwieszcza mieszczanom zwycięstwo swego króla: i ten kontrast znalazł Shakespeare szczegółowo nakreślony u anonima. Także w przebiegu wypadków tego aktu Shakespeare ściśle się trzyma poprzednika; dla ekonomii jedynie pomija charakterystyczny epizod przemijającej fantazy bastarda dla księżniczki Blanki, uczucia żołnierskim sposobem rychło otrąśniętego; nie żałuje natomiast poeta miejsca swemu humoryście na ogólnikowe refleksje moralne, szczególnie na końcu aktu, gdzie tak dobitnie każe mu wyciągać bilans z zawartego między królami kompromisu, przez filozoficzne uwagi na temat zysku jako głównej sprężyny czynów ludzkich. W tej rozległości gnomiki widoczne jest podobieństwo do pisanego w tym samym czasie »Ryszarda II«, gdzie refleksyjne skłonności poety po raz pierwszy potężnie się objawiły. Nie brak zresztą i w innych rysach analogii do »Ryszarda II«: tam i tu z początkiem drugiego aktu silnie się rozlega nuta patryotyzmu angielskiego, tam i tu w słowach wielbiących nadewszystko korzyść insularnego położenia ojczyzny¹⁾.

Usunąwszy Konstancję umyślnie na jakiś czas ze sceny — czego anonim nie czyni — Shakespeare w całej retorycznej pełni roztacza przed nami jej macierzyńskie

¹⁾ »Król Jan«. II, 1 (książę Austrii):

»... z tym bladym, białolicym brzegiem,
Co stopą strąca wrzące morza fale,
Od innych lądów dzieląc swych wyspiarzy, —
... ta Anglia, bronna mórz warownią,
Ta twierdza, wodnym szafcem otoczona,
Ufna, bezpieczna od obcych napaści...«

»Król Ryszard II«, II, 1 (książę Gaunt):

»O! ten tron królów, ta koronna wyspa,
Ziemi majestat i siedziba Marsa,
Ten wtóry Eden, pól raj, warownia,
Którą natura sobie samej wzniosła
Przeciw zarazie i wojny napadom;
Ten szczęsny naród, ten w treści świat cały,
Ten klejnot w srebrnym osadzony morzu,
Które go kręgiem otacza, jak szaniec,
Lub jak obronny przekop wkoło zamku,
Przeciw zawiści mniej szczęśliwych krajów;
Ten błogi ogród, to berło, ta Anglia...«

wyrzekania w trzecim akcie. Z rozmowy między matką a synem u anonima robi rozmowę ze zwiastunem dokonanego między królami układu, i na tej rozmowie lepiej może niż na czemkolwiek we wcześniejszej twórczości Shakespeara studyować można właściwą jego postaciom i w późniejszej dobie sofisteryę namiętności, używanie dziwacznych sztuk i sztuczek oratorskich na wyraz prawdziwie natężonego bólu; znowu przypomina się Ryszard II, tak misternie igrający ze swą żałością i nieszczęściem. Na wyższym według naszych pojęć poziomie wyrażenia staje Konstancja, gdy jako Kassandra przekleństwami maci radość weselną zgromadzonych rodzin królewskich.

»Wdowa cię wzywa, bądź mi mężem, niebo!«

Scena ma tem większą wartość artystyczną, że jest wyłączną własnością Shakespeara; u anonima jej miejsce zajmują dalsze fazy zwady między bastardem a księciem Austrii: Shakespeara ten kontrast już nie interesuje; szkoda mu nań miejsca; poświęca mu tylko po kilka wierszy w głównych scenach III aktu; pomija zupełnie scenę solennych przygotowań do pojedynku, tak samo jak w II akcie scenę zdobycia lwiej skóry; przechwałki bastarda po zabiciu księcia Austrii z trzynastu wierszy redukuje do czterech (III, 2).

Scenę kłótni papieskiej, rozpoczynającą nowe stadium akcyi, przenika u Shakespeara samodzielne ożywienie dramatyczne; w tragiczne akcenty, obce dramatowi anonimowemu, uderza wobec zerwanego pokoju świeżo zaślubiona Blanka; porywa też poetę chwilowo protestanckie uniesienie oryginału: król Jan, jak Henryk VIII, deklaruje się »po Bogu, najwyższą głową« (*under heaven, supreme head*) swego narodu. Taksamo i Rzym przemawia tym potężnym tonem, jaki mu nadał protestantyzm, a więc z niezłomną odpowiedzialnością przeciwko wszelkim uszczerbkom autorytetu; zaś jednym z najbardziej typowych przykładów zawilej retoryki u Shakespeara jest argumentacja kardynała, tłumaczącego królowi Francyi, że nie popełni krzywoprzysięstwa, zrywając pokój z Janem. I przez tę samodzielnie obmyślaną mowę i przez dłuższe jeszcze wahanie się króla, Shakespeare tu rozszerza swój oryginał, który zwykle streszcza; rozszerzeniem takim jest również udział Konstancyi, łączący oba kompleksy akcyi, i zmieniający *forte* całej sceny na *fortissimo*. Dodatkiem poety dalej jest scena — dyty-

rambicznie wielbiona przez Swinburna, a jako efektowna sytuacja kilkakrotnie w twórczości Shakespeara powtarzana — w której król, poczynając pod ciężarem kłótni staczać się z wyżyny swej godności, poddaje myśl zabicia uwięzionego pretendenta jego nadzorcy (III, 3); u anonima król krótką tylko robi w tym duchu aluzję, a zresztą zapowiada piśmienne rozkazy. Od samego poety wreszcie także pochodzą długie lamenty Konstancyi o pojmanego syna w końcowej scenie III aktu, w miejsce bardzo krótkiej sceny u anonima. Z tym ponownym popisem żałobnej retoryki Konstancja znika z dramatu; kończy się jej rola chóru w tej tragedii, miejscami przypominająca chór niewiast królewskich w »Ryszardzie III«; w IV akcie przez postać słyszymy o śmierci jej i jej przeciwniczki Eleonory.

Obok takich dodatków i rozszerzeń, zawsze cennych i znamiennych, wyraźne już w tej części dramatu są ślady świadomości poety, że, chcąc wyczerpać treść w pięciu aktach, trzeba skracać i streszczać się; dlatego pomija pierwszą fazę walki korzystną dla Francuzów — u anonima Konstancja już się znęca nad wziętą do niewoli Eleonorą; — pomija też ze zwykłym swym taktem prymitywną i wielce trywialną scenę wizytacji klasztorów — męskiego i żeńskiego — przez bastarda, który z rozkazu króla konfiskuje majątki zakonne i wszędzie zastaje stosunki, z upodobaniem przedstawiane przez satyryków średniowiecznych; u Shakespeara o tej gospodarce bastarda po klasztorach jest tylko przygodna wzmianka (IV, 2). Nawet wstawiona przez Goethego¹⁾ scena między Arturem a Hubertem (IV, 1) jest skróceniem przewlekłej rozprawy u anonima, czysto rozumowej i pełnej ogólników w stylu senekańskim; u Shakespeara z żywiołową potęgą przemawiają ogólnoludzkie uczucia, choć miejscami znowu przyobleczone w szatę afektowanych przenośni i porównań. W każdym razie ta scena jest wysiłkiem twórczym, po którym energia poety przez resztę IV aktu widocznie słabnie: cały szereg scen, w sposób epicznie-kronikarski przedstawiających rozwój niezadowolnienia baronów, jest w układzie i porządku wiernem

¹⁾ Goethe zachwycił się tą sceną w grze młodo zmarłej weimarskiej aktorki Krystyny Neumann, której poświęcił elegię »Euphrosyne«; przy tej sposobności przetłómaczył cały ten ustęp z »Króla Jana« i opatrzył go komentarzem estetycznym.

odbiciem odpowiednich partyi u anonima. Zdążając ku końcowi, Shakespeare coraz silniej kondensuje: w dramacie anonimowym po kilka scen poświęconych jest i wróżbiarzowi Piotrowi z Pomfret i złowrogim znakom na niebie, oglądanym przez cały dwór, i przygotowaniu do ponownej koronacji Jana, i tej uroczystości samej; także monolog Artura przed śmiercią znacznie tam jest dłuższy i bardziej dramatyczny: książe w majaczeniach przedśmiertnych woła matki i modli się za nią; u Shakespeara kona z nienaturalnym konceptem na ustach (»Przebóg! duch stryja w tych kamieniach gości!«), podobnie jak w trzeciej części »Henryka VI« (I, 3) młody hrabia Rutland woła do swego mordercy wierszem z Owidyusza: *Di faciant, laudis summa sit ista tuae*.

Od śmierci Artura — zupełnie samowolnie i bez dramatycznego uzasadnienia — anonim rozpoczyna drugą część swego dramatu, której całe pięć aktów Shakespeare sfłoczył w jeden końcowy. U anonima wzrastający tragizm sytuacji objawia się głównie w długich, pełnych rozpaczki monologach króla; u Shakespeara najwyraźniejszym symptomem jest zmiana w tonie bastarda, który i teraz refleksyami swemi towarzyszy akcyi: na końcu II aktu rezonował na temat egoizmu ludzkiego, na końcu czwartego nad zwłokami Artura w ponurych słowach zapowiada kłeski wojny domowej.

Pertraktacje między baronami, delfinem, legatem i bastardestem jako przedstawicielami interesów Anglii, Francji, papieża i króla (V, 2), i u Shakespeara nieco się przeciągają, ale jeszcze bez porównania dłużej trwają u anonima: tam hrabia Essex na zebraniu magnatów wygłasza w kilkudziesięciu wierszach szczegółowy akt oskarżenia przeciw Janowi; potem bastard równie wymownie i z wielką siłą go broni; tego niema u Shakespeara. Taksamo pozbawia się — oczywiście ze względów ekonomicznych — efektownej sceny, w której delfin obiecuje panom angielskim złote góry za poparcie, a potem, odprawivszy ich — rzekomo by się pomodlić u grobu św. Edmunda — w grocie zaufanych Francuzów poprzysięga, że ich wszystkich ściąć każe, jak tylko otrzyma koronę; u Shakespeara — jak zresztą potem i u anonima — konający w bitwie hrabia Melun zdradza lordom ten zamiar delfina. Tu więc anonim o jeden efekt jest bogatszy; brak za to w jego scenach tego akcentu patryotyzmu ogólnonarodowego, który

u Shakespeara rozlega się w dłuższej mowie hrabiego Salisbury, biadającego nad nieszczęsnym losem kraju; tu, jak niejednokrotnie w »Henryku VI«, Shakespeare posłużył się obojętną skądinąd figurą, by z niej zrobić symbol cierpiącej ojczyzny i przez to właśnie stronnictw i osób włączyć organicznie w historię losów narodu.

Ostatnie sceny dramatu wypełnia Shakespeare wyłącznie śmiercią króla; o dalszych operacjach wojennych dowiadujemy się tylko przez rozmowy i posłów; u anonima wszystko jest wprost przedstawione w osobnych scenach; rejestruje on sumiennie według kroniki różne jeszcze zwroty i zawiłania w przebiegu wojny, co wszystko Shakespeare pomija lub streszcza; nader wiele u poety w tych końcowych partyach dzieła prostych sprawozdań, tak jakby się bał, że wszelka bezpośrednio przedstawiona akcja nadmiernie powiększy rozmiary dramatu.

W jednym z tych referujących dyalogów — między Hubertem a bastardestem (V, 6) — wśród różnych innych szczegółów dowiadujemy się z kilku wierszy także, iż króla otruła »mnich jakiś«. Anonim, który już raz w scenach konfiskaty klasztorów dał wyraz swej protestanckiej zawziętości przeciw katolickim instytucjom, nie mógł sobie odmówić szerokiego roztoczenia tej całej mniszej intrygi: jest monolog mnicha, który postanawia zadać śmierć królowi, jest jego narada z opatem, wreszcie sama scena śmiertelnego bankietu. Shakespeare ogranicza się do chwil agonii (V, 7); uwydatnia przytem wyłącznie fizyczne cierpienia: ze słów konającego wieje żar, co mu pochłania wewnętrzości: w zachwyconych słowach przesadnej może pochwalał hołdował realizmowi tej sceny Swinburne. Realistyczny obraz cierpienia w słowach króla roztacza i anonim; ale u niego prócz tego jest monolog skruchy Jana za grzechy i błędy monarszego żywota; proszą go też przed śmiercią o przebaczenie magnaci. Shakespeare pominął i jedno i drugie, a tymczasowe ułożenie spraw państwa nad stygnącymi zwłokami króla znacznie uprościł. Niezbyt zapalony do religijnej tendencji, jaką w temat wkładano, nie każe Janowi, jak to czyni anonim, wyraźnie prorokować zdruzgotania potęgi papieskiej w Anglii przez Henryka VIII; poprzestaje na patryotycznej apostrofie bastarda, który i u niego i u anonima kończy dramat rzutem oka w chlubną przyszłość Anglii i wezwaniem do zgody i solidarności narodowej.

Krytyce dramaturgicznej »Król Jan« podlegać nie może, bo Shakespeare miał przed sobą przedmiot już udratyzowany, i budowę starszego dramatu wiernie odtwarza, choć ona, szczególnie w drugiej części, byłaby się dała niejednokrotnie poprawić. Shakespeare, jak widzieliśmy, dokonywa jedynie pewnych skróceń celem pomieszczenia w pięciu aktach treści dziesięciu; ekonomia dramatyczna jest rażąco nierówna, bo właściwie energicznie zaczyna ją poeta praktykować dopiero pod koniec, gdy jej mu już gwałtownie potrzeba, i wskutek tego padają ofiarą momenty dramatyczne efektowne, a streszczenia i sprawozdania stają się nużąco częste i oschłe.

Istotnej dramaturgicznej pracy dołożył Shakespeare tylko w tym jednym kierunku, żeby wydobyć z przedmiotu i uwydatnić na szarem tle kroniki dramatycznej garść scen popisowych, ognisk uwagi widza, ambicyi aktora i twórczej energii poety. Tym kilku scenom dostały się należne hołdy w teatrach i w książkach; pełne są życia, obcego dramatowi anonimowemu, nieraz i zupełnie samodzielne w strukturze psychologicznej; ale żeby jakością swej retoryki zawsze i wszędzie przewyższały stary dramat, trudno bez zastrzeżeń powiedzieć. A w tem właśnie dochodzimy do jedynego właściwie kryterium, jakie do tego dzieła Shakespeara da się zastosować.

Główną robotą poety była parafraza; są zwroty i zdania przejęte ze starego dramatu, ale w całości treść jego przetopiona jest prosto na inne słowa, i ta przemiana stanowiłaby musiała główny — wielce pociągający — przedmiot szczegółowych studyów nad »Królem Janem«.

Że Shakespeare dykcję starego dramatu ścięsniał a przez to wzmocnił, nie ulega wątpliwości; ale czy ogółem stanął na wyższym poziomie wyrażenia poetyckiego, czy całą jego pracę w stosunku do oryginału można tu, jak gdzie indziej, nazwać alchemią, czarodziejską przemianą pospolitego kruszcu na czyste złoto? Nie brak rzeczywiście złota pięknych deklamacji w tym dramacie; ale niemało też obok nich zostało i rudy, a raczej nawet domieszka jej z własnego zasobu sam poeta: niema może wśród jego dzieł dramatu, któryby jako całość był tak naszpikowany nienaturalnymi conceptami: pełno ich i w potężnych wybuchach macierzyńskiego żalu Konstancyi i w głęboko wzruszającej scenie między Arturem a Hubertem. Raz tylko, w scenie układow z mieszczanami Angers (II, 2), poeta jakby nagle

sobie uświadomił sztuczność i napuszystość stylu, i odrazu go obraca w broń satyryczną przeciw mieszczuchom, których szczególnie w dramatach królewskich, gdzie może, okrywa śmiesznością; znamienne jednak jest, że tensam bastard, co tu dosadnie wydrwiwa »pysk szeroki« mowcy mieszczańskiego, a zaraz potem równie dowcipnie krytykuje deklaracje miłosne delfina wobec Blanki, w tejże scenie poprzednio, jakby niepomny swego zwykłego charakteru, mówił ze strasliwym uosobieniem o śmierci, co

»nagie szczęki w stal uzbraja,
Z mieczów żołnierzy ma zęby i szpony,
I biesiaduje, żując mięso ludzkie,
W nierozstrzygniętych sporach królów«.

Obfitość takich *concelli* robi całą lekturę »Króla Jana« dla dzisiejszego czytelnika przykrą; a w drugiej części do znużenia przyczynia się także kronikarski natłok wypadków, już nie urozmaicony humorem bastarda.

Charakterystykę osób, podobnie jak akcję, Shakespeare znalazł w założeniu gotową, i niektóre tylko figury samodzielnie ukształtował i rozwinął. Że jednak przytem we wszechstronne ich uwypuklenie tyle nie włożył twórczej energii co gdzie indziej, dowodem okoliczność, że kilka z głównych postaci w pamięci nam pozostaje tylko w pewnych sytuacjach, od ich wyobrażenia nieodłącznych, jakby w jednej tylko pozie: Konstancya lamentująca, jak Niobe, Artur nawracający swego kata. Piękność »Króla Jana« — jak piękność »Romea i Julii« — to doskonałość kilku wspaniałych deklamacji i nieśmiertelnych scen.

Wyjątek z pod tego określenia stanowi jedynie postać bastarda, wszędzie jednakowo świetna, nie żadnym poszczególnym gestem, lecz całością i jednością do pamięci i podziwu apelująca. Jest on jednym z najbardziej typowych w literaturze renesansowej przedstawicieli angielskiego charakteru narodowego; rubaszny jego humor, to już nie ten czysto słowny dowcip, co bawił młodego Shakespeara, to już początki owego zasadniczo humorystycznego poglądu na świat i jego sprawy, co potem tak wspaniale się skryształizował w Falstaffie; zaś poważne rysy męskości anglosaskiej w charakterze bastarda, odwaga i żołnierska prostota, pogarda dla nieszczerzego patosu, a niemniejsza dlatego zdolność do głębokich i szlache-

tnych wzruszeń, wreszcie duma narodowa, — to wszystko ku innemu jeszcze bohaterowi Shakespeara drogę wskazuje: tesame zalety ponownie a jeszcze wspaniałej wcielić miała w sobie postać króla-rycerza, Henryka V, w dramatycznym obrazie zwycięstwa pod Azincourt.

OSOBY:

Król Jan.

Książę Henryk, syn jego, późniejszy król Henryk III.

Artur, książę Bretanii, syn Gotfryda, ostatniego księcia Bretanii, starszego brata króla Jana.

Wilhelm Marszał, hrabia Pembrok.

Gotfryd Fitz-Peter, hrabia Essex, najwyższy sędzia w Anglii.

Wilhelm Longsword, hrabia Salisbury.

Robert Bigot, hrabia Norfolk.

Hubert de Burgh, pokojowy królewski.

Robert Fokonbrydź, syn sira Roberta Fokonbrydź.

Filip Fokonbrydź, jego brat przyrodni, bękart po królu Ryszardzie I.

Jakób Gurnej, sługa lady Fokonbrydź.

Piotr z Pomfret, prorok.

Filip, król francuski.

Ludwik, delfin.

Arcyksiążę austriacki.

Kardynał Pandulf, legat papieski.

Melun, szlachcic francuski.

Szatylion, poseł francuski do króla Jana.

Eleonora, wdowa po królu Henryku II, matka króla Jana.

Konstancya, matka Artura.

Blanka, córka Alfonsa, króla Kastylii, siostrzenica króla Jana.

Lady Fokonbrydź, matka bękart i Roberta Fokonbrydź.

Panowie, **Panie**, **Obywatele** miasta Anżer, **Szeryf**, **Heroldowie**, **Urzednicy**, **Żołnierze**, **Posłańcy** i inne osoby należące do orszaku.

Scena częścią w Anglii, częścią we Francyi.

KRÓL JAN.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Northampton. Sala w pałacu.

(Wchodzi Król Jan, Eleonora, Pembrok, Essex, Salisbury i inni, z nimi Szatylion).

Król Jan. Czegoż więc żąda Francya? Szatylionie!

Szatylion. Filip, król Francyi, przez swojego posła,

Którym ja jestem, pozdrowiwszy ciebie

I pożyczony twój majestat...

Eleonora. Jakto?

Majestat pożyczony? Dosyć dziwny

Początek.

Król Jan. Cicho, cicho, dobra matko!

Pozwól, niech wprzód skończy swe poselstwo.

Szatylion. Król Filip, ceniąc ważność praw Artura

Plantażeneta, syna twego brata

Gotfryda, który zszedł już z tego świata,

Prawną pretensję rości i objawia

Tak do tej wyspy, jak jej terytoryum,

Irlandyi, Anżu, Poatu, Turenu,

Manu — żądając, byś go odrzucił oręż,

Którym nad niemi władniesz, byś go złożył

W ręce Artura, syna twego brata,

Razem twojego króla i monarchy.

Król Jan. I cóż nastąpi, jeśli się nie zgodzę?

Szatylion. Surowa przemoc dzikiej, krwawej wojny,

Co zmusi oddać prawa wzięte gwałtem.

Król Jan. Za wojnę wojna, krew za krew i w zamian

Przemoc za przemoc. Tak odpowiedz Francyi.

Szatylion. Przyjm więc wyzwanie króla mego z ust mych.

To jest ostatni kres poselstwa mego.

Król Jan. Odnieś mu moje — i powracaj z Bogiem.

Bądź błyskawicą w oczach swego króla,

Bo, nim zdasz przed nim sprawę, już tam będę,

I grom dział moich da się wam usłyszeć.

Śpiesz więc. Ty masz być trąbą mego gniewu

I smutną klęski waszej przepowiednią.

Straż honorową dajcie mu w podróży.

(Do Pembroka).

Tobie to zlecam. — Bądź zdrow, Szatylionie!

(Wychodzi Szatylion i Pembrok).

Eleonora. I cóż, mój synu! Zawszem to mówiła:

Dumna Konstancya nie odpocznie póty,

Dopóki Francyi i całego świata

Dla sprawy syna swego nie zapali.

A łatwo było złe uprzedzić, łatwo

Słowem miłości, lekkim jej dowodem,

Spór ten zagodzić; dziś go moc dwóch królestw

Rozstrzygać musi krwi strasznymi skutki.

Król Jan. Siła i władza za mną, za mną prawo.

Eleonora. O! bardziej władza, synu, niżli prawo.

Inaczej źleby bardzo być musiało

Ze mną i z tobą. To ci me sumienie

Szepce do ucha. Tego, oprócz nieba

I mnie i ciebie, niechaj nikt nie słyszy.

(Wchodzi szeryf z Nortamptonzajr, który mówi cicho z Essexem).

Essex. Jest tu, mój królu, spór szczególny; z głębi

Kraju przed sąd twój go przynoszą. Rozkaż,

Ażeby strony weszły.

Król Jan. Niechaj wnijdą.

(Szeryf wychodzi).

Opactwa nasze, dobra moja matko,

Zapłacą wszystkie koszty tej wyprawy.

(Powraca szeryf, z nim Robert Fokonbrydż i Filip, jego brat, zwany Bękartem).

Kto wy jesteście?

Bękart.

Ja wierny poddany

Waszej królewskiej mości, szlachcic rodem
Z Northampton, przytem starszy syn, jak myślę,
Roberta Fokonbrydż, rycerza tego,
Który był niegdyś Lwiego-Serca ręką,
Dającą honor, w polu pasowany.

Król Jan. A ty kto jesteś?

Robert. Syn i dziedzic tegoż.

Król Jan. Jakże? on starszy, a ty jesteś dziedzic?

Nie z jednej zatem matki pochodzicie?

Bękart. Z jednej, potężny królu! to wiadomo;

Z jednego także ojca, jak rozumiem,

Chociaż o pewne prawdy tej dowody

Racz spytać, królu, nieba i mej matki.

Ja wątpię, jak i każde dziecię może.

Eleonora. Precz, grubianinie, który sromisz matkę

I ranisz cześć jej tem powątpiewaniem.

Bękart. Nie ja, o pani! ja powodów nie mam.

To skarga brata mego, a nie moja,

Którą jeżeli wesprze dowodami,

Urwie mi z pięćset funtów na rok. Niech więc

Bóg strzeże matki mojej cześć i razem

Moje dochody.

Król Jan. Dobry, śmiały chłopak!

Jakże on, będąc młodszym, może sobie

Rościć pretensye do dziedzictwa twego?

Bękart. Jak? tego nie wiem; chyba że zagarnąć

Chce mój majątek. Nieraz mię nazywał

Bękartem. Czyli ja poczęty prawnie,

Czyli nie, zwałam to na głowę matki.

Żem zaś poczęty należycie, (dzięki

Tym kościom, które dla mnie się trudziły),

W tem, racz, mój królu, sam być sędzią, nasze

Twarze zrównawszy. Jeśli nas obydwóch

Spłodził Sir Robert i był ojcem naszym,

I jeśli syn ten całkiem doń podobny,

Robercie! ojczel! na kolanach niebu

Dziękuję, żem do ciebie niepodobuy.

Król Jan. Co za szaleńca niebo nam zesłało?

Eleonora. Ma jakiś zarys twarzy Lwiego-Serca,

I dźwiękiem głosu z nim coś spokrewniony.

Czy nie spostrzegasz śladów mego syna

W szerokich jego członkach i budowie?

Król Jan. I moje oko także porównywa

To podobieństwo. On zupełny Ryszard. —

Ty odpowiadaj, co cię pobudziło

Do ziem braterskich rościć sobie prawo?

Bękart. Bo ma pół-lica, równie jak mój ojciec,

I z tem pół-licem chce mieć całą ziemię.

Pół-liczny groszak miałby pięćset funtów!

Robert. Królu i panie! póki żył mój ojciec,

Twój brat używał często mego ojca...

Bękart. Taką powieścią dóbr mi nie odbierzesz,

Ty powiedz, jak używał mojej matki.

Robert. I raz w poselstwie wysłał go do Niemiec,

Z cesarzem w ważnych sprawach się umawiać,

Które się owych dotyczyły czasów.

Z nieobecności jego korzystając,

Król w tymże czasie bawił w naszym domu,

I jak się bawił... wstyd powiedzieć. Ale

Co prawda, prawda. Morza i szerokie

Lądy dzieliły ojca od mej matki,

Ody ten wesoły panicz był poczęty

(Tom słyszał nawet z ust mego ojca).

Dobra i ziemie, na śmiertelnem łożu,

Mój ojciec mnie przekazał i konając,

Stwierdził, że syn tej matki naszej nie był

Bynajmniej jego synem, lub w tym razie,

Przyszedłby na świat o czternaście niedziel

Pierwej, niż trzeba. Tak więc, dobry królu!

Pozwól, ażebym posiadał to, co moje:

Dobra ojcowskie, według ojca woli.

Król Jan. Twój brat, kochanku, jest zupełnie prawnym.

Żona twojego ojca go nosiła

Po ślubie; jeśliby zatem sfałszowała,

Jej to jest wina, której się poddaje

Każdy mężczyzna, który bierze żonę.

Powiedz mi, gdyby brat mój, co, jak mówisz,

W poczęciu jego zadał sobie pracę,

Od ojca twego żądał go, jak swego,

Nieprawdaż, przyjacielu, że twój ojciec,

Przed całym światem, miałby pełne prawo

Nie dać mu tego ciotka od swej krowy?

I w rzeczy samej, jeśli brat mój, choćby

Był jego ojcem, wziąć go nie miał prawa,

Równie twój ojciec, choćby ojcem nie był,

Nie miał żadnego prawa go odrzucić.

Z tego wypada, że syn mojej matki
Począł dziedzica twemu ojcu, który
Posiadać musi ojca twego ziemie.

Robert. Czyż ojciec nie ma prawa wydziedziczyć
Dziecię, co nie jest jego?

Bękart. O! Sir Robert
Nie więcej prawa miał mię wydziedziczyć,
Jak chęci spłodzić. Tak przynajmniej myślę.

Eleonora. Co wolisz, czyli zwać się Fokonbrydżem,
I wespół z bratem ziemie swe posiadać,
Czy być przyznany synem Lwiego-Serca,
Panem samego siebie, lecz bez ziemi?

Bękart. O Pani! gdyby brat mój miał twarz moją,
A ja twarz jego, twarz Sira Roberta,
Gdybym miał nogi, tak jak żerdzie, cienkie,
Ręce podobne do wypchanej skóry
Węgorza, gdybym twarz miał równie płaską,
Tak, żebym róży nie mógł zatknąć w ucho,
A ludzie, patrząc na mnie, by wołali:
Patrzcie, trzy grosze idzie! — gdybym przy tej
Postaci miał być panem tego kraju,
Bodajbym z miejsca tego się nie ruszył,
Oddałbym każdą stopę mojej ziemi,
Ażeby nie mieć podobieństwa z niemi.

Eleonora. Lubię cię. Chcesz-że rzec się swego mienia,
Jemu je oddać i mnie towarzyszyć?

Bękart. Jestem żołnierzem i na Francję idziem.
Bracie! weź ziemię, a ja los swój biorę.
Twe lice dająć pięćset funtów na rok.
A za pięć groszy możesz je odprzedać,
Pani! Jam gotów iść za tobą na śmierć!

Eleonora. Jabym wołała, żebyś poszedł przodem.

Bękart. Obyczaj kraju daje ci pierwszeństwo.

Król Jan. Two imię?

Bękart. Filip. Tak się moje imię
Zaczyna, starszy syn Sira Roberta
Żony.

Król Jan. A teraz nosić będziesz imię
Tego, którego nosisz postać. Klęknij,
Filipie! ale powstań czemścis większem,
Powstań, Ryszardzie i Plantażenecie!

Bękart. Bracie po matce! podaj mi swą rękę.
Ja mam cześć z ojca, ty masz ziemię. Niechże

Błogosławioną będzie ta godzina,
Czy dnia, czy nocy, co mnie życie dała,
A ojca twego daleko posłała.

Eleonora. Prawdziwy umysł masz Plantażeneta.
Jam twoja babka, tak też mnie nazywaj.

Bękart. Z przypadku, dobra pani, a nie z prawa.
Trochę pobocznie, trochę coś na lewo,
Przez płot lub oknem. Ale cóż to szkodzi?
Kto nie śmie we dnie, niechaj nocą chodzi.
Mieć, to rzecz główna, a jak? mniejsza o to.
Kto trafia, dobrze strzela, czy z daleka
Strzela, czy z bliska. I mój cel dopięty,
Jestem, czem jestem, jakkolwiek poczęty.

Król Jan. Idź, Fokonbrydzu! masz już, czegoś żądał.
Rycerz bez ziemi dał ci kraj bogaty.
Chodź, matko! pójdź, Ryszardzie! śpieszmy, śpieszmy
Do Francyi. Tam nas więcej, niż potrzeba.
Bękart. Bywaj zdrów, bracie! niech ci szczęście służy.
Byłeś spłodzony w najuczciwszy sposób.

(Wychodzą wszyscy, oprócz Bękart).

Na stopę wyżej wzniosłem się w honorze,
Na stóp niemało niżej w posiadaniu.
Cóż robić! Za to mogę zmienić w lady
Każdą Johasię. I gdy mi kto rzeknie:
»Dobry dzień panu!« Dziękuję ci, kochanku!
Powiem. A jeśli jego imię Jerzy,
Nazwę go Piotrem. Bo imiona ludzkie,
Przy nowej cześci, wylatują z głowy,
I przy tej zmianie pomnieć je, to znaczy
Nie mieć powagi, zbyt być popularnym.
Dziś i wojażer, z piórkiem swem od zębów,
Siądzie za stołem mojej wielmożności,
I gdy mój brzuch rycerski się napełni,
Ssąc sobie zęby, zaczęć rozpytywać
Wymuskanego podróżnika. »Cóż tam?
Kochany panie!« (wsparłszy się na łokciu,
Rozpocznę). »Chciałbym prosić cię, mój dobry!«
Mówi pytanie; tuż odpowiedź pójdzie
Prędko i prosto, jak w elementarzu.
»Wielmożny panie!« powie tu odpowiedź,
»Jak pan rozkaże, gotów jestem służyć.«
»Nie, dobrodzieju!« rzeknie zapytanie.
»Owszem, z ochotą!... Tak więc, nim się dowie

Odpowiedź, czego od niej chce pytanie,
 (Podając sobie wzajem komplementa,
 O Alpach papląc i o Apeninach,
 O Pirenejach i o Po), ciągniemy
 Rzeczą naszą dalej do wieczery samej.
 I to jest właśnie wyższe towarzystwo,
 Takim, jak mój, umysłem przyzwoite.
 Bo ten bękartem będzie swego czasu,
 Kto nie przesiąknie tą przyzwoitością.
 (Ja nim zostanę, choć się nią przejmuję)
 I to nie w sukniach i w delikatności,
 W zewnętrznej formie, w powierzchownej krasie,
 Lecz w szczerzej chęci przygotowywania
 Trucizny, coby słodką, słodką była
 Dla zębów wieku. Tego się wyuczę,
 Nie żebym drugich chęć miał oszukiwać,
 Lecz żebym sam uniknął oszukaństwa.
 To mi oczyści ścieżkę wyniesienia.
 Cóż to za pani w męskiej sukni śpieszy?
 Począta w spódnicy. Czyliż nie ma męża,
 Któryby przed nią trąbił?

(Lady Fokonbrydź i Jakób Gurnej wchodzi).

Ach! niestety!

To moja matka. Powiedz, dobra pani,
 Co cię do dworu ciągnie z tym pośpiechem?

Lady Fokonbrydź. Gdzie jest ten lajdak? gdzie on? gdzie
 [jest brat twój?

Co tu na honor matki swej poluje?

Bękart. Kto? brat mój Robert? syn sir Roberta?

Ów Kolbrand Olbrzym, mąż potężnej ręki?

Sira Roberta syna szukasz? matko!

Lady Fokonbrydź. Sira Roberta? Ty zuchwały chłopcze!

Dlaczego mówisz z takim urąganiem?

Sira Roberta syna? A ty czyj syn?

Bękart. Jakóbie Gurnej! zostaw nas na chwilę.

Gurnej. Idę, Filipie!

Bękart. Filip wróbel — dobry

Jakóbie! Pewne fraszki się odkryły;

Potem ci powiem więcej. (Gurnej wychodzi).

Dobra matko!

Sira Roberta synem ja nie jestem.

Sir Robert mógłby swoją częśćkę we mnie

Zjeść w Wielki Piątek i nie złamać postu.

Sir Robert mógł coś zrobić, ale przyznaj,
 Mógł-że mnie spłodzić? Nie, sir Robert nie mógł.

My znamy przecież jego płody. Zatem

Powiedz mi, matko, komu za te członki

Obowiązany? bo sir Robert nie się

Do sporządzenia nóg tych nie przyczynił.

Lady Fokonbrydź. Czyś ty się sprzysiągł z bratem, coś
 [powinien

Bronić mój honor dla własnego dobra?

Skąd te przykasy? ty zuchwały chłopie!

Bękart. Rycerzu! powiedz, matko! bom ja rycerz,

Jak Bazylik. Jestem pasowany,

I uderzenie czuję na ramieniu,

Ale nie jestem synem twego męża.

Sira Roberta rzekłem się i dóbr swych;

Ród prawy, imię, ziemię, wszystkom stracił.

Daj-że mi, dobra matko, poznać ojca.

Musi być człowiek, co się zowie! Któż on?

Lady Fokonbrydź. Jakto? nazwiska swego się wyrzekłeś?

Bękart. I równie szczerze, jakbym rzekł się dyabła.

Lady Fokonbrydź. Ryszard Lwie-Serce był twym ojcem,
 [chłopcze!

Długą, gwałtowną prośbą przełamana,

Miejsce mu dałam w łóżu mego męża.

Ty byłeś płodem tak drogiego błędu.

Oby mi niebo nie porachowało

Tej winy! była ona nieuchronną,

Gwałt w jego prośbie zrobił mię bezbronną.

Bękart. Klnę się tem światłem, gdybym miał się znowu

Urodzić, nie chciałbym lepszego ojca.

Są grzechy, które mają swój przywilej

Na ziemi; takim jest i twój. Nie z głupstwa

Zbłądziłaś, matko! Serce swe oddałaś

Jako hołd winny temu, co, kochając,

Umiął rozkazać. Z jego niezrównaną

Siłą i furją i lew nie śmiał walczyć,

Ni serca swego z ręki jego wyrwać.

Kto zdołał siłą wydrzeć serce z piersi

Lwa, ten mógł zyskać i kobiety serce.

Tak, matko! z całej duszy ci dziękuję

Za tego ojca. Kto zaś się ośmieli

Wyrzec, że źle się stało, żem się począł,

Do piekła pošlę jego duszę! Pójdźmy,

Obaczysz krewnych. Oni powiedzą,
 Że gdyby serce twoje odrzuciło
 Prośby Ryszarda, toby grzechem było.
 Kto powie: nie tak, temu moje ramię
 Dowieść potrafi, że głupi i kłamię.
(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Francya. Przed murami miasta Anżer.

(Wchodzi z jednej strony Arcyksiążę austriacki z wojskiem, z drugiej Filip, król francuski, z wojskiem, Ludwik, Konstancya, Artur i orszak).

Ludwik. Przed miastem Anżer witaj, arcyksiążę!
 Arturze! wielki przodek krwi twojej, Ryszard,
 Co wydarł serce z piersi lwa, i święte
 Prowadził wojny długo w Palestynie,
 Przez tego księcia zszedł przed czasem z ziemi.
 Żeby nagrodzić to potomkom, przybył
 Sam książę do nas, na żądanie nasze,
 Dla ciebie, chłopcze, sztandar swój rozwinąć
 I przeciąć stryja twego przywłaszczenie
 Przeciwnie prawu i naturze. Idź więc,
 Podaj mu rękę, kochaj i powitaj.

Artur. Śmierć Lwiego-Serca niech ci Bóg zapomni,
 Gdy potomkowi jego niesiesz życie
 I prawom jego pod skrzydłami wojsk swych
 Dajesz przytułek. Oto masz mą rękę,
 Bezsilną wprowadzie, lecz wraz z czystym sercem.
 Tak więc, na ziemi naszej witaj, książę!

Ludwik. Szlachetny chłopcze! kto by za twem prawem
 Nie obstał?

Arcyksiążę austriacki. Na twem licu, miłe dziecię,
 Ten pocatunek składam, jako pieczęć
 Obietnic mej miłości, że nie wrócę
 Do państwa mego, póki nie odzyskasz
 I tego miasta i swych praw we Francyi,
 Dopóki brzeg ten błady, białolicy,

Który odrząca stopą, oceanu
 Fale huczące i wyspiarzów swoich
 Od reszty ziemi dzieli, póki Anglia,
 Ta twierdza zewsząd morzem ogrodzona,
 Dotąd bezpieczna i od cudzoziemskich
 Napaści w wodach swoich ufająca,
 Póki ostatni kąt ten na zachodzie
 Ciebie swym królem nie powita, póty
 Nie wrócę nazad i nie złożę broni.

Konstancya. O przyjmij dzięki matki, dzięki wdowy.

A gdy twa ręka da mu dosyć siły,
 Godniej, niż słowem, miłość twą odpłaci.

Arcyksiążę austriacki. Z tym pokój nieba, kto w tak sprawie
 [wiedliwej,

Tak ludzkiej wojnie bierze się do miecza.

Król Filip. Do dzieła zatem. Niechaj się armaty
 Wyteżą przeciw czołu tego miasta.
 Zwołajcie mężów najbieglejszych w wojnie,
 By działom lepsze naznaczyli miejsca.
 My chcemy złożyć przed tem miastem nasze
 Królewskie kości, aż do jego rynku
 We krwi francuskiej brodzić będziem, ale
 Poddać się musi władzy tego dziecka.

Konstancya. Zaczekaj, królu, na odpowiedź posła,
 Abyś napróżno miecza krwią nie zbroczył.
 Może Szatyliion z Anglii nam przyniesie,
 W słowach pokoju, prawa, które wojną
 Wymódz pragniemy. Przyjdzie nam natenczas
 Żałować każdej kropli krwi, wylanej
 Przez zbyt gorący i niebaczny pośpiech.

Król Filip. Cud! cud! królowo — patrz, według życzenia
 Twego nasz poseł Szatyliion przybywa.
 Cóż mówi Anglia? powiedz, zacny mężu!
 Czekamy tylko twego doniesienia.

Szatyliion. Odwróć twe wojsko od tych nędznych murów
 I zbierz twe siły na ważniejszą sprawę.
 Anglia odrzuca słuszność żądań naszych,
 I wzięła oręż w rękę. Wiatr przeciwny,
 Który napróżno trzymał mię na miejscu,
 Dał jej dość czasu prawie razem ze mną
 Legiony swoje na nasz brzeg wysadzić.
 Ku temu miastu marsz jej skierowany.
 Siły jej wielkie, wojsko w sobie ufne.

Z królem przybywa i królowa matka,
Do krwi i kłótni budząc go, jak Ate.
Z nią siostrzenica, Blanka z Hiszpanii,
I jakiś bękart nieboszczyka króla.
A nieugięte duchy tego kraju,
Ludzie gwałtowni, dumni ochotnicy,
Z kobiecem licem, z jadem smoczym w sercu,
Posprzedawali w domu swe majątki,
I prawa rodów swych na plecach niosąc,
Śpieszą tu szukać nowych łask fortuny.
Słowem, tak mężny, tak nieustraszony
Wybór rycerzy, których łono Anglii
Dzisiaj wydało, nigdy nie obciążała
Wzdętych fal morza, i nie płynął ku nam
Na większy wstyd i szkodę chrześcijaństwa.

(Słychać bębny).

Krzykliwych bębnow silne uderzenie
Przerywa dalszą powieść. — Otóż oni,
Czy do rozmowy stają, czy do walki,
Bądź gotów, królu!

Król Filip. Jak nieprzewidziana
Wyprawa nasza!

Arcyksiążę austriacki. Im mniej przewidziana,
Tem więcej siły będziemy mieć w obronie.
Bo męstwo rośnie wraz z niebezpieczeństwem.
Witaj ich zatem — myśmy już gotowi.

(Wchodzi Król Jan, Eleonora, Blanka, Pembrok z wojskiem).

Król Jan. Pokój niesiemy Francji, jeśli Francja
Da nam spokojnie zająć nasze miasto.
Jeśli nie, niechaj krwią się swą zaleje,
A pokój niechaj ulatuje w niebo.
Tymczasem my, narzędzia jego gniewu
Ukarzem dumę, która pokój z ziemi
Wygania.

Król Filip. Pokój Anglii, jeśli wojna
Z Francji do Anglii wróci i ucichnie.
Kochamy Anglię, i dla jej miłości
Pot nas oblewa pod tą ciężką zbroją.
Ten trud nasz twoim byćby winien. Ale
Tyś tak daleki od kochania Anglii,
Żeś sam podkopał jej prawego króla,
Przeciął następstwa prawo i porządek,
Skrzywdził nieletnie państwo i popełnił

Gwałt na dziewiczej cnocie tej korony.
Patrz tu na lice brata twego. Gotfryd
W tych oczach, czole, w rysach tych, jak żywy.
Ten mały zarys mieści wszystko wielkie,
Które w Gotfrydzie znikło. Ręka czasu
Drobny ten wyciąg w wielką księgę zmieni.
Ten Gotfryd był twym starszym bratem, on zaś
Jest jego synem. Anglia posiadaniem
Była Gotfryda, i on Gotfrydowy.
Przebóg! dlaczegoż ciebie zowią królem,
Gdy żywa krew uderza w jego skroniach,
I im należy ta korona Anglii,
Którą ty nosisz?

Król Jan. Królu Francji! ktoś dał
Prawo pociągać mnie do odpowiedzi?

Król Filip. Ten wielki sędzia, który w sercach władców
Obudza zacne myśli i pilnować
Kaze, by prawo plam i szczerb nie miało.
Ten sędzia dał mi straż nad tem chłopięciem.
Z jego to woli ja obwiniam ciebie
O krzywdę, którąś mu wyrządził, z jego
Świątą pomocą karać za nią będę.

Król Jan. O! zbyt powagi sobie przywłaszczyłeś!

Król Filip. Przepraszam — ile trzeba, by obalić
Przywłaszczyciela.

Eleonora. Kogoż tu nazywasz
Przywłaszczycielem?

Konstancya. Królu Francji! pozwól,
Na to pytanie niechaj ja odpowiem.
Przywłaszczycielem jest twój syn.

Eleonora. Bezczelna!
Czy nie twój bękart ma być królem, abys
Królową była i władła światem?

Konstancya. O! moje łoże było równie wiernem
Twemu synowi, jak i twoje własne
Mężowi twemu; i ten chłopiec w rysach
Do ojca bardziej jest podobnym, niżli
Twój Jan do ciebie w obyczajach; przecież
Wyście do siebie wzajem tak podobni,
Jak deszcz do wody, dyabeł do swej matki.
Mój Artur bękart? przebóg! jego ojciec
Nie w takiej pewnie wierze był poczęty,
I być nim nie mógł, gdyś ty jego matka.

Eleonora. Dobra to matka, chłopcze, która plami
Twojego ojca.

Konstancya. Dobra to babunia,
Synu, co plami ciebie.

Arcyksiążę austriacki. Cicho.

Bękart. Cicho,
Gdy woźny woła.

Arcyksiążę austriacki. Cóżes ty za dyabeł?

Bękart. Jam ten, co z tobą po dyabelsku zagram,
Jeśli gdzie złapię ciebie i twą skórę.

Ty jesteś zając, co lwa nieżywego,

Jak jest przysłowie, i za brodę targnie.

Ja ci okopczę trochę twoją szubę.

Strzeż-że się, bratku! bo tak będzie, wierz mi.

Blanka. O jak przystojnie temu w lwa odzieniu,
Kto lwa rozebrał z jego sukni.

Bękart. Równie

Pokażna na nim, jak Alcya trzewik

Na nogach osła. Moje ty oślisko!

Ja wkrótce zdejmę ciężar ten z twych pleców,

I taki na nie włożę, co je złamie.

Arcyksiążę austriacki. I cóż to za samochwał, który uszy
Nasze ogłusza zbytkiem swego tchnienia?

Król Filip. Ludwiku! rozważ i rozstrzygnij, co nam
Czynić wypada.

Ludwik. Błazny i kobiety

Niechaj zamilkną! Królu Janie! oto

Jest treść wszystkiego. My, z praw tego dziecka,

Dopominamy się u ciebie Anglii,

Irlandyi, Anżu, Manu i Turenu;

Chcesz-że ich rzec się? chcesz-że złożyć oręż?

Król Jan. Prędzej się zrzeknę życia. Ciebie, Francyo,

Wyzywam. Ty, Arturze, mnie się oddaj,

A miłość moja da ci więcej, niżli

Francyi chytra ręka ci podbije.

Podдай się, chłopcze!

Eleonora. Chodź tu do swej babki.

Konstancya. Zrób to, mój synu! idź do babki, dziecię!

Oddaj królestwo babce, a babunia

Da ci śliweczkę, wiśnię albo figę.

Dobra babunia!

Artur. Przestań, dobra matko!

Chciałbym głęboko leżeć w mej mogile,
Bom ja tej wrzawy nie wart, którą słyszę.

Eleonora. Wstyd mu za matkę, że aż biedny płacze.

Konstancya. Bądź co bądź, wstyd i hańba tylko tobie.

O! nie wstyd matki, ale krzywdy babki

Z jego oczu biednych perły wyciskają.

Niebo je widzi i jak zakład przyjmie.

Tak, niebo da się ująć krysztalami

Tych drogich ziarenek, jemu sprawiedliwość

Odda i krzywdy pomści się na tobie.

Eleonora. Potworo! krzywdzisz niebo, krzywdzisz ziemię.

Konstancya. Potworo! krzywdzisz niebo i tę ziemię,

Ty wraz z twoimi. Wyście przywłaszczyli

Władzę, królestwo, wszystkie prawa tego

Biednego chłopca. Najstarszego syna

Twojego on jest synem. Nieszczęśliwy

W tem jednym tylko, żeś ty jego babką.

Twoje to grzechy w nim ponoszą karę.

Wyrok zakonu ciąży na nim, chociaż

Drugie go tylko dzieli pokolenie

Od ciebie, od żywota twego, który

W grzechu poczywał.

Król Filip. Milcz-że już, szalona!

Konstancya. To jeszcze powiem: nie za grzech jej tylko

On znosi karę, ale Bóg uczynił

Zarówno grzech jej, jak ją samą, klęską

Oddalonego pokolenia. Za nią

Ponosi ono klęski. Jego krzywdy

Są to jej krzywdy i jej grzechu sługi.

Za nie to karę dziecko to ponosi,

Za nie i przez nią. — O! przekleństwo tobie!

Eleonora. Głupia kłótnico! mogę ci ukazać

Wolę, co znosi prawa twego syna.

Konstancya. Któż o tem wątpi? złą, występna wolę,

Wolę kobiety, zgniłą babki wolę.

Król Filip. Przestańcie, proszę, lub się umiarkujcie,

Bo nie przystoi tu obecnym stwierdzać

Swem przyzwoleniem tę kłótniawą wrzawę.

Trąby niech wyzwą ku nam na okopy

Anżeru mężów; niech powiedzą, czyje

Przynają prawa: Jana czy Artura?

(*Trąbią – występują obywatele na wały.*)

Pierwszy obywatel. Któż nas ostrzega, abyśmy tu wyszli?

Król Filip. Francya za Anglią.

Król Jan. Anglia za siebie.

Obywatele tego miasta! moi

Mili poddani!...

Król Filip. Wy, Anzeru mężę!

Władzy Artura wierni! do rozmowy

Wzywa was trąba nasza.

Król Jan. Posłuchajcie!

We własnej sprawie my powiemy pierwsi.

Sztandary Francyi, które tu przed oczy

Waszego miasta podstały, przysły

Na szkodę waszą. Brzuchy armat pełne

Srogiej wściekłości, pascze ich gotowe

Na wasze mury wypłuć gniew żelazny.

Przygotowano krwawe oblężenie.

Nieubłagany umysł Francyi grozi

Waszego miasta oczom przymrużonym,

Tym zwartym bramom. Gdyby nie nasz pośpiech,

Śpiące kamienie, co was obwiązują,

Jak pas wokoło, silnem uderzeniem

Dział poruszone z glinianego łona,

Jużby rozpadły się w szeroką szczerbę,

By krwawa przemoc pokój wasz zdławiła.

Lecz gdy ujrzeli nas, waszego króla,

Nas, którzy silnym i gwałtownym marszem

Przed bramy wasze przywodziły odsiecz,

Aby draśnienie żadne nie powstało

Na licu waszych murów, ciż Francuzi

Zdumieni, do rozmowy się skłaniają.

I teraz zamiast kul obwitych ogniem,

Któreby w dreszcz wprawiły wasze wały,

Rzucają miękkie słowa, pełne dymu,

Ażeby uszy wasze odurzyły.

Tak-że im wierzcie, o obywatele!

A nam otwórzcie bramy. Utrudzeni

Szybkiego marszu nagłem wysileniem,

W murach waszego miasta chcemy spocząć.

Król Filip. Gdy skończę, wtenczas odpowiecie obu.

Patrzcież, tej oto ręce powierzyło

Niebo opiekę praw i życia dziecka,

Które przed wami. To jest Plantażenet,

To syn starszego brata tego męża,

Jego król i wszystkiego, czem on władnie.

Za jego prawa podeptane, depczem
Wojennym marszem piękną tę murawę.

Zresztą o tyle w nas jest nieprzyjaźni

Dla was, o ile żąda święty przymus

Gościnnej gorliwości, dla obrony

Uciśnionego dziecka. I wy także

Oddajcie hołd wasz i powinność temu,

Któremu od was się należy, to jest

Młodemu księciu. Wtenczas i nasz oręż,

Srogi na pozór, jak w kagańcu niedźwiedź,

Ostrze swe zamknie, a złość dział wywartą

Będzie na chmury, które się nie dają

Ranić. Szczęśliwy odwrót nasz zaniesie

Niewyszczerbione miecze, niezrąbane

Hełmy. Wrócimy z tąż krwią w żyłach naszych,

Co miała zbryzgać mury tego miasta,

U was i żony wasze zostawimy

W pokoju. Gdy zaś odrzucicie całkiem

Naszą ofiarę, ani was obroni

To stare koło siwych murów waszych

Przed posłańcami wojny, choćby nawet

Obwodem swoim ogarnęło wszystkich,

Co przyszli z Anglii z bronią i ładunkiem.

Powiedzcie zatem, czy mię przyznajecie

Panem na korzyść tego, dla którego

Działam? czy mam dać hasło mego gniewu

I krwią dostąpić do władania mego?

Pierwszy obywatel. Myśmy poddani króla Anglii, w jego
Imieniu miasto to trzymamy.

Król Jan. Zatem

Przyznajcie króla swego i otwórzcie

Bramy.

Pierwszy obywatel. Nie mogę. Temu, kto dowiedzie,

Że król, będziemy wierni i przychylni.

Do tego czasu bramy nasze będą

Zamknięte dla całego świata.

Król Jan. Czyliż

Korona Anglii nie dowodzi króla?

Gdy tego mało, świadków wam przywodzię

Więcej trzydziestu tysięcy serc wiernych,

Zrodzonych w Anglii.

Bękart. Wśród nich i bękartów.

Król Filip. Tyleż i równie dobrze urodzonych...

Bękart. Trochę bękartów także.

Król Filip. I ja stawiam.

Oni zaprzczą jego wymaganiom.

Pierwszy obywatel. Nim rozstrzygniecie, czyje prawo lepsze,
My zostawiamy prawo dla obudwóch.

Król Jan. Niechże Bóg grzechy duszom tym przebaczy,
Co wprzód, nim rosa spadnie, do wieczystych
Siedlisk uleczą w groźnej, dzikiej walce,
Która ma króla dać królestwu temu.

Król Filip. Amen. — Rycerze! na koń i do broni!

Bękart. O święty Jerzy! ty, coś zwalczył smoka,
I odtąd ciągle siedzisz tam na koniu
Przed drzwiami mojej gospodyni, bądź-że
Moją obroną.

(Do arcyksięcia austriackiego).

Gdybym był w twym domu,
To jest w twej jamie razem z twoją lwicą,
Na tej lwiej skórze głowę-bym postawił
Wołu — i dziwny zrobiłby się potwór.

Arcyksiąże austriacki. Przestań.

Bękart. O! zadrzyj! to ryk lwa! czy słyszysz?

Król Jan. Dalej-że, dalej śpieszmy na równinę.

Tam uszykuję wszystkie pułki nasze.

Bękart. Śpieszmy korzystać z pola.

Król Filip. Niech tak będzie.

(Do Ludwika).

Na drugim wzgórku postaw resztę wojska.

I dalej — naprzód. — Bóg i nasze prawa.

(Wychodzą).

SCENA II.

Tamże. — Bitwa, potem ustęp.

(Wchodzi francuski herold i trąbi ku bramom miasta)

Francuski herold. Obywatele! bramy swe otwórzcie,
Wpuśćcie Artura bretońskiego księcia,
Co dziś, przez ręce Francji, łzy wycisnął
Wielu angielskim matkom, których syny
Na krwawem polu rozrzucone leżą!
Niejednej wdowy mąż tam rozciągnięty
Całuje chłodną i bezbarwną ziemię.

Zwycięstwo, przy niewielkiej stracie, igra
Koło sztandarów Francji tańczących,
Gotowych tryumfalnie się rozwinąć,
Wejść po zwycięsku w miasto i ogłosić
Artura królem Anglii i waszym.

(Wchodzi angielski herold i trąbi).

Angielski herold. Obywatele! cieszcie się! uderzcie

We wszystkie dzwony! Król Jan wasz i Anglii

Król się przybliża. On dnia tego panem.

I jego zbroja, co stąd wyszła czystą,

Jak srebro, wraca cała w krwi francuskiej.

Ani jednego pióra na angielskim

Hełmie francuska lanca nie skubnęła.

Sztandar powraca w teje samej dłoni,

Co go rozwiła, gdyśmy szli do boju,

I, jak myśliwych orszak, powracają

Anglicy nasi, każdy z ręką we krwi,

Wziętej z śmiertelnej nieprzyjaciół rany.

Otwórzcież bramy — droga dla zwycięzców!

Obywatel. Z wież tych widzieliśmy, cni heroldowie,

Z początku aż do końca, obu armii

Atak i odwrót. Równość ich zupełna.

Najlepsze oko ująć jej nie zdoła.

Krew krwią kupioną, każdy cios odbierał

W odwecie ciosy, siła była równa

Sile, potęga przed potęgą stała.

Obaj są równi — my sprzyjamy obu.

Lecz niech z nich jeden większym się okaże.

Póki na równej szali stoją, póty

To miasto dla żadnego i dla obu.

(Wchodzi z jednej strony król Jan z wojskiem, Eleonora,
Blanka i Bękart, z drugiej król Filip, Ludwik, arcyksiążę
austriacki i wojsko).

Król Jan. Królu francuski! masz-że jeszcze więcej

Krwi do strwonienia? Może-li spokojnie

Potok praw naszych płynąć? — Zatrzymany

Twemi przeszkody w swoim bystrym biegu,

On swe koryto rzuci i zaleje,

Niszcząc i burząc, twe sąsiednie brzegi.

Jeśli go puścisz, jego srebrne wody

Spokojnym nurtem w ocean popłyną.

Król Filip. Królu angielski! tyś nie więcej szczędził

Krwi w tej gorącej walce, jak i Francya.

Stracięś więcej. Klnę się tą prawicą,
Pod której władzą kraj, nad którym wisi
To niebo: póty zbroi swej nie zdejmę,
Dopóki ciebie nie ukorzę, albo
Do zmarłych przydam królewskiego trupa,
By spis poległych w wojnie tej zasłynął
Mordem, z imieniem króla skojarzonym.

Bękart. O majestacie! jak wysoko rośnie
Twa chwała, gdy zakipi krew królewska!
Niechże śmierć paszczę swą napełni stałą.
Miecze żołnierzy, to jej kły i zęby.
Niechaj ucztuje, żując mięso ludzkie,
W nierozstrzygnionym sporze królów. Czemuż
Zdumione stoją te królewskie szyki?
Krwi! krwi! wołajcie króle. Nazad w pole
Równe potęgi! duchy rozognione!
Niechaj porażka jednej strony stwierdzi
Pokój dla drugiej. Dotąd zaś krwi trzeba,
Ciosów i śmierci.

Król Jan. Z czyjej-że są strony
Mieszkańcy miasta.

Król Filip. Cóż? Obywatele!
Kogoż dla Anglii przyznajecie królem?

Pierwszy obywatel. My? — Króla Anglii, jeśli go przy-
[znamy.

Król Filip. Więc mnie przyznajcie, ja mam jego prawa.

Król Jan. Mnie, który króla mam i moc i prawa,
Co sam w osobie swojej działał, będąc
Panem i waszym i waszego miasta.

Pierwszy obywatel. Większa potęga tego nam zabrania,
Póki wątpliwość trwa, my w bramach naszych
Skrupuły nasze zamknem razem z sobą.
Bojaźń króluje u nas. Niech król inny
Tę bojaźń zwalczy lub ją z tronu złoży.

Bękart. Jak mi Bóg miły! wszak ci obszarpańcy
Żartują sobie i z was drwią, królowie!
Bezpiecznie stojąc za ścianami swemi,
Jak na teatrze rozdziawiają gęby
Na wasze sceny i śmiertelne akty.
Raczież, królowie, pójść za moją radą.
Jak niegdyś buntownicy uczynili
W Jerozolimie, tak i wy uczynicie:
Bądźcie na chwilę przyjaciółmi, obaj

Natęście wspólną czynność waszej zemsty
Ku temu miastu, z wschodu i zachodu
Francya i Anglia niech skierują na nie
Bijące działa, pełne po sam gardziel,
Dopóki grzmot ich nie rozgromi w kęsy
Kamiennych boków wzgardliwego miasta,
Grajcie bez przerwy do tej podłej zgrai,
Póki w pośrodku ruin i zniszczenia
Nie będzie naga, jak powietrze; potem
Rozłączcie wasze połączone siły,
Rozdzielcie barwy pomieszane; stańcie
Twarz przeciw twarzy, ostrze przeciw ostrzu.
Wtenczas fortuna wyzwie z którejkolwiek
Strony swojego ulubieńca, jemu
W dniu tym otworzy skarby swojej łaski
I jak zwycięzcę ucałuje. — Jakże
Ta dzika rada zda się wam? Królowie!
Może za mało polityką trąci?

Król Jan. Świadcę się niebem, co nad nami wisi,
Mnie się podoba twoja rada. Mamyż
Spleść nasze siły? mury tego miasta
Porównać z ziemią, by śmiertelną walką
Rozstrzygnąć potem, kto ma być ich królem?

Bękart. Jeśli masz w piersiach królewskiego ducha,
Skrzywdzony, równie jak my, ich uporem,
Zwróć ku nim gardła twojej artylerii,
Jak my zwrócimy naszą. Gdy zrównacie
Z ziemią bezczelne mury tego miasta,
Dalejże, w imię nieba albo piekła,
Przeciwko sobie zwróćcie swe oręż.

Król Filip. Niech i tak będzie. Powiedz, z której strony
Chcesz szturm przypuścić?

Król Jan. Ja chcę od zachodu
Posłać im zgubę.

Arcyksięzę austriacki. A ja od północy.

Król Filip. Nasze pioruny od południa spadną
Z deszczem kul na ich mury.

Bękart. O jak mądrze!
Północ, południe! Francya przeciw Austrii!
Nawzajem sobie w gębę strzelać będą!
Tego nam trzeba — dodam im ochoty.

Pierwszy obywatel. Wielcy królowie! raczcie nas posłuchać!
My wam wskażemy pokój z wdzięcznem licem,

Związek, przez który zdobędziecie miasto
Bez ran i ciosów, i to życie wasze,
Które tu chcecie złożyć w krwawem polu,
Na śmierć spokojną w łóżku zachowacie.
Nie idźcież dalej, ale raczcie słuchać.

Król Jan. Mówcież — łaskawie was słuchamy.

Pierwszy obywatel.

Oto

Hiszpanii córka, piękna Blanka. — Ona
Blizką jest Anglii. Weźcież na uwagę
Lata delfina i wiek tej dziewicy.
Gdy rzeźwa miłość goni za pięknoscią,
Gdzież znajdzie więcej wdzięków, jak w tej pannie?
Jeśli gorąca miłość zechce cnoty,
Gdzież ona czystsza, jak nie w sercu Blanki?
Gdy dumna miłość chce równości rodu,
Gdzież krew zacniejsza bije, jak w jej żyłach?
Takim jak ona w rodzie, cnotie, wdziękach,
Jest młody delfin całkiem i zupełnie.
Gdy niezupełnie, to dlatego tylko,
Że on nią nie jest, jeśli czegokolwiek
Jej niedostaje, niedostaje tylko
Tego, że ona nie jest nim. Zaiste
On jest połową szczęśliwego męża,
I przez nią tylko ma się uzupełnić,
I ona pięknej jest doskonałości
Połową, której drugie pół w nim leży.
O! gdy się złączą te dwa srebrne zdroje,
Uświetnią brzegi, w których płynąć będą.
Dwoma brzegami dla tych dwóch strumieni,
W jedno złączonych, dwiema granicami
Ich wspólnej drogi, władcy! wy będziecie.
Połączcież zatem te książęce dłonie.
Ten związek więcej zdziała, niż baterye
Przeciw zamkniętym bramom. To małżeństwo
Prędej od prochu wargi ich rozdejmie,
I wchód szeroki stanie wam otworem.
Bez tego ślubu nic nie dokażecie,
Bo mniej jest głuchem morze rozhukane,
Lew nie tak ufny w swoich siłach, góry
I skały mniej są pewne w swych posadach,
Śmierć w swojej furii nie jest tak bezwzględna,
Jak my będziemy, broniąc tego miasta.

Bękart. Jaki mi strażnik! Patrzcież, jak wytrząsa

Przegniły szkielet śmierci z jej gałęziów!
Szeroka gęba! Śmierć wypłuka, góry,
Skały i morza, a o lwie ryczącym
Tak poufale gada, jak trzynasto-
Letnia dziewczynka o szczeniściu swoim.
Jakiś kanonier począł tego zucha.
Ma pełną gębę ognia, armat, dymu,
Jak kijmi praży, tak językiem swoim
Świcił nam uszy, każde jego słowo
Uderza mocniej, niż francuski kułak.
Do wszystkich dyabłów! jeszcze mię słowami
Nikt tak porządnie nie wykropił, odkąd
Nazywam tatkiem ojca mego brata.

Eleonora. Pozwól, mój synu, na ten związek. Ślub ten
Niech się skojarzy. Siostrzenicy naszej
Daj znaczny posag. To małżeństwo wzmocni
Kulawe prawa twoje do korony,
I tak upewni, że pączkowi temu
Nie stanie słońca, aby się rozwinął
W kwiat, co przyrzeka tak potężny owoc.
W oczach Filipa widzę przyzwolenie.
Patrzaj, jak szepczą. Nie ustępuj zatem,
Póki ich dusze karmią się tą dumą,
Aby ich zapał odmuchniony miękkiem
Tchnieniem litości, prośby lub wyrzutów,
Nie ostygł i nie stwardniał po dawnemu.

Pierwszy obywatel. Królowie! czemuż nie odpowiadacie
Na przełożenie tego miasta?

Król Filip.

Niechaj

Anglia odpowie pierwsza — ona pierwsza
Ku miastu temu rzecz swą obróciła.

Król Jan. Jeżeli delfin, syn twój, królu, może
Wyczytać miłość w tej piękności księżde,
Jej posag będzie ważnym i królewskim:
Kraje Turenu, Poatu i Anżu,
Manu i wszystko, co z tej strony morza
(Wyjawszy miasta, które oblegamy)
Podlega naszej władzy i koronie,
Ozłoci jej małżeńskie łożę; aby
Równie bogatą była w cześć i ziemie,
Jak jest bogatą w piękność, ród i cnoty,
Któremi równa pierwszym paniom świata.

Król Filip. Cóż powiesz na to? Spójrzysz w twarz tej pani.

Ludwik. Patrzę, mój ojczy, i w jej pięknem oku
 Znajduję dziwny cud lub dziw cudowny:
 Obraz mój własny cieni się w jej oczach.
 A choć jest tylko cieniem twego syna,
 Staje się słońcem, co mnie robi cieniem.
 Przysięgam, nigdy siebie tak nie kochał,
 Dopókim nie obaczył się oprawnym
 W pochlebnem ślicznych oczu jej zwierziedle.
Bękart. Oprawny w śliczne oczu jej zwierziedle,
 W zsuniętych zmarszczkach brwi jej zawieszony,
 Ulokowany w sercu! — Sam szpieguje
 Siebie miłosny zdrajca. — Żal się Boże,
 Że zawieszonym, oprawionym będzie
 W tak ślicznych ramach gbur nieociosany.
Blanka. Wola mego wuja jest w tej mierze
 I moją wolą. Jeśli w twej osobie
 On coś spostrzega, co mu się podoba,
 To, co on widzi, co mu się podoba,
 Ja mogę łatwo przenieść i w mą wolę.
 Lub, jeśli żadasz, bym wyraźniej rzekła,
 Mogę polecić to miłości mojej.
 Zresztą nie myślę ci pochlebiać, książę,
 Że wszystko w tobie jest miłości godnem;
 To tylko powiem, że nic w tobie niema,
 (Chociażby nieuk jaki był twym sędzią),
 Coby na niechęć zasługiwać mogło.
Król Jan. Co mówi młoda para? co ty? Blanko!
Blanka. Że honor każe mi wypełniać święcie,
 Co mądrość twoja czynić rozkazuje.
Król Jan. Powiedz, delfinie, możesz-że ją kochać?
Delfin. Zapytaj, królu, czy się mogę wstrzymać,
 Bym jej nie kochał? Ja ją szczerze kocham.
Król Jan. Daję ci zatem Normandyę i Anżu,
 Poatu, Turen, Man, te pięć prowincyi
 Wraz z nią w posagu, i w dodatku jeszcze
 Trzydzieści tysięcy mark angielskiego
 Złota. — Filipie! jeśli się podoba,
 Każ-że swym dzieciom podać sobie ręce.
Arcyksiążę austriacki. I usta także; bo pamiętam dobrze,
 I jam tak zrobił, gdym był zaręczony.
Król Filip. Teraz otwórzcież nam już bramy wasze.
 Niech wnijdzie przyjaźń przez was skojarzona.
 W kaplicy Matki Boskiej uroczyste

Chcemy obchodzić obrzęd tego ślubu.
 Gdzież jest Konstancya? czy jej niema z nami?
 Wiem, że jej niema; jej obecność bowiem
 Przeshkodą byłaby małżeństwu temu.
 Gdzież ona? gdzie jej syn? kto wie, niech mówi.
Ludwik. W namiocie twoim smutna i cierpiąca.
Król Filip. Zaprawdę, związek, któryśmy zrobili,
 Słabe jej smutkom przyniosłoby lekarstwo.
 Królu angielski! jakże ucieszymy
 Tę wdowę? Myśmy przyszli praw jej bronić,
 Które, Bóg widzi, inną wcale drogą
 Na naszą wyszły korzyść.
Król Jan. Chcemy pomódz
 Złemu. Artura mianuję księciem
 Bretańskim, Hrabia Riczmond, oraz panem
 Tego pięknego miasta. Zawołajcie
 Konstancyę. Niechaj kto pośpieszy prosić,
 By uroczystość naszą podzieliła.
 Mamy nadzieję, że gdy niezupełnie
 Spełnimy miarę życzeń jej, przynajmniej
 W niejakiej części zadość im się stanie,
 Tak że jej krzykom koniec się położy.
 Idźmyż, o ile pośpiech nam pozwoli
 Spełnić przystojnie niespodziany obrzęd.
 (Wychodzą).
Bękart. (sam) Szalony świat! szaleni ci królowie!
 Szalony układ! — Jan, chcąc zniszczyć prawa
 Artura do całości, rzekł się części.
 Filip (któremu zbroję nałożyło
 Sumienie, który wyszedł w pole, zacnej
 Litości głosem wywołany, jako
 Żołnierz, którego Bóg sam wybrał), Filip
 Uległ podszeptom tego, który zmienia
 Wszystkie zamiary, który łeb ukręca
 Wszelkim przysięgom, który codzień łamie
 Wiarę i który ciągnie zysk dla siebie
 Z królów, żebraków, starców, ludzi młodych,
 Z dziewcząt, od których, gdy prócz tego słowa:
 Dziewczyna, trudno wydrwić co innego,
 Wykipliwa i to słowo. Chytry szatan,
 Gładki, wykwinny panicz: zysk łaknący,
 To cel, to skłonność świata. Świat sam przez się,
 Zrównoważony dobrze, mógłby ciągle

Równy się toczyć po jednakim gruncie;
 Lecz właśnie zysk ten, ten cel podły, nizki,
 Naznacza inną drogę jego ruchom;
 On go wybija z wszelkiej równowagi,
 Zmienia bieg jego, zamiar i kierunek.
 Dziś właśnie tenże zysk, tenże interes,
 Ten rajfur, ten niszczyciel wszelkich umów,
 Zaślepił oczy słabomyślniej Francyi,
 I od pomocy chętnej i szlachetnej,
 Od wojny pełnej sławy i honoru
 Przywiódł do ugod podłych i hańbiących. —
 Ale dlaczegoż ja na zysk powstaję? —
 Dla tego, że się do mnie nie umizgnął,
 Nie zaś, ażebym miał kość mocy zamknąć
 Swą rękę, gdyby piękni aniołkowie
 Przybyli kiedy moją dłoń powitać.
 Dłoń moja odtąd od pokusy wolna,
 Jak głodny żebrak, krzyczy na bogacza.
 Dobrze więc, pókim żebrak, będę wrzeszczeć:
 Że niema grzechu, tylko być bogatym.
 Gdy się wzbogacę, znowu wołać będę:
 Niema występku, tylko być żebrakiem.
 A gdy królowie, mając zysk na względzie,
 Niszcza przysięgi, łamią swe umowy,
 Niechże zysk odtąd moim bogiem będzie.
 Jemu chcę służyć — przykład mam gotowy.
 (*Wychodzi*).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Tamże. Namiot króla francuskiego.

(*Wchodzi Konstancya, Artur, Salisbury*).

Konstancya. Do ślubu poszli? zaprzysięgać pokój?
 Niewierny ród z niewiernym ma się złączyć?
 I przyjaciółmi będą? Ludwik Blankę
 Otrzyma? Blanka wszystkie te prowincye?
 W tem coś jest. — Złeś mi doniośł, źleś usłyszał.
 Przypomnij sobie, powtórz, coś powiedział.

To być nie może. — Mówisz, że tak — przecież
 Ja ci nie wierzę. Twoje słowo było
 Tylko czczem technieniem zwyczajnego człeka.
 Wierz mi, człowiecze, ja ci nie uwierzę.
 Przysięga króla mówi mi inaczej.
 Ciebie ukarzą za to, że mię straszysz.
 Ja jestem chora, przeto bojaźliwa,
 Jam uciśniona smutkiem i bojaźni
 Pełna, jam wdowa, i podległa przeto
 Wszelkiej bojaźni, jam kobieta, na to
 Tylko zrodzona, aby ciągle bać się.
 I choć wyznajesz teraz, żeś żartował,
 Duch skołatany we mnie nie odpocznie.
 Dzień cały bać się będę, będę drżała.
 Ale co znaczy, że tak kiwasz głową?
 Czemu tak smutno patrzysz na to dziecię?
 Co znaczy ręka ta na twojej piersi?
 Czemu wstrzymuje oko twe nurt tęskny,
 Co się jak rzeka z brzegów swych wyrывa?
 Mająż te znaki słowa twe potwierdzać?
 Powiedz więc znowu — nie, nie całą powieść,
 To tylko powiedz, że, coś mówił, prawda.
Salisbury. I taka prawda, jak są pełni fałszu
 Ci, z których winy słowa me prawdziwe.
Konstancya. Gdyś mię nauczył wierzyć tej boleści,
 Naucz-że boleść tę, jak ma mnie zabić.
 Niech wiara we mnie tak się spotka z życiem.
 Jak równa wściekłość mężów dwóch w rozpacz,
 Co obaj w walce, gdy się zetną — giną.
 Ludwik się żeni z Blanką? O mój chłopcze!
 A gdzież ty będziesz? Francya przyjaciółka
 Anglii? Cóż się wówczas ze mną stanie?
 Precz stąd! człowieku! Ja cię znieść nie mogę!
 Nowiny twoje szpetnym cię zrobiły.
Salisbury. Jakażem krzywdę ci wyrządził? Pani!
 Mówilem tylko o tej, którą tobie
 Inni zrzadzili.
Konstancya. Krzywda przez się straszna,
 Tak, że krzywdziciel w oczach moich każdy,
 Kto o niej mówi.
Artur. Matko! bądź spokojna.
Konstancya. Gdybyś ty, co mnie pragniesz uspokoić,
 Był brzydkim, strasznym, hańbą tych wnętrzności,

Co cię nosiły, pełen plam niemiłych,
 Odrażających wad, kulawym, głupim,
 Garbatym, śniadym, gdybyś był potwornym,
 Upstrzonym w cętki i obrażające
 Oczy znamiona, byłabym spokojna,
 Bez troski, bobym ciebie nie kochała,
 Bobyś był nie wart wysokiego rodu,
 Z którego idziesz, nie wart być korony.
 Aleś ty piękny! Przy twem urodzeniu,
 Natura i fortuna, drogi chłopcze,
 Wszystko łożyły, by cię zrobić wielkim.
 Z lilią wespół, z wółrozwitą różą
 Możesz się chlubić łaską przyrodzenia.
 Ale fortuna! o! ją przekupili!
 Zmienna, wydarła tobie! Ona codzień
 Z twym stryjem Janem wiąże się nierzędem.
 Swą złotą ręką pociągnęła Francję,
 Że podeptała honor samowładztwa
 I swój majestat uczyniła tylko
 Rajfurem ich bezwstydnym. — Francya
 Rajfurka króla Jana i fortuny,
 Tej wszeteczniczy, i przywłaszczyciela.
 Powiedz, człowieku, nie jest-że ta Francya
 Krzywoprzysięgą? — Otruj go słowami
 Lub idź! — mnie zostaw samą z moim bólem,
 Ja go mam dźwigać sama.

Salisbury. Daruj, pani!

Bez ciebie ja nie mogę iść do królów.

Konstancya. Możesz i pójdziesz. Ja nie pójdę z tobą.

Nauczę smutek mój, aby był dumnym,

Bo boleść dumna — ona właściciela

Swojego czyni zatwardziałym. Do mnie

I przed majestat bólu mego niechaj

Przychodzą króle; bo mój ból tak wielki,

Że go podpora żadna, prócz szerokiej

I silnej ziemi, dźwignąć nie potrafi.

Tu ja z mym bólem siedzę, tu jest tron nasz;

Tu zwolaj królów, niechaj ugną głowy.

(Siada na ziemi).

(Wchodzi król Jan, król Filip, Ludwik, Blanka, Eleonora,
 Bękart, arcyks. austriacki i orszak).

Król Filip. Prawda, nadobna córko! dzień ten błogi

Odtąd we Francyi będzie uroczystym.

Aby go uczcić, słońce okazałe

Wstrzyma się w biegu, i, jak alchemista,

Blaskiem swego oka zmieni ziemię

Chudą i szarą w jasną bryłę złota.

Bieg lat, z którymi znowu dzień ten wróci,

Ujrzy go zawsze u nas dniem świątecznym.

Konstancya. To dzień przekleństwa, dzień zły, nie świą-
 [teczny.

(Wstaje).

Czem się zasłużył? co ten dzień uczynił,

Aby złotemi głoski w kalendarzu

Między wysokie pory był wpisany?

Raczej wyrzucie precz ten dzień z tygodnia,

Ten dzień ucisku, hańby wiarołomstwa!

Lub, jeśli ma już zostać, niech kobiety

Ciężarne proszą, by w nim nie rodziły,

By płód ich nie był w potwór wykrecony;

Niech żeglarz w dniu tym lęka się rozbicia;

Niech żaden układ się nie zrywa, tylko

W dniu tym zawarty, niechaj źle się skończy

Wszystko, co tylko w dniu tym się poczęło,

I sama wiara niech się w fałsz zamieni.

Król Filip. Dla Boga! Pani moja! bez przyczyny

Przeklinasz piękne tego dnia układy.

Daję ci w zakład wiary mój majestat?

Konstancya. Tyś mię oszukał marą, coś podobną

Do majestatu; lecz w dotknięciu ona

W próbie wypadków częściej się okazała.

Tyś złamał wiarę, tyś krzywoprzysięzca.

Z orężem szedłeś przelać krew mych wrogów,

A teraz zbrojny wzmacniasz ją krwią swoją.

Rycerski zapał, dzika groźba wojny,

Ostygła w związkach przyjacielskich, znikła

W tym ubarwionym mirze; a mój ucisk

Zapieczętował tę bezbożną ligę.

Wy się uzbrojcie, nieba, przeciw królom

Krzywoprzysiężcom — wdowa do was woła!

Ty, niebo, bądź mi mężem. Niech godziny

Tego dnia hańby wyczerpują wszystkie

Chwile pokoju, i nim słońce zajdzie,

Postaw niezgodę zbrojną między tymi

Krółmi bez wiary! — O, wysłuchaj wdowy!

Arcyksiężę austriacki. Cicho, Konstancyo! pokój...

Konstancya.

Wojna, wojna,

Nie pokój. Pokój, jest to dla mnie wojna.

Ty, Austriaku! ty przydajesz hańbę

Tym krwawym łupom. Niewolniku! tchórze!

Drobnutki w męstwie, a w podłości wielki!

Rycerzu szczęścia, co nie walczysz nigdy!

Chyba, że łaska damy twej, fortuny,

Jest tuż i powie ci, że tam bezpiecznie,

Tyś także złamał wiarę i pochlebiasz

Wielkości. Jakiż z ciebie głupiec! jaki

Nikczemny głupiec! Tyś się chwalił, tupał

Nogami, partyi mojej poprzysięgał,

Tyś grzmiał, jak piorun, w moją korzyść, chciałeś

Być mym rycerzem, kazałeś polegać

Na twojej gwieździe, szczęściu twem i sile,

Teraz przechodzisz do mych nieprzyjaciół?

Lwią skórę nosisz? — zdejm ją precz ze wstydu,

Cielęcą skórą okryj podłe członki.

Arcyksiążę austriacki. Gdyby mężczyzna śmiał mi to po-
[wiedzieć!]**Bękart.** Cielęcą skórą okryj podłe członki!**Arcyksiążę austriacki.** Nie śmiej powtórzyć, pod utratą
[życia!]**Bękart.** Cielęcą skórą okryj podłe członki!**Król Jan.** Nie lubię tego — ty się zapominasz.*(Wchodzi Pandulf).***Król Filip.** Otóż papieski legat ku nam idzie.**Pandulf.** Pozdrawiam, witam pomazańców bożych.

Do ciebie, królu Janie, me poselstwo.

Pandulf, kardynał w pięknym Medyolanie,

Obecnie legat Innocencjusza

Papieża, w jego imię pytam ciebie,

Dlaczego Kościół, świętą matkę naszą,

Umyślnie drażnisz? i Stefana Langton,

Który wybrany już arcybiskupem

Kantorberyjskim, od stolicy jego

Siłą odsuwasz? O to ciebie pytam

W imię papieża, wyżej rzeczonoego

Ojca świętego Innocencjusza?

Król Jan. Jakżeż to imię ziemskie może zmusić

Wolną pierś króla, pomazańca, stanąć

Do odpowiedzi? I ty, kardynale,

Z trudem zmyśliłbyś imię nikczemniejsze,

Bardziej niegodne, śmieszne, niż to imię

Twojego papieża. Idź i to mu powiedz,

Powiedz od króla Anglii. Jeszcze przydaj:

Że żaden włoski książd, tam, gdzie my władniem,

Ceł i dziesięcin mieć nie będzie. Ale

Jak my, po Bogu, tam najwyższa głowa

Tak, pod Nim tylko, tę najwyższą władzę

Chcemy w swem państwie utrzymywać sami,

I bez pomocy czyjejbądź na ziemi.

Tak papieżowi powiedz, cześć na stronę

Jemu i jego przywłaszczonej władzy

Król Filip. Bluźnisz tą mową, bracie Janie!**Król Jan.**

Chociaż

Ciebie i wszystkich królów chrześcijaństwa

Prowadzi za nos książd ten wściski; chociaż

Drżycie przed kłatwą, którą pieniądz niszczy;

Na wagę złota kupujecie podłą

Rdzę, proch, sprzedajny odpust, od człowieka,

Co w tej sprzedaży własnem przebaczeniem

Z wami frymarczy; choć ty wraz z innymi

Grubo zwiedziony tuman ten kuglarski

Karmisz dochodem: ja się sam sprzeciwie

Jemu i wszystkich tych, których on mam,

Poczytam swymi nieprzyjaciółami.

Pandulf. Tak więc w moc władzy, prawem mi nadanej,

Jesteś przeklętym i wyklętym. Niechaj

Błogosławionym będzie, który śmiało

Przeciw kacerza władzy bunt podniesie;

Pełną zasługi niechaj będzie ręka,

Świętym niech będzie, kanonizowanym

Ten, kto uprzętnie jaką tajną drogą

Twe nienawistne życie.

Konstancya.

O! pozwólcie,

Niech i ja z Rzymem prawnie go przeklinam.

Ty, ojcie kardynale, wołaj amen

Przekleństwu memu. Bo bez mojej krzywdy

Niema języka, coby miał dość mocy

Dobrze go przekląć.

Pandulf.

Moją kłatwę, pani,

Wspiera i prawo i umocowanie.

Konstancya. I moją także. Jeśli u was prawo

Nie daje krzywdzie zadośćuczynienia,

Niech prawem będzie to, że nieprawościom

Nie kładzie tamy. Prawo tu nie może
Synowi memu oddać jego państwa;
Bo ten, co państwem włada, rządzi prawem.
Jeśli więc prawo pełnem jest bezprawiem,
Niech językowi memu kłać nie broni.

Pandulf. Filipie! królu Francyi! bądź ostrożnym;
Pod karą kłatwy puść kacerza tego
Rękę; potęgą twoją niechaj spada
Na jego głowę, jeśli się nie podda
Pod władzę Rzymu.

Eleonora. Zbladłeś, królu Francyi!
Nie puszczaj ręki jego.

Konstancya. Dyable! zważaj,
By Francya tego nie pożałowała.
Przez rozłączenie rąk tych jedną duszę
Piekło utraci.

Arcyksiążę austriacki. Słuchaj kardynała,
Królu Filipie!

Bękart. I cielecą skórą
Okryj nikczemne członki jego.

Arcyksiążę austriacki. Dobrze,
Hultaju! Teraz muszę do kieszeni
Schować tę krzywdę.

Bękart. Bo najśnadniej ona
W twe spodnie wezie.

Król Jan. Cóż kardynałowi
Powiesz? Filipie!

Konstancya. Powie, co kardynał
Jemu.

Ludwik. Mój ojcie! pomyśl. Tu różnica
Wielka. Nabywasz ciężką kłatwę Rzymu,
Lub tracisz lekką przyjaźń Anglii. Ojcie!
Wybierz, co mniejsze.

Blanka. To jest, kłatwę Rzymu,
Konstancya. Ludwiku! mężnie! Dyabeł ciebie kusi
W postaci pięknej i niepokornej żony.

Blanka. Mówisz, Konstancyo, nie jak wiara każe,
Lecz jak potrzeba radzi.

Konstancya. Gdy przyznajesz,
Że mam potrzebę, która stąd powstała,
Że wiara znikła; wiedz, że ta potrzeba
Takiego trzyma się prawidła: wiara
Ożyje znowu, gdy potrzeba umrze,

Zniszcz tę potrzebę, wiara się podniesie,
Podnieś ją, wiara padnie podeptana!

Król Jan. Król jest wzruszony i nie odpowiada.

Konstancya. Oddziel się oddziel, i odpowiedz dobrze.

Arcyksiążę austriacki. Tak uczyni, królu! nie trwaj w za-
[wieszeniu.

Bękart. Nic nie zawieszaj, prócz cielecej skóry.

Król Filip. W tem zagmatwaniu nie wiem, co powiedzieć.

Pandulf. Cokolwiek powiesz, bardziej cię zagmatwa,

Jeśli przeklętym będziesz i pod kłatwą.

Król Filip. Wielebny ojcie! stań na mojem miejscu,

I powiedz, jakbyś sam się znalazł. Nasze

Królewskie ręce tylko co złęczone,

Naszych serc związek w ligę nas skojarzył,

Ożenił, skował wzajem, on wzmocniony

Świętej przysięgi religijną mocą.

Ostatnie tchnienie, co dźwięk dało słowu,

Było przysięgą wiary i przyjaźni,

Było pokoju głosem i miłości

Miedzy królestwy i pomiędzy nami.

Niedawno przed tem sprzymierzeniem, tylko

Cośmy zdobili ręce umyć, aby

Mir ten uderzyć; a wiadomo niebu,

Jak zawałane były, jak je szczerzył

Pędzel bitw, którym zemsta krwią maluje

Straszną niezgodę królów zagniewanych.

Mają-ż te ręce, tylko co obmyte

Ze krwi, niedawno w przyjaźni połączone,

I silne w obu, rzec się i odrzucić

Tę piękną zdobycz i ten żal szlachetny?

Tak igrać z wiara i żartować z niebem?

Robić z nas płocze dzieci, byśmy znowu

Wydarli rękę z ręki, odprzysięgli

Raz przysiężoną wiarę, i w małżeńskie

Łoże pokoju, który się uśmiecha,

Wwiedli orężne hufce, a na jasnym

Czole szczerości wrzawę obudzili?

Wielebny ojcie! nie, niech tak nie będzie!

O, racz wymyślić, racz nam dać łaskawszy

Rozkaz. Szczęśliwi będziem, że i wolę

Rzymu spełnimy i zostaniem w zgodzie!

Pandulf. Puste są wszystkie formy, czcze rozkazy,

Prócz tego, który prosto się sprzeciwia

Przyjaźni z Anglią. Dalej więc do broni!
 Rycerzem bądź Kościoła, lub inaczej
 Kościół, ta matka nasza, rzuci kłtwę
 I przeklnie kłtwą macierzyńską ciebie,
 Zbuntowanego syna. Królu Francyi!
 Łatwiej ci ująć język węża, łatwiej
 Uchwycić łapę lwa uwięzionego
 I ząb tygrysa, który pościł, niżli
 W pokoju trzymać rękę, którą trzymasz.
Król Filipp. Mogę oddzielić rękę, nie zaś wiarę.
Pandulf. Robisz więc wiarę wrogiem wiary, jakby
 W domowej wojnie stawisz swą przysięgę
 Przeciw przysiędze, język swój naprzeciw
 Swego języka. O! wykonaj śluby,
 Którymiś wprzód się zobowiązał niebu,
 To jest, Kościoła wiernym być rycerzem.
 Coś potem przysiągł, przysiągłeś przeciwko
 Sobie, i przeto spełnić sam nie możesz.
 Bo jeśliś przysiągł złe uczynić, złe to
 Złem być przestaje, skoro robisz dobre.
 I znowu, kiedy czyn do złego zmierza,
 Nieczynność cnotą będzie i w niej prawda.
 W mylnych zamiarach środek jest najlepszy
 Znów się pomylić; bo gdy pierwsze krzywe,
 Nowem skrzywieniem musi się sprostować;
 Fałsz się uleczy fałszem, tak jak ogniem
 Studzi się ogień w żyłach rozpalonych
 Oparzonego. Wszystkie śluby swoje
 Stwierdzasz religią, a przeciw religii
 Sam się sprzysięgasz. Przeciw tej świętości
 Dałeś przysięgę, którą się zaklinasz,
 I kłtwę nową dajesz w zakład prawdy
 Przeciwko kłtwie. Gdy w wątpliwej sprawie
 Przysięgasz, klniesz się tylko, że nie będziesz
 Krzywoprzysięzczą. A inaczej, jakąż
 smieszłą igraszką byłaby przysięga?
 Tu cóżś przysiągł? — być krzywoprzysięzczą.
 I będziesz wielkim, jeśli tylko spełnisz,
 Coś im obiecał. Twój więc ślub ostatni,
 Gdy go porównasz z pierwszym, nic innego,
 Tylko bunt w tobie przeciw tobie. Tak więc
 Piękny odniesiesz tryumf, jeśli trwalszą
 I szlachetniejszą część samego siebie

Uzbroisz przeciw zgubnym tym podszeptom.
 Za tę część lepszą masz modlitwy nasze,
 Jeśli je przyjmiesz, jeśli nie, wiedz o tem,
 Że kłtwa nasza spadnie i na ciebie
 Tak ciężko, że jej otrząść nie potrafisz,
 Ale w rozpacz zginiesz pod jej wagą.
Arcyksiąże austriacki. Bunt! bunt otwarty!
Bękart. Jeszcze nie ma, ktoby
 Cielecą skórą gębę tobie zamknął.
Ludwik. Ojczy! do broni!
Blanka. W dniu twojego ślubu?
 Przeciw krwi, z którąś złączył swoją? Jakże?
 Więc z trupów ludzkich będzie ucztą nasza?
 Ma-ż grzmiąca trąba i krzykliwy bęben,
 Ten odgłos piekła, uczcić nasz obrządek?
 O mężu! słuchaj! Ach! jak w moich ustach
 Nowe to imię męża! Na to imię,
 Które mój język pierwszy raz wymawia,
 Tu na kolanach błagam, nie wznos broni
 Na mego wuja!
Konstancya. I ja na kolanach,
 Co od klęczenia już stwardniały, błagam,
 Delfinie, pełen cnoty, nie przemieniaj
 Wyroków nieba; to jest jego wola.
Blanka. Teraz obaczę miłość twoją, mężu!
 I cóż dla ciebie może być silniejszym,
 Jak imię żony?
Konstancya. To, co jego wznosi,
 Czem on i ciebie trzyma tak wysoko,
 Honor! — Twój honor, pomnij nań, Ludwiku!
Ludwik. Dziwię się, ojczy, że się zdajesz zimnym,
 Gdy tak wysokie pobudzają względy?
Pandulf. Ogłoszę kłtwę Rzymu.
Król Filipp. Nie potrzeba.
 Anglio! ja od ciebie odstępuję.
Konstancya. O piękny powrót chwały majestatu!
Eleonora. Brzydki francuskiej niestałości odstęp.
Król Jan. Francyo! żałować będziesz tej godziny
 Wprzód, nim minie.
Bękart. Gdy ów stary dzwonnik,
 Łysy zakrystyan, czas, pozwoli, Francya
 Żałować będzie.
Blanka. Słońce krwią zachodzi!

Bądź zdrow, dniu piękny! — Gdzież mam przejść? na
[którą

Stronę? należę obom. W obu wojskach
Mam jedną rękę. Gdy się chwycę obu,
Ich wir mię porwie i rozszarpać może.
Mężu! nie mogę błagać, byś zwyciężył,
Wuju! ja muszę błagać, abyś przegrał.
Ojcze! nie mogę tobie życzyć szczęścia,
Babko! nie mogę pragnąć, by się stało,
Czego ty pragniesz. Kto z was kolwiek wygra,
Ja zawsze tracę. Strata moja pewna,
Wprzód jeszcze, nim się wasza gra rozpocznie.

Ludwik. Przy mnie, księżniczko, szczęście twe spoczywa.

Blanka. Gdzie szczęście żyje, życie dogorywa.

Król Jan. Synowcze! śpiesz, zbierz wszystkie siły nasze.

(*Bękart wychodzi*).

Królu francuski! we mnie gore płomień;
Tu wściekłość, której pożar ma tę własność,
Że go nic zgasić, stłumić nic nie zdoła,
Tylko krew jedna, i to krew najdroższa,
Jaką ma Francya.

Król Filip. Wprzód cię ta wściekłość
Spali i w popiół zmieni, nim krew nasza
Płomień twój zgasi. Raczej myśl o sobie.
Wśród bitwy ślepa wściekłość nie obroni.

Król Jan. Ni ciebie groźba. — Dalej więc do bronii.

(*Wychodzą*).

SCENA II.

Tamże. Równina blisko Anzeru. Bitwa. Odwrót.

(*Wchodzi Bękart z głową Arcyksięcia austriackiego*).

Bękart. Jakem żyw, dzień ten staje się gorącym.

Jakiś powietrzny demon, ulatując,
Pod niebem, zlewa na dół wszystkie kłęski.
Ty, austriacka głowo, tu tymczasem
Poleż, dopóki Filip jeszcze żyje.

(*Wchodzi król Jan, Artur, Hubert*).

Król Jan. Hubercie! pilnuj tego chłopca. — Dokończ,
Filipie! Matka moja obłożona
W swoim namiocie, i być może wzięta.

Bękart. Już uwolniona. Jej królewskiej mości
Nic się nie stanie; nie bój się, mój królu!
Lecz naprzód, królu, naprzód! bo niewielka
Praca uwieńczy nasze chlubne dzieło.
(*Wychodzą*).

SCENA III.

Tamże. Bitwa. Ustęp.

(*Wchodzi król Jan, Eleonora, Artur, Bękart, Hubert i lordowie*).

Król Jan. Niech i tak będzie. Matko! zostań z tyłu
Pod silną strażą. Nie patrz-że tak smutno.
Synowcze! Babka kocha ciebie, stryj twój
Kochać cię będzie, jak cię kochał ojciec.

Artur. Ach! moja matka umrze pod tym smutkiem!

Król Jan (*do Bękart*). A ty, synowcze, śpiesz do Anglii,
[żywo,

Nim my przybędziem, potrząś dobrze worki
Łakomych księży. Wypuść mi na wolność
Wszystkie aniołki uwięzione. Niechaj
Tłuste pokoju zebra głód nasz karmią.
Z zupełną mocą władzy mej używaj.

Bękart. Nie mnie odstraszy książka, dzwon i świeca,
Niech tylko złoto zwabi albo srebro.
Żegnam cię, królu! — Babko! jeśli kiedy
Przyjdzie mi na myśl zostać świętym, będę
Modlił się także i za twe zbawienie,
Tymczasem rączki twe całuję.

Król Jan. Jedź zdrow.
(*Bękart wychodzi*).

Eleonora. Chodź-no tu, wnuczku! coś ci powiem.
(*Odprawdza na stronę Artura*).

Król Jan. Chodź tu
Do mnie, Hubercie!... Dobry mój Hubercie!
Myśmy ci dłużni. W tem więzieniu z ciała
Jest dusza, która cię dłużnikiem mieni
I miłość twoją z lichwą chce zapłacić.
O przyjacielu! chętna twa przysięga
Żyje w twojej piersi, w niej się wiernie chroni.
Daj mi twą rękę. Chciałem coś powiedzieć...

Ale odłożę to do lepszej chwili.

Niebo mi świadkiem, że się prawie wstydzę

Wyznać, jak wiele cenię cię, Hubercie!

Hubert. Wiele ci wdzięczny, najjaśniejszy panie!

Król Jan. Nie, przyjacielu! dotąd jeszcze nie masz

Przyczyny być mi wdzięcznym, lecz mieć będziesz.

Choć czas leniwy, przyjdzie jednak pora,

Co mi pozwoli dobrem ci odpłacić.

Chciałem coś mówić... ale dajmy pokój.

Słońce na niebie, dzień zbyt jasny, całym

Orszakiem uciech światła okrążony,

Nadto dziś świetny, nadto strojny, aby

Mógł mię wysłuchać. Gdyby dzwon północy

Twardym językiem i miedzianą gębą

Ogłosił pierwszą śpiącym tworom ziemi;

Gdyby to cmentarz był, gdzie my stoimy,

A ty tysiączną troską ugryziony;

Gdyby ponury duch melancholii

Krew w tobie zwarzył, zrobił gęstą, ciężką,

Aby nie ciekła w żyłach techcąc, aby

Ten głupiec, uśmiech, nie był w ludzkim oku,

Ni pusta radość w twarzy (jej nie lubią

Zamiary moje); albo gdybyś mógł mię

Widzieć bez oka i bez ucha słyszeć,

I bez języka dać mi twą odpowiedź;

Gdybyś mógł użyć jednej tylko myśli

Bez oczu, uszu i niebezpiecznego

Dźwięku wyrazów, mimo baczna czujność

Dnia, w twoje łono przelałbym swe myśli.

A teraz... nie chcę. Przecież ja cię kocham,

I prawie pewny, że i ty mię kochasz.

Hubert. Tak, królu, że jeżeli co rozkażesz,

Choćby śmierć była w treści tego czynu,

Który mam spełnić, Bóg mi świadkiem, spełnię.

Król Jan. Czyż nie wiedziałem o tem? O, Hubercie,

Dobry Hubercie! rzuć-no tylko okiem

Na tego chłopca... Chcę ci coś powiedzieć,

Mój przyjacielu! Chłopiec ten, to istny

Wąż na mej drodze; gdziekolwiek noga

Moja stąpiła, on tam wszędzie leży,

Czyś mię zrozumiał?... jesteś jego stróżem.

Hubert. Tak go strzedz będę, że ci więcej, królu,

Przykrym nie będzie.

Król Jan.

Śmierć!

Hubert.

Co mówisz? panie!

Król Jan. Grób.

Hubert.

Żyć nie będzie.

Król Jan.

Dosyć. Teraz znowu

Możę być wesół. Kocham cię, Hubercie!

Nie chcę ci mówić, jakie względem ciebie

Moje zamiary... lecz pamiętaj o tem.

Eleonora. Błogosławieństwo moje weź na drogę.

Król Jan. A ty, synowcze, jedź do Anglii. Hubert

Będzie twym stróżem; będzie cię pilnował,

Jak mu powinność każe. — Precz, do Kale.

(*Wychodzą.*)

SCENA IV.

Tamże. Namiot króla francuskiego.

(*Wchodzi król Filip, Ludwik, Pandulf i orszak.*)

Król Filip. Na pełnem morzu burza rozszożona

Rozniosła flotę poszarpanych żagli

I uzbrojenie całe rozsypała.

Pandulf. Nie trać odwagi, wszystko pójdzie dobrze.

Król Filip. Co ma pójść dobrze, kiedy wszystko poszło

Źle, źle! Czy wojsko nie jest zwyciężone?

Anżer nie odpadł? Artur czy nie wzięty?

I przyjaciele mężni nie ubici?

Czy król angielski nie odpłynął, wszystkie

Szranki zwaliwszy na złość, na wstyd Francyi?

Ludwik. I to, co zdobył, umocował. Taka

Szybkość gorąca i roztropna, taki

Jasny porządek w sprawie tak burzliwej,

Był bez przykładu. Słyszał-że kto kiedy,

Czytał o bitwie takiej, jak dzisiejsza?

Król Filip. Zniósłbym z ochotą te pochwały Anglii,

Gdyby był przykład i dla naszej hańby.

(*Wchodzi Konstancya.*)

Lecz patrzcie, kto to idzie? — grób dla duszy,

Co w swem więzieniu ciasnem i duszącem

Wiecznego ducha mimowoli trzyma. —

Proszę cię, pani, oddał się stąd ze mną.

Konstancya. Patrzcież, o, patrzcie, co wasz pokój zrobił!

Król Filip. Pociesz się, dobra pani! bądź cierpliwa.

Konstancya. Żadnej pociechy nie chcę, żadnej rady,

Prócz tej, co kończy wszelką radę, jedną

Wierną pociechę — śmierć. O miła śmierci!

Zdrowa zgnilizno! wonny smrodzie! powstań

Z twojego łóża nieskończonej nocy!

Ty jesteś wstrętem i postrachem szczęścia.

Ja ucałuję twe bezeczne kości,

Swe oczy włożę pod twe brwi sklepię,

Twojem robactwem palce swe otoczę,

Prochem napelnię te oddechu wrota,

I jakby zgniłem stanę się straszylem,

Przyjdź, zgrzytnij do mnie — powiem, że się śmiejesz,

I pocałuję cię, jak żona. Wierny

Nędzy kochanku! przybądź, przybądź do mnie!

Król Filip. O piękny żalu! — uczisz się, Konstancjo!

Konstancya. Nie, nie chcę, póki jeszcze tchu mi stanie

Krzyzczeć i wołać. Gdyby mógł mój język

Być w ustach gromu, wstrząsnąłbym świat cały,

I wstałby ze snu ten bezeczny skwielet,

Którego słaby głos mój nie dochodzi,

Co gardzi zwykłem przyzywaniem.

Pandulf.

Pani!

Szaleństwo raczej, a nie żal wyrażasz.

Konstancya. Nie jesteś świętym, żeś mię tak okłamał.

Jam nie szalona. — Włosy, które szarpie,

Moje; nazywam się Konstancya; byłam

Gotfryda żoną; mały Artur syn mój...

Ale go nie ma. Nie, jam nie szalona,

Dałby nieba, żebym nią być mogła!

Wtenczasbym sama siebie zapomniała,

I zapomniła o swym wielkim bólu.

Wynajdź mi mądrość jaką, coby mogła

Odjąć mi rozum — kanonizowanym

Możesz być za to. Jam nie zwaryowała,

Ja czuję boleść moją; i mój rozum

Wymyśla tylko środki, jak jej pozbyć?

Uczy mię, czy się zabić, czy powiesić?

Gdybym waryatką była, syn mój znikłby

Z mojej pamięci, lub w szalonych marach

W lalce z gałganów mogłabym go widzieć.

Nie jestem ja waryatką — nadto czuję,

Jaki ból sercu każda klęska daje.

Król Filip. Zwiąż te warkocz. Jaką miłość widzę

W tem pięknem mnóstwie włosów! Gdzie przypadkiem

Srebrna upadła kropla, tam koło niej

Tysiące zbiera się przyjaciół, wiernych

Jak nierozdzielne serca, które w rozpalonej

Kłęsce wzajemnie wspomódz się starają.

Konstancya. Do Anglii, jeśli pragniesz.

Król Filip.

Zwiąż swe włosy.

Konstancya. Zwiążę... i powiem czemu. Rozpuściłam

Węzły mych włosów i wołałam głośno:

«Gdyby te ręce mogły tak wyzwolić

Syna, jak włosom tym swobodę dają».

Teraz zazdroszczę im wolności. Znowu

W ciasne, jak pierwej, więzy je skrępuję,

Bo moje dziecię w więzach. — Kardynale!

Kiedyś mówiłeś, że się obaczmy,

I że poznamy swych przyjaciół w niebie.

Jeśli to prawda, ja obaczę znowu

I moje dziecię; bo od urodzenia

Kaina, który pierwszym był chłopięciem,

Do tego, który ledwie wczoraj westchnął,

Tak miłe dziecko się nie urodziło.

Lecz teraz robak smutku zje mój pączek,

Wrodzoną piękność spędzi z jego lica;

On się spróchniałym stanie, jak są duchy;

Sinym i chudym, jak jest dreszcz gorączki,

I takim umrze, takim zmartwychwstanie;

I gdy na dworze niebios z nim się spotkam,

Ja go nie poznam. — Tak więc nigdy więcej,

Nigdy Artura mego nie obaczę.

Pandulf. Nadto okropnym czynisz widok smutku.

Konstancya. Ten, co tak mówi, nie był nigdy ojcem.

Król Filip. Równie swój smutek kochasz, jak swe dziecię.

Konstancya. Smutek zajmuje miejsce mego dziecka,

W łóżeczku jego leży, chodzi ze mną,

Jego oczkami patrzy, i powtarza

Jego wyrazy; on mi przypomina

Wdzięczne przymioty jego, on wypełnia

Jego kształtami suknie, co zostały.

Mam-że powody kochać się w mym smutku? —

Bywaj zdrów. Gdybyś ty utracił tyle,

Ile ja, lepiejbym cię pocieszała.

(Zrywa ubranie z głowy i rzuca).

Ale do czegoż stroje te na głowie,
Gdy tam, w mej myśli, wszystko rozstrojone?
O Boże! moje dziecię! mój Arturze!
Życie! radości moja! mój pokarmie!
Pociecho wdowy! smutków mych lekarstwo!

(*Wybiega*).

Król Filip. Boję się o nią — i pośpieszyć muszę.

(*Wychodzi*).

Ludwik. Nic na tym świecie cieszyć mię nie może.

Życie jest równie tęsknem, jak po dwakroć
Słyszana powieść, która dręczy uszy
Skłaniającego się do snu słuchacza.
Gorzki wstyd odarł świat ze wszystkich wdzięków,
Że nic nie daje, tylko wstyd i gorzyc.

Pandulf. Kiedy choroba ciężka nas opuszcza,

I już do zdrowia przychodzimy, bywa
Najnieznośniejszą. Złe, kiedy nas żegna,
Największem nam się wówczas złem wydaje.
Cóżś utracił, tracąc dzień dzisiejszy?

Ludwik. Wszystkie dni chwały, szczęścia i radości.

Pandulf. Takby to było, gdybyś był zwycięzcą.

Nie — gdy fortuna nam najwięcej sprzyja,
Natenczas groźnem okiem na nas patrzy.
Rzecz dziwna! ile w tem król Jan utracił,
Co mu tak świetną zdaje się wygraną?
Czyś nie zmartwiony, że on wziął Artura?

Ludwik. Równie serdecznie, jak on się weseli.

Pandulf. Twój umysł równie młody, jak krew twoja.

Słuchaj więc, co w prorockim duchu powiem.
Bo nawet tchnienie słów, które mam mówić,
Zdejmie proch, każde żdźbło, przeszkodę każdą
Z tej ścieżki, co cię prosto zaprowadzi
Na tron angielski. Słuchaj i uważaj.
Jan wziął Artura. — Póki życie igra
W żyłach chłopczyka tego, być nie może,
By tenże Jan, co nie jest na swem miejscu,
Miał choć godzinę, chociażby minutę,
Choć jedną chwilkę ciszy i pokoju.
Berło chwycone gwałtem, gwałtem tylko
Zachować można, a kto postawiony
Na ślizkim gruncie, nie wybiera środków
Choć najpodlejszych, byle się utrzymał.

Gdy Jan ustoi, Artur musi upaść.

Tak będzie, bo inaczej być nie może.

Ludwik. I cóż ja zyskam, kiedy Artur padnie?

Pandulf. Na mocy praw twojej żony, Blanki, możesz

W miejsce Artura wejść z pretensją swoją.

Ludwik. I stracić wszystkie prawa, razem z życiem.

Pandulf. Jakżeś ty młody w tym, tak starym świecie!

Jan ci zasadzki stawia, a na odwrót

Czas się sprzysięga z tobą przeciw niemu.

Kto całość swoją w wiernej krwi umoczył,

Znajduje całość krwawą i niewierną.

Ten czyn, którego matką zbrodnia, serca

Ludu ostudzi i gorliwość zmrozi,

Że niech się zdarzy drobna okoliczność,

Zachwiać tron jego będzie pożądaną.

Niechaj zwyczajny wyziew się pokaże,

Niech wiatr zaszumi, dzień zanoszą chmury,

Niechaj cokolwiek zdarzy się w naturze —

Nie dopuszczając zwykłej, naturalnej

Przyczyny, nazwą to zjawieniem, cudem,

Znakiem, prorocstwem i językiem nieba,

Że zemsta bliska wkrótce nań upadnie.

Ludwik. Może nie targnie się na życie dziecka,

Ale w bezpiecznem mając je więzieniu,

Siebie tem samem zabezpieczy.

Pandulf.

Księżę!

Skoro usłyszysz o twem przybliżeniu,

Jeżeli wówczas Artur żyłby jeszcze,

Na sam ten głos zginie. Wtenczas serca

Całego ludu przeciw niemu wstaną,

Uściskiem nową zmianę powitają,

I silny powód buntów i wściekłości

Wycisną z palców zakrwawionych Jana.

Jakbym już widział tumult ten na nogach!

I cóż lepszego snuje się dla ciebie,

Jak to, com mówię? Fokonbrydż, ten bękart,

Jest teraz w Anglii, grabi tam kościoły,

Wszelką bliźniego miłość obrażając.

Tuzin Francuzów, gdyby był pod bronią,

Jak wabik jaki, zwołałby do siebie

Dziesięć tysięcy Anglików niechętnych.

Tak grudka śniegu, gdy się na dół toczy,

Staje się górą. — O delfinie! pójdźmy

Razem do króla. — Dziw, jak wiele rzeczy
 Da się wyrobić z tych okoliczności!
 Gdy serca wszystkich jeszcze pełne gniewu,
 Śpieszcie do Anglii. Ja pobudzę króla.
Ludwik. Silne dowody rodzą wielkie czyny.
 Idźmy — ty radzisz, ojciec mi nie wzbroni.
(Wychodzą).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Northampton. Pokój w zamku.

(Wchodzi Hubert z dwoma sługami).

Hubert. Rozpalcie to żelazo i tam stańcie
 Za tem obiciem. Skoro tupnę nogą,
 Natychmiast razem wypadniecie obaj
 I przywiążecie chłopca, który będzie
 Ze mną, do tego krzesła. Bądźcie baczni.
Pierwszy sługa. Za ten czyn ty sam będziesz nam poręką?

Hubert. Głupi twój skrupuł. Nie bój się, a słuchaj.
(Słudzy wychodzą).

Wyjdź tu, chłopczyku! pragnę z tobą mówić.

(Artur wchodzi).

Artur. Dobry-dzień ci, Hubercie!

Hubert. O! dobry-dzień,
 Mój mały książę!

Artur. Chociaż mały książę,
 Mam jednak więcej prawa, niżby trzeba,
 Być więcej niżli księciem. — Smutnyś?

Hubert. Tak jest.
 Byłem weselszym.

Artur. Biada mi! Ja myślę,
 Że prócz mnie, smutnym nikt być nie powinien.
 Jednak pamiętam, kiedyś byłem we Francji,
 Młodzi panowie byli, jak noc, smutni
 Z pustoty tylko. — Jakem chrześcijanin,
 Odybym w więzieniu nie był, a paść owce,
 Cały dzień Boży byłbym tak wesołym!
 Nawet tu byłbym wesoły, tylko, widzisz,

Lękam się, że mój stryj coś złego myśli.
 On się mnie boi, ja się jego boję.
 Mojaż to wina, że ja syn Gotfryda?
 Nie moja? prawda? — Dałby Pan Bóg, żebym
 Twoim był synem, gdybyś chciał mię kochać.
Hubert *(do siebie)*. Jeśli z nim gadać zacznę, to niewinne
 Paplanie jego zbudzi we mnie litość,
 Która umarła leży. Dalej, śpiesznie!
 Trzeba być nagłym.

Artur. Czyż nie chory? — dzisiaj
 Błado wyglądasz. Ja, doprawdy, chciałbym,
 Żebyś był trochę chorym, bym przy tobie
 Siedział noc całą i nad tobą czuwał.
 Bo ja cię więcej kocham, mój Hubercie,
 Niż ty mnie.

Hubert. Jego słowa biorą górę
 Nad sercem — Czytaj to, Arturze! *(Do siebie)*. Precz stąd,
 Ty głupia wodo! ty wypędzasz za drzwi
 Straszna katuszę. — Niema co odkładać.
 Inaczej cały zamiar mój wycieknie
 Z miękkimi łzami. — Cóż? czy nie wyczytasz?
 Czy nie czytelne pismo i nie piękne?

Artur. Zanadto piękne dla tak brzydkiej sprawy.
 Musisz więc oba oczy moje wypiec
 Żelazem rozpalonem?!

Hubert. Muszę, chłopcze!

Artur. I chcesz?

Hubert. Chcę.

Artur. Będziesz-że miał tyle serca?

Kiedy cię tylko głowa zaboląła,
 Obwiązywałem skronie twoje chustką,
 I to najlepszą, jaką miałem. (Księżna
 Dla mnie ją szyła). Nigdy potem o nią
 Ani zapytał. Rękę swą trzymałem
 Wśród nocy na twem czole, i jak czujne
 Minuty gonią naprzód swą godzinę,
 Równiem zachęcał czas leniwy w biegu,
 Pytając: czego ci potrzeba? gdzie cię
 Boli? czy mogę czem ci się przysłużyć?
 Niejeden syn biedaka takby cicho
 Przy tobie leżał, anibys usłyszał
 Słówka miłości, a ja, syn książęcy,
 Jam ci w chorobie wiernie usługiwał!

Możesz pomyśleć, że ta miłość moja
Była udaną, nazwiesz ją chytrą...
Jeśli chcesz — nazwij. Jeśli taka wola
Nieba, że musisz krzywdę mi wyrządzić,
Co robić? wyrządź. — Chcesz więc oczy moje
Zgasić? te oczy, co na ciebie nigdy
Źle nie spojrzały i nie spojrzą nigdy?

Hubert. Przysiągłem, muszę... tak jest, rozpalonem
Żelazem muszę wypieć twoje oczy.

Artur. O! niktby tego nie uczynił, gdyby
Wiek tak żelaznym nie był. I żelazo
Do czerwoności rozpalone, gdy się
Do ócz mych zbliży, moich łez napije,
Gniew swój gorący zgasi i ostygnie
W tym czystym płynie mojej niewinności,
I potem rdzą się strawi, że na krzywdę
Ócz moich ogień w swoim łonie tliło.
Będziesz-że twardszym, niżli stal? O! gdyby
Anioł zszedł do mnie, gdyby mi powiedział,
Że Hubert oczy mi wypali, jaby
Wierzyć mu nie chciał i nikomu, tylko
Tobie jednemu.

Hubert. (*Tupa nogą — słudzy wchodzą z żelazem*). Róbcie,
[com wam kazał.

Artur. Ratuj! Hubercie! ratuj! — na sam widok
Tych krwawych ludzi oczy moje gasną.

Hubert. Dajcie żelazo — związać go — mówiłem.

Artur. Ach! pocóż masz być tak gwałtownie dzikim!

Ja się nie ruszę, będę stał jak kamień.
Na miłość Boską, nie wiąż mię, Hubercie!
Słuchaj, Hubercie! wypędź precz tych ludzi,
A ja tu cicho legnę, jak baranek;
Ani drgnę, ani słowa nie wymówię,
Ni na żelazo z gniewem nie popatrzę;
Tylko tych ludzi wypędź, ja ci chętnie,
Chętnie przebaczę wszystkie te katusze.

Hubert. Idźcie, tam stojcie — ja z nim sam zostanę.
Pierwszy sługa. Lepiej, im dalej od takiego czynu.

(*Wychodzą*).

Artur. Ach! wypędziłem przyjaciela mego.
Wzrok jego dziki, lecz łagodne serce.
Pozwól mu wrócić — może litość jego
Ożywi twoją.

Hubert. Gotuj się, chłopczyku!

Artur. Więc niema środka?

Hubert. Niema, prócz utraty
Oczu.

Artur. O nieba! gdyby w twoim oku
Było maleńkie ziarno, proszek, muszka,
Gdyby wpadł włos, lub czemkolwiek innym
Był uszkodzony zmysł ten drogi, wtenczas
Czuąc sam, jaki ból gwałtowny daje
Rzecz najdrobniejsza, uczułyś dopiero,
Jak jest okropnym twój niegodny zamiar.

Hubert. Tożes obiecał? Milcz i siadaj prędzej.

Artur. Hubercie! mowmy dwóch języków mało
Dla obronienia pary oczu. Przebóg!
Nie każ mi milczeć, nie każ, mój Hubercie,
Lub gdy chcesz, wyrwij język, byle oczy,
Oczy zostały... Oszczędź moje oczy,
Choć na to tylko, bym na ciebie patrzył.
Patrz! to narzędzie nawet już ostygło,
Nie może szkodzić.

Hubert. Znowu je rozgrzeję.

Artur. Nie, nie, doprawdy. Ogień zgasł ze smutku,
Że, dany na to, aby był pomocą,
Miał dla męczarni być użytym. Patrzaj,
Już i ten węgiel z gniewem się nie żarzy;
Niebieskie tchnienie zdęło ducha złości
I popiół żalu po nim posypało.

Hubert. Ja mojem tchnieniem mogę go ożywić.

Artur. Jeśli to zrobisz, on się zarumieni,
I za twą czynność spłoni się od wstydu;
A może prysnie iskrę tobie w oczy,
Jak pies, którego pan do walki pędzi,
Chwyta zębami tego, co go szczuje.
Wszystko, Hubercie, czem mi szkodzić miałeś,
Nie chce ci służyć. W tobie tylko niema
Litości, jako w ogniu i w żelazie,
Choć może one do niemiłosińnych
Celów stworzone.

Hubert. Żyj więc, żyj i patrzaj.

Za wszystkie skarby twego stryja oczu
Twoich nie dotknę. Przecież poprzysiągłem,
I byłem gotów wypieć je żelazem.

Artur. Teraz podobny jesteś do Huberta;

Dotąd przebranyś byłeś.

Hubert. Cicho — stryj twój

Niechaj o niczem nie wie. Tyś już umarł.

Tych gburów szpiegów napcham pogłoskami.

A ty, mój miły chłopcze, śpij spokojnie,

Pewny, że Hubert ciebie nie obrazi

Za wszystkie skarby świata.

Artur. Nieba!... dzięki!

Dzięki! Hubercie!

Hubert. Cicho! ani słowa!

Wyjdź tajnie ze mną. Dla miłości twojej

Niemalą burzę ściągam na swą głowę. *(Wychodzą.)*

SCENA II.

Tamże. Sala w pałacu.

(Wchodzi król Jan w koronie, Pembrok, Salisbury i inni lordowie. Król siada na tronie.)

Król Jan. Znów więc tu siedzim, znów koronowani,

Pewni, że widok ten wam wszystkim miły,

Pembrok. Tak ci się, królu, podobało; wszakże

To »znowu« było nadto. Już raz byłeś

Koronowanym. Nikt ci nie zaprzeczał

Godności twojej królewskiej; wiara twoich

Poddanych buntem się nie naruszyła,

Nowe nadzieje nie zmały kraju

Widokiem zmiany lub lepszego stanu.

Salisbury. Zatem podwójną robić uroczystość,

Umacniać tytuł już i tak bogaty,

Pozłacać złoto, lilie malować,

Łać na fiołek wonie, lód wygładzać,

Przydawać nowe farby do kolorów

Tęczy, i światłem świec chcieć przyozdobić

Gwiazdziste niebo, jest to zbytek, królu,

Zarówno śmieszny jak i niepotrzebny.

Pembrok. Wola twa, królu, była wykonana;

Lecz akt ten, wierz mi, bardzo był podobny

Starej powieści znów opowiedzianej,

Która tem nieznośniejszą się wydaje,

Że powtórzona z musu i nie w porę.

Salisbury. Tym to sposobem starożytne lice

Dawniejszej formy krzywi się i psuje;

Zmienia się, skręca bieg zwyczajny myśli,

Jak gdy pod żagiel wiatr ukośny wpadnie;

Wszelka rozważa od przestrachu ginie,

Zdrowe opinie robią się choremi,

A prawda podejrzaną, gdy na siebie

Wdziewa tak nową i dziwaczną suknię.

Pembrok. Kiedy rzemieślnik pragnie zrobić lepiej

Niż dobrze, chciwość rządzi nim, nie dowcip;

I często bardzo wymawianie winy

Robi tę winę cięższą przez wymówkę;

Jak łątka, kiedy kładzie się na dziurkę,

Jest widoczniejszą, kryjąc niedostatek,

Niż niedostatek, nim był załataną.

Salisbury. Ten to cel miała nasza rada, królu,

Przed tą powtórnią koronacją twoją;

Ale ponieważ ci się podobało

Nie zważać na nią, nam się zadość stało:

Albowiem wola wszystkich i każdego

Musi ustąpić przed najwyższą wolą.

Król Jan. Niektóre tej podwójnej koronacyi

Przyczyny jużem wam objawił. Mam je

Za ważne; o ważniejszych jeszcze powiem,

Gdy strach mój przejdzie. Teraz zaś was pytam:

Jakiej reformy chcecie i ulepszeń?

Bo obaczycie, z jaką dobrą wolą

Życzeniom waszym zadość się uczyni.

Pembrok. Więc ja (wybrany, abym był językiem

Dla wyjaśnienia myśli tu obecnych)

Równie za siebie, jak i za nich, (ale

Bardziej w imieniu bezpieczeństwa twego,

Które jest celem wszystkich) z serca żądam,

Ażebym Artur był oswobodzonym.

Jego niewola wiele ust niechętnych

Pobudzi do mrużenia. Rzekną słusznie:

Jeśli posiadasz prawnie, co w pokoju

Posiadasz, skądże trwoga, która zwykle

(Jak oni mówią) towarzyszy krzywdzie?

Czemu w więzieniu twój nieletni krewny

W niewiadomości traci dni najlepsze,

I pozbawiony wszelkich zacnych ćwiczeń?

Tak, żeby czasów tych nieprzyjaciele

Nie korzystali z tej okoliczności,
Pozwól się prosić, żeś nam sam rozkazał
Jego swobody się domagać. Nasze
Dobro o tyle tylko mam na względzie,
O ile nasze dobro od twojego
Całkiem zależy. — Niech więc będzie wolnym.

Król Jan. Niech będzie — młodość jego wam polecam.

(*Wchodzi Hubert*).

Hubercie! powiedz, co tam masz nowego?

Pembrok. Ten człowiek miał wykonać krwawą czynność.

Pełnomocnictwo widział mój przyjaciel.

Obraz występuku szpetny, nienawistny

Jest w jego oczach. Ta zamknięta postać

Zdradza złe myśli niespokojnej duszy.

Boję się zatem, czy już nie wykonał

Zleceń, o których z drżeniem wspominamy!

Salisbury. Twarz króla mieni się, i patrz, jej farba

Idzie i wraca ciągle od sumienia

Do przedsięwzięcia, jakby herold jaki

Pomiędzy dwoma strasznymi wojskami.

Namiętność już dojrzała, musi pęknąć.

Pembrok. Jak pięknie, boję się, czy nie wyleje

Zgnilizny śmierci niewinnego dziecka.

Król Jan. Wstrzymać nie możemy silnej ręki śmierci.

Chociaż chęć nasza zadość wam uczynić

Trwa — cel próśb waszych, Artur, już nie żyje.

Właśnie mi doniósł, że tej nocy umarł.

Salisbury. Zaiste, baliśmy się, że choroba

Jego nieuleczona.

Pembrok. I to także

Wiemy, jak blizkim śmierci był ten chłopiec

Wprzódy, nim jeszcze mógł się poczuć chorym.

Za takie sprawy jest odpowiedzialność

Tu lub tam.

Król Jan. Czemu na mnie wytyżacie

Ten wzrok tak uroczyście? czy myślicie,

Że w moich rękach są nożyce losu,

I że ja pulsom życia rozkazuję?

Salisbury. Udanie nazbyt niskie i widoczne.

Wstyd, że majestat chce tak grubo zwodzić.

Żegnam cię, królu! Niechaj ci się wiedzie.

Pembrok. Zaczekaj na mnie, Lordzie Salisbury!

Pójdziemy razem; może gdzie znajdziemy

Dziedzictwo tego nieszczęsnego dziecka,
Drobne królestwo jego: grób przedwczesny?
Krew, której cała wyspa ta należy,
Wszystka w trzech stopach ziemi się zmieściła!
O! zły świat! wierz mi — ale któż to zniesie?
Gniew ludzki wkrótce przerwie wszystkie tamy,
I prędzej może, niż się spodziewamy.

(*Lordowie wychodzą*).

Król Jan. Wychodzą gniewni! — późno już żałować.

Krew... to fundament ślizki i niepewny;

Wątko to życie, co wynika z śmierci.

(*Wchodzi posłaniec*).

Wzrok twój przestrasza. Gdzież się krew podziała,

Którą w twej twarzy widział. Takie niebo

Wyjaśnić może tylko nawalnica.

Zlej więc swą burzę, i mów, co we Francji?

Posłaniec. Francuzi do nas śpieszą. Nigdy jeszcze

Podobnej siły żaden kraj nie wysłał

Do obcej ziemi. Oni naśladują

Twój pośpiech, królu! bo gdy wieść ci dojdzie,

Że się gotują, druga wieść ci powie,

Że już są w Anglii.

Król Jan. Gdzież to się upiła

Przezorność nasza i tak dała usnąć?

Gdzie matki naszej oko i troskliwość,

Że takie wojsko mogła zebrać Francja,

A ona o tem nie słyszała?

Posłaniec.

Królu!

Jej ucho ziemią już zatknięte. Twoja

Szlachetna matka już w pierwszych dniach kwietnia

Umarła. Słychać, że Konstancja także,

Na trzy dni pierwej, w pomieszaniu zmysłów

Zeszła ze świata. — Ale to są słuchy;

Czy fałsz, czy prawda, ręczyć ci nie mogę.

Król Jan. Zatrzymaj pośpiech swój, straszliwy losie,

I złóż się ze mną, póki nie ukoję

Gniewu mych parów. — Matka moja w grobie! —

Tak więc źle idą rzeczy? — Mów, pod czyjem

Dowództwem przyszły do nas siły Francji,

Bo utrzymujesz, że wyładowały?

Posłaniec. Delfin je wie. —

Król Jan.

Twemi nowinami

Dałeś mi zawrót głowy.

(Bękart wchodzi i Piotr z Pomfret).

No, cóż mówią

O twojem z księżmi powodzeniu? Tylko

Głowy mi złemi wieściami nie nabijaj;

Ona i tak już pełna.

Bękart. Jeśli nie chcesz
Najgorszych wieści słyszeć, niechże one
Mimo twych uszu spadną na twą głowę.

Król Jan. Bądź pobłażliwym. Byłem ogłuszony
Pod bałwanami; teraz znów oddycham
Na wierzchu fali; teraz słyszeć mogę
Wszystko, cokolwiekby mi kto powiedział.

Bękart. Jak mi się dobrze z księżmi udawało,
Niech świadczą wielkie sumy, którem zebrał.
Lecz gdy tu dążył, znalazłem lud cały
Dziwnych urojeń pełnym. Słuchę jakieś,
Jakieś widziadła złe nim owładnęły.
Cały w przestachu, choć sam nie wie czego
Bać się. I oto prorok na ulicach
Pomfret pojmany, właśnie kiedy za nim
Sami cisnęli się ciekawi głupcy,
A on w niezgrabnych rymach im opiewał:
Że niezadługo, w dzień Wniebowstąpienia,
W samo południe, złożyć masz koronę.

Król Jan. Podły bazarzu! skąd ci się to wzięło?

Piotr. Bo wiem, co będzie; bo tak będzie, królu!

Król Jan. Hubercie! weź go do więzienia. Tegoż
Dnia, w którym mówi, że koronę złożę,
W samo południe każ mi go powiesić.
Oddaj go straży; sam powracaj do mnie;
Możesz mi wkrótce być potrzebnym. — Miły,
(Wychodzą: Hubert i Piotr).

Miły synowcze! wiesz-że, z zagranicy
Jakie nowiny? i kto do nas przybył?

Bękart. Francuzi, królu! — wszystkie gęby pełne
Tych wiadomości. Spotkałem prócz tego
Lorda Bigota, Lorda Salisbury
(Oczy ich płoną jak żelazo w ogniu)
I wielu innych. Poszli szukać grobu
Artura, który, mówią, miał tej nocy
Z twego rozkazu być zabitym.

Król Jan.

Drogi

Synowcze! zmiłuj się, pośpieszaj do nich.
Mam jeszcze sposób zyskać ich przychylność,
Tylko ich sprowadź.

Bękart. Pójdę ich poszukam.

Król Jan. Ale śpiesz; niechaj noga nogę goni.

Obym mógł nie mieć nieprzyjaciół w domu,
Gdy wróg zewnętrzny straszy moje miasta
Groźnym przyborem gwałtu i najazdu.

Bądź-że Merkurem, do nóg skrzydła przypraw,
I, jak myśl, powróć szybko od nich do mnie.

Bękart. Duch czasu niechaj uczy mnie pośpiechu.
(Wychodzi).

Król Jan. Mówisz, jak mężny i szlachetny rycerz.
Idź za nim — może będzie potrzebował
Posła od Parów do mnie. Ty nim będziesz.

Posłaniec. Z całego serca.

(Wychodzi).

Król Jan. Matka moja w grobie!
(Hubert wraca).

Hubert. Królu! widziano w nocy pięć księżyców:
Cztery — jak mówią — stałych, piąty dziwnym
Obrotem kręcił się koło nich wszystkich.

Król Jan. Co? pięć księżyców?

Hubert. Dziwne przepowiednie

Starcy i baby stąd wyprowadzają.
We wszystkich ustach tylko śmierć Artura.

Gdy o nim mówią, potrzęsają głową
I w uszy sobie szepcą coś nawzajem.

Ten, który mówi, ściska ręce drugich,

Ci, co słuchają, straszne robią miny,

Brew się ich marszczy i zatacza oko.

Widziałem tam kowala, jak stał z młotem;

Żelazo jego stygło na kowadle,

A on otworzył gębę i połykał

Nowiny krawca, który z nożycami

I miarką w ręku, depcąc swe pantofle,

(Które z pośpiechu wziął z przeciwnej nogi),

Prawił o męstwie i tysiącach wojska

Francuzów, którzy już wylądowali

I w Kent, w bojowym szyku stoją. Jakiś

Brudny rzemieślnik nie dał mu dokończyć

I zaczął znowu o Artura śmierci.

Król Jan. Dlaczego wrażasz we mnie te postrachy?

Czemu tak często mówisz o Artura
Śmierci? — wszak twoje ręce go sprzątnęły.
Ja miałem powód życzyć, aby nie żył,
Lecz ty nie miałeś za co go zabijać.

Hubert. Nie miałem? któż mi kazał? nie ty? królu!

Król Jan. Toć jest przekleństwem królów, że im podli

Służą i, kaprys ich za rozkaz biorąc,
W dom życia krwawą ręką wpaść gotowi,
W każdym skinieniu władzy widzą prawo,
Myśl majestatu z groźnej brwi czytają,
Gdy on tymczasem marszczy brew swą może
Z humoru tylko i bez myśli.

Hubert. Na to,

Com zrobił, mam twą rękę i twą pieczęć.

Król Jan. Gdy do rachunku przyjdzie między niebem

I ziemią, wtenczas ręka ta i pieczęć
Staną, jak świadki, które mnie potępia.
Lecz jakże często widok środków zbrodni
Do zbrodni wiedzie! Gdybyś ty tam nie był,
Ty sam natury rękąznaczony,
Jakby wybrany do haniebnej sprawy,
Ten mord i w głowie mojej-by nie powstał,
Ale postrzegłszy twą obrzydłą postać,
Widząc cię zdolnym do podłości, widząc,
Że właśnie ciebie do krwi użyć można,
Zdalekam wspomniał o Artura śmierci,
A ty, chcąc mnie się przypodobać, miałeś
Dosyć sumienia zamordować dziecko.

Hubert. Królu!

Król Jan. I powiedz, czyś choć potrząś głową,

Czyś się zamyślił, kiedym niewyraźnie
I ciemno mówił o tem, co zamierzam?
Czyś wzrok wątpliwy w mojej twarzy utkwiał,
I żądał, bym się jaśniej wytłómaczył?
O! wstyd głęboki zrobiłby mię niemym,
Byłby mię wstrzymał, i bojaźni twoje
Byłyby we mnie bojaźni obudziły.
Aleś ty pojął wszystkie moje migi,
I sam na migi z grzechem się rozmówił,
Tak, bez wzdrygnięcia serce twe przystało,
A za niem ręka twoja przyzwoliła
Wykonać sprawę, której ni mój język,
Ani twój nazwać nie śmiał. — Precz z mych oczu!

I nie pokazuj mi się nigdy! Moja
Szlachta mię rzuca, państwo zagrożone,
U bram stolicy obcych wojsk potęga —
Co mówię! nawet w tym cielesnym kraju,
Ograniczonym moją krwią i tchnieniem,
Panuje wrzawa i domowa wojna
Między krewnego śmiercią i sumieniem.

Hubert. Uzbrój się, królu, przeciw obcym wrogom,
A ja powrócę pokój twojej duszy,
Bo Artur żyje, i ta ręka równie
Niewinna, równie czysta, jak dziewczyny
Ręka krwi plamą niezafarbowana.
Do tego łona nigdy nie wchodziło
Morderczej myśli straszne poruszenie.
W postaci mojej skrzywdziłeś naturę.
Królu! ta postać, choć zewnętrznie gruba,
Pokrywa piękną duszę i niezdołną
Powziąć myśl mordu niewinnego dziecka.

Król Jan. Co? Artur żyje? — spiesz-że z tem do parów,
Sprysnij tą wieścią ich płonące gniewy
I zrób ich woli mojej posłusznymi.
Przebacz tym słowom, które mi namiętność
Podała o twych rysach. Wściekłość ślepa
I krwią zamglone oko wyobraźni
Stokroć mi brzydszym ciebie pokazało,
Niż jesteś. O! nie odpowiadaj, śpiesznie
Do mnie przyprowadź zagniewanych lordów.
Zaklinam cię, idź prędko — leć, leć do nich.
(*Wychodzą*).

SCENA III.

Tamże. Pod zamkiem.

(*Wychodzi Artur na wały*).

Artur. Wały wysokie — jednak skoczę. Ziemio!
Bądź litościwa i nie uderz mocno.
Mało lub nikt mię nie zna; choć i zna kto,
Ten ubiór majtka całkiem mię odmienił.
Boję się bardzo — jednak chcę spróbować.
Ody się dostanę na dół i nie złamię
Ręki ni nogi, znajdę tysiąc środków

Uciec i skryć się. Zresztą wszystko jedno
Zostać i umrzeć, skoczyć, także umrzeć.

(*Skacze*).

O! serce stryja mego w tych kamieniach.
Niebo! weź duszę — Anglio! przyjmij kości.

(*Kona*).

(*Wchodzi Pembrok, Salisbury i Bigot*).

Salisbury. Ja go chcę spotkać u Sankt-Edmunds-Buri.

Jest to zbawienie nasze. Powinniśmy

Chwytać tę zręczność w czasach tak niepewnych.

Pembrok. Kto przywiózł ci ten list od kardynała?

Salisbury. Hrabia Melunu, zacy pan francuski.

Z jego rozmowy widna więcej jeszcze

Przyjaźń delfina, niżli z tego pisma.

Bigot. Więc jutro rano mogę go powitać.

(*Bękart wchodzi*).

Bękart. Dziś po raz drugi witam was, lordowie

Oniewni! król kazał was do siebie prosić.

Salisbury. Król sam się nas pozbawił. Nie myślimy

Honorem naszym łątać jego ciasny

I poplamiony płaszczyk, ni iść za nim,

Ody jego noga pozostawia wszędzie,

Gdziekolwiek stąpi, ślady krwi. Wróć zatem

I to mu od nas powiedz. Wiemy wszystko,

Co jest najgorsze.

Bękart. Myślicie, co myślicie,

A dobre słowo, podług mnie, najlepsze.

Salisbury. Nasz smutek dzisiaj niech wymówką będzie,

Żeśmy niegrzeczni.

Bękart. Ale w smutku waszym

Niema rozumu. Byłoby rozumniej,

Gdybyście także i grzeczniejsi byli.

Pembrok. Mój panie! wszakże słuszny gniew miał zawsze

Swe przywileje.

Bękart. Prawda, szkodzić temu,

Kto zagniewany, i nikomu więcej.

Salisbury. To więzienie — ale któż tu leży?

(*Postrzega Artura*).

Pembrok. O śmierci! pysnij-że się tym księżcem

I czystym wdziękiem. Ziemia nie ma jamy,

Aby tę czynność ukryć.

Salisbury. I morderstwo,

Znienawidziwszy własny swój postępek,

Jawnym go czyni dla rychlejszej pomsty.

Bigot. Morderca, zdając piękność tę mogile,

Znalazł ją nadto cudną dla mogiły.

Salisbury. Ryszardzie! i cóż myślisz? czyliś kiedy

Widział? czyś kiedy czytał albo słyszał?

Lub mógł pomyśleć? a i teraz nawet

Widząc, czy wierzysz sobie, że to widzisz?

Zdolna-ż myśl nasza, gdyby nie ten widok,

Coś podobnego powziąć i pomyśleć?

To grzbiet, wierchołek, to szczyt wszystkich szczytów

Gwałtu i mordy, to najkrwawsza hańba,

Najdziksza dzikość, cios to najpodlejszy,

Jakim nieludzka i zbląkana wściekłość

Z oczu litości łyzy wydobywała.

Pembrok. Wszystkie zabójstwa przyszłe w tem zabój-
[stwie

Znajdą wymówkę, a ten mord jedyny,

Niedościgniony, czystość da i świętość

Wszystkim i dotąd niepoczętym grzechom;

Każdy krwi rozlew będzie tylko prostą

Igraszką, gdy się na ten wzór zapatrzy.

Bękart. Jest to przekłeta, jest to krwawa czynność,

Niemilosierne dzieło ciężkiej ręki,

Jeśli to tylko dzieło jakiej ręki.

Salisbury. Jeśli to dzieło czyjej ręki? Przebóg!

Myśmy widzieli wszystko, co nastąpi.

To czyn bezwstydną rąk Huberta, jest to

Zamiar i wola króla. Moja dusza

Być mu posłuszną wzbrania się i nie chce.

Ja klękam przed tą krótkich dni ruiną,

I posyłając tym bezdusznym kształtom

Kadzidło świętej obietnicy, klnę się:

Że nie skosztuję dotąd uciech świata,

Żadną radością nie dam się зараzić,

Odrzuć wszelki pokój, ni się oddam

Lenistwu, póki ręki tej nie wstawię,

I nie ozdobię chwałą zemsty.

Pembrok. Nasze

Serca stwierdzają słów twych obietnicę. (*Hubert wchodzi*).

Hubert. Lordowie! z czoła mego pot się leje,

Z takim pośpiechem wszędzie was szukałem.

Powróćcie — Artur żyje — król was wzywa.

Salisbury. O jak zuchwały! ani się rumieni
Na widok śmierci! Podły!

Hubert. Jam nie podły.

Salisbury (*dobywa miecza*). Mam-że ograbić sąd i prawo?
Bękart. Lordzie!

Miecz twój błyszczący, lecz go schowaj nazad.

Hubert. Odstąp precz, lordzie Salisbury, odstąp!
Bóg świadkiem, miecz mój, równie jak twój, ostry.

Nie chciałbym, lordzie, abyś się zapomniał,
Ani doświadczał, jak się bronić będę.

Na twoją wściekłość tylko patrząc, mógłbym
Zapomnieć o twym rodzie i godności.

Bigot. Nikczemny gnoju! drażnić śmiesz szlachcica?

Hubert. Bynajmniej, ale niewinnego życia

Śmiem bronić, choćby nawet przed cesarzem.

Salisbury. Tyś zbójca.

Hubert. Lordzie! jeszcze nim nie jestem.

Nie rób mię zbójcą. Kto fałsz utrzymuje,
Nieprawdę mówi; kto nieprawdę mówi,
Kłamie.

Pembrok. Na sztuki zrażać go.

Bękart. Przestańcie.

Salisbury. Precz! Fokonbrydzu! albo cię obrażę!

Bękart. Obrażaj lepiej dyabła, Salisbury!

Jeśli się zmarszczysz, lub się ruszysz z miejsca,
Albo pozwolisz, by twój gniew niebaczny
Zrobił mi krzywdę, trupem cię położę.

Precz mi z tym mieczem, lub na miazgę zetnę
Miecz twój i ciebie, tak, że ci się wyda,
Że dyabeł z piekła wyłaził.

Bigot. Co chcesz uczynić?

Ty, znakomity Fokonbrydź, chcesz bronić
Podtego zbójcę?

Hubert. Mówię, żem nie zbójca.

Bigot. Któż zabił tego księcia?

Hubert. Przed godziną

Był zdrow i żywy, takem go zostawił.

Jam go szanował, kochał, i tę stratę
Przez resztę dni mych opłakiwać będę.

Salisbury. Nie wierzcie chytrej wodzie jego oczu.

I złość i podłość mają taką wilgoć,

A kto w nich wyćwiczony, ten wam rzeką

Poleje żal, zgryzotę i niewinność.

Uchodźmy — za mną wszyscy, których duszę
Razi tej rzeźni wyziew obrzydliwy.

Mnie całkiem dusi ciężki zapach grzechu.

Bigot. Precz, precz do Buri — łączmy się z delfinem.

Pembrok. Powiedz królowi, niech nas tam poszuka.
(*Wychodzą*).

Bękart. Piękny świat! — Czy ci sprawka ta znajoma?
Choć państwo łaski nie ma granic, jednak,
Jeśliś się ty dopuścił tego czynu,
Tyś potępiony.

Hubert. Racz-że mię posłuchać.

Bękart. Słuchaj, coć powiem: tak, tyś potępiony,
Tyś czarny — nic już niema czarniejszego;
Tyś głębiej potępiony, niż lucyper,
I żaden dyabeł w piekle nie tak brzydki,
Jak ty, jeżeliś ty to dziecko zabił.

Hubert. Klnę się zbawieniem...

Bękart. Jeśliś tylko przystał

Na ten okrutny czyn, to idź, rozpaczaj,
A gdy ci braknie sznurka, nić najcieńsza,
Którą wysnuwa pająk z swego serca,
Zdławić cię zdoła; trzcinka będzie belką,
Na której możesz się powiesić; albo,
Jeżeli zechcesz się utopić, nalej
Na łyżkę wody, ona oceanem
Będzie i stanie, abyś się w niej zalał.
Ja cię mam w silnem podejrzeniu.

Hubert. Jeślim
Zgrzeszył czynnością, myślą, przyzwoleniem,
W odjęciu tego życia i oddechu,
Które ta piękna glina zamykała,
Niech piekła braknie dla mnie dość męczarni.
Jam go zostawił zdrowym.

Bękart. Teraz weź go
I nieś na plecach. — Gubię się, zdumiony,
I zdaje mi się, żem już stracił drogę
Wśród przygód i wśród cierni tego świata. —
Jak łatwo wzniosłeś w górę całą Anglię!
Z tego obłomka martwej dostojności
Ojczyzny naszej, życie, prawo, prawda,
Do nieba uleciały. Cóż zostaje
Anglii? — rwać się, szarpać i zębami
Chwytać nadętą i nie swoją władzę.

Za objedzone kości majestatu
 Zwierzęca wojna grzywę swą najeży,
 I warknie, patrząc w słodkie i łagodne
 Oczy pokoju. Teraz obca siła
 I gniew domowy razem się zbiegają,
 I, jak kruk czeka na schorzałe bydłę,
 Tak bunt i przemoc chciwie upatrują
 Chwili upadku władzy i godności.
 Szczęśliwy dzisiaj, czyj płaszcz i przepaska
 Zdoła wytrzymać burzę! No, idź za mną
 I nieś to dziecię. Chcę się widzieć z królem.
 Zawód nasz pracy i pośpiechu żąda,
 Bo niebo z gniewem na ten kraj spogląda.
(Wychodzą).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Tamże. Pokój w pałacu.

(Wchodzi król Jan, Pandulf z koroną i orszak).

Król Jan. Tak, kardynale! w twe oddałem ręce
 To koło mojej chwały.

Pandulf. Weź je nazad,
 I weź z rąk moich, jak lennik papieża,
 Któregoś przyznał władzę i powagę.

Król Jan. Teraz dotrzymaj słowa: idź i spotkaj
 Francuzów, użyj świętej swojej władzy,
 I wstrzymaj marsz ich wprzód, nim wybuchniemy.
 Hrabstwa niechętnie od nas odpadają,
 Lud się pokłócił z posłuszeństwem, lenność
 I przywiązanie obcej krwi przysięga,
 Obcej koronie się obowiązuje.
 Ta powódź prędkich i burzliwych gniewów
 Twym głosem tylko da się uspokoić.
 Śpiesz zatem. Czas obecny tak jest chorym,
 Że i lekarstwa potrzebuje zaraz,
 Albo zniszczenie przyjdzie bez ratunku.

Pandulf. Moje to tchnienie burzę tę rozdzieli,
 Gdyś papieżowi stawiał się opornie;

Ale ponieważ dałeś się nawrócić.
 Mój głos tę burzę wojny uspokoi;
 Wrócę pogodę w tej zwichrzzonej stronie
 I, pomnij dobrze, w dzień Wniebowstąpienia,
 W którym sprzysiągłeś lenność papieżowi,
 Za moją sprawą Francya oręż złoży.
(Wychodzi).

Król Jan. Jako? więc dziś jest dzień Wniebowstąpienia?
 Tak mówił prorok: w dzień Wniebowstąpienia,
 W samo południe, złożyć masz koronę. —
 Tak się też stało. Wszakże ja myślałem,
 Że to uczynię z musu; ale, dzięki
 Niebu! zrobiłem to z mej własnej woli.

(Bękart wchodzi).

Bękart. Kent ustępuje; wszystko się poddało,
 Prócz zamku Dower; Londyn, jak miłego
 Gościa, delfina z wojskiem jego przyjął.
 Szlachta cię słuchać nie chce, ale poszła
 Usługi swoje nieść nieprzyjaciółom;
 A dzikie zadziwienie rozpędziło
 Niewielką liczbę dobrych twych przyjaciół.

Król Jan. Nie chcą-ż lordowie moi wrócić do mnie,
 Choć Artur żyje? Wszakże wiedzą o tem.

Bękart. Znaleźli trupa jego na ulicy,
 Pustą skrzyneczkę, z której klejnot życia
 Wykradła ręka nieznanego zbójcy.

Król Jan. Ten podły Hubert mówił mi, że żyje.

Bękart. Tak mówił, prawda, bo też tak i było.
 Lecz czegoż słabiesz i tak smutno patrzysz?
 Bądź wielkim w czynie, jakim byłeś w myślach;
 Niech świat nie widzi strachu i omdlenia;
 Panuj nad każdym ruchem twego oka;
 Bądź, jak czas, szybkim; ogniem stań się z ogniem;
 Groź tym, co grożą; podnieś wyżej głowę,
 Niż brew strasząca tej chełpliwej wrzawy —
 Wtenczas i oczy niższych, które od was
 Z wysoka biorą siłę i zachętę,
 Wzniosą się także i przybiorą ducha
 Determinacyi mocnej i niezgiętej.
 Dalej więc, królu! błysnij, jak Bóg wojny,
 Gdy pola boju chce się wydać godnym;
 Pokaż odwagę, męstwo i otuchę.
 Co? mają-ż szukać lwa aż w jego jamie,

I tam go straszyć, aby drżał przed nimi?
 O! niechaj tego nikt nie powie! Dalej,
 Idź, spotkaj klęskę zdala od twych progów,
 I z nią się zetrzyj wprzód, nim się przybliży.
Król Jan. Legat papieski był niedawno u mnie,
 I z nim zawarłem już szczęśliwy pokój.
 On mi obiecał, że rozpuści wszystkie
 Wojska delfina.

Bękart. O haniebna ligo!
 Mamy-ż na naszej własnej ziemi grzeczne
 Słowa przesyłać, żądać umów, prosić,
 Wchodzić w układy i rozejmy z wojskiem,
 Które napada? Czyż bezwąsy chłopiec,
 Jedwabny pieśczocho, zdepcę nasze pola,
 I na wojennej ziemi swego ducha
 Zaprawi, mogąc darmo, z urąganiem
 Rozwinać swe chorągwie i nie spotkać
 Żadnego ciosu? Nie, do broni! królu!
 Może kardynał nie wyjedna dla nas
 Pokoju; jeśli i wyjedna, niechaj
 Wrogi powiedzą, że widzieli męstwo,
 Żeśmy gotowi byli do obrony.

Król Jan. Pełną moc składam w twoje ręce — działaj.

Bękart. Naprzód więc bądź odważnym. Nasze siły
 Jeszczeby w gorszym razie wystarczyły.
(Wychodzą).

SCENA II.

Płasczyzna blisko Sankt-Edmunds-Buri.

*(Wchodzą zbrojno Ludwik, Salisbury, Melun, Pembrok, Bi-
 got i żołnierze).*

Ludwik. Lordzie Melunu! każ mi to przepisać.

Kopia zostanie przy mnie, dla pamięci,
 A oryginał powróć nazad lordom,
 Abyśmy później, dając jaki rozkaz,
 I zapatrując się na tę umowę,
 Wiedzieli, na co wzięliśmy Sakrament,
 I niezgwałconą zachowali wiarę.

Salisbury. Ta wiara z naszej strony się nie złamie.
 Zaczny delfinie! my ci przysięgamy

Gorliwość dobrowolną, niezmuszoną
 Wierność twym losom. Przecież, wierz mi, książę!
 Jam temu nierad, że na ten wrzód czasu
 Potrzebny plaster buntu i zamieszek;
 Że tego raka starej rany trzeba
 Goić nowemi. Cięży to mej duszy,
 Że muszę z pochwę dobyć to żelazo,
 By wdów przymnażać jeszcze tu w tym kraju,
 Gdzie pełna czci obrona przywołuje
 Mego oręża i imienia wzywa.
 Lecz taka jest zaraza naszych czasów,
 Że nam dla zdrowia i dla wyleczenia
 Praw naszych, trzeba użyć ciężkiej ręki
 Krzywdy bezwzględnej i niesprawiedliwej.
 O przyjaciele! czyż nie żal pomyśleć,
 Że my, tej wyspy dzieci i synowie,
 Patrzeć musimy na ten dzień tak smutny?
 Że, idąc śladem cudzoziemskiej nogi,
 Depcem jej piękne łono? że my sobą
 Jej nieprzyjaciół szyki wypełniamy?
 Odejść i płakać muszę nad haniebnym
 Przymusem tych powodów, co nas nagłą
 Zdobić rycerskie koło cudzej ziemi
 I nieznajomym towarzyszyć znakom.
 I gdzież? — tu! — O narodzie! obyś mógł się
 Odsunąć! oby Neptun, co cię wkoło
 Ramiony swemi odejmuje, wziął cię,
 Uniósł daleko w zapomnieniu siebie,
 I na pogańskiej ziemi gdzie postawił,
 Gdzieby te obie chrześcijańskie armie
 Mogły krew złości wsączyć w jedną żyłę.
 Nie zaś rozlewać ją nie po sąsiedzku!

Ludwik. Wspaniałe serce okazujesz, zacne,
 Wielkie uczucia, które w twojem łonie
 Zatrzęsły całą twoją szlachetnością.
 O! jakąż walkę odbyłeś sam w sobie
 Między potrzebą i zacnymi względami!
 Pozwól mi otrzeć tę chwalebna rosę,
 Co w srebrnych kroplach po twem licu ścieka.
 Serce me mięknie i na łzy kobiece,
 Choć one zwykłą tylko są powodzią,
 Ale ten wylew łez z tak męskich oczu,
 Ten deszcz, co powstał z burzy zacnej duszy,

Bardziej me oko razi i zadziwia,
 Niż gdybym widział niebios strop sklepiony
 Spisany ognistymi meteory.
 Podnieś swe czoło, sławny Salisbury!
 Wielkiem swem sercem odpędź tę nawalność,
 Tę wodę zostaw niedojrzałym oczom,
 Co nie widziały olbrzymiego świata
 W szaleństwie gniewu, co się spotykały
 Z fortuną tylko w ucztach, kiedy krew się
 Rozgrzewa gwarem uciech i wesela.
 Chodź! chodź! bo rękę swą i ty zapuścisz
 Równie głęboko w tę sakiewkę szczęścia,
 Jak i sam Ludwik. Toż i wy, lordowie,
 Co siły waszych nerwów przyplatacie
 Do siły moich.

(Wchodzi Pandulf).

Otóż mi się zdaje,
 Że jakiś anioł mówił. Właśnie ku nam
 Przybywa święty legat, z ręki nieba
 Pełnomocnictwo niesie naszej sprawie,
 I czynom naszym da nazwisko prawa
 Świętem swem tchnieniem.

Pandulf. Witam cię, mój książę!

A teraz słuchaj. Król Jan się pogodził
 Z Rzymem, duch jego zmięknął się, co dotąd
 Tak twardy opór stawiał kościołowi
 I metropolii, i stolicy Rzymu.
 Każ zatem zwinąć groźne swe znamiona,
 Uskrom srogiego ducha dzięki wojny,
 By, jak lew zwykły brać swój pokarm z ręki,
 U stóp pokoju legła przygłaskana,
 Na pozór tylko straszną się wydając.

Ludwik. Racz-że wybaczyć, mój wielbny ojcie!

Nazad nie pójdę, zrodzon za wysoko,
 Bym był własnością, albo pomocnikiem
 Zdarnym do usług, lub narzędziem tylko
 Jakiegokolwiek państwa na tym świecie.
 Twój oddech rozdał martwe węgle wojny
 Między mną i tem państwem ukorzonem,
 Ogniovi temu dałeś dość pokarmu.
 Dziś on zanadto wielki, by go zdmuchnąć
 Tym samym słabym wiatrem, co go zajął.
 Tyś mi dał poznać moich praw oblicze,

Tyś interesu krajów tych nauczył,
 Tyś sam ten zamiar wetknął w moje piersi,
 A teraz mówisz, że król Jan się znowu
 Pogodził z Rzymem! A mnie co do tego?
 Ja, z prawa mego małżeńskiego łoża,
 Nazywam kraj ten swoim po Arturze.
 I dziś, gdy wpół zdobyty, mam iść nazad,
 Bo król Jan raczył z Rzymem się pogodzić?
 Czym ja niewolnik Rzymu? czym otrzymał
 Z Rzymu pieniądze, ludzi, proch i kule
 Dla wsparcia mojej sprawy? Ja sam znoszę
 Cały ten ciężar, ja, i ci żołnierze,
 Obowiązani wspierać moje prawa,
 Pocim się i tę wojnę utrzymujem.
 Czyżem nie słyszał krzyku tych wyspiarzy:
Vive le roi! kiedym miasta ich przejeżdżał?
 Czyliż nie w moich ręku są najlepsze
 Karty, przez które wygrać mam tę stawkę,
 I w niej koronę? Mam-że tę ozdobę,
 Ody prawie moja, darmo wam odstąpić?
 Nie, na mój honor, tego nie uczynię.

Pandulf. Lecz z jednej tylko strony rzecz tę widzisz.

Ludwik. Czy z dwóch, czy z jednej, wracać ani myślę,
 Póki mój zamiar tak się nie uwieńczy,
 Jak to nadziejom moim obiecano.
 Nimem zgromadzić to odważne wojsko,
 I pozwoływać te ogniste dusze
 Z całego świata, aby popatrzyły
 Na piękną zdobycz i zyskały sławę
 Choć w niebezpiecznej paszczy klęsk i śmierci.

(Słuchać trąbę).

Jakaż to znowu trąba nas przyzywa.

(Bękart wchodzi).

Bękart. Jak każe ceremonia tego świata,
 Proszę o posłuchanie. Jam przysłany
 Na to, ażeby mówić. Król chce wiedzieć,
 Mój święty Panie Medyolański, jaki
 Skutek poselstwa twego i namowy?
 Twoja odpowiedź poda mi materyę
 I językowi memu da granicę.

Pandulf. Delfin sprzeciwia się z uporem, nie chce
 Przełożyć moich słuchać, i oświadczył
 Krótko i zwięźle, że nie złoży broni.

Bękart. Ma rację młody człowiek, mówi dobrze,

Klnę się krwią wszystką, jaką kiedykolwiek
Zionęła wściekłość ludzka. Posłuchajcież,
Co król angielski mówi; bo przeze mnie
Tak najjaśniejszy pan przemawia do was,
On całkiem gotów — i tak należało;
A z tej wyprawy małpiej i swawolnej,
Z tej zbrojnej maskarady, z tej zabawki
Tak nieroztropnej, z tego bezbrodego
Zuchwałstwa i tych wojsk chłopczykowatych
Król się naśmiewa, gotów tę drobnutką
Wojnę, tę armię pigmejczyków wymieść
Z całej przestrzeni swego terytorium.

Ta ręka, która miała dosyć siły

I u drzwi waszych dobrze was wychłostać,

Tak, żeście w ciasne uciekali furtki;

Jak wiadra, w ciemne studnie się nurzali;

W zasiekach stajni kryli się; leżeli,

Jak jaki zakład, w szafach i po skrzyniach,

Żeście brat za brat z świnią się mościli

Żeście szukali bezpieczeństwa w lochach

I po więzieniach, i tam jeszcze drżeli,

Gdy zapał głośniejszy kur wasz narodowy,

Myśląc, że to angielski żołnierz woła —

Czyż ta zwycięska ręka będzie słabszą

Tu, w domu własnym, i was nie ukarze?

Wiedzie więc — mężny król jest uzbrojony;

Jak orzeł wznosi się nad swoim gniazdem,

By odbić tego, kto się doń przybliży.

A wy odrodni, zdradni buntownicy!

Krwawe Nerony! co szarpiecie łono

Swej matki Anglii, płońcie się od wstydu!

Bo wasze żony i dziewczęta zbladły,

Jak amazonki drepzcząc za bębnami,

Naparstki mienią w zbrojne rękawice,

Swe igły w lance, a swe miękkie serca

Dzikim i krwawem męstwem uzbrają.

Ludwik. Skończ swe przechwałki i idź sobie z Bogiem.

Wierzmy, że nas przekrzywić zdołasz. Bądź zdrow.

Zanadto cenim czas, aby go tracić

Z takim kłótnikiem.

Pandulf.

Dajcież mnie powiedzieć...

Bękart. Nie, ja chcę mówić.

Ludwik.

A ja z was żadnego

Słuchać nie myślę. Bijcie w bębny — niechaj

Ten język wojny broni naszej sprawy,

I niech im powie, pociągnie tu przyszli.

Bękart. Zaiste, bębny wrzeszczą, gdy są bite;

I wy wrzaśnięcie, gdy będziecie bici.

Obudzaj echo krzykiem twego bębna —

Takiż sam bęben gotów odpowiedzieć

I głos twojego równie głośno odbić;

Niech się odezwie drugi — u nas także

Drugi i trzeci krzyknie w ucho nieba,

Małpując głuchy piorun; bo nie wierząc

Namowom tego kulawego księdza,

(Którego użył z żartu, nie z potrzeby)

Król Jan się zbliża, a na jego czole

Jest szkielet śmierci — dzisiaj dla niej ucztą —

Tysiące waszych na stół jej podamy.

Ludwik. Uderzcie w bębny — pójdziem, poszukamy

Niebezpieczeństwa, do którego wzywasz.

Bękart. Znajdziesz je prędzej, niżli się spodziewasz.

(*Wychodzą*).

SCENA III.

Tamże. Pole bitwy.

(*Wchodzi król Jan i Hubert*).

Król Jan. Jakże nam idzie? powiedz mi, Hubercie!

Hubert. Żle. — A twe zdrowie? Najjaśniejszy Panie!

Król Jan. Febra, co długo mię męczyła, ciężko

Nalega na mnie. Słabo mi, Hubercie!

(*Wchodzi posłaniec*).

Posłaniec. Fokonbrydż, królu, twój waleczny krewny,

Żąda, ażebyś plac boju opuścił,

I dał mu znać przeze mnie, gdzie się udasz.

Król Jan. Do Swinstid, i tam czekam go w opactwie.

Posłaniec. Bądź dobrej myśli, królu, bo ta pomoc,

Której tak czekał delfin, trzy dni temu

Osiadła w nocy na Godwińskich piaskach.

Tylko co przyszły do nas te nowiny.

Francuzi walczą słabiej i uchodzą.

Król Jan. Niestety! pali mię tyrańska febra,
I nie pozwala wieści tej powitać.
Do Swinstid, prędzej — lektykę podajcie —
Słabość zwycięża — już nie mogę dalej.
(*Wychodzi*).

SCENA IV.

Tamże. Inna część placu bitwy.

(*Wchodzi Salisbury, Pembrok, Bigot i inni*).

Salisbury. Nie spodziewałem się, by król w przyjaciół
Tak się opatrzył.

Pembrok. Idź, Francuzom ducha

Dodaj, bo z nimi i my upadniemy.

Salisbury. Ten Fokobrydż, ten dyabeł poroniony,
Sam jeden całe wojsko utrzymuje.

Pembrok. Król chory, miał opuścić pole bitwy.

(*Wchodzi raniony Melun, którego prowadzą żołnierze*).

Melun. Wiedźcie mnie do angielskich buntowników.

Salisbury. W szczęściu nie takie mieliśmy nazwisko.

Pembrok. To hrabia Melun.

Salisbury. I śmiertelnie ranion.

Melun. Uchodźcie, zacni Anglice, uchodźcie!

Wyście zdradzeni, wyście zaprzędani.

Przetrzyjcie dobrze oczy zbuntowane,

I powitajcie opuszczoną wierność.

Idźcie do króla swego, upadnijcie

Do jego kolan, bo jeśli Francuzi

Panami będą tego dnia, za wasze

Trudy nagroda dla was już gotowa:

Będziecie ścięci. Tak poprzysięgł Ludwik,

Ja z nim, i wielu poprzysięgło za mną

W Sankt-Edmunds-Buri, na tymże ołtarzu,

Na którym pierwaj wam poprzysiężona

Przyjaźń i miłość wieczna i niezmienna.

Salisbury. Czy to podobna? może-ż to być prawda?

Melun. Nie mam-że brzydkiej śmierci przed oczyma?

I tylko trochę życia, co wypływa

Z krwią i przepada, jak woskowa postać

Traci swe kształty, gdy ją ogień topi.

Cóż mię ma skłaniać, abym oszukiwał,

Gdy korzystać z oszukaństwa już nie dla mnie?
Co mi przyjść może z fałszu, gdy to prawda,
Że tu umieram, mając tam żyć prawdą?
Mówię wam: jeśli Ludwik dziś zwycięży,
Złamię przysięgę, gdy wam da obaczyć
Dnia jutrzejszego jasny świt. Bo tejże,
Tej samej nocy, której zaraźliwe
Tchnienie owiało już płonące koło
Starego, dniem zmordowanego, słońca,
Tej nocy, mówię, oddech wasz się zamknie.
Za waszą zdradę, dobrze ocenioną,
Przez nową zdradę życiem zapłacicie,
Gdy pomoc wasza da mu dziś zwycięstwo.
Polećcie mnie pewnemu Hubertowi.
Przyjaźń dla niego i ten wzgląd, że z Anglii
Wyszedł mój pradziad, obudziły we mnie
Sumienie wszystko to wam wypowiadać.
Proszę-ż was, za to, precz mię stąd wynieście,
Zdala od zgiełku i hałasu bitwy,
Gdziebym ostatek myśli mógł przemyśleć
W pokoju, i rozdzielić duszę z ciałem
W cichem dumaniu i pobożnych chęciach.
Salisbury. Chętnie ci wierzę. Biała mojej duszy,
Jeśli mi nie jest miłą niespodzianka
I piękna zręczność, która nas napowrót
Wraca śladami podłej tej ucieczki.
Jak uchodząca powódź, opuszczamy
Zbyteczny wylew, bieg nieregularny;
Wracamy zwolna w brzegi przekroczone,
I w cichem posłuszeństwie upływamy
Do swego morza, do swojego króla.
Własnem ramieniem wynieść cię pomogę,
Bo widzę w oczach twoich ciężką walkę
Życia ze śmiercią. Dalej! przyjaciele!
Szczęśliwie nasza zmienia się wyprawa.
I to ucieczka — lecz pod stare prawa.
(*Wychodzą, wyprowadzając Meluna*).

SCENA V.

Tamże. Obóz francuski.

(*Wchodzi Ludwik i orszak*).

Ludwik. Zdawało mi się, że dziś słońce wcale
Nie zejdzie z nieba, w miejscu zatrzymane,
Krwawiło cały zachód, gdy angielskie
Wojsko plac boju nazad rozmierzało
W słabym odwrocie. Dobrześmy zrobili,
Żeśmy im, właśnie jakby na dobranoc,
Rzucili nasze niepotrzebne kule,
I po dniu krwawym nasze poszarpane
Znamiona prawie w oczach ich zwinęli,
Ostatni w polu i panowie placu.

(*Posłaniec wchodzi*).

Posłaniec. Gdzie delfin?

Ludwik. Jestem. Cóż tam masz nowego?

Posłaniec. Hrabia Melunu zginął, a angielscy
Lordowie, jego słowem namówieni,
Znowu odpadli; zaś posiłki nasze,
Których tak długo czekałeś, mój książę,
Wszystkie zginęły na Godwińskich piaskach.

Ludwik. Złe, złe nowiny. Bądź przeklętym za nie!
Ani pomyślał, że przed nocą jeszcze
Tak się zasmucę! Ktoś mi mówił przecież,
Że król Jan uciekł na niewiele godzin
Wprzód, nim się wojska z placu rozdzieliły.

Posłaniec. Królu! ktokolwiek mówił, mówił prawdę.

Ludwik. Dobrze więc; idźcie na swe leże; czujne
Warty postawcie. Dzień nie pierwej wstanie,
Niżli ja, chciwy wiedzieć i doświadczyć,
Jaką przyniesie korzyść nowe jutro. (*Wychodzą*).

SCENA VI.

Tamże. Miejsce otwarte w bliskości opactwa Swinstid.

(*Wchodzi Bękart i spotyka się z Hubertem*).

Hubert. Kto idzie?... Mów-że prędzej, albo strzelę!

Bękart. Swój... A ty, bracie, któż ty?

Hubert.

Stronnik Anglii.

Bękart. Dokąd?

Hubert. A tobie co do tego? równem
Prawem i ciebie mógłbym się zapytać.

Bękart. Hubert, jak myślę...

Hubert. Myśl masz doskonałą.

Bądź co bądź, wierzę, żeś ty mój przyjaciel,
Kiedy tak dobrze znasz mój głos i język.
Któż jesteś?...

Bękart. Ten lub ów, jak zechcesz. Przecież,
Jeżeli bardzo chcesz mię zobowiązać,
Pomyśl, że idę od Plantażenetów.

Hubert. O zła pamięć! I ty ślepa nocy!
Wyście mię ciężko zawstydzili. Daruj,
Mężny żołnierzu, że twój głos i słowa
Uszły przed znajomością mego ucha.

Bękart. Chodź, chodź! — sans compliment! — i cóż no-
[wego?

Hubert. Błąkam się w ciemnej nocy tu i owdzie,
Szukając ciebie.

Bękart. Krótko mówiąc, na co?

Hubert. O miły panie! moja wieść podobna
Tej nocy — czarna, straszna, bez pociechy!

Bękart. Pokaż mi miejsce jej najboleśniejsze.
Jam nie kobieta, nie zemdleję, wierz mi.

Hubert. Podobno król nasz struty przez jakiegoś
Mnicha. Już traci mowę. Jam co prędej
Biegł uwiadomić cię o tem nieszczęściu,
Byś w złej przygodzie lepiej się uzbroił,
Niż gdybyś później o tem się dowiedział.

Bękart. Jak wziął truciznę? kto kosztował przed nim?

Hubert. Mnich jakiś, mówią, determinowany
Złoczyńca, w którym pękły już wnętrzności.
Król jeszcze mówi — może jest nadzieja?

Bękart. Któż go pilnuje? kogoś tam zostawił?

Hubert. Jakto? więc nie wiesz? Powrócili wszyscy
Lordowie; z nimi książę Henryk przybył.
Na jego prośby winnym król przebaczył,
I wszyscy teraz są około niego.

Bękart. Zatrzymaj gniew swój, o potęgo nieba!
I nie doświadczaj nas nad nasze siły!
Słuchaj, Hubercie! moich sił połowa,
W przejściu przez brody, zaskoczona wodą,

I przy Linkolnie zalew ją pochłonał.
Ja sam zaledwiał się ocalił, dzięki
Memu koniowi. Wiedź-że mię do króla,
Żeby nie umarł wprzód, nim przybędziemy.
(*Wychodzą*).

SCENA VII.

Tamże. Ogród przy opactwie w Swinstid.

(*Wchodzi książę Henryk, Salisbury i Bigot*).

Ks. Henryk. Zapóźno. Życie jego krwi zepsute,
I mózg, to złomne (jak niektórzy twierdzą)
Mieszkanie duszy, mową nie związaną,
Już przepowiada koniec śmiertelności.
(*Pembrok wchodzi*).

Pembrok. Król jeszcze mówi; w tem jest przekonaniu,
Że jeśli świeżem będzie mógł odetchnąć
Powietrzem, zmniejszy się gwałtowny ogień
Trucizny, która pali go i trawi.

Ks. Henryk. Niech go wyniosą tu, do tego sadu.
(*Bigot wychodzi*).

Czy jeszcze w furii?

Pembrok. Teraz spokojniejszy,
Niż był niedawno, nawet zaczął śpiewać.

Ks. Henryk. Zwodność choroby! Te okrutne męki
Im trwają dłużej, tem mniej czuć się dają.
Śmierć, pokonawszy i zdobywszy ciało,
Rzuca je zwolna; w oblężenie bierze
Duszę, i ją zaczyna kłóć i razić
Legionem marzeń i fantazyi dziwnych,
Które w tłumulcie tego ostatniego
Napadu, jedna z drugą się nie wiążą.
To niepojęta jednak, że śmierć śpiewa!
Jam syn łabędzia tego, co tak osłabł,
Co hymn bolesny własnej śmierci śpiewa,
Który organem swej niemocy ciało
I duszę do spoczynku odśpiewuje.

Salisbury. Bądź dobrej myśli, książę! tyś zrodzony,
Abyś dał formę tym zmieszczanym częściom,
Które bezkształtne do rąk swych przyjmujesz.
(*Powraca Bigot ze sługami, którzy wnoszą króla Jana na krzesło*).

Król Jan. Ha! teraz duszy mojej coś przestronniej.
I drzwi i okien było jej za mało.
W mem łonie takie lato, taki upał,
Że wszystko we mnie w popiół się zamieni.
Figurką jestem ja nagryzmołoną
Na pergaminie, i od tego ognia
W trąbkę się skręcam.

Ks. Henryk. Jak się czujesz? królu!

Król Jan. Otruty-m, zmarły, całkiem zapomniany.
I nikt z was do mnie zimy nie przywoła,
Aby włożyła lodowate palce
W moje wnętrzności; nikt królestwa mego
Rzek nie przepuści przez płonące łono;
I nikt północy nie uprosi, aby
Zimnymi wiatry popękane usta
Pocałowała, aby mnie wzmocniła
Chłodem! O fraszkę proszę, żądam od was
Chłodnej pociechy, a wy tak łakomi
I tak niewdzięczni, że jej odmawiacie.

Ks. Henryk. Gdyby łzy moje miały jaki przymiot,
Coby ci ulżył...

Król Jan. W nich jest sól, co pali.
A we mnie piekło! we mnie jest trucizna,
Tu, tu zamknięta, jak wróg niezbłagany,
By katowała krew mą potępioną!
(*Wchodzi Bękart*).

Bękart. O! cały kipię od prędkiego biegu,
Z chęci widzenia cię, łaskawy królu!

Król Jan. Synowcze! zamknąć oczy mi przyszedłeś.
Liny mojego serca się porwały,
I wszystkie reje żagli mych, na których
Chodziło życie, zeschły się i zbiegły
W cieniutki włossek. Serce moje wisi
Na nitce, która może nie wytrzyma
Twych wieści. Wkrótce wszystko to, co ujrzysz,
Będzie częścią tylko majestatu formą.

Bękart. Delfin gotuje się nas tu przywitać,
I Bóg wie, jak i czem mu odpowiemy:
Bo jednej nocy lepsza część sił moich,
Kiedym się cofał, chcąc korzystać z pory,
W przejściu przez brody nagle zaskoczona
Była powodzią i zginęła w falach.
(*Król Jan umiera*).

Salisbury. Tę wieść śmiertelną w martwe uszy wle-
[wasz. —

Panie! niedawno królu mój! — a teraz!...

Ks. Henryk. Tak i ja dążyć będę, tak się wstrzymam!

Cóż jest pewnego na świecie? czemu ufać?

Ody to, co było królem — teraz glina!

Bękart. Tak więc uchodzisz? — ja zostaję jeszcze,

Bym się za ciebie pomścił. Wtenczas także

I moja dusza pójdzie wślad za twoją,

Jak i na ziemi wiernie ci służyła.

I cóż wy, gwiazdy, co się obracacie

We własnych sferach! gdzież są wasze wpływy?

Okażcie lepszą wiarę i pośpieszcie

Ze mną zniszczenie i wstyd niezmazany

Wymieść za wrota wstrząśnionego państwa.

Delfin tuż za mną sroży się i gniewa;

Idźmyż go szukać, albo on nas znajdzie.

Salisbury. Zdaje się, że ci mniej niż nam wiadomo —

Kardynał Pandulf tu w opactwie... Niema

I pół godziny, przybył od delfina,

Który nam pokój ofiaruje, taki,

Że go bez wstydu śmiało przyjąć możemy.

Delfin odstąpił od zamiaru wojny.

Bękart. Prędzej odstąpi, gdy obaczy jeszcze

Żeśmy gotowi dać mu silny odpór.

Salisbury. Niema potrzeby — wszystko już zrobione,

Rynsztunki swoje delfin już odprowadził

Do brzegu, zdawszy w ręce kardynała,

Położyć koniec sporom. Z nim więc razem

Ty, ja i inni z lordów, jeśli zechcesz,

Dziś po południu w drogę się puścimy,

Dla dokonania prędzej tego dzieła.

Bękart. Niech i tak będzie. Ty zaś, zacny książę,

Z lordami, którzy tam są niepotrzebni,

Ojca swojego zajmij się pogrzebem.

Ks. Henryk. W Worcester ciało jego pochowamy,

Bo taka była jego wola.

Bękart. Niech więc

Spełnioną będzie. Ty zaś, książę, weźmij

Na siebie odziedziczonego państwa

Cześć i kierunek. Z wszelką uległością

I na kolanach wierność ci przyrzekam,

Gotów ci służyć teraz i na zawsze.

Salisbury. I my ci miłość naszą przyrzekamy.

Trwać ona będzie wierną i bez plamy.

Ks. Henryk. Chce wam dziękować rozrzewniona dusza,

Lecz łzami tylko podziękować umie.

Bękart. Dajmy-ż czasowi tyle tylko żalu,

Ile potrzeba. Wziął on naprzód wiele.

Nie padła Anglia i nie padnie nigdy

U stóp zdobywcy, chyba wtenczas tylko,

Jeżeli sama piersi swoje zrani.

Dziś, gdy jej dzieci wszystkie w domu, niechaj

Z trzech rogów świata przyjdą na nas wrogі,

Damy im odpór. Nikt nas nie pośędzie,

Jeżeli Anglia wierną sobie będzie.

(Wychodzą).



TLÓMACZENIE S. KOŹMIANA.

Dramat o detronizacji króla Ryszarda II rozpoczyna cykl, w dalszym ciągu poświęcony głównie najwybitniejszemu z monarchów nowej dynastii, Henrykowi V. Przez treść, opierającą się w ten sposób o trzy dalsze utwory, i przez ogólną wartość artystyczną dzieło zdawałoby się należeć do późniejszego już i dojrzałego okresu w rozwoju poety. Z drugiej strony nierówność stylu, brak prozy i komiki, a obfitość liryki i rymów, przedewszystkiem zaś widoczna zależność literacka od jednego z dramatów Marlowa, przemawiają za włączeniem dzieła między młodociane, tak że nawet pierwsze chronologicznie miejsce wśród dramatów królewskich fantastycznie mu wyznaczano. Jako pozytywne dane prócz wzmianki u Meresa w roku 1598 posiadamy kilka wczesnych druków dramatu, które wspólnie z innymi faktami nadają historii przyjęcia dzieła we współczesnej Anglii niezwykle i jedyny może w twórczości Shakespeara interes. Pierwsze dwa teksty dzieła mianowicie — drukowane w latach 1597 i 1598, jeden bez nazwiska autora, drugi już z niem — różnią się od następnych tem, że brak w nich »sceny w parlamencie i detronizacji Ryszarda« — t. j. większej części aktu IV — co jako »nowy dodatek« zapowiada trzecie za życia poety wydanie w r. 1615; czwarte poszło za niem jeszcze w tym samym roku. Luka w pierwszych wydaniach bez wątpienia tłómaczy się względem na drażliwość królowej Elżbiety, która wciąż wkoło siebie tropiła spiskowców i pretendentów do tronu. Ofiarą takich podejrzeń — bynajmniej nie bezpodstawnych — po latach łaski i chwały padł uwielbiany w całym kraju hrabia Essex. Otóż w ostatnich czasach przed jego upadkiem temat Ryszarda II widocznie stał się aktualnym i rozniecał namietności jego zwolenników jako symbol ich rewolucyjnej ambicji. Sir John Hayward w r. 1599

dedykuje hrabiemu Essex dzieło o upadku Ryszarda II i za to dostaje się do więzienia. Ciekawszą jeszcze dla nas wiadomość rejestruje w swych »Rocznikach Anglii« historyk i archeolog współczesny, William Camden: oto że stronicy Essexu w samym roku jego katastrofy kazali sobie zagrać w publicznym teatrze »przestarzałą tragedję o złożeniu z tronu Ryszarda II« (*exoletam tragoediam de depositione Ricardi II*). Prawdopodobnie jest to ten sam fakt, o który chodzi w pewnych zeznaniach przed sądem z tegoż roku ¹⁾ i w akcie oskarżenia przeciw Essexowi. Czy odnosi się to wszystko do dramatu Shakespeara — to niepewne; że w latach Essexowskich było kilka różnych dramatów z tego zakresu, świadczą zapiski w dzienniku ajenta teatralnego, Henslowa, o dziełach p. t. »Podbój Hiszpanii przez Jana Gaunt« (stryja królewskiego) i »Sir Pierce Exton« (morderca króla); zachował się nam w rękopisie dramat o zamordowaniu wspomnianego i u Shakespeara (I, 1, 2), stryja Ryszarda, Tomasza Woodstock, księcia Gloucester; w roku 1611 lekarz londyński Szymon Forman, jak się dowiadujemy z jego pamiętnika, widział w teatrze *Globe* dramat o Ryszardzie II; według jego notatki jednak dramat ten zawierał śmierć Jacka Straw, przywódcy buntu chłopskiego z r. 1381; tego niema w dziele Shakespeara; może więc chodzi o zachowany nam dramat *The Life and Death of Jack Straw*.

W każdym razie stoimy wobec faktu — otwierającego szerokie pole do fantastycznych przypuszczeń — że to dzieło Shakespeara, czy w myśl intencji autora czy nie, współcześni odnosili do aktualnych wypadków politycznych.

¹⁾ Sir Gilly Merrick, oraz aktor trupy shakespeareowskiej, Ambrose Phillips, zeznając, że zwołennicy Essexu żądali przedstawienia tragedji, której aktorzy zrazu grać nie chcieli, bo była »stara i dawno zesza z repertuaru« (*old and long out of use*), ale Sir Charles Percy ofiarował im 40 szylingów naddatku, i zagrali. Treść dramatu w zeznaniach określają jako traktującą »o Królu Henryku IV i zamordowaniu Ryszarda II«. W akcie oskarżenia Essexu — redagowanym przez Bacona — dramat nazwany jest poprostu »Ryszard II«. Fakt, iż grała go trupa shakespeareowska, zwiększa prawdopodobieństwo, że to było dzieło Shakespeara. Wobec szybkości i obfitości ówczesnej produkcji dramatycznej tragedya pisana w latach 1594-6 już w r. 1601 mogła być »starą«; a subiektywny argument, że nie mógł to być dramat Shakespeara, bo ten przedstawia zdetronizowanego monarchę w świetle sympatycznym, nie ma wagi, bo płacziwy bohater, niezdatny do rządów, na ludzi Renesansu z pewnością nie robił tego ujmującego wrażenia, co na dzisiejszych.

Z historii tekstu wspomnieć jeszcze należy, że tekst *folio* w roku 1623, najbardziej zbliżony do ostatniego wydania *in quarto* za życia poety, jest jednak skrócony; więc może w tym wypadku wyjątkowo ten tekst reprodukuje wersję sceniczną. Są w nim także drobne zmiany w pojedynczych wyrażeniach, które niezawsze za poprawki uważać można, i niewiadomo czy poecie przypisać wypada. W każdym razie wczesne wydania *in quarto* stanowią co do tekstu tego dramatu autentyczniejszy autorytet, niż zbiór poematów.

* * *

Źródłem poety, jak zwykle w dramatach królewskich, jest kronika Anglii Holinsheda. Utwór obejmuje tylko wypadki ostatnich dwóch lat panowania (1398—1400), zatem pokrywa daleko krótszy przeciąg czasu, niż przeciętne dramaty historyczne Shakespeara. Już w »Ryszardzie III«, — pisanym niewątpliwie wcześniej, — w scenie stracenia braci królowej Elżbiety Grey (III, 2), była aluzja, świadcząca, że poetę temat Ryszarda II zajmuje ¹⁾; prawdopodobnie potem pragnienie rywalizacji z »Edwardem II« Marlowa ostatecznie go skłoniło do wyboru analogicznego przedmiotu z historii.

W dramacie samym od początku obok samego króla wielce interesuje poetę jego przeciwnik i następca, odrazu wprowadzony na scenę; żeby poeta był w samym założeniu myślał o dziele jako pierwszym w nowej tetralogii, traktującej o losach dynastji Lancaster, tak jak napisane poprzednio cztery dramaty historyczne o losach dynastji York, — to trudno przypuszczać; raczej sądzić można, że myśl — podobnie jak zapewne i w »Henryku IV« — wyłoniła się w ciągu dramatu; zaś w dalszym jej wykonaniu bohatera postać Henryka V i jako księcia i jako króla nadaje następny trzem dramatom nową jedność i przyćmiewa nieco historyczny związek z »Ryszardem II«; są jednak wzmianki o nim, szczególnie na ustach króla Hen-

¹⁾ Rivers: »O Pomfret! Pomfret! krwawe ty więzienie! Złowrogie, zgubne dla szlachetnych parów! W twoich to murów zabójczym obrębie Był Ryszard Drugi na śmierć zarąbany, I na tem większy twój zakał; dziś tobie Dają niewinną naszą krew do picia.«

ryka IV, któremu troski monarsze stają się karą za stracenie Ryszarda z tronu; a Henryk V jeszcze na polu bitwy pod Azincourt (IV, 1) modli się, by Bóg w tej chwili dziejowej nie chciał mścić na jego rodzie upadku i śmierci Ryszarda II.

O tym samym okresie historii narodowej, co cykle dramatów królewskich Shakespeara, traktuje obszerna epopeja Samuela Daniela »Wojny domowe« (*Civil Wars*), której pierwsze cztery księgi, obejmujące także już panowanie Ryszarda II, wyszły w roku 1595. Żeby ta wielka praca poetycka była wywarła wpływ stanowczy na ukształtowanie pomysłu Shakespeara, niema możliwości udowodnić: widzimy raczej w tej analogii szczególnie znamieny — obok wielu innych — objaw historyzoficznego nastroju epoki, której największy poeta niemal że trzecią część całej swej twórczości poświęcił doniosłym wypadkom w dziejach narodu.

Pozbieranymi po różnych miejscach kroniki faktami illustruje Shakespeare w ekspozycji swego dramatu lekko-myślność administracyjną i ekonomiczną króla Ryszarda; temu celowi dramatycznemu służy cały pierwszy akt, który na sporze dwóch magnatów przedstawia słabość woli Ryszarda, stronniczego w sądzie wbrew solennym przyrzeczeniom. Malownicze szczegóły ceremoniału w uroczystej scenie niedoszłego pojedynku (I, 3) również poeta znalazł w swem źródle. Obok charakterystyki drugim zamiarem artystycznym, świadomie w całym akcie wykonanym, jest silniejsze niż gdziekolwiek przedtem u Shakespeara zastosowanie ironii tragicznej: Ryszard unosi się pobłażliwością wobec swego rywala; w proroczych słowach ironii tego zaślepienia określa Mowbray, gdy odchodząc mówi:

»Lecz czem ty jesteś, wiem ja, ty i niebo,
I król to wkrótce bodaj z żalem pozna«.

Zaznacza ironię wypadków poniekąd i sam Bolingbroke, z lekkim przekąsem wielbiąc wszechmoc króla, co jednym słowem zmazał cztery lata kary; podkreślają ją wreszcie natrętni pochlebcy Ryszarda, gdy — według kroniki, ale z dodatkiem żywych szczegółów — opisują, jak Bolingbroke, odchodząc na wygnanie, ubiegał się o łaski żegnających go tłumów.

Werdyktem nad złymi rządami Ryszarda, które przed-

stawił akt pierwszy, są słowa jego sędziwego stryja, księcia Gaunt, na łożu śmierci (II, 1). Im mniej z panowania samego nam poeta mógł w ramach swego dramatu ukazać, tem silniej sformułować musiał taki werdykt, by z samego początku stanowczo przeciwważyć sentymentalną sympatyę, jaką dalsze smutne losy Ryszarda same w sobie budzić mogą. A jakież głos sprawiedliwości dziejowej może być bardziej przejmujący, niż potępienie z ust jednego pośród najstarszych, najzasłużeńszych, najbogatszych w doświadczenie obywateli kraju, natchnionego proroczym duchem w chwili konania! Tak potężnie oskarżenia jego streszczają całe położenie, że, czytając je lub słysząc, zapytujemy się, czy same w sobie, bez wypadków pierwszego aktu, nie byłyby stanowiły doskonałej ekspozycji dramatu. Scena ta, górująca nad całą dotychczasową partią dzieła, jest w całości pomysłem poety; Holinshed lakonicznie notuje śmierć starego księcia; piękne początkowe wiersze na cześć ojczyzny w antologii lirycznej *England's Parnassus* (1600) figurują z imieniem patryotycznego poety Draytona — zapewne tylko przez domysł lub omyłkę wydawcy. Gdy król zaraz po śmierci stryja lekkomyślnie i bezwzględnie konfiskuje dobra jego, do wywołanych przez to żalów jego brata Yorka i innych już kronika dostarcza obszernej merytalnej podstawy. Znamienny przytem zarówno dla techniki poety jak dla jego czytania w repertorium historycznym, z którego czerpie, jest fakt, że Shakespeare, tak samo jak w »Henryku VI« (część II) dla spotęgowania okropności buntu chłopskiego w roku 1450 przeniósł nań szczegóły, opowiedziane w kronice o poprzedniej rebelii w roku 1381, tak tutaj wymyśli Edwarda IV z r. 1473 — osławione *benevolences* czyli »dobrowolne podatki« — dla obfiteszego nagromadzenia przewinień monarszych przypisuje Ryszardowi II. Łącząc z końcem pierwszego i początkiem drugiego aktu wypadki w historii oddalone od siebie, poeta zarazem dalej osnuwa swój przedmiot wytworzoną już w początkowych fazach atmosferą ironii tragicznej: każe Ryszardowi wyruszać na niefortunną wyprawę do Irlandyi w samej chwili wylądowania przeciwnika w jego królestwie; według kroniki Bolingbroke przedsięwziął swą ekspedycję dopiero, gdy Ryszard już od dwóch miesięcy był w Irlandyi.

Po wielkiej scenie agonii resztę aktu drugiego wypełniają zarejestrowane wiernie według Holinsheda ztworzone

znaki i drobne wypadki polityczne; ożywia te referujące sceny jedynie znakomita charakterystyka starczej bezradności pocziwego protektora, księcia York, oraz interes, jaki posiadać musi dla czytelnika całego cyklu dramatów królewskich wymiana przysiąg i obietnic między uzurpatorem a biorącym jego stronę rodem Percych (II, 3): ci później przeciw niemu jako królowi powstaną, i w »Henryku IV« (część I, akt I, scena 3) znajdują się dosłowne przypomnienia przysięczeń tu poczynionych.

Na poziomie poetyckim prawdziwie godnym Shakespeara właściwie stajemy dopiero znowu w lamentach Ryszarda, które od początku trzeciego aktu ciągną się prawie bez przerwy do końca dramatu. Wobec wiadomości o postępach rywala — wiadomości ścigających się i stopniujących jak w czwartym akcie »Ryszarda III« lub w piątym »Makbeta« — to się wznosi królewska дума Ryszarda, to owłada nim rozpacz i melancholia, właściwa jego słabej naturze. Tak samo niekonsekwentny i nieobliczalny w chwili spotkania oko w oko z przeciwnikiem, Ryszard najpierw dumnie i po królewsku przemawia doń z murów (na scenie shakespeareowskiej z balkonu nad tylnym planem), a zaraz potem, miękki i uległy, schodzi do niego i sam się pokornie ofiarowuje z nim jechać do Londynu; świadom przytem swej nędzy moralnej równie doskonale, jak uświadamia ją sobie Hamlet po odejściu aktorów (II, 2); jak tamten, sam do siebie woła: »O cóż za nędznik i niewolnik ze mnie!«, tak i Ryszard wyrzeka, że nie dorósł wielkości imienia królewskiego, i gotów oddać »wielkie królestwo za grób mały, ciemny« (III, 3). W kronice do całej wspaniałej liryki tych scen znalazł poeta zaledwie drobne dane; niema tam wcale tej charakterystycznej niekonsekwencji Ryszarda; jest on od początku trwożliwie słaby i uprzejmy wobec Henryka. Również oczywiście niema w kronice wzoru na kończącą akt trzeci nastrojową scenę rozmowy królowej z ogrodnikami; w słowach tych prostych ludzi, gdy ład i porządek w ogrodzie przeciwstawiają nierządowi i zepsuciu w państwie, przed samym upadkiem Ryszarda dobitnie raz jeszcze zaakcentowana jest jego wina.

Aktorska natura króla w całej pełni się objawia we wspaniałym akcie abdykacji. Ryszard zdobył tę wielką scenę najwymowniejszą swą liryką; całą sytuację dramatyczną w chwili oddania korony zamyka w sławnym porównaniu:

»Złote to koło jest, jak o dwóch wiadrach
Głęboka studnia, pełnych na przemiany.
Próżne wciąż w górze kołysz się snadnie,
Drugie, niewidne, pełne wody, na dnie.
Na dnie, łez pełen, jam ten kubeł wtóry;
Gdy piję smutek, ty idziesz do góry.

Dobrowolnie ulegając, korzysta z przywileju pieszcznia się z żalem, i teatralnym efektem rozbicia zwierciadła podkreśla swe deklamacje. Że w swej goryczy nie szczędzi wyrzutów tym, co go tak łatwo porzucili, to dodaje majestatu temu streszczeniu całej tragedii detronizacyjnej, jakim jest ta niezrównana scena; cień tragiczny rzuca na nią także protest biskupa, który w proroczym uniesieniu wróży krwawe wojny domowe. To łączy zarazem rzecz z dalszemi częściami tetralogii, tak samo jak z doczepionym piątym aktem łączy scenę detronizacji zapowiedź spisku księcia Aumerle, ostatniego, a z góry beznadziejnego wysiłku reakcji na korzyść Ryszarda. W kronice wypadki, przedstawione w czwartym akcie, oddalone są o ćwierć roku od scen aktu trzeciego; ponadto ściągnął tu Shakespeare w jeden obraz kilka rozpraw, które się w różnych dniach w parlamencie odbyły: oddzielnie od uroczystego oddania korony Henrykowi przez obie Izby, oraz oskarżeń w parlamencie przeciw Ryszardowi, jest tam ustna abdykacja Ryszarda w celi więziennej w Tower; wobec Henryka i kilku magnatów tylko odczytuje akt rezygnacji, który ma zaledwie odległe podobieństwo do uroczystej deklamacji u Shakespeara; abdykuje za namową doradców, nie, jak u Shakespeara, z własnego impulsu; jako symbol władzy oddaje Henrykowi pierścień z palca, nie, jak w dramacie, koronę. Bardzo malowniczą scenę oddania berła i korony wobec całego parlamentu mógł Shakespeare znaleźć w kronice Froissarta, która w tłumaczeniu lorda Berners poczynną była w ówczesnej Anglii.

Akt piąty prócz tragicznego zakończenia losów Ryszarda wypełnia epizod z główną akcją luźnie tylko połączony, mianowicie historia spisku młodego księcia Aumerle przeciw Henrykowi. Nastrojowe preludium do smutnego epilogu tragedii królewskiej stanowi piękna i wzruszająca scena pożegnania Ryszarda z małżonką; Ryszard, znowu tu podobny do Hamleta, jak tamten Ofelii, każe żonie — z dziwną w tej sytuacji stanowczością — udać się do klasztoru. Według kroniki król nie widział się już

w życiu z małżonką od chwili wyruszenia do Irlandyi, a królowę dopiero w rok później nowy władca odesłał do Francyi. U Shakespeara Ryszard zwiastuje, że z woli Henryka ma iść nie do Tower londyńskiego, lecz na zamek Pomfret; w kronice przeniesiony jest do Pomfret po dłuższym uwięzieniu w Tower.

Historia spisku księcia Aumerle w kronice zaczyna się od obszernie opowiedzianych przygotowań, które Shakespeare pomija; natomiast w kronice niema katolickiego oporu ojca przeciw amnestyi syna, i księżna York jest machochą, nie matką księcia Aumerle. Poeta w konflikcie między obywatelską surowością ojca a uczuciem macierzyńskim stworzył sobie sytuację wielce dramatyczną, ale niezbyt naturalną; naturalności też nie dodaje styl: jakże dziwnym jest pomysłem, że gdy księżna błaga o słowo przebaczenia — *pardon* — książę radzi królowi wypowiedzieć je po francusku — *pardonnez-moi* — więc wymówić się od udzielenia amnestyi (V, 3)!

Od scen spisku snują się nici ku »Henrykowi IV« a nawet »Henrykowi V«: nowy król dowiaduje się o karczemnych awanturach swego syna, widzi w nich karę Bożą na siebie, ale też wyraża nadzieję, że się rozwiną lepsze i szlachetniejsze przymioty. Cały wreszcie epizod spisku uważać można za przygrywkę do wielkiego sprzysiężenia przeciw nowemu królowi w »Henryku IV«.

O Ryszardzie w tych scenach nic nie słyszymy; tylko na samym początku (V, 2) książę York nader wymownie opisuje pochód tryumfalny Henryka przez Londyn i poníženie Ryszarda, przez tłum obrzucanego popiołem. To ich skonstruowanie w jednym pochodzie jest pomysłem Shakespeara: u Holinsheda ich sceny z ludem w różnych dniach się rozgrywają. Upokorzenie upadłego króla sympatycznie jest złagodzone i wyidealizowane, gdyż według kroniki tłum z trudem wstrzymano od daleko gorszych wybryków przeciw Ryszardowi. Przy całem widocznem współczuciu jednak poeta i tu nie omieszkął przez usta księcia dobitnie zaznaczyć, że jest w tym upadku *nemesis* dziejowa.

W końcowych scenach więziennych liryka refleksyjna Ryszarda, choć nie mniej obfita i bogata w piękności poetyckie, niż w aktach poprzednich, jednak objawia pewne ślady wyczerpania: poeta dla wprowadzenia w ruch rojeń bohatera pomaga sobie środkiem zewnętrznym — muzyką

za sceną. Wspaniałym za to jest ostatni wybuch nieobliczalnej natury królewskiego melancholika: raz jeszcze podobny do Hamleta, jak on w obliczu śmierci staje się rozróżnialnie odważny i stanowczy: drogo sprzedaje swe życie, a padając pod ciosami, do ostatka deklamator, sam śmierć swą opisuje w pięknym dwuwierszu (V, 5):

»Wzleć, wzleć, ma duszo! twe siedlisko w niebie,
Grzeszne me ciało ta ziemia pogrzebie«.

Jak zwykle, faktyczne szczegóły pochodzą z kroniki, liryczna dekoracja od poety; do jednego ze szczególnie ujmujących akcesoryów, jak w czwartym akcie do malowniczego ceremoniału abdykacyi, natchnienie mógł poddać Froissart: u Shakespeara Ryszard z bolesnem zdziwieniem słyszeć musi, że pieszczony przez niego koń równie łatwo przyłgął do nowego pana, jak ludzie; Froissart opowiada, jak ulubiony pies Ryszarda przy pierwszym spotkaniu jego z Bolingbrom — akt III, scena 3, u Shakespeara — zaczął się łasić do pretendenta.

Niewczesny żal Henryka w końcowej scenie dramatu poniekąd zaznaczony jest w kronice; dzisiejszemu człowiekowi — może pod wpływem ostatniej sceny dramatu Schillera — żywo przypomina żale królowej Elżbiety po straceniu Maryi Stuart. Pominąć poeta długą w kronice historię formalnej rebelii stronników zabitego króla przeciw Henrykowi IV: dowiadujemy się tylko sumarycznie o zwycięskim stłumieniu tego powstania, i to z ust tego samego magnata, co niebawem sam ma powstać przeciw nowemu królowi: jeden jeszcze błysk ironii dramatycznej, tak obficie i skutecznie w tym utworze użytej, — zarazem jedno jeszcze ogniwo, łączące tragedję z następnem dziełem tego cyklu historycznego.

* * *

»Ryszard II« w sposobie, w jaki sobie autor postawił zadanie poetyckie, ze wszystkich wcześniejszych tragedyi Shakespeara najwięcej ma wspólności z »Królem Ryszardem III«. Tu i tam głównym i właściwie jedynym przedmiotem dramatu jest tragedia osobista jednej centralnej figury; tu i tam podobnymi środkami poeta sobie ułatwił uwytknienie tej głównej postaci: obaj bohaterowie wy-

stępują odrazu jako gotowe charaktery, jako niezmiennie dane dramatyczne; niema obrazu rozwoju osobistości, niema nawet przygodnego wyjaśnienia jakichś odmiennych, wcześniejszych stadyów. W obu dramatach także otaczające główną postać charaktery rozmyślnie są kreślone blade, by ją uwydatnić; w »Ryszardzie III« to poprostu pionki, którymi suwa potężny tyran; wyraźniejsze nieco w »Ryszardzie II«, jednak i tu nie przedstawiają samodzielnych wartości dramatycznych. To można powiedzieć nawet o głównym przeciwniku Ryszarda II, Henryku Bolingbroke. Widoczne są wprawdzie w jego starannej charakterystyce usiłowania poety, by stworzyć należyłą podstawę do »Henryka IV«; w obrębie dramatu samego jednak, jeżeli nie sięgamy myślą poza jego zakres, Henryk służy nadewszystko charakterystyce głównej figury przez kontrast, a zarazem celowi, który określićby można jako »dewolucję moralną«. Choć uzurpator i gwałtownik, jednak on jest przedstawicielem sprawiedliwości dziejowej i naprawy zepsutych stosunków. Wskutek tego zaś właśnie, że w nim jako zbawcy wciela się cała krzywda narodu, nie myślimy tyle o niej, gdy Ryszard jest na scenie; swobodniej się poddajemy urokowi poetyckiemu, który owiewa postać niedołęznego króla; nawet gdy obaj stoją naprzeciwko siebie, ujmując nas czarodziejski wdzięk sentymentalnej retoryki Ryszarda w porównaniu z prozaiczną trzeźwością i oportunistycznym realizmem najeźdźcy.

Inne figury, otaczające Ryszarda, są albo bezbarwne, albo znowuż służą plastyce postaci króla; by go otoczyć jak najpiękniejszym nimbem poezji, poeta z królowej, dziecka prawie w historii, robi dojrzałą, pełną serca niewiastę, która ubóstwia Ryszarda. Książę Gaunt i książę York są raczej symbolami patryotycznego usposobienia, heroldami idei narodowej, niż osobistościami; oni właściwie reprezentują żywioł historyczny, epiczny, w dramacie. W każdym razie do wszystkich drugoplanowych charakterów w »Ryszardzie II« poeta-krytyk Swinburne trafnie mógł zastosować klasyczne określenie, że są to »widma dziwnie blade«, *simulacra modis pallentia miris*.

W traktowaniu akcji także jest pewne zasadnicze podobieństwo między »Ryszardem II« a »Ryszardem III«: i tu i tam celem uwydatnienia postaci bohatera i skoncentrowania na nią uwagi chodzi o sprowadzenie całego bogactwa przypadków do kształtów najbardziej schematycznych i pro-

stych; tylko w »Ryszardzie III« nie wyłamuje się Shakespeare jeszcze z pod tradycyjnego stylu popularnych dramatów dziejowych, zwanych *Chronicle Histories*; obejmuje więc, tak samo jak potem i w »Królu Janie«, długą przestrzeń czasu i wielką mnogość wypadków, które jednak po mistrzowski ściąga w całość. Otóż w »Ryszardzie II« przyszedł poecie pomysł ułatwić sobie zadanie koncentracji przez ograniczenie chronologiczne: przedstawia tylko fakta dwóch lat, i właściwie jeden tylko wielki wypadek. Dramat przez to staje się ubogi w akcję; dzisiejszego czytelnika o literackim usposobieniu to nie razi, jako zgodne z lirycznym, medytującym charakterem bohatera; przywykliśmy zresztą w nowożytnym piśmiennictwie do dramatów, przedstawiających na sposób grecki samą tylko katastrofę; przykładem Schillerowska »Marya Stuart«. Shakespeare jednak z pewnością po myśli swej publiczności odczuwał w swem ujęciu tematu brak pożądanej obfitości wypadków, i zerwanie z przyjętym stylem kronikarskiego dramatu chciał załagodzić; stąd może niezrozumiałe dla nas symetryczne nadsztukowanie treści dramatu materiałami zewnętrznymi na początku i na końcu: za ekspozycję starczyłaby nam scena śmierci księcia Gaunt, za epilog sama śmierć króla Ryszarda; nie uznajemy potrzeby ani postaci księcia Norfolk w akcie pierwszym ani księcia Aumerle w ostatnim. Że poecie wobec zamknięcia całej prawie tragedii w akcie IV nie przyszła myśl, raczej niż przez dołączenie tych faktów z kroniki, urozmaicić treść przez rozśianie po dramacie scen komicznych — jak to uczynił w »Henryku IV« — to może tłumaczy się sensytywnością młodego twórcy, który nie chciał mieć delikatności poetycznego nastroju, wytworzonego przez liryczne monologi bohatera, a może prawdopodobnie przez górujący jeszcze nad tym dramatem wpływ wielkiego poprzednika, Marlowa, któremu obcy był dar humoru.

Ciekawym też jest faktem, że poeta, choć może odczuwał brak wypadków w akcji, jednak o niektórych szczegółach, dosyć istotnych i ściśle z osobą Ryszarda połączonych, tylko przelotnie wspomina; o tem np., jak Ryszard przez intrygi przeszkodził małżeństwu swego wygnanego rywala z krewniaczką króla francuskiego (II, 1); może być, że takie rzeczy pomijać było wolno jako znane publiczności z innych współczesnych dramatów o Ryszardzie II; w każdym razie Shakespeare niecałkiem jest pewny siebie

i konsekwentny w nowej tej technice, której w tym dramacie próbuje.

Nierównym jak technika, ale jak ona tryumfująco doskonąłym w najważniejszych partyach, jest styl dramatu. Od początku silnie wszędzie jeszcze się odzywa młodociance upodobanie Shakespeara w dziwacznych obrazach i sztucznej grze słów: stary Gaunt na łożu śmierci igra z drugim znaczeniem swego nazwiska ¹⁾, tak że król, sam retorycznie usposobiony, woła:

»Godziź się chorym tak drwić z nazwisk swoich?»

Królowa, dowiedziawszy się o wylądowaniu pretendenta (II, 2), mówi do tego, co przyniósł wiadomość:

»Tyś to więc, ty, Greenie,
Stał się boleści mojej położnikiem ²⁾,
A Herford strasznym synem mego smutku.
Oto ma dusza wydała swój potwór,
A ja, dysząca, ledwie rozwiązana
Matka — w ból z bólu, w smutek z smutku padam«.

Drugą cechą stylu, znamioną już dla przejścia w dojrzały okres twórczości poety, jest sentencyjność, wielka mnogość ogólnych uwag i refleksji; Shakespeare dostatecznie już jest bogaty w doświadczenie życiowe, by zaraz w pierwszych aktach i scenach wplatać gnomy o wartości nieskalanego imienia (I, 1), o różnicy między »cierpliwością« u »lichych ludzi«, a »błędem tchórzostwem« u »wielkich« (I, 2), o tem, jak i minuty życia starcowi król nie zdoła przysnąć; jak

»Każdy kąt, w który oko niebios wзира,
Mądrym portem i szczęsną przystanią;«

jak »nad konieczność nie masz większej cnoty« (I, 3); jak

»Każdy smutek ma cieniów dwadzieścia,
Co być się zdają smutkiem, lecz nim nie są« (II, 2).

— i w ten sposób na każdym prawie kroku w całej akcji. Szczególnie bogatym zarówno w dziwaczne *conetti* jak w ogólne refleksje jest sam bohater; na jego ustach najszczytniejsza poezja i najgłębsza refleksja łączy się z nie-

¹⁾ II, 1: *Old Gaunt indeed, and gaunt in being old.*
Gaunt jako przymiotnik znaczy »chudy, suchy«.

²⁾ W oryginale *midwife* (»akuszerką«).

naturalną afektacją; w tych samych melodyjnych wierszach oddaje całą świetność królewską za ciemną mogiłę pod gościńcem, deptanym stopami niewiernych poddanych, a zaraz potem wzywa kuzyna Aumerle, by wspólnie sobie łzami wydrążyli w ziemi dwa groby (III, 3).

Jedną jeszcze odrębną cechą stylistyczną, szczególnie wyraźną na początku utworu, stanowi ton gorąco patryotyczny, odmienny zgoła od szowinizmu »Henryka VI«, serdeczniejszy i bardziej zbliżony swą istotą do nowożytnych form uczucia narodowego: Mowbray, idąc na wygnanie w obce kraje, w pełnych miłości słowach żegna się z rodzinną mową angielską, Bolingbroke z ziemią, co go nosiła (I, 3); zaś hymn konającego księcia Gaunt na cześć kraju i jego dzielnych ludzi (II, 1) najwspanialej może wypowiada niezmienną treść angielskiej miłości ojczyzny.

Jak najbliższe mu charakterem artystycznym utwory, »Ryszard III« i »Romeo i Julia«, tak i dramat »Ryszard II« wyraźnie zależny jeszcze jest od jednego z dzieł Marlowa, którego zgasła przedwcześnie gwiazda przyświeca nad całą tragiczną twórczością młodego Shakespeara. W kronice Holinsheda znalazł Shakespeare do swego portretu króla wszystkie rysy faktyczne prócz właśnie głównej cechy charakteru, jaką mu nadał, tej mianowicie retorycznej, lirycznej melancholii, z jaką do końca poetyzuje swe nieszczęsne losy. Jej wzoru dostarczył bez wątpienia »Edward II« Marlowa, którego bohater w tym względzie jest oczywiście prototypem Ryszarda. Utwór Shakespeara jest niewątpliwie produktem świadomej rywalizacji z liryczną doskonałością tego dramatu; nie tylko w charakterystyce naczelnego postaci, lecz nawet w wyrażeniu i obrazowaniu pełno przekonywających analogii. Ale obok obfitego materiału do porównań znaczne są różnice w akcesoryach: uderzającym rysem w portrecie Edwarda II jest patologiczne przywiązanie do faworytów; tego niema u Shakespeara, który nawet o erotycznych ekscesach Ryszarda, wyraźnie w kronice zaznaczonych, krótko zaledwie wspomina przez usta Bolingbroka (III, 1), i żadnego im miejsca nie daje w obrazie małżeńskiego pożycia króla; miejsce tkliwie kochającej żony Ryszarda w historii dramatycznej Edwarda II zajmuje ambitna cudzołożnica, która wspólnie ze swym gachem strąca króla z tronu. Oryginalnym jest Shakespeare w swej technice chronologicznej: Marlowe przyjętym sposobem obejmuje wypadki całego panowania króla Edwarda (1307

do 1327). Namiętny Marlowe, nie tylko gromadzi jak najwięcej potężnych, często straszliwych sytuacji, czego Shakespeare w tym dramacie unika — scena zamordowania u niego daleko mniej ma okropności, niż w »Edwarcie II« — ale przedewszystkiem tytaniczny twórca »Tamerlana« i »Fausta« nietyle ma sympatii dla pozbawionego energii bohatera, co Shakespeare, choć artystyczna finezyja w przedstawieniu charakteru i u Marlowa jest znaczna. Ta widoczna sympatia poety dla rozdeklamowanego bohatera szczególnie dramatowi nadaje interes i urok. Trudno się oprzeć przypuszczeniu, że przez postać Ryszarda II przemawia ta sama sensytywna osobistość, co w tajemniczych »Sonetach« tak dziwnie retorycznie igrała nieraz ze swemi uczuciami. Shakespeare jakby sobie na tym historycznym przedmiocie sam boleśnie uświadamiał, że ma tę skłonność do teatralnego poetyzowania stanów własnej duszy; jakby odczuwał, że ten przymiot, cenny i niezbędny warunek subiektywnej twórczości artystycznej, jednak niezgodny jest z ideałem męskości, którego treścią milczenie i czyn. Dlatego też, kto taką literacką wylewność sam w sobie czuje, zawsze szczególnie kochać będzie to dzieło poety.

Przypuszczeniu o subiektywnej treści »Ryszarda II« mocy dodaje wspomniane kilkakrotnie w rozbiórce podobieństwo do »Hamleta« w szczegółach. W całości zarówno »Ryszard II« jak »Romeo i Julia« przez to się zbliżają do późniejszych tragedii o typie »Hamleta« i »Juliusza Cezara«, że przedstawiają nietyle tragizm winy — choć nieraz słyszymy surowe słowa o błędach króla — ile nieszczęsny konflikt człowieka z warunkami, na jakie natrafił. Tylko w »Ryszardzie« ściślejszy jeszcze paralelizm, niż w tragedii kochanków werońskich: Romeo i Julia nie zażyją szczęścia, bo ich rody są powaśnione: tu fakt miłości stoi naprzeciwko faktu nienawiści; w »Ryszardzie II«, jak w »Hamlecie« i »Cezarze«, tragika o tyle głębsza, że tu charakter stoi naprzeciwko faktów: cały świat społeczny w stanie wykołajenia i rozkładu, a Ryszard, jak Hamlet i Brutus, niezdolny jest na dobre przywrócić go tory, nie dorósł wielkości swego zadania, i dlatego ginie.

Że po Ryszardzie, rozpoczynającym nowy cykl historyczny, kończy go szczerze przez poetę wielbiony bohater czynu, Henryk V, to znowu analogia do zakończenia wielkich tragedii epoki późniejszej: po śmierci Hamleta rządy obejmuje dziarski Fortinbras, po upadku szlachetnego idea-

listy Brutusa przebiegły światowiec Antoniusz. Tryumf liżącego się z wymaganiami życia realizmu nad sensytywnością, zadumą, ideologią, tryumf bolesny dla tej części duszy poety, która sama była wrażliwą i marzycielską, ale tryumf przez niego uznany i we własnem życiu praktycznie urzeczywistniony, — to wspólna treść psychologiczna »Ryszarda II«, »Juliusza Cezara« i »Hamleta«.

OSOBY:

Król Ryszard II.
Edmund Langley, książę York.
Jan Gant, książę Lancaster.
Henryk Bolinbrok, książę Herford, syn Jana Ganta, później
król Henryk IV.
Książę Omerl, syn księcia York.
Mowbrey, książę Norfolk.
Książę Surrey.
Hrabia Salisbury.
Hrabia Berkley.
Buszy }
Bagot } Powiernicy króla Ryszarda.
Gryn }
Hrabia Nortumberland.
Henryk Persy, jego syn.
Lord Ros.
Lord Willoby.
Lord Fitzwater.
Biskup karlajski.
Opat westminsterski.
Lord wielki marszałek i inni lordowie.
Sir Pirs Ekston.
Sir Stefan Skrup.
Kapitan oddziału Walijszyków.
Królowa, żona króla Ryszarda.
Księżna Gloster.
Księżna York.
Dama honorowa królowej.
Lordowie, heroldowie, dowódcy, żołnierze, dwóch ogrodników, strażnik, posłaniec, koniuszy i inna służba.

Rzecz dzieje się w różnych miejscach Anglii i Walii.

KRÓL RYSZARD II.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Londyn. Komnata w pałacu królewskim.

(Wchodzi król Ryszard z orszakiem, z nim Jan Gant i inni panowie).

Król Ryszard. Sędziwy Gancie, czcigodny Lankastrze,
Czyż z tobą, według ślubu i rękojmi,
Syn twój waleczny, Henryk Herford, przybył
Usprawiedliwić swą gwałtowną skargę
(Której wysłuchać czas nam nie dał dotąd)
Na księcia Norfolk, Tomasza Mowbreyę?

Gant. Tak — przybył, królu.

Król Ryszard. Powiedz mi przytem, zbadał-żeś go dobrze,
Czy skarży księcia z dawnej nienawiści,
Czy zaś bezstronnie, jak wierny poddany,
Na mocy jakiej odkrytej w nim zdrady?

Gant. O ilem zdołał jego powód zbadać,
Zamach widoczny przeciw tobie, królu,
Jest mu pobudką, nie zaś stara zawiść.

Król Ryszard. Więc niech tu staną przed nas — twarz
[do twarzy]

I groźne czoło do czoła. Wysłucham
Oskarżyciela i oskarżonego.

(Wychodzą niektórzy z orszaku).

Dumnych serc oba — każdy w wściekłym sporze
Rączy jak ogień, a głuchy jak morze.

(Wracają dworzanie z Bolinbrokiem i Norfolkkiem).

Bolinbrok. Niech mnogie lata szczęsnych dni posiędzie
Król mój łaskawy i pan miłościwy.

Norfolk. Z każdym dniem niechaj twoje szczęście wzrasta
Aż niebo, ziemi zazdroszcząc tej chwały,
Cześć nieśmiertelną przyda twej koronie.

Król Ryszard. Dzięki wam obu, choć jeden pochlebca,
Jak widać z sprawy, w której przychodzicie
Oskarżyć jeden drugiego o zdradę.
Mów, co zarzucasz, krewny mój Herfordzie,
Książęciu Norfolk, Tomaszowi Mowbrey?

Bolinbrok. Naprzód, niech niebo zapisze me słowa,
Że przez żarliwą miłość poddanego,
Dbały o świętą całość mego króla,
A wolen wszelkiej wyrodnej zawiści,
Staję ze skargą przed tym majestatem.
Tomaszu Mowbrey, teraz się do ciebie
Zwracam. Zważ dobrze na me powitanie,
Co powiem, ciało me stwierdzi na ziemi,
A w niebie dusza. Mówię więc, żeś łotrem
I podłym zdrajcą. By nim być, zbyt jesteś
Wysoko zrodzon — by żyć, zbyt nikczemny —
Gdyż im piękniejsze, szkliszcie niebios łono,
Tem brzydsze chmury, które po niem wioną.
Raz jeszcze srom twój by wygrzmieć dobitnie,
Niech imię zdrajcy w samą twarz ci wytnie.
Gdy król zezwoli, skoro wszystko rzeczem,
Co język wyrzekł — prawym stwierdzę mieczem.

Norfolk. Choć słowa chłodne, me serce gorące.
Lecz nie hałas kobiecych utarczek,
Nie wrzask zajadły dwóch zrzednych języków,
Mogą rozsądzić ten spór między nami.
Krew rozpalona — tu ostygnać musi.
Przecież tak kornej nie mam cierpliwości,
Bym dał się zgłuszyć i słówka nie wyrzekł.
Cześć to dla króla wzbrania mi popuścić
Cugle mej mowie, spiąć ją ostrogami,
Gdyżby w rozpędzie mogła ci podwójnie
Nazwisko zdrajcy w niecne wepchnąć gardło.
Lecz usuń na bok twojej krwi dostojność,
Przestań być blizkim krewnym mego pana,
A wraz cię wyzwę i plunę ci w oczy,
Nazwę potwarczym tchórzem i nędznikiem —
Co popierając, przyjmę bój nierówny,

Będę cię ścigał, choćbym miał biedz pieszo,
Aż na zamazłe grzbiety gór alpejskich,
Lub w każdą inną odludną krainę,
Gdziekolwiek Anglik śmie stąpić. Tymczasem
Oto w tem, królu, mej wierności znamię —
Jak pragnę szczęścia, najniecierniej on kłamie.

Bolinbrok. Oto mój zakład, mdy i drżący tchórz!
Więc się tu rzekam pokrewieństwa z królem,
Usuwać krwi mej dostojnej królewskość,
Którą wyłączasz nie przez cześć, lecz trwogę.
Jeśli ci dość sił strach, towarzysz zbrodni,
Zostawił, schyl się — by podnieść mój zastaw.
Przezeń, i wszelkim rycerskim sposobem,
Broń przeciw broni, stwierdzę, com tu wyrzekł.
Lub co gorszego własna myśl ci przyda.

Norfolk. Podnoszę zakład, i przysięgam na miecz,
Co cześć rycerską na mych barkach złożył,
Że ci odpowiem w każdym prawym boju,
I w każdej próbie rycerskiej dostoję.
A wsiadłszy na koń, niech nie zsiądę żywy,
Jeślim ja zdrajca, a mój głos zelżywy.

Król Ryszard. O cóż nasz kuzyn Mowbrey oskarża?
Ciężkim być musi zarzut, który zdoła
Wzbudzić w nas choćby tylko posądzenie.

Bolinbrok. Stawiam me życie, że prawda, co mówię!
Mowbrey wziął osiem tysięcy sztuk złota,
W sposób pożyczki dla wojsk twoich, królu,
I te na niecny obrócił użytek,
Jak sprośny zdrajca i łotr niegodziwy.
A dalej mówię, i walką dowiodę,
Tu lub gdzieindziej do najdalszych granic,
Do których kiedy sięgło Anglii oko,
Że wszystkie zdrady od lat osiemnastu,
W kraju tym wszczęte, lub ukartowane,
Mają w Mowbreyu źródło i początek.
W końcu powiadam — a ten jak i wszystkie
Zarzuty stwierdzę na złem jego życiu —
Że on uknował śmierć książęcia Gloster.
Poduszczył jego łatwowiernych wrogów,
I tym sposobem, jako tchórz zdradziecki,
Niewinną jego duszę spławił w wieczność
Krwii potokami. Krew ta, jak ofiarna
Krew Abła, woła z niemych pieczar ziemi

Do mnie o słuszość i karę surową.

Więc czerpiąc siłę w mych przodków zaszczycie,
Ta dłoń ją pomści lub postradam życie.

Król Ryszard. Jakżeż wysoko zapał go unosi!

Tomaszu Norfolk, cóż na to powiadasz?

Norfolk. Na chwilę, królu, odwróć twe oblicze,
I zgłusz twe uszy, aż póki nie powiem,
Na wstyd krwi twojej, jak kłamcą tak podłym
Bóg, a na ziemi prawi ludzie gardzą.

Król Ryszard. Bezstronne moje i oczy i uszy.
Choćby mi bratem i państw mych dziedzicem

Był ten syn oto brata mego ojca,
Na mego berła potęgę zaręczam,
Że taka z krwią mą namaszczoneą styczność
Nie zdoła dać mu przywileju w niczem,
Ni nagiąć hartu mej duszy niezłomnej.
Jesteście mymi poddanymi oba,
Mów bez obawy, co ci się spodoba.

Norfolk. Więc, Bolinbroku, powiadam, że kłamiesz
Potwarczem gardłem z samej głębi serca!

Trzy części sumy, danej mi do Kale,
Wiernie królewskim wojskom wypłaciłem —
Według ugody zatrzymując czwartą
Na spłatę długu, który mi u króla
Pozostał jeszcze z tych znacznych rachunków,
Kiedym do Francji jeździł po królowę.
Połknij-że kłam ten. Wmawiasz śmierć Glostera?
Jam go nie zabił, lecz wstydzę się szczerze,
Żem powinności zaniedbał w tej mierze.

A co do ciebie, mój lordzie Lankastrze,
Czcigodny ojciec mego wroga — prawda,
Żem raz zasadzkę zrobił na twe życie —
Jakżeż mą duszę ciężko ten grzech dręczy!
Lecz nim ostatnią przyjąłem komunię,
Jam ci grzech wyznał i usilnie błagał
O przebaczenie, któreś dał, jak tuszę.
To moja wina. Zaś reszta zarzutów
Pochodzi z złości podłego człowieka,
Łotra, a przytem wyrodnego zdrajcy.
Stów moich śmiało ciałem bronić będę,
I w zamian ciskam zakład mój pod stopy
Tego pyszałka, aby krwią najdroższą,
Jaka najskryciej bije w jego łonie,

Wypisać dowód, żem rycerz bez skazy.

Śpieszno mi, śpieszno. Więc błagam cię, panie,
Byś dzień wyznaczył na nasze spotkanie.

Król Ryszard. O zagorzalcy! Rad mych posłuchajcie!

Bez krwi rozlewu obmyjcie te gniewy.
Lubom nie lekarz, ten wam przepis kładę:
Złość zbyt głęboko tknie, więc skończcie zwadę,
Przebaczcie sobie, bo zdaniem doktora
W tym tu miesiącu puszczać krew nie pora.
Niech się to, stryju, skończy, gdzie pocyna —
Ja księcia Norfolk, ty ułagodź syna.

Gant. Dzieło pokoju dobrze starość pojmie.

Rzuć, synu, księcia Norfolk rękojmnię.

Król Ryszard. Wzajem, Norfolk!

Gant. Henryku! od razu

Uległość każe posłuchać rozkazu.

Król Ryszard. Rzuć, rzuć, Norfolk! Żądam — próżna rada.

Norfolk. Sam Norfolk, królu, do twych nóg upada.

Rozkazuj memu życiu, nie ohydzie.

Życiem ci winien, lecz gdy o cześć idzie,
Co i po śmierci ma żyć na mym grobie,
W łup czarnej hańby nie oddam jej tobie.
Gdym wyszedł na cel skarg i pośmiewiska,
Gdy potwarz struty grot w mą duszę ciska,
Gdzież me lekarstwo, jeśli nie w balsamie
Krwii, która jad jej zionie?

Król Ryszard. Wściekłość złamię.

Rzuć. Wszak lamparta lew ukorzyć zdoła?

Norfolk. Lecz plam nie zmyje. Wstyd mi zetrzyj z czoła,

A oddam zakład. Królu ukochany,
Najczystszy skarbem jest tu nieskalany
Honor i sława. Ludzie, gdy te zgina,
Złoconym mułem, malowaną gliną.
Klejnot wśród zwartej dziesięćkroć szkatuły,
To w prawem łonie duch mężny a czuły.
Ma cześć mem życiem. — Wraz rosną oboje —
Gdy weźmiesz honor, przetrniesz życie moje.
A więc mi pozwól cześć wywalczyć sobie,
Nią żyję, dla niej chętnie legnę w grobie.

Król Ryszard (*do Bolinbroka*). Daj dobry przykład, rzuć
[zakład Mowbrey.

Bolinbrok. Nie ja się skalam takim grzechem, nie ja!

Mnież w oczach ojca strwożyć się tej zwady?

Mnież miałby zniżyć strach, ów żebrak blady,
 Przed tym zuchwałcem? Nie, nim cześć mą zrani
 Własnym językiem, nim ten pojednanie
 Podłe wygłosi, nim żale pokutne
 Z twogó wyjęknie, zębami go utnę,
 I plunę krwawym, jako wstyd nad wstydy,
 W samą Mowbreyą twarz, gdzie tron ohydy.
(Gant wychodzi).

Król Ryszard. Ma rzecz nie prosić, ale rozkazywać.
 Lecz gdy pojednać was tu nie możemy,
 Stawcie się obaj, pod utratą życia,
 Na dzień świętego Lamberta, w Kowentry.
 Tam wasze miecze i kopie rozsądzą
 Spór wasz wzniecony twardej zemsty żądzą.
 Gdy was nie mogę zgodzić, tam ujrzycie
 Walkę wyrocznią, czyja cześć i życie.
 Niech lord marszałek herolda wybierze,
 Gotowe szranki znajdziecie, rycerze.
(Wychodzą).

SCENA II.

Londyn. Komnata w pałacu księcia Lankstra.

(Wchodzi Gant i księżna Gloster).

Gant. Wybacz mi, wspólność mej krwi z krwią Glostera
 Silniej mię budzi, niż twe narzekania
 Przeciw tym, którzy wydarli mu życie;
 Ale że kara leży w rękach winnych
 Tej zbrodni, której skarać sił nie mamy,
 Powierzmy niebu nasz ucisk, a niebo,
 Skoro godzina dojrzeje na ziemi,
 Na głowy zbójców wrzącą spuści zemstę.

Księżna Gloster. Takimże w tobie bodźcem jest brater-
 [stwo?

Zgasał do szczętu miłość w twej krwi starej?
 Siedmiu Edwarda synów — tyś z nich jeden —
 Było jak siedem naczyń z krwią królewską,
 Siedem gałęzi z pnia wspólnego wzrosłych.
 Jedne z tych siedmiu wyschły czasu biegiem,
 Inne zламаło zwykłe przeznaczenie,
 Lecz mój mąż, Tomasz, me życie, mój Gloster,

Naczynie pełne świętej krwi Edwarda,
 Pnia królewskiego kwitnąca gałązka,
 Strzaskane zdradą — wycięł zeń płyn wszystkich —
 Gałąź z wiosennych liści wieńcem, święta
 Ręką zawiści i zbrodni toporem!
 Ach! Gancie! Wszak krew jego była twoją.
 To samo łono, łożo, duch i żywioł,
 Który cię wydał, zrobił go człowiekiem.
 Żyjesz, oddychasz, aleś w nim zabity.
 Co więcej — ty się zgadzasz w pełnej mierze
 I na śmierć ojca, gdy się nie mścisz brata,
 Co życiem obraz twego ojca stawiał.
 Omdleń rozpaczy nie zwij cierpliwością.
 Zabójstwo brata znosząc obojętnie,
 Sam do twej piersi jawny tor wskazujesz,
 Ucząc morderców, jak mają cię zgładzić.
 Co w lichych ludziach zwiemy cierpliwością,
 To w wielkich zimnem, bładem jest tchórzostwem.
 Wierz mi, o! Gancie, że, mszcząc śmierć Glostera,
 Najlepiej własne ubezpieczysz życie.

Gant. To jest rzecz Boga, gdyż jego zastępca,
 Namieśnik wobec nieba pomazany,
 Sprawcą tej śmierci. Jeżeli jest zbrodnia,
 Niech się mści niebo, ja nigdy nie wzniosę
 Gniewnej prawicy przeciw niebios słudze.

Księżna Gloster. Komuż, niestety, mamże się użalić?

Gant. Niebu, obrońcy, rycerzowi wdowy.

Księżna Gloster. Więc się użalę. Bądź zdrow, stary Gancie.

Wszak do Kowentry stąd jedziesz, by ujrzeć
 Walkę Herforda z zbrodniczym Mowbreyem?
 Niech mego męża krzywdy na Herforda
 Włóćni usiędą, by ją wbił w pierś wroga,
 Lub, gdy się pierwszy zapęd nie powiedzie,
 Niech grzech Mowbreyą tak mu pierś obciąży,
 By spionego grzbień rumaka złamał,
 I jeźdźca strącił na łeb w wpośród szranków
 Jeńcem żebrzącym litości Herforda!
 Bądź więc zdrow! Niegdyś twego brata żona
 Wkrótce ze smutku żywota dokona!

Gant. Czas do Kowentry, i ja też odchodzę.

Niech Bóg ci w domu szczęści, jak mnie w drodze!
Księżna Gloster. Lecz jeszcze słówko. Czyży smutek od-
 [skoczy,

Ciężki się wbija tam, kędy upadnie.
 Już chciałam odejść nie zaczawszy wcale.
 Smutek nie kończy, kończąc głośne żale.
 Poleć mię bratu Edmundowi Yorku.
 I oto wszystko. Lecz nie śpiesz się tyle.
 Choć to już wszystko, wstrzymaj się na chwilę,
 Może przypomnę więcej. Proś go... O cóż?
 Niech śpiesznie w Plaszy odwiedzić mię raczy.
 Niestety! cóż tam stary York obaczy?
 Puste komnaty, obnażone ściany,
 Bezludne dworce, zarosłe kamienie.
 Cóż go powita? czy me i jęczenie.
 Więc pozdrów tylko. Niech tam nie przybywa,
 Bo tam ból wszędzie, wszędzie żałość tkliwa.
 Śpiesząc stąd umrzeć, w strapieniu głębokiem,
 Raz cię ostatni rzewnem żegnam okiem. (*Wychodzą*).

SCENA III.

Otwarte pole w bliskości Kowentry.

(*Wyznaczone szranki, tron, heroldowie i inna służba.*
Wchodzi Lord Marszałek i Lord Omerl).

Marszałek. Lordzie Omerlu, czy już Herford w zbroi.
Omerl. Od stóp do głowy, i pragnie wejść w szranki.
Marszałek. I książę Norfolk, pełen krwi i ducha,
 Czeką wezwania trąby przeciwnika.
Omerl. A więc już obaj rycerze gotowi,
 Czekają tylko na króla przybycie.
 (*Odgłos trąb. Wchodzi król Ryszard i zasiada na tronie.*
Gant i inni panowie zabierają swoje miejsca. Odgłos trąby
za szrankami, której odpowiada inna trąba wewnątrz. Wtedy
wchodzi Norfolk w zbroi, przed nim postępuje herold).
Król Ryszard. Marszałku, spytaj tamtego rycerza
 O powód, czemu tu w zbroi przychodzi?
 Spytaj, jak zwie się i każ mu z porządku
 Przysiądź, że sprawa jego sprawiedliwa.
Marszałek. Mów w imię Boga i króla, kim jesteś?
 Po co tu w zbroi rycerskiej przybywasz?
 Przeciwno komu i jaka ta zwada?
 Mów prawdę, jako rycerz, co przysięga,
 I niech cię niebo i twe męstwo broni!

Norfolk. Zowie się Tomasz Mowbrey, książę Norfolk.
 Przychodzę z mej się wywiązać przysięgi,
 (Boże strzeż, by ją zgwałcił rycerz jaki!)
 Bronić mej prawdy i wierności winnej
 Bogu, królowi i potomstwu memu,
 Przeciwno księciu Herford, co mię wyzwał.
 Chcę za pomocą Boga i tej ręki,
 W własnej obronie dowieść, że jest zdrajcą
 Bogu, królowi i mojej osobie.
 Strzeż mię tak Boże, jak słuszna ma walka!
 (*Zajmuje swoje miejsce*).

(*Odgłos trąby. Wchodzi Bolinbrok w zbroi. Przed nim herold*).

Król Ryszard. Marszałku, spytaj owego rycerza
 Kto jest, jak zwie się, po co tu przychodzi
 Tak w stal zakryty, w takim wojny stroju?
 Niech ci stanowczo, jak prawo wymaga,
 Na sprawiedliwość swej sprawy przysięże.

Marszałek. Jak się nazywasz? Po co tu przychodzisz
 W królewskie szranki, przed króla Ryszarda?
 Przeciwno komu? Jaki spór twój? Powiedz
 Jak prawy rycerz, a w niebie obrona!

Bolinbrok. Ja, Henryk Herford, Lankaster i Derby,
 Staję tu zbrojny w szrankach, aby dowieść,
 Za łaską nieba, przy męstwie tej ręki,
 Jako ten Tomasz Mowbrey, książę Norfolk,
 Jest sprośnym, podłym, niebezpiecznym zdrajcą
 Bogu na niebie, Ryszardowi i mnie.
 Strzeż mię tak Boże, jak słuszna ma walka.

Marszałek. Pod karą śmierci, niech się nikt nie waży
 Przejść albo tylko dotknąć się tych szranków,
 Oprócz marszałka i tych urzędników,
 Którym oddany kierunek tej walki.

Bolinbrok. Lordzie marszałku, pozwól ucałować
 Prawicę króla, zgiać przed nim kolano.
 Bom ja i Mowbrey podobni dwom ludziom,
 Co długą, ciężką wędrówkę ślubują.
 Więc uroczyste dajmy pożegnanie
 I luby uścisk naszym przyjaciółom.

Marszałek. Hołd ci swój, królu, składa oskarżyciel,
 Chce cię pożegnać, dłoń twą ucałować.

Król Ryszard. Zstąpię i w mem go utulę objęciu.
 Krewny Herfordzie, jaka twoja sprawa,

Tak niech ci sprzyja fortuna łaskawa!

Bądź zdrow, krwi moja. Jeśli dziś jej tamy

Pękną, zapłacem, pomścić nie zdołamy.

Bolinbrok. O! niech łzą oko nie zajdzie niczyje,

Gdy się Mowbrea włócznie w krwi mej zryje.

Ufny jak sokół, gdy ściga ptaszyne,

Wiem, że w tej walce z Mowbreyem zasłynę.

(Do lorda marszałka).

Mój drogi lordzie, żegnam cię — i ciebie,

Lordzie Omerlu, szlachetny kuzynie.

Choć z śmiercią sprawa, ma otucha rośnie,

Swobodny, młody, oddycham radośnie.

(Do Ganta).

Najśłodszy przysmak zwykł kończyć biesiadę,

I ja najdroższym kres mej mowie kładę,

Żegnając ciebie, ziemski krwi mej twórco,

Którego młody duch, we mnie odkwitły,

Podwójną siłą wznosi mię do góry,

Abym zwycięstwa dosięgnął nad mą głowę,

Hartu mej zbroi dodaj twemi modły,

Zaostrz mą włócznie twem błogosławieństwem,

By jak wosk pancierz Mowbrea przebodła,

I by w blask nowy imię Jana Ganta

Okryła dzielnym jego syna czynem.

Gant. Niech ci Bóg szczęści w twojej dobrej sprawie.

Bądź rączy w dziele jako błyskawica,

I niech twe ciosy podwójnie raz po raz,

Jak grom straszliwy, padają na szyszak

Groźnego wroga. Zbudź twoją krew młodą,

Bądź dzielnym i żyj!

Bolinbrok. W swą niewinność wierzy

Herford, a szczęście da mu święty Jerzy!

(Zasiada na swem krześle).

Norfolk *(powstając).* Jakkolwiek niebo i los mną rozrządzi,

Wiernym tu króla Ryszarda tronowi,

Zacnym i prawym umrę lub żyć będę.

O! nigdy jeniec sercem radośniejsem

Nie rzucał kajdan niewoli, i złotej,

Pełnej swobody nie chwycił w objęcia,

Jak moja dusza, drgająca rozkoszą,

Wita tę ucztę walki z przeciwnikiem.

Potężny królu i bracia parowie,

Łat wam szczęśliwych życzyć w jednym słowie.

Lekki, wesoły, idę na tę wojnę,

Jak na żart. Prawda ma serce spokojne.

Król Ryszard. Żegnam cię, lordzie, jak prawdziwa

Cnota z odwagą w twem oku spoczywa,

Wydać, marszałku, hasło — niech bój poczną.

(Król i lordowie powracają do swych krzeseł).

Marszałek. Henryku Herford, Lankaster i Derby,

Weź włócznie — a Bóg niech twej sprawy broni!

Bolinbrok *(wstając).* Silny, jak wieża, nadzieją, powiadam:

Amen.

Marszałek *(do jednego z heroldów).* Tę włócznie zanieś księ-

[ciu Norfolk.

Pierwszy Herold. Tu Henryk Herford, Lankaster i Derby,

W sprawie i Boga, i króla, i swojej,

Staje, by pod czi i wiary utratą

Dowieść, że Tomasz Mowbrey, książę Norfolk,

Jest zdrajcą Bogu, królowi i jemu,

I tu do walki wyzywa go śmiało.

Drugi Herold. Tu Tomasz Mowbrey, książę Norfolk staje,

Aby, pod karą fałszu i sromoty,

Obronić siebie i zarazem dowieść,

Że Henryk Herford, Lankaster i Derby,

Niewierny Bogu, królowi i jemu.

I staje mężnie z skwapliwą ochotą.

Czekając tylko na hasło, by począć.

Marszałek. Zagrmijcie trąby! do boju, rycerze!

(Trąby grzmą pobudkę).

Stójcie — król rzucił buławę na ziemię.

Król Ryszard. Niech złożą na bok szyszaki i włócznie

I obaj wrócą do swych krzeseł.

(Do lordów).

Wy zaś

Pójdźcie na radę ze mną. Niech grzmą trąby,

Póki wyroku im tu nie ogłosim.

(Długie granie trąb. Król, wróciwszy z narady, przemawia do obu książąt).

do obu książąt).

Zbliźcie się —

I posłuchajcie cośmy urządzili.

By ziemia Anglii nie była splamiona

Tą krwią tak drogą, którą wykarmiła —

Gdy nasze oczy nie cierpią widoku

Bratnich ran mieczem pokrewnym zoranych —

Gdy oraz sądzim, że jedynie duma,

Co orlem skrzydłem wzbija myśli w niebo,
I zobopólna zawiść was podusza,
Że chcecie zbudzić pokój, co oddycha
Słodkim snem dziecka w kolebce tej ziemi —
Gdy tak zbudzony hucznym zgietkiem bębnow,
Oстрым, strasliwym rykiem trąb wrzaskliwych,
Chrzestem i szczękiem rozjuszonych mieczów,
Mógłby ten pokój uciec z cichych granic,
A nam w krwi bratniej brodzić pozostało:
Przeto was z naszych wyganiamy dzielnic.
Krewny Herfordzie! ty, pod karą śmierci,
Póki żniw dziesięć pól tych nie wzbogaci,
Do naszych dziedzin nie wrócisz, lecz będziesz
Po obcych ścieżkach wygnania wędrował.

Bolinbrok. Święta twa wola. Krzepię tem nadzieję,
Że wszędzie znajdę słońce, co was grzeje.
Ody blask promienny tu nad wami stanie,
I na mnie padnie, złocąc mi wygnanie.

Król Ryszard. Norfolku! ciebie sroższy wyrok czeka.
Który ci z wielką ogłaszam boleścią.
Ciężki bieg godzin nie przywiedzie kresu
Twego wygnania. Słowo bez nadziei,
To słowo: Nigdy! rzucić na cię muszę.
Pod karą śmierci, nigdy tu nie wracaj.

Norfolk. Twardy to wyrok, królu miłościwy,
I niespodziany z twoich ust królewskich.
Jam na nagrodę lepszą, niżli takie
Straszne odcięcie, którem mię wyrzucasz
Na świat powszechny, zasłużył u ciebie.
Teraz zapomnieć muszę mej rodzinnej
Angielskiej mowy, której się uczyłem
Przez lat czterdzieści. Na cóż mi się teraz
Zda język więcej, niżli gęś lub arfa
Bez strun, lub w skrzynce czarowny instrument,
Albo wyjęty, lecz oddany w rękę,
Która nie umie zgodzić jego tonów?
Tyś mi uwięził język w ust mych głębi
Za tą podwójną warg i zębów krata,
A mdłą, nieczułą, jałową ciemnotę
Stawił jak stróża, aby mię pilnował.
Jam już za stary, by się łąścić mamce,
Zanadtom w lata zaszedł, by być uczniem.

Śmierć więc bezmowną twój wyrok zamyka,
Bo dźwięk rodzinny wydiera z języka.

Król Ryszard. Skarga ci teraz nie przystoi wcale.

Wyrok już zapadł. Za późne twe żale.

Norfolk (*odchodząc*). Tak więc się zwracam od ojczyzny słońca,
W posępnej nocy ciemności bez końca!

Król Ryszard. Wróć i weź z sobą tę przysięgę. Złóżcie
Wygnaćcze dłonie na miecz mój, ślubując
Przez obowiązki, coście winni niebu,
(Co mnie — ustaje z waszem wyjściem z kraju),
Że dotrzymacie tej oto przysięgi:
Niech Bóg i honor od tego was strzeże,
Byście się mieli zjednać na wygnaniu,
Lub kiedy spojrzeć w twarz jeden drugiemu,
Pisać, żałować, godzić i uśmierzać
Tę groźną burzę domowej zawiści,
Albo się kiedy napotkać z umysłu,
Aby się zmawiać, układać, spiskować
Na nas, tron, kraj nasz lub poddanych naszych.

Bolinbrok. Przysięgam.

Norfolk. I ja — dotrzymać wszystkiego.

Bolinbrok. Norfolku! Teraz nie mówię do wroga:

Gdyby zezwolił był król, już w tej chwili
Jedna z dusz naszych byłaby za światem,
Tak z grobu ciała wygnana, jak teraz
Ciało to nasze wygnane z ojczyzny.
Wyznaj twe zdrady, zanim kraj opuścisz.
Długą masz drogę przed sobą, więc po cóż
Brać ci tłoczący ciężar grzesznej duszy?

Norfolk. Nie, Bolinbroku — jeśli jestem zdrajcą,
Niech wymazanem me imię z kart życia,
A ja wygnanym z nieba, jak stąd, będę.
Lecz czem ty jesteś, wiem ja, ty i niebo,
I król to wkrótce bodaj z żalem pozna.
Żegnaj cię, królu. Już zbłądzić nie mogę —
Prócz Anglii, wolną w cały świat mam drogę.

(*Wychodzi*).

Król Ryszard. Stryju, w zwierciadle twoich oczu widzę
Strapione serce. Rzewne twe oblicze
Cztery mu lata z wygnania ujmuję.

(*Do Bolinbroka*).

Więc skoro sześć zim przez lody przegoni,
Wracaj z wygnania do rodzinnej błoni.

Bolinbrok. Jakżeż czas długi w krótkim leży słowie.

Cztery zim gnuśnych, płochych wiosen cztery,
Weszło w jednego wyrazu litery —
Tem jest głos królów.

Gant. Dzięki, że mu karę
O cztery lata skracasz przez wzgląd na mnie.
Lecz mała korzyść spłynie mi z twej łaski.
Nim sześć lat, które ma spełnić za krajem,
Zmieni księżyce i kresu dobieży,
Wyschła ma lampa i światło bez mocy
Zgaśnie starością w wiekuiestej nocy.
Ta się pochodni spali odrobina,
I ślepa śmierć mi nie da ujrzeć syna.

Król Ryszard. Sił jeszcze w tobie na lat wiele widać.

Gant. Lecz i minuty nie zdołasz mi przydać.
Twa władza może struć mi dni w goryczy.
Sen nocom wydrzeć, jutra nie użyczy —
Zorać mi wiekiem czasowi posłuży,
Lecz jednej zmarszczki nie wstrzyma w podróży.
Możesz w czas wmówić mej śmierci godzinę,
Tchu i królestwem nie dasz, gdy przeminę.

Król Ryszard. Syn twój wygnany wskutek wspólnej rady,
Twój głos w wyroku miał przeważny udział.
Czemuż więc ganisz sprawiedliwość naszą?

Gant. Czyliż słodycze strawności nie kwaszą?
Kazałeś sądzić — czemuś nie rzekł raczej:
Niech ojciec teraz broni i tłómaczy.
Gdybym był sądził obcego, nie syna,
Mnie-by łaskawszym znalazła ta wina.
By się nie splamić stronności zakałem,
Zbyt ostro-m sądził i śmierć sobie dałem.
Napróžno-m czekał rychło kto z was rzecze,
Żem za surowy, że się sam niweczę.
Lecz mym niechętnym ustom głos tu dano,
Bym się sam zgubił mimowolną raną.

Król Ryszard. Bądź zdrow, Herfordzie. Daj mu pożegnanie,
Stryju — bo sześć lat wygnaćcem zostanie.

(Odgłos trąb. Król odchodzi z orszakami).

Omerl. Bądź zdrow. Co wiedzieć obecność nam wzbrania,
Donoś nam pismem z miejsc twego wygnania.

Marszałek. Ja cię nie żegnam, gdyż cię odprowadzę
Aż tam, gdzie ziemia zdaje morzu władzę.

Gant. Czemu słów skąpisz i nic przyjaciołom
Nie odpowiadasz na ich pożegnania?

Bolinbrok. Słów mam za mało dla pożegnań takich,
W których-by nawet i rozrzutny język
Całej boleści serca nie wynurzył.

Gant. Cóż twą boleścią? Krótka nieobecność.

Bolinbrok. Krótką jest radość, ale boleść długą.

Gant. Cóż sześć zim znaczy? Szybko to przeminie.

Bolinbrok. W szczęściu. Lecz w smutku dziesiątek w go-
[dzinie].

Gant. Myśl, że wyjeżdżasz w podróż dla rozrywki.

Bolinbrok. Serce me westchnie, kiedy ją tak przezwę,
Bo wie, że ona pielgrzymką z przymusu.

Gant. Twych stóp znękanych smutną tę wędrówkę,
Weź za opawę, w której masz osadzić
Przecudny klejnot powrotu do domu.

Bolinbrok. Raczej mi każdy zmuśny krok, co stąpię,
Przypomni, jaka mię od tych klejnotów,
Które miłuję, dzieli świata przestrzeń,
Nie mam-że długo, długo terminować
Po obcych kątach, a gdy się nakoniec
Zdołam wyzwolić, czemuż się pochwałę,
Chyba żem mistrzem w rzemiośle boleści?

Gant. Każdy kąt, w który oko niebios wзира,
Mądrym portem i szczęsną przystanią.
Tę z konieczności wyprowadź naukę,
Że nad konieczność niema większej cnoty.
Nie myśl, że ciebie król, lecz że ty króla
Wygnałeś. Boleść tem potężniej tłoczy,
Im nas słabszymi widzi pod swem parciem.
Mów, żem cię wysłał po nowe zaszczyty,
Nie zaś, że król cię wygnał — albo przypuść,
Że tu w powietrzu zgubna tkwi zaraza,
I ty uciekasz do zdrowszych klimatów —
Co jest w twej duszy najdroższem, staw w myśli
Tam, dokąd idziesz, nie tu, skąd uchodzisz —
W ptaszkach wyobraź sobie muzykantów,
W murawie zdobną posadzkę balową,
W kwiatach tłum dziewczyc, a w tych krokach skoczną
Miarę lub taniec — bo zjadliwy smutek
Ślabiej się ima i kasa człowieka,
Który zeń szydząc zgolił nie narzeka.

Bolinbrok. O! i któż zdoła żar utrzymać w ręce,

Chociaż o lodach Kaukazu myśli?
 Któż zdoła stępić ostrze głodu przez to,
 Że sobie sutą wyobrazi ucztę,
 Lub się w grudniowym nago tarzać śniegu,
 Myśląc o lata urojonym skwarze?
 Nie — im w was żywsze pojęcie dobrego,
 Tem głębiej czuję wszelkie złe obecne.
 Ząb smutku wtedy najsroższy, gdy bodzie,
 A nie przebija jadu w pełnym wrzodzie.

Gant. Pójdź, synu, w drogę, pójdź pod mą opieką,
 Gdybym miał wiek twój, już byłbym daleko.

Bolinbrok. Żegnam cię, Anglio — żegnam, luba ziemio!
 Matko, piastunko, co mię jeszcze nosisz.
 Jaka mię kolwiek przygarnie kraina,
 Znajdziesz w wygnaniu wiernego ci syna. (*Wychodzą*).

SCENA IV.

Komnata w pałacu królewskim.

(*Wchodzą król Ryszard, Bagot i Gryn a za nimi Omerl*).

Król Ryszard. I jam to zważał. Lecz powiedz, Omerlu,
 Dokądżeś zawiódł wielkiego Herforda?

Omerl. Z wielkim Herfordem, gdy tak go zwiesz, królu,
 Przy pierwszej wielkiej drodze się rozstałem.

Król Ryszard. Ileż musiało być łez przy rozstaniu?

Omerl. W mych oczach żadnej, chyba, że wzbił jaką
 Północno-wschodni wiatr, który nam wtedy
 Ostro ciął w twarz i tak przypadkową
 Łzę przyozdobił chytre pożegnanie.

Król Ryszard. I cóż ci Herford rzekł w chwili ostatniej?

Omerl. Bądź zdrów!

Me serce, czując wstręt, by takie słowo
 Znieważał język, skryło mię w obludę,
 Żem się pod takim zdał bólu uciskiem,
 Iż z grobu smutku nie mógł wyjść ten wyraz.
 Gdyby to „bądź zdrów” mogło przydać godzin,
 Przedłużyć lata krótkiego wygnania,
 Miałby on wtedy tomy mych pożegnań,
 Lecz, gdy tak nie jest, nie dałem mu żadnych.

Król Ryszard. Choć to nasz krewny, wątpię, gdy czas
 [przyjdzie,

By go do domu odwołać z wygnania,
 Czy on tu do swych powróci przyjaciół.
 Buszy, Gryn, Bagot, wszyscyśmy widzieli,
 Jakie umizgi stroił tu do gminu,
 Jak się zdał do dna serc gawiedzi nurzać
 Spoufaloną i korną grzecznością,
 Jakim szafował hołdem motłochowi,
 Sztuką uśmiechów ujmując pospólstwo
 I tak cierpliwem zdaniem się niedoli,
 Jakgdyby z sobą chciał zabrać ich miłość.
 Zdiał czapkę z głowy przed przekupką ostryg,
 A gdy dwóch ciurów „Bóg ci szczęść” krzyknęło,
 Giętkie kolano zgiał, wołając do nich:
 Dzięki rodacy, drodzy przyjaciele!
 Jakgdyby Anglię mając odziedziczyć,
 Był mych poddanych najbliższą nadzieją.

Gryn. Odszedł, niech więc z nim i te myśli przejdą.
 Pomyślmy raczej o buncie w Irlandyi.
 Trzeba się szybko z tem uprzątnąć, królu,
 Nim dłuższa zwłoka przysporzy im środków
 Na ich pożytek, a na szkodę twoją.

Król Ryszard. Na tę wyprawę pójdziem osobiście,
 A że nam nieco skarb nasz wypróżnił
 I dwór zbyt liczny i hojność zbyt uczynna,
 Musimy kraj nasz wypuścić w dzierżawę.
 Przychód opędzi kosztą spraw obecnych,
 A gdy i tego nie starczy, nadamy
 Pełną moc naszym namiestnikom w domu,
 Aby zmusili bogatszych mieszkańców
 Do podpisania wysokich sum złota,
 Które nam przyślą na potrzeby nasze.
 Więc do Irlandyi ruszajmy bez zwłoki.
 (*Wchodzi Buszy*).

Co niesiesz, Buszy?

Buszy. Stary Gant, królu, nagle zachorował,
 I na gwałt prośbę do ciebie przysłał,
 Byś go odwiedził.

Król Ryszard. Gdzież-że on przebywa?
Buszy. W pałacu Ely.

Król Ryszard. O niebo! natchnij więc jego lekarza,
 By mu dopomógł zejść w grób co najrychlej,
 Podszewka jego skrzyń sprawi ubranie
 Naszym żołnierzom na ten bój w Irlandyi.

Pójdźmy, panowie, wszyscy go odwiedzić...
Oby nas pośpiech przywiódł tam za późno!
(*Wychodzą*).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Komnata w pałacu Ely.

(*Gant na łożu. Księżę York i dworzanie stoją przy nim*).

Gant. Czyż król przybędzie, bym mu tchem ostatnim
Mógł zdrową radę wlać w burzliwą młodość?

York. Nie dręcz się darmo, nie walcz z twym oddechem,
Gdyż jego uszom próżna wszelka rada.

Gant. Ach! przecież mówią, że głos konających
Zmusza uwagę, jak hymn uroczysty.
Tam, gdzie słów mało, rzadko giną słowa,
Bo ci tchną prawdą, którym męką mowa.
Ten, co ma zmiłknąć, większą baczność budzi,
Niż ten, w kim zdrowie szczeniocy za młodu;
Głębiej się wraża śmierć niż żywot ludzi,
Jak finał pieśni, słońce u zachodu,
Lub słodycz w końcu. Wszystko, co się święci
Ostatnie, w żywszej tkwi zawsze pamięci.
Rad mych nie słuchał w życiu, może śmierci
Głos uroczysty uszy mu przewierci.

York. Nie, bo mu ucho zatknęły pochlebstwa,
Ciągłe nad jego wielkością podziwy,
Pieściwe piosnki, których dźwięk zjadliwy
Otwartem uchem zawsze młodość chwyta,
Wieści o modach tej dumnej Italii,
Którą nasz naród małpuje niezgrabnie,
I chcąc jej sprostać kuleje i słabnie.
Niech się gdzie w świecie jaka próżność zjawi,
(Mniejsza jak licha, byle tylko nowa),
Zaraz mu o niej brzęczą w chciwe uszy.
A więc za późno przysłały tam rada,
Gdzie nad rozumem krnąbrna wola włada.
Nie chcesz tym rządzić, który nie zna granic,
Tchu ci brak — nie trać ostatniego na nic.

Gant. Zda mi się nagle, żem natchniony prorok,
I tak konając przepowiadam o nim:
Nie potrwa długo pożar tej swawoli,
Gwałtowny ogień sam się wnet wypala;
Drobny deszcz długi, nagłe burze krótkie,
Wcześniej się zmęczy, kto się nadto kwapi.
Żarłok, żrąc chciwie, dławi się pokarmem,
A płocho próżność, sęp nienasycony,
Gdy jej brak jadła, sama się pożera.
O! ten tron królów, ta koronna wyspa,
Ziemi majestat i siedziba Marsa,
Ten wtóry Eden, pół raju, warownia,
Którą natura sobie samej wzniosła
Przeciw zarazie i wojny napadom —
Ten szczęśny naród, ten w treści świat cały,
Ten klejnot w srebrnem osadzony morzu,
Które go kręgiem otacza jak szaniec,
Lub jak obronny przekop wkoło zamku,
Przeciw zawiści mniej szczęśliwych krajów;
Ten błogi ogród, to berło, ta Anglia,
Hoża piastunka, płodna macierz królów,
Przesławnych rodem, strasznych krwi potęgą,
Którzy po wszystkie ludy zasłynęli
Z dzieł swych rycerskich i z służb chrześcijańskich,
Aż tam świecących, gdzie w krnąbrnej Judei
Grób Zbawcy świata, syna Maryi Świętej —
Kraj dusz tak dzielnych, ten drogi kraj, drogi,
Poszedł w dzierzawę, (w tem słowie śmierć dla mnie),
Jakby osada lub zagroda licha!
Anglię owitą tryumfalnem morzem,
Której brzeg skalny odpiera Neptuna
Szturm pożądliwy, dziś srom związał w brudne
Zabazgranego pergaminu szmaty.
Anglia, co innych nawykła podbijać,
Teraz się sama podbiła bezwstydnie.
O! gdybym srom ten mógł zmazać mem życiem,
Jakżeby w tedy szczęśliwie umierał!

(*Wchodzi król Ryszard, królowa, Omerl, Buszy, Gryn, Bagot, Ros i Willoby*).

York. Król właśnie przybył. Oszczędzaj młodzieńca,
Bo żwawe żrebcę — ukłute szaleją.

Królowa. Jak się masz, stryju, czcigodny Lankastrze?

Król Ryszard. Cóż powiesz? Jakżeż stary Gant się miewa?

Gant. Nazwa ta dzielnie zgadza się z mym stanem.

Stary Gant — prawda, — a suchy, bo stary.

Oddawna poszczę, samym żyjąc postem,

A któż nie wyschnie, gdy mięsa nie jada?

Nad śpiącą Anglią długi czas czuwałem,

Kto czuwa — chudnie, kto chudnie — usycha.

Rozkosz, na której tuczą się ojcowie,

Widok mych dzieci, obcy mi oddawna.

O! tym to postem tyś mię tak wysuszył,

Żem się stał wyschłym, tak, w sam raz do grobu,

Co tylko suche kości odziedzicza!

Król Ryszard. Godzi-ż się chorym tak drwić z nazwisk swoich?

Gant. Nie, nie — to rozpacz drwi tu z siebie samej.

Chcesz me nazwisko złożyć ze mną w grobie,

Więc drwię zeń, królu, by pochlebić tobie.

Król Ryszard. Może-ż zdrowemu schlebiać ten, co kona?

Gant. Nie, nie — tu schlebia zdrów konającemu.

Król Ryszard. Konasz, a mówisz, że schlebiasz z rozpacz.

Gant. Nie ja, choć słabszy, lecz ty konasz raczej.

Król Ryszard. Jam zdrów, oddycham, widzę cię, żeś chory.

Gant. Świadkiem mi Stwórca, to tylko pozory.

Głównie-m stąd chory, iż widzę, żeś chory.

Jak kraj, szerokie twe śmiertelne łoże.

W niem leżysz ciężko na sławie zwątlony,

I zbyt niedbały o siły i zdrowie,

Zdajesz twe ciało święcie namaszczone

Właśnie lekarzom, którzy cię zranili.

Tysiąc pochlebców siedzi w twej koronie,

A choć nie większa ona od twej głowy,

Przecież się całe w ciasnym jej obwodzie

Mieści zniszczenie, jak twój kraj szerokie.

O! gdyby dziad twój był proroczem okiem

Przejrzał, jak zgubić wnuk ma jego syny,

Byłby cię wcześniej od hańby odgrodził,

I złożył z tronu wprzód nim tron posiadał,

Boś ty go posiadał, by się sam zeń strącić.

O! gdybyś nawet był i władcą świata,

Wstyd byłby puszczać to państwo w dzierzawę.

Lecz gdy dla ciebie kraj ten całym światem,

Czyn taki hańbą jest nad wszelkie hańby.

Tyś Anglii teraz dzierzawcą, nie królem —

Nie prawodawcą, lecz służalcem prawa,

Tyś jest...

Król Ryszard. Szaleńcze, ogłupiały starcze,

Ufny w przywilej śmiertelnej choroby,

Śmiesz-że zimnemi przygany odziewać

Twarz moją w błądź, wyganiając gniewem

Mą krew królewską z rodzinnej siedziby?

O! przez majestat mej władzy i tronu,

Gdybyś ty nie był mego ojca bratem,

Język, co w głowie twojej tak się miota,

Zmiótłby twą głowę z twych zuchwałych barków.

Gant. Niech mię nie szczędzi syn brata Edwarda

Przez wzgląd, żem synem jest Edwarda ojca.

Jużeś ty krew tę ssał jako pelikan,

I w twych hulaszczych igrzyskach roztrwaniał.

Wszak mój brat Gloster — duch zacny a prosty —

(Niech mu Bóg świeci wśród błogosławionych!)

Świadczy swym zgonem, że się twoja harda

Dusza nie waha przelać krew Edwarda.

Więc się złącz z moją obecną chorobą,

I niech twa srogość będzie krzywą kosą,

By ściąć od razu zwiędły kwiat oddawna.

Żyj w hańbie, hańba niech z tobą nie skona,

Niech się w twe łono wpije mych słów szpona,

Złóżcie mię w łoże, później w grób złożycie.

Kto cześć i miłość ma, niech dba o życie!

(*Wynoszą go dworzanie*).

Król Ryszard. Kto złość i starość, niech umiera. Obie

Ty masz. Obudwom najwłaściwiej w grobie.

York. Błagam cię, królu — racz złożyć te słowa

Na karb grymasnej choroby i wieku.

Wierz mi, on w równym kocha cię sposobie,

Jak Henryk Herford, gdyby był przy tobie.

Król Ryszard. Prawda. Ich miłość w jednym stoi rzędzie.

I moja także. Więc jak jest, niech będzie.

(*Wchodzi Nortumberland*).

Nortumberland. Stary Gant, królu, poleca się tobie.

Król Ryszard. Cóż mówi?

Nortumberland. Nic już. Już wszystko skończone.

Jak gęś bezstrunna, jego język niemy,

Nigdy Lankastra już nie usłyszemy.

York. Teraz mnie kolej pójść z życiem w bankruta,

Śmierć skończy mękę, choć z bogactw wyzuta.

Król Ryszard. Jak owoc, najprzód padają dojrzali.

On czas swój przeżył — my wędrujemy dalej.

Dość o tem. Śpieszmy na wojnę irlandzką.
Trzeba wygubić te kudłate zbójce,
Co jak gad żyją, gdzie się gnieździć żaden,
Żaden gad inny nie ma przywileju.
A że te wielkie sprawy wymagają
Zasiłku, przeto zabieramy w pomoc
Srebra, pieniądze, dochody i sprzęty,
Które zostawił nasz stryj Gant po sobie.

York. Jak długoż będę cierpliwym? Jak długo
Znosić-że krzywdy będziesz, wierny sługo?
Ni śmierć Glostera, ni Herford wygnany,
Ni Gant zelżony, ni Anglii uciski,
Ni twardy opór małżeństwu Henryka,
Ni mnie samemu zniewagi zadane,
Nigdy mej kornej twarzy wobec króla
Nie skryły w zmarszczkę lub cierpką przyganę.
Jam to ostatni już z Edwarda synów.
Twój ojciec, książę Walii, był najstarszym.
Gniewny lew nie jest tak straszliwym w walce,
Łagodne jagnię tak słodkiem w pokoju,
Jak był ten młody i rycerski książę.
Masz jego lica. Patrząc na cię, zda się
Jakbym go widział, gdy był w twoim wieku.
Jeśli się zmarszczył, to przeciw Francuzom,
Nie na przyjaciół. Co rozdał, to własną
Zdobyl prawicą, a nie strwoił w niczem
Dóbr, które ojciec zwycięski przysporzył.
Krwia swej rodziny nigdy rąk nie zmazał,
Lecz broczył we krwi wrogów swej rodziny.
Ryszardzie, ciężka ma boleść, inaczej
Nie śmiałbym takich przywozić porównań!

Krół Ryszard. Cóż ci się dzieje, stryju?

York. O mój królu,

Przebac, gdyś łaskaw — jeśli nie przebaczysz,
Snadź i z tem będę musiał się już zgodzić.
Pragniesz-że zabrać i przywłaszczyć sobie
Lenność i prawa wygnańca Herforda?
Czyż Gant nie umarł? Czyż Herford nie żyje?
Nie był-że tamten zacny, a ten wierny?
Czyż mieć dziedzica pierwszy nie zasłużył?
Nie jest-że prawym synem jego dziedzic?
Jeśli Herforda odrzesz z praw należnych,
Więc i czas wywłaszcz z praw zwykłych i biegu,

Po dniu dzisiejszym niech jutro nie idzie,
Przestań być sobą, bo wszakżeś jest królem
Tylko z następstwa i słusznej kolei.
Więc, niebo świadkiem, jeśli (niech Bóg broni!)
Przywłaszczysz sobie puściznę Herforda,
Odwołasz patent, co mu przez zastępców
Dozwala żądać zwrotu dóbr dziedzicznych,
I wzbronisz, aby lenny hołd ci złożył,
Wtedy się podasz w tysiąc niebezpieczeństw,
Stracisz tysiące serc jeszcze przychylnych,
I mą cierpliwość pobudzisz do myśli,
Jakich ni wierność, ni cześć nie dopuszcza.

Krół Ryszard. Myśl co chcesz sobie, ja spadkiem rozrządzę,
Wezmę sprzęt, srebra, ziemię i pieniądze.

York. Nie chcę być przy tem, więc żegnam cię, panie.
Nikt nie przewidzi, co z tego powstanie,
Lecz to złym sprawom przepowiedzieć snadno,
Że z nich szczęśliwe skutki nie wypadną.

(Odchodzi).

Krół Ryszard. Pośpiesz się, Buszy, do hrabiego Wiltszer,
Niech tu przybędzie do pałacu Ely,
By rzecz tę skończyć. Zaczem do Irlandyi
Ruszemy jutro; wszak czas już, czas, myślę.
Naszego stryja Yorka stanowimy,
Póki nie wrócim, wielkorządcą Anglii,
Gdyż on jest zacnym i zawsze nas kochał.
Pójdź, pójdź, królowo! jutro się rozstaniem,
Lecz na czas krótki, więc nie grzesz biadaniem!
(Odgłos trąb. Wychodzi król, królowa, Buszy, Omerl, Gryn i Bagot).

Nortumberland. A więc już umarł nasz książę Lankaster.

Ros. I znowu żyje, gdyż jego syn księciem.

Willoby. Tylko z tytułu, nie z majątku.

Nortumberland. Z obu

Bogaty, gdyby słuszność panowała.

Ros. Pełne me serce i pęknie z milczenia,
Zanim mu folgę da swobodny język.

Nortumberland. Nie — mów, co myślisz. Niech ten straci
[mowę,

Kto ku twej szkodzie słowa two powtórzy.

Willoby. Czyż się two słowa tyczą księcia Herford?

Jeżeli tak jest, mów śmiało, gdyż chciwie
Pragnę posłyszeć coś dobrego o nim.

Ros. Ah! nic dobrego sprawić mu nie mogę,
Chyba nazwiecie dobrem żal mój ciężki
Nad wytrzebionym i wyzutym z dziedzictwa.

Nortumberland. Na Boga! wstyd to, że w tym chwiejnym
[kraju,

On, z krwi królewskiej książę, i tak wielu
Magnatów muszą znosić krzywdy takie.
Król nie jest sobą, bo niecnie nim wodzą
Podli pochlebcy. Co tylko mu oni
Szepną przez zawiść na którego z naszych,
Zaraz on z całą wykonywa mocą
Na nas i naszych dzieciach i dziedzicach.

Ros. Mnóstwem podatków gnębiąc niższe stany,
Stracił ich serca. Szlachcie każąc płacić
Za dawne waśnie, stracił i jej serce.

Willoby. I codziennie nowe zdzierstwa wymyślają,
Ofiary, składki, nie wiem już, co wreszcie,
Lecz, w imię Boga, w cóż się to obraca?

Nortumberland. Bój nie zjadł grosza, boć król nie wojował,
Ale to podłym ustąpił układem,
Co mu przodkowie zdobyli, i więcej
Strwonił w pokoju, niżli oni w wojnie.

Ros. Hrabiemu Wiltszer, puścić kraj w arendę.

Willoby. Stał się bankrutem, jak człek podupadły.

Nortumberland. Hańba i zguba społem wiszą nad nim.

Ros. Mimo tak ciężkich i zdzierstw i podatków,
Nie miałby grosza na wojnę irlandzką,
Odyby nie grabież majątków Herforda.

Nortumberland. Wyrodny królu! własną krew obdzierasz!

Ależ my sami słyszym straszną burzę,
Przecież przytułku przed nią nie szukamy,
I nie zwijamy żagli, choć już na nich
Siadł groźny wicher — lecz giniem beładnie.

Ros. Widzim rozbicie, które na nas czyha,
I niepodobna już nam ująć tej zgubie,
Kiedyśmy dali tak wzrość jej żywiołom.

Nortumberland. O nie — przez próżne nawet śmierci oczy
Błyska mi życie. Lecz nie śmiem powiedzieć,
Jak już jest bliską wieść o wybawieniu.

Willoby. Jak my ci naszych, twych nam udziel myśli.

Ros. Miej-że w nas ufność, mów, Nortumberlandzie.
Wszak my trzej jedno. Jako myśl, twe słowa
Przemkną bez śladu, a więc mów bez trwogi.

Nortumberland. Więc tak się rzecz ma: Z zatoki bretańskiej,
Port de Blac zwanej, otrzymałem wieści,
Że Henryk Herford — Reginald lord Kobam —
Ów syn hrabiego Arundel, co właśnie
Wymknął się księciu Exeter — brat jego,
Wygnań arcybiskup z Kantorbery —
I sir Jan Ramston — sir Tomasz Erpingam,
Sir Jan Norbery — sir Robert Waterton —
Franciszek Kwoint — wszyscy należycie
Zaopatrzeni przez księcia Bretanii,
Z ośmią okręty, z trzecztyśięczną armią,
Płyną ku Anglii w największym pośpiechu,
Aby gdzie dobić do północnych brzegów.
Już i dobili może, lecz czekają,
Rychło odejdzie stąd król do Irlandyi.
Jeśli więc mamy zrzucić jarzmo sromu,
Zwichnięte skrzydło ojczyzny upierzyć,
Wyrwać z zastawu skażoną koronę,
Strząść pył, co u nas ćmi berła pozłote,
Majestatowi dawną postać wrócić —
Do Ravenspurga dalej co tchu za mną!
Lecz jeśli strach mam, przyjmcież moją radę:
Zostańcie, milczcie, a ja sam pojedę.

Ros. Na koń, hej na koń! Trwóż i hamuj tchórzy.

Willoby. Pierwszy tam będę, jeśli koń posłuży.
(*Wychodzą*).

SCENA II.

Komnata w pałacu.

(*Wchodzi królowa, Buszy i Bagot*).

Buszy. Nadto smutkowi poddajesz się, pani.
Wszakżeś przyrzekła przy rozstaniu z królem,
Życiu szkodliwą ciężkość złożyć na bok
I być wesołą?

Królowa. Tak, by mu dogodzić.
Lecz aby sobie dogodzić, nie mogę
Dotrzymać słowa. Jednak nie wiem, czemu
Takiego gościa, jak smutek, przyjmuję,
Chyba żem z takim rozstała się lubym
Gościem jak Ryszard. Zda mi się, że jakiś

Dojrzały w łonie fortuny, choć jeszcze
Nie zrodzon, smutek przybliża się ku mnie.
Jedno nic wzrusza mą duszę do głębi,
Lecz coś w tem więcej niż rozstanie z królem.

Buszy. O! każdy smutek ma cieniów dwadzieścia,
Co być się zdają smutkiem, lecz nim nie są,
Gdyż oko żalu, bielmem łez zasnute,
Dzieli jednostkę na tysiące cząstek.
Są malowidła, w które patrząc prosto
Nic nie rozróżnisz, ale spojrz z ukosa,
A ujrysz kształty. Tak i ty, królowo,
Widzisz, krom niego, pełno kształtów smutku.
Spojrz wprost, a znajdziesz, że to tylko cienie
Tego, co nie jest. Prócz odjazdu króla,
Niech nic cię więcej, pani, nie rozczula.
We wszystkim innem wzrok smutku cię zwodzi,
Fałszem, nie prawdą, wtórzając łez powodzi.

Królowa. Ach! być to może, lecz serce mi każe
Mniemać inaczej! Bądź co bądź, nie mogę
Jeno być smutną, a tak ciężko smutną,
Że choć mój domysł nie wzmaga się w wiedzę,
Tem nic tak ciężkiem tworzę się i biedzę.

Buszy. To urojenie, taskawa królowo!

Królowa. Bynajmniej. Urojenie bowiem zwykło
Mieć ojcem smutek, a u mnie inaczej,
Albo się smutek sam z niczego zrodził,
Lub boleść, którą mi zadał, jest niczem,
Puścizną po nim czczą, której nie umiem
Objąć, rozeznać, nawet nazwać ściśle,
Więc bezimienna boleść to, jak myślę.

(Wchodzi Gryn).

Gryn. Bóg z tobą, pani — witam was, panowie,
W nadziei, że król jeszcze nie odpłynął.

Królowa. Skąd ta nadzieja? Raczej miej przeciwną,
Bo jego planów nadzieja w pośpiechu.
Czemużeś pragnął zastać go tu jeszcze?

Gryn. By mógł swe wojska, on, nadzieja nasza,
Zwrócić i w rozpacz pchnąć nadzieję wroga,
Który już w Anglii zbrojno wylądował.
Herford sam siebie odwołał z wygnania,
I przybył z groźnym orzędem bezpiecznie
Do Ravenspurga.

Królowa. Broń-że wielki Boże!

Gryn. Tak jest, niestety! a co jeszcze gorzej,
Lord Nortumberland, z nim syn Henryk Persy,
Tudzież lordowie Ros, Bomond, Willoby,
Zbiegli doń z całą rzeszą swych przyjaciół.

Buszy. Zaraz ogłosić należało zdrajcą
Nortumberanda i wszystkich rokoszan.

Gryn. Toż się zrobiło. Zaczem hrabia Wuster
Złamał swą łaskę, zdał marszałka urząd,
I z nim już uciekł cały dwór królewski
Do Bolinbroka.

Królowa. Tyś to więc, tyś Grynio,
Stał się boleści mojej położnikiem,
A Herford strasznym synem mego smutku.
Oto ma dusza wydała swój potwór,
A ja, dusząca, ledwie rozwiązana
Matka — w ból z bólu, w smutek z smutku padam.

Buszy. O! nie rozpaczaj!

Królowa. I któż mi zabroni?
Ja chcę rozpaczać, chcę żyć w nieprzyjaźni
Z nadzieją zwodną, gdyż to pochlebniça,
Niecny pasorzyt, wstrzymuje dłoń śmierci,
I gdy rozwiązać ta chce węzły życia,
Tamta je złudnie czepi do ostatka.

(Wchodzi York).

Gryn. Otóż i książę York do nas przybywa.

Królowa. Na starym karku dźwiga godła wojny.
Jakżeż wzrok jego pełen trosk i trudu!
Na Boga! stryju, mów, daj mi pociechę.

York. Gdybym pocieszał, kłamałbym mym myślom.
Pociecha w niebie, a my tu na ziemi,
Gdzie tylko żyją zwady, trud i boleść.
Mąż twój pojechał zbierać plon daleko,
A inni przyszlizli obedrzeć go w domu.
Mam-że kraj wspierać, ja, co zgięty wiekiem,
Siebie samego podeprzeć nie mogę?
Otóż choroba idzie po rozpucie.
Dozna przyjaciół, co mu pochlebiali.

(Wchodzi posłaniec).

Posłaniec. Syn twój wyjechał, nim zdążyłem przybyć,
York. Wyjechał? Po co? Niech się, jak chce, dzieje!
Szlachta uciekła, lud coś chłodno patrzy
I pono przejdzie na stronę Herforda.
Ruszał do Plaszy, do mej siostry Gloster.

Poproś, by tysiąc funtów mi przysłała.

Oto mój pierścień.

Posłaniec. O panie, jam ci zapomniał powiedzieć,
Żem dziś przejazdem wstąpił tam, lecz koniec
Mojej powieści zasmuci cię, książę.

York. Co? Mów.

Posłaniec. Godziną wprzód księżna umarła.

York. Zmiłuj się, Boże! Co za powódź nieszczęść
Na ten kraj biedny zlewa się od razu!
Nie wiem, co począć. Czemuż król nie kazał
(Bylebym zdradą nie był dał powodu)
Ściąć mojej głowy razem z brata głową.
I nie wysłano-ż jeszcze do Irlandyi?
Skądże pieniędzy dostać na tę wojnę?
Pójdź, siostró! wybacz, chciałem rzec: kuzynko!

(Do posłańca).

Ty śpiesz, pacholku, do domu — zbierz wozy
I broń tu przywieź, jaka się tam znajduje.

(Posłaniec odchodzi).

Raczień, panowie, ściągnąć waszych ludzi.
Jak i co począć, jeśli wiem w tej sprawie,
Co tak bez ładu spadła na me barki,
Niech wiarę stracę. Obaj moi krewni.
Jeden mym królem. Przysięga, powinność,
Każą go bronić. Lecz również i drugi
Jest moim krewnym, a król go pokrzywdził.
Więc krew, sumienie, sprostować to każą.
Trzeba coś począć. Pójdź, kuzynko — muszę
Rozrzadzić tobą. Wy, panowie, śpieszcie
Sprawić w szyk ludzi i za mną do Barklej,
Trzeba-by także jechać mi do Plaszy,
Ale czas nie da. Wszystko wspak na świecie,
I każdy zamysł trzy po trzy się plecie.

(York i królowa odchodzą).

Buszy. Wiatr sprzyja wieściom w drodze do Irlandyi.

Lecz nie w powrocie. Zebrać siły równe

Potędze wroga już nam nie podobna.

Gryn. Przytem, o ile my króla miłujem,

O tyle inni nie cierpią go zgoła.

Bagot. Naprzykład chwiejna ta gawiedz. Jej miłość

Spoczywa w trzosach, a kto te wypróżnia,

O tyle złością napełnia jej serca.

Buszy. I stąd powszechnie króla potępiono.

Bagot. Jeśli sąd przy nich, i my potępieni,

Bośmy przy królu zawsze blisko stali.

Gryn. A więc wprost śpieszę schronić się w Bristolu,

Gdyż hrabia Wiltszer już się tam znajduje.

Buszy. I ja z tobą. Od gawiedzi przeklętej

Nic nas dobrego nie czeka, a mogą,

Jak jakie kondle, rozgryźć nas w kawałki.

Chcesz-że pójść z nami?

Bagot.

Nie — ja do Irlandyi

Śpieszę za królem. Bądźcież więc mi zdrowi.

My trzej — gdy serca przecucie nie myli —

Raz się ostatni widzimy w tej chwili.

Buszy. Zależy, czy York odeprze Herforda.

Gryn. Ach! biedny książę! Snadniej mu zrachować

Piaski, lub wypić wodę w oceanie.

Tysiąc uciecze, jeden z nim zostanie.

Buszy. Raz na zawsze was żegnam.

Gryn.

Jeszcze przecie

Spotkać się możemy.

Bagot.

Nigdy — na tym świecie!

(Wychodzą).

SCENA III.

Dzika okolica w hrabstwie Gloster.

(Wchodzi Bolinbrok, Nortumberland i wojsko).

Bolinbrok. Jakież do Barklej stąd jeszcze daleko?

Nortumberland. Jam tu, wiesz panie, obcy w hrabstwie

[Gloster.

Te dzikie wzgórza, nieutarte drogi,
Mil przydłużają, czynią je zmudnemi.
Wszakże ta miła rozmowa, jak cukier,
Niežnośną drogę w słodycz mi zmieniła.

Stąd właśnie wnoszę, jak nie będąc z tobą,

Będą nużący mieli z Ravenspurga

Do Kotswołd pochód i Ros i Willoby.

Bo ileż nudy i trudów w tej drodze

Twoja obecność ujęła mi, książę!

Podróż mi przecie osłodzi nadzieja

Szczęścia, które obecnie posiadam,

A spodziewanie nie mniejszem jest szczęściem,

Niż samo szczęście. Więc znużonym lordom

Krótkim się wyda pochód z tą otuchą,

Jak mnie się wydał w towarzystwie twojem.

Bolinbrok. Mniejszą ma wartość od tych słów uprzejmych

Me towarzystwo. Lecz któż tu przybywa?

(Wchodzi Harry Persy).

Nortumberland. To własny syn mój, młody Harry Persy,

Skądś go przysłał pewnie brat mój Wuster.

Jakże się stryj ma, Harry?

Persy. Jam, mój ojciec,

Myślał, że o tem od ciebie się dowiem.

Nortumberland. Aż on nie jest z królową?

Persy. Nie, panie.

On dwór porzucił, złamał marszałkowską

Laskę, a dworzan królewskich rozpuścił.

Nortumberland. Jakiż miał powód? Odyśmy raz ostatni

Z sobą mówili, nie zgadzał się na to.

Persy. Powód — że ciebie zdrajcą ogłoszono.

Ale on, panie, na Ravenspurg poszedł,

By księciu Herford ponieść swe usługi,

A mnie do Barklej wysłał, bym zbadawszy

Jakie tam siły książę York zgromadził,

Do Ravenspurga przyniósł mu wiadomość.

Nortumberland. Czyż księcia Herford zapomniałeś, chtëpcze?

Persy. Trudno zapomnieć tego, co nie było

Nigdy w pamięci. Jam go, ile pomnę,

W mem życiu nigdy na oczy nie widział.

Nortumberland. A więc go poznaj teraz. To jest książę.

Persy. Łaskawy książę, racz przyjąć me służby.

Jakkolwiek wąte i w pączku dopiero,

Dojrzeją one w słońcu lat późniejszych,

I w chwalebniejszą wzmogą się zasługę.

Bolinbrok. Dzięki ci, Persy. Bądź pewien, że w niczem

Tak się szczęśliwym wskroś nie poczytuję,

Jak że mam duszę wdzięczną przyjaciółom.

A jak twa miłość wzmaga mą fortunę,

Tak też w niej znajdzie sowitą nagrodę.

Ręka niech stwierdzi naszych serc przymierze.

Nortumberland. Jakżeż daleko stąd jeszcze do Barklej?

I cóż tam z wojskiem stary York porabia?

Persy. Tam stoi zamek, przy tamtej drzew kępie.

O ilem słyszał, jest w nim trzystu ludzi,

Na których czele York, Barklej i Symor,

Prócz tych — nikogo z mienia i godności.

Nortumberland. Otóż nadchodzą i Ros i Willoby,

Zgrzani pośpiechem, krwawe ich ostrogi.

Bolinbrok. Witajcie! Widzę, wasza miłość ściga

Wygnańca, zdrajcę. W moim skarbie dotąd

Jałowe dzięki, lecz gdy się wzbogaci,

Będzie on waszych serc i prac nagrodą.

Ros. Twoja obecność już nas dość wzbogaca.

Willoby. I hojniej płaci, niż trud nasz zasłużył.

Bolinbrok. Dzięki na zawsze. W nich fundusz ubóstwa,

I z nich ma hojność, nim dziecko fortuna

Nie wzrośnie w lata. Lecz któż tu nadchodzi?

(Wchodzi Barklej).

Nortumberland. Wszak to lord Barklej, jak mi się wydaje.

Barklej. Mój lordzie Herford, jam do ciebie posłem.

Bolinbrok. Nie przed Herfordem, przed Lankastrem stoisz.

Wszak po to imię przybyłem do Anglii,

I znajdę na twym języku ten tytuł

Wprzód, nim tu tobie na cobądź odpowiem.

Barklej. Zrozum mię, proszę — nie w mojej jest myśli

Z twej czci wykreślać choćby tytuł jeden.

Więc do cię, lordzie, (jaki chcesz tam, lordzie)

Od księcia Yorku, wielkorządcy Anglii,

Przybywam spytać, co ciebie poduszczę,

Że, korzystając z niebytności króla,

Burzysz nam pokój bezprawym orężem.

(Wchodzi York z orszakiem).

Bolinbrok. Już ślać przez ciebie słów nie potrzebuję,

Oto sam książę nadchodzi *(kłękając)*. Mój stryju!

York. Ukorzę się sercem, ale nie kolanem.

Inaczej hołd twój jest fałszem i zradą.

Bolinbrok. Mój miłościwy mości stryju!

York. Hola!

Nie mość mię mością, nie stryjaszkuj stryjem,

Jam nie stryj zdrajcy, a mość czyli miłość

W niemiłościwych ustach jest bluźnierstwem.

Jakiem-że prawem śmiałeś ty, wygnaniec,

Tknąć stopą choćby pyłku naszej ziemi?

I jeszcze więcej — jakżeś śmiał mil tyle

Po jej spokojnem wydeptywać łonie,

Poblądle siola przerażając wonią

I nienawistnych nam mieczów postrachem?

Przybył-żeś temu, że król stąd wyjechał?
 Króla tu nie brak, szalony młodzieńcze,
 Bo jego władza tkwi w mem wiernem tonie.
 Gdybym ognistą miał młodość jak wtedy,
 Ody z mężnym Gantem, twym ojcem, ocalił
 Czarnego księcia, Marsa między ludźmi,
 Z pośród tysięcy francuskich zastępów,
 O! jakby rąco skarciło cię wtedy
 To ramię, teraz więzień paraliżu,
 Należną grozą chłoszcząc twe przestępstwo.

Bolinbrok. Łaskawy stryju, jakaż moja wina?

W czym tkwi i w jakim mieści się powódzie?

York. Właśnie w najgorszym ze wszystkich powodów:

W otwartym buncie i w zdradzie haniebnej.

Jesteś wygnańcem, a tu śmiesz przybywać,

Nim wyznaczony czas jeszcze upłynął,

Ogroźny miecz wznosząc na swego monarchę.

Bolinbrok. Byłem wygnańcem, ale jako Herford,

A teraz wracam tu jako Lankaster.

Na twą cię zacność zaklinam, mój stryju,
 Spojrz na me krzywdy, spojrz bezstronnem okiem.

Więc tyś mi ojcem, gdyż mi się wydaje,

Że w tobie odżył stary Gant. Więc ojciec,

Czyliż dozwolisz, abym miał włóczęgą

Zostać na zawsze, bym z praw mych odarty

Widział książęce me majątki w ręku

Rozrzućnych panków? Czemże jestem z rodu?

Jeśli mój krewny król jest królem Anglii,

Musisz mi przyznać, że książę Lankaster.

I ty masz syna. Gdybyś przed nim umarł,

A Omerl tak był jak ja przynębionym,

Pewnie-by znalazł ojca w stryju Gancie,

Któryby podjął i odparł te krzywdy.

A mnie wzbroniono sądownie dochodzić

Zwrotu dóbr, chociaż mam ku temu dyplom.

Spadek po ojcu zajęto, sprzedano,

I wszystko poszło na niecny użytek.

Jak chcesz, bym działał? Poddany — przyzywam

Praw mego kraju. Odparto zastępców,

Więc tu przybywam, by się osobiście

O niewątpliwe dopomnieć dziedzictwo.

Nortumberland. Zanadto książę został pokrzywdzony.

Ros. Ty tylko słuszność wyjednać mu możesz.

Willoby. Nędznicy w jego panoszą się dobrach.

York. Lordowie moi, niech mi rzec się godzi,
 Żem czuł bratanka krzywdy, i żem wszystko,
 Jak mógł, poruszał, by mu prawa zwrócić.
 Lecz mu nie wolno przybywać tu zbrojnie,
 Być własnym krajczym, drogę sobie kroić,
 I złymi środkami dążyć ku dobremu.

A wy, co w tem go dziele poduszczacie,
 Czcząc bunt, jesteście wszyscy buntownicy.

Nortumberland. Przysiągł, że tylko po swoje przybywa,

A myśmy wszyscy najświęciej przysięgli,
 W tak słusznej sprawie dać mu pomoc wszelką,
 Kto ten ślub złamie, niech szczęście postrada!

York. O! widzę dobrze w co ten zamach godzi.

Na opór jednak nie stać mię, wyznaję.

Władza ma słaba, wszędzie znalazł nieład,

Lecz gdybym zdołał, o! jak mi Bóg miły,

Schwyciłbym wszystkich, wszystkich was, i zmusił
 U stóp królewskich zebrać miłosierdzia.

Lecz, gdy nie mogę, wiedźcie, że się bierny

Na bok odsuwam. Więc was żegnam wszystkich,

Chyba, że wstąpić do zamku zechcecie,

Aby spokojnie noc tę w nim odpocząć.

Bolinbrok. Stryju, przyjmuję chętnie twoją łaskę,

Pragniem cię przytem skłonić, byś się z nami

Udał do Bristol. Zamek ten, jak słyhać,

Zajęli Buszy, Bagot i wspólnicy —

Te gąsienice pospolitej rzeczy,

Które przysiągłem zgarnąć i wytepić.

York. Może — lecz jednak wprzód się zastanowię,

Bo przykro gwałcić świętość praw, lordowie.

Wróg czy przyjaciel, wszystkich proszę ze mną

Gdy niema rady, troska jest daremną.

(Wychodzą.)

SCENA IV.

Obóz w Walii.

(Wchodzi Salisbury i kapitan.)

Kapitan. Lordzie Solsbury, dziesięć dni czekamy,
 Ledwie rodaków utrzymując w klubach,

A żadnych wieści od króla nie słyhać,
Przeto się musim rozjeść. Żegnam ciebie.
Salisbury. Jeszcze dzień jeden, wierny Walijszyku,
Król w tobie całą swą ufność pokłada.
Kapitan. Nie mogę czekać. Mówią, że król umarł,
Laurowe drzewa wszystkie w kraju wyschły,
Strach meteory roznoszą po niebie,
Krwawo na ziemię patrzy książęc błady,
Chude proroki groźne wróżą zmiany,
Bogaci w smutku, łotry drwią i tańczą,
Tamtym żal stracić cały swój dobytek,
Tym radość w zysku przez wojnę i zamęt.
Znaki te wróżą królów zgon lub zgubę.
Bądź zdrów. Nasz poczet zbiegł na łeb na szyję,
Pewny, że Ryszard król nasz już nie żyje.

(Odchodzi).

Salisbury. Ryszardzie, widzę smutnej duszy okiem,
Że twoja chwała, jakby nikła gwiazda,
Na poziom świata spada z firmamentu.
Twe słońce we łzach pod zachód się skłania,
Zwiastując burze, klęski, zamieszania.
Przeszedł do wrogów zastęp twych przyjaciół,
Los się we wszystkim przeciw tobie zaciął.

(Wychodzą).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Obóz Bolinbroka pod Bristolem.

*(Wchodzi Bolinbrok, York, Nortumberland, Persy, Willoby,
Ros. Za nimi Buszy i Gryn pod strażą).*

Bolinbrok. Wprowadźcie więźniów.

Buszy i Grynie, nie będę dusz waszych
(Bo wnet się one rozstać z ciałem muszą)
Trapił wywodem wszystkich waszych przestępstw,
Gdyżby to było brakiem miłosierdzia.
Wszakże, by z rąk mych zmyć krew waszą, dotknę,
Wszem wobec, głównych przyczyn waszej śmierci.
Wyście to króla, tak, króla uwiedli.

Był to pan szczęsny i krwią i urodą,
Lecz przez was stał się nieszczęsnym i szpetnym.
Wyście, rozpustą bawiąc go po nocach,
Jakby trzymali w rozwodzie z królową,
Targali stadło królewskiej łóżnicy,
I sprowadzili niecnymi postępki
Łzy na oblicze nadobnej królowej.
I ja sam — książę fortunym mym rodem,
Blizki krwią króla i miłością blizki,
Póki mię przez was wspak czytać nie zaczął,
Czyżem nie musiał zgiąć kark pod złość waszą,
W obce obłoki wzdychać za ojczyzną,
I jeść w strapieniu gorzki chleb wygnania,
Gdyście wy na mych tuczili się włościach
Ścinałi bory, rozgradzali parki,
Zdzierali herby z nad okien, ścierając
Wszędzie me godła — tak, że znikł ślad wszelki,
Krom krwi w mych żyłach i ludzkiej pamięci,
Czem-bym mógł światu wykazać, żem szlachcic.
Te i w dwójnasób jeszcze przestępstw więcej
W śmierć was skazały. Idźcie wyrok na nich
Wykonać zaraz i zdać w śmierci ręce.
Buszy. Żegnam was. Niech tak ci, Anglio, Bolinbrok,
Jak tyś mi miłym, luby śmierci darze!
Gryn. Mnie radość, że Bóg weźmie nasze dusze,
A piekiel męką niesłuszność ukarze!
Bolinbrok. Nortumberlandzie, idź wraz skończyć z nimi!
(Wychodzi Nortumberland z więźniami i ze strażą).
Królowa, stryju, jak mówisz, w twym domu.
Na Boga! miejcie dla niej względy wszelkie.
Powiedz, że służby polecam jej moje,
Niech ją kto śpiesznie ode mnie powita.
York. Jam już wyprawił towarzysza z listem,
Pełnym twych uczuć przyjacielskich dla niej.
Bolinbrok. Dzięki, mój stryju. *(Do lordów).* My walkę po-
[czętą]

Na Glendowera i współników zwróćmy.
Teraz do pracy, potem będzie święto!
(Wychodzą).

SCENA II.

Brzeg morski w księstwie Walii.

(Opodal zamek. Odgłos trąb i bębnow. Wchodzi król Ryszard, biskup karlajlski, Omerl i wojsko).

Król Ryszard. Czyż to, co widać, jest zamek Berkleju?

Omerl. W istocie, panie. Jakżeż ci powietrze

Służy po trudach na wzburzonym morzu!

Król Ryszard. Wybornie. Oto ronię łzy z radości,
Że znów w mem państwie stoję. Droga ziemio!
Biorę cię w dłonie, ściskam, choć bunt niecny
Srogo cię rani końskimi kopyty.

Jak matka długo rozłączona z dzieckiem,

Łzę i uśmiechem pieści je w spotkaniu,

Tak ja, ma ziemio, śmiejąc się, to płacząc,

Witam cię, pieścić w objęciach królewskich.

Luba ma ziemio, nie karm mego wroga,

Jego żarłocstwa nie syć twymi dary,

Lecz niech pająki, co ssą twą truciznę,

I ciężkich ropuch zastęp tkwi mu w drodze,

Co krok zdradzieckie kalecząc mu nogi,

Które cię sproszą śmieją deptać stopą.

Wznos przed me wrogi parzące pokrzywy,

A gdy ci oni uszczkną kwiatek z łona,

Proszę cię, strzeż go ukrytą w nim żmiją,

Której podwójny język niech zabójczym

Ciosem śmierć zada twego króla wrogom.

Z mych gniewnych zaklęć nie sztydźcie, lordowie.

Ta ziemia zadrgnie czuciem i te głazy

Staną jak zbrojne wojsko, wprzód nim zadrży

Przed podłym buntem król jej rodowity.

Biskup. Nie trwóż się. Moc ta, co cię na tron wzniosła,

Zdoła cię na ním wbrew wszystkim utrzymać,

Ale w lot chwycić trzeba wszystkie środki

Dane przez niebo. Kto je zaniedbuje,

Ten niebu przeczy, gdyż odrzuca dary

Łaski najwyższej: pomoc i zbawienie.

Omerl. Książd biskup twierdzi, żeśmy zbyt ospali,

Kiedy Bolinbrok przez niedbalstwo nasze

Wzmaga się, rośnie w moc i przyjaćioły.

Król Ryszard. Po cóż mię, bracie, zniechęcasz? Czyż nie wiesz,

Że gdy za poziom czujne niebios oko
Zajdzie i dolną część świata oświeci,
Wychodzą chyłkiem złodzieje i zbójce,
Krocząc po ciemku w mordach i bezprawiach.
Lecz gdy to oko znów z za kuli ziemskiej
Zapali dumne wschodnich sosn wierzchołki,
I wnuknie światłem w każdą zbrodni jamę,
Wtedy mord, zdradza i plugawe grzechy,
Zdarty im z ramion płaszcz nocny straciwszy,
Staną wręcz nagie, drżąc na widok własny.
Tak gdy ten złodziej, ten zdrajca Bolinbrok,
(Który po nocach hulał tu czas cały,
Gdy z antypody myśmy wędrowali)
Ujrzy nas na tron wschodu wstępujących,
Wszystkich się zdrał swych rumieńcem obleje,
A sobą zlekty i dnia znieść nie zdolny,
Zadrży na widok szkarady swych grzechów.
Nie — zmyć balsamu z pomazańca króla
Nie zdoła wszystka woda oceanów,
Ni głos znikomych ludzi strącić tego,
W kim sobie Pan Bóg wybrał namiestnika.
W miejsce każdego, któremu Bolinbrok
Wcisnął stal przeciw mej złotej koronie,
Dla mnie u Boga jest na niebios żołądzie
Przeczysty anioł. Mdli ludzie nie starczą
Aniołom w walce, bo Bóg prawa tarczą!
(Wchodzi Salisbury).

Witaj mi. Jakżeż daleko twa siła?

Salisbury. Bliżej ni dalej, niż to słabe ramię.

Strapienie, królu, władza mym językiem

I nagli mowę tylko w głos ropaczy.

Bodaj że jeden dzień zwłoki zachmurzył

Wszystkie dni szczęścia twojego na ziemi.

Odwolaj wczora, każ czasowi wrócić,

A znajdziesz zbrojnych dwanaście tysięcy.

Dziś, dziś, nieszczęsne to dziś, ten dzień jeden

Zmiółł ci przyjaciół, szczęście i koronę.

Słyszac, żeś umarł, Walijszycy z trwogi

Do Bolinbroka pierzchli co do nogi.

Omerl. Pokrzep się, królu — skąd ta bladeść w twarzy?

Król Ryszard. W niej krew dwudziestu tysięcy przed chwilą

Wrzała tryumfem — lecz one przepadły!

Więc zanim znowu tyleż krwi tam wróci,

Nie dziw, o! nie dziw, zem, jak trup, wybladły.
Zmyka, kto tylko ratować się umie,
Bo czas przekleństwo rzucił mojej dumie.

Omerl. Pokrzep się, królu — pamiętaj, kim jesteś.

Król Ryszard. Jam się zapomniał. Wszakem jeszcze królem!

Zbudź-że się, gnuśny majestacie, nie śpij.
Nie warte-ż imion czterdziestu tysięcy
Królewskie imię? Uzbrój się, me imię!
Lichy poddaniec uderza w twą chwałę,
Nie patrzcie na dół, ulubieńcy króla!
Czyśmy nie w górze? Więc w górę i myśli!
Stryj York ma dla nas dość wojska w obwodzie.
Lecz któż tu dąży?

(Wchodzi Skrup).

Skrup. Miej więcej, królu, i zdrowia i szczęścia,
Niż dać ci zdoła mój strapiiony język.

Król Ryszard. Ucho otwarte, serce mam gotowe!

W najgorszym razie ziemską zwieścisz stratę.
Caliż kraj odpadł? Wszak on był mą troską;
Pozbyć się troski — czyż to strata jaka?
Czy chce Bolinbrok sprostać mi w wielkości?
Większym nie będzie. Jeśli Bogu służy,
I ja Mu służę, a więc będziem w spółce.
Wznoszą-ż bunt wszyscy? Na to niema rady,
Łamiąc mi wiarę, łamią ją i Bogu.

Powiesz: gwałt, zguba, strach, wszystko w ruinie!

Skrup. Rad jestem, królu, żeś tak uzbrojony
Na wieść o klęskach. Jak w dniu nagłej burzy,
Srebrne strumienie występują z brzegów —
Rzekłbyś, że we łzy świat cały roztajał —
Tak się i wściekłość Bolinbroka wzdyma
Nad wszelkie krańce, kraj twój przelekniony
Przyodziewając w twardą stal i w twardsze
Od stali serca. Siwobrode starcy
W hełm dzikie czaszki zbroją przeciw tobie,
Chłopcy w ton groźny puszą głos swój wątyły,
I zakuwają niewieście swe członki
W ciężkie pancerze przeciw twej koronie.
Uczą się nawet twoi jałmużnicy
Giąć łuki z dwakroć zabójczego cisu,
Ba! prządki mierzą zardzewiałe piki
W tron twój. Bunt niecą i młodzi i starzy.
Brak mi słów, jak źle wszystko nam się darzy!

Król Ryszard. O! zbyt dokładnie smutną powieść prawisz!

Kędyż jest hrabia Wiltszer, kędy Bagot,
Gdzież jest Gryn przecie, coż się z Buszym stało,
Że dali mierzyć niebezpiecznym wrogom
Nasze granice stopą tak swobodną?
Skoro przemożem, przypłacą to głową.
Zrobili, ręczę, pokój z Bolinbrokiem.

Skrup. O już, zaprawdę, pokój między nimi!

Król Ryszard. O! lotry, zmije, wieczni potępienicy,
Psy, lada komu łaścić się gotowe,
Węże, krew ssące z serca, co je grzało,
Trzej Judaszowie, każdy od Judasza
Po trzykroć gorszy — śmieli-ż zrobić pokój?
Czarne ich dusze niech piekło pochłonie!

Skrup. Jakżeż się rąco miłość w najzaciętszą
Zmienia nienawiść! Odeknij ich dusze,
Gdyż oni wieczny pokój ten przybili
Głową, nie ręką. Ci, których przeklinasz,
Padłszy pod śmierci najstrasliwsze brzemie,
Leżą głęboko zagrzebani w ziemię.

Omerl. Czyliż Gryn, Buszy i Wiltszer nie żyją?

Skrup. Wszyscy już w Bristol głowę położyli.

Omerl. A gdzież jest książę, mój ojciec, z swem wojskiem?

Król Ryszard. Mniejsza już o to. Precz z wszelką pociechą!

Mówmy o trumnach, robakach, nagrobkach.

Proch — to nasz papier, więc rzewnych ócz łzami
Na łonie ziemi zapisujemy smutek.

Róbmy testament, oraz wykonawców
Wyberzmy sobie. Lecz coż zdać możemy
W puściźnie komu, krom ciał naszych — ziemi?
Majątki, życie, wszystko Bolinbroka.
I nic swem nazwać nie mogę prócz śmierci,
I prócz tej garstki nierodzajnej gliny,
Co służy kościom za oblep i szatę.
Przez Boga? siądnijmy na ziemię i prawmy
Smutne powieści o zgonie monarchów.
Jednych strącono, drudzy w boju legli,
Tych udęczyły upiory strąconych,
Tych struły żony, tamtych w śnie zabito —
Mord wszystkich końcem, bo w kręgu korony,
Która otacza skroń króla znikomą,
Śmierć ma swój dworzec. Tam cudaczka siedzi,
Drwiąc z majestatu, szydząc z jego pompy,

Dając mu drobną chwilkę i teatrzyk,
 By zagrał w króla, straszyl, zmiatał wzrokiem,
 I samolubną, czczą w nim budząc próżność,
 Że niepożytyłm śpiżem jest to ciało,
 Ta twierdza życia. Tak się ubawiwszy,
 Przybywa w końcu przekłuć drobną szpilką
 Wątlą warownię... i bądź zdrów, mój królu!
 Nakryjcie głowy — kornymi pokłony
 Nie sztydźcie z ciała — porzućcie hołd, służby,
 Zwyczaj, cześć wszelką. Wyście się co do mnie
 Mylili dotąd. Jak wy, żyję chlebem,
 Podlegam smutkom, czuję niedostatki,
 I potrzebuję przyjaciół. Nie śmiejcie-ż
 Tak zawistemu powiadać, żem królem!

Biskup. Mądrzy obecną nie trapią się klęską,
 Lecz przyszłym klęskom drogę zagrażają.
 Strach sił ujmuje, więc strachać się wroga
 Jest-to przydawać mu sił twem omdleniem,
 I własnem głupstwem walczyć przeciw sobie.
 Bać się i ginąć? a więc walczyć lepiej.
 Kto walcząc ginie, uprzedza śmierć drugą.
 Komu strach umrzeć, ten jest śmierci sługą.

Omerl. Spytaj, gdzie ojciec, dość mu sił zostało?
 I umiej z członka odbudować ciało.

Król Ryszard. Słusznie mię karcisz. Dumny Bolinbroku,
 By sprawę rozciąć, dotrzymam ci kroku.
 Minął dreszcz trwogi, omdlenie minęło.
 Zdobyć co swoje, nie trudne to dzieło.
 Odzież stryj, mów, Skrupie, gdzież z nim stoją nasi?
 Słodko odpowiedz, choć ci twarz się kwasi.

Skrup. Jak lud miarkuje po znakach z wysoka,
 Jakim dzień będzie, co czas w łonie mieści,
 Tak poznaj, królu, z smutku mego oka,
 Że jeszcze gorsze mam dla ciebie wieści.
 Gram rolę kata, niestety! co snuje
 Zwolna, po trosze, coraz cięższe męki.
 Do Bolinbroka twój stryj York już przeszedł.
 Uległy wszystkie zamki na północy,
 I na południu cała zbrojna szlachta
 Już się poddała.

Król Ryszard. Dość już powiedziałaś.
 (Do Omerla).

Bodaj cię! Po cóż było mię odwodzić

Z tej lubej drogi, którą w rozpacz biegłem?
 Cóż powiesz teraz? Jakąż dasz pociechę?
 Precz mi! Na wieki tego znieprawidzę,
 Kto mię w otuchę jeszcze kusić będzie!
 Do Flintu! Życie tam przecierpię moje.
 Król, jeniec nieszczęść, jak król im dostoję.
 Rozpuścić wojsko! Niech biegną co żywo
 Siać w ziemię, która obiecuje żniwo.
 Ja żadnej nie mam. Niech nikt nie przekłada,
 Bym to odwołał. Próżna wszelka rada.

Omerl. Pozwól rzec słowo.

Król Ryszard. Podwójnie mię rani,
 Kto mi dziś schlebia. Wszyscy tu zebrani
 Niech pierzchną z nocy Ryszarda w dzień biały,
 W dzień promienisty Bolinbroka chwały.
 (Wychodzą).

SCENA III.

Księstwo Walii. Przed zamkiem Flint.

(Wchodzi chorągwie przy odgłosie bębnow. Bolinbrok z wojskiem, York, Nortumberland i inni).

Bolinbrok. Więc się z ostatnich dowiaduję wieści,
 Że Walijszczy pierzchli, a Solsbury
 Pognał do króla, który na te brzegi
 Z garstką przyjaciół w tych dniach wylądował.

Nortumberland. Dobre to, panie, i pomyślne wieści.
 Ryszard skrył głowę pono tu w pobliżu.

York. Godziłoby się Nortumberlandowi
 Mówić: król Ryszard. Jakżeż dzień to smutny,
 Gdy namaszczone król głowę kryć musi!

Nortumberland. Żle-ś mię zrozumiał. Tylko-m dla krótkości
 Tytuł opuścił.

York. Był czas, że za taką
 Krótkość z twej strony, on równie-by z tobą
 Postąpił krótko, i o całą długość
 Głowy cię skrócił za zdjęcie nagłówek.

Bolinbrok. Nie bierz mu za złe więcej niż się godzi.

York. Nie bierz, bratanku, więcej niż się godzi,
 By ci nie wyszło na złe. Bóg nad tobą!

Bolinbrok. Wiem, i oporu Jego świętej woli

Nie stawiam, stryju. Lecz któż tu przybywa?
(*Wchodzi Persy*).

Witaj. Czyż nie chce poddać się ten zamek?
Persy. Zamek ten, panie, królewskim ramieniem
Wzbrania ci wejścia.

Bolinbrok. Ramieniem królewskim?
A jakż król tam?

Persy. Niezawodnie, książę,
Mieści on króla. Król Ryszard przebywa
W tych tam warowniach z wapna i kamieni,
A z nim lordowie: Omerl i Solsbury,
Stefan Skrup takż, oraz kapłan jakiś
Wielkiej godności — kto? nie mogę dociec.

Nortumberland. Pewnie to będzie biskup z Karlajl.

Bolinbrok (*do Nortumberlanda*). Lordzie!

Podejdź pod twarde żebra tego zamku,
W zgrzybiałe uszy zadzwoń mu mosiężną
Trąbą na posłuch, i te powiedz słowa:
Henryk Bolinbrok na obu kolanach
Całuje króla Ryszarda prawicę,
Śle hołd i serca nieprzełomną wiarę
Jego Królewskiej Mości, gdyż przychodzę
Tu broń i władzę u nóg jego złożyć,
Jeśli wygnania ze mnie karę zdejmie
I bez zastrzeżeń wróci mi majątek.
Jeśli nie — wszystko zwalczę mą przemocą,
Pył lata krwi tej skrapiając ulewą,
Co wyddzą rany wyróżnionych Anglików.
A jak jest wstrętem duszy Bolinbroka,
Zatapiać taką krwawą nawałnicą
Świeżo zielone łono państw Ryszarda,
Tkliwie mu hołd mój pokorny okażę.
Idź to obwieścić — my tymczasem szyki
Sprawim na kraśnym łąki tej kobiercu.
(*Nortumberland podsuwa się pod zamek z trębaczem*).
Bez wrzawy groźnych bębnow postępujemy,
By mogło ucho z chwiejnych zamku szaniców
Dosłyszeć dobrze poselstwo pokoju.
Ryszard się ze mną, mniemam, zejść nie może
Mniej groźnie, niżli prądy ognia z wodą,
Gdy w starciu trzaskiem gromów rozdzierają
Chmurną twarz niebios. Niech on będzie ogniem,
Ja zaś ustępną wodą; niech wre cały

Wściekłością samą, kiedy deszcz wód moich
Spłynie na ziemię — na nią, nie na niego.
Dalej! lecz zważać na postawę króla.
(*Trębacz wzywa parlamentarza. Odpowiada mu trąba w murach miasta. Odgłos trąb i bębnow. Król Ryszard wchodzi na szanice. Za nim biskup, Omerl, Skrup i Salisbury*).

Patrz, patrz — król Ryszard sam się ukazuje,
Jak szczerwienione i gniewliwe słońce
Z ognistych wschodu podwoi, gdy ujrzy
Zawistne chmury, które dążą zaćmić
Blask jego chwały i skałać koleje
Jego promiennej wędrowki na zachód.
York. Czyż nie król z twarzy? Patrzcie — jego oko
Błyszczący jak orle, i groźny majestat
Stwierdza swym ogniem. O! biada nam, biada,
Jeśli wzór taki swą piękność postrada!

Król Ryszard (*do Nortumberlanda*). Stożę zdziwiony, że tak
[długo muszę

Czekać, czy zegniesz korne twe kolano,
Bo myślę, żem jest twoim prawym królem.
Jeślim jest — jakżeż twe stawy nie pomną
Złożyć hołd trwożny przed mą oblicznością?
Jeżelim nie jest, wskaż mi rękę Boga,
Co mię z władarstwa mego odsunęła,
Gdyż wiem, że żadna ręka z krwi i kości
Nie zdoła święte me berło pochwycić,
Chyba je skazić, skraść lub wydrzeć zechce.
I choć mniemacie, że wszyscy ode mnie,
Za wzorem waszym, serca swe odjęli,
Żem biedny, nędzny, obrany z przyjaciół,
Wiedźcie, że w górze Pan mój, Bóg wszechmocny,
Aby mię pomścić, gromadzi w obłokach
Armie dżum, które w niezrodzone jeszcze
I w niepoczęte dzieci tych uderzą,
Co swe poddańcze ręce na mą głowę
Podnosząc, grożą chwałę mej korony.
Bolinbrokowi — wszak to on opodał? —
Powiedz, że każdy jego krok w mym kraju
Jest zgubną zdradą. Przyszedł on otworzyć
Krwiożerczej wojny szkarłatny testament,
Lecz nim w pokoju posiedzie koronę,
Której pożąda, wprzód dziesięć tysięcy
Krwawych głów zwarzy kwiat na Anglii licach,

Zmieni dziewiczą bladość jej pokoju
W rumieniec gniewu i pastwisk murawę
Zrosi źródłami wiernej krwi angielskiej.

Nortumberland. O! broń-że Boże, by się kto na króla
Śmiał targnąć bratnią a zdraziecką bronią!
Henryk Bolinbrok, twój trzykroć dostojny
Bratanek, kornie rękę twą całuje,
I poprzysięga na ten grób czcigodny,
Który pokrywa kości twego dziada,
I na królewską waszą we krwi wspólność —
Jak dwóch potoków rodnych w jednym źródle —
I na zmarłego Ganta dzielne ramię,
I na zasługę i na honor własny —
W czem treść i zakład wszelkich słów i przysięg:
Że jego powrót ten ma cel jedyny,
By mógł księżęcą odzyskać puściznę,
I wolność sobie na klęczkach wyprosić —
Co gdy mu raczysz przyznać tu bez zwłoki,
On swe błyszczące zbroje rdzy przekaże,
Stajniom pancerne rumaki, a serce
Niezlomnym służbom przy twym majestacie.
On, że to słuszne, przysięga, jak książe,
A ja, jak szlachcic, stwierdzam jego słowa.

Król Ryszard. Nortumberlandzie, oto ma odpowiedź:
Chętnie bratanka widzę tu z powrotem,
I cały poczet jego słusznych żądań
Wykonać każę bez żadnych sprzeczności.
Ty z całą wdzięczną, jaką masz, wymową,
Poleć mię jego przychylniej pamięci.

(Nortumberland odchodzi).

(Do Omerla).

To podłość we mnie — nieprawdaż, kuzynie?
Tak korna postać, słowa tak łagodne!
Może odwołać wraz Nortumberlanda,
Wyzwać do boju zdrajcę i tak umrzeć?

Omerl. Nie — głębiej słowo łagodne dosięże.
Czas da przyjaciół — ci dadzą oręż.

Król Ryszard. O Boże, Boże! że też ten mój język,
Który na karę strasznego wygnania
Skazał dumnego, musi ją zdjąć teraz
W słodkich wyrazach! O! gdybym tak wielkim
Był, jak mój smutek, lub mniejszym, niż imię!
Lub gdybym zdołał zapomnieć, czem byłem!

Lub nie pamiętać, czem teraz być muszę!
Wzdymasz się, dumne serce? Bij-że sobie,
Gdy wrogom wolno bić w ciebie i we mnie.

Omerl. Od Bolinbroka Nortumberland wraca.

Król Ryszard. Cóż król ma teraz począć? Czy się poddać?

Król to uczyni. — Dać się złożyć z tronu?

I owszem. Stracić swe królewskie imię?

Niech, w imię Boga, i to już przepadnie!

Dam me klejnoty za sznurek paciorków,

Mój pyszny pałac za dom pustelnicy,

Świetną purpurę za gunię żebraka,

Rznięte puhary za mię drewnianą,

Berło za kostur pątnika wędrownego,

Wszystkich poddanych za parę rzeźb świętych,

A me ogromne królestwo za mały,

Mały, maluczki, ciemny grób, bez śladu!

Lub mię pogrzebcie na gościńcu walnym,

Na drodze bitej; niech po króla głowie

Stopy poddanych depcą bez ustanku,

Bo jeśli serce depcą mi za życia,

Mielizby głowę szanować po śmierci?

Płaczesz, Omerlu? Tkliwy mój kuzynie,

Łzami pogardy wzbudzmy czas we słotę.

Niech zniszczą żniwo łzy te i westchnienia,

I niech ogłódzą kraj ten buntowniczy.

Lub mamy-ż z naszą poigrać boleścią,

I łez strumieniem wszcząć zabawkę jaką,

Naprzykład: w jedno wciąż je saczyć miejsce,

Aż nam wyżłobią parę grobów w ziemi,

By stać mógł napis: Dwaj krewni w tym grobie,

Łzami go oni wykopali sobie.

Tak w złem tkwi dobre. Daremnie, daremnie —

Widzę, że bredzę, gdyż szydzicie ze mnie.

(Wchodzi Nortumberland).

Przemożny książe, lordzie Nortumberland,

Cóż król Bolinbrok? Czyż da Ryszardowi

Żyć, aż nie umrze Ryszard? W samej rzeczy,

Ty gniesz kolano, a więc on nie przeczy.

Nortumberland. Panie, na niższym on cię czeka dworcu,

Chce z tobą mówić — czy raczysz zejść na dół?

Król Ryszard. W dół, jak iskrzący Faeton, w dół spadam,

Niezdolny wstrzymać rozbiegłych rumaków!

(Nortumberland odchodzi do Bolinbroka).

Nizki dwór! Prawda, kiedy król w ohydzie,
Na rozkaz zdrajców, z łaską ku nim idzie!
W dół król! w dół z dworem! Gdzie skowronek wieszczy
Winienby nucić, dziś tam sowa wrzeszczy!

(Schodzą z góry).

Bolinbrok. Cóż król powiada?

Nortumberland. Smutek i ból serca

Płaczą mu mowę, jakgdyby oszalał.

Jednak tu schodzi!

(Król Ryszard wchodzi na dolny dworzec z orszakiem).

Bolinbrok. Rozstąpcie się na bok,

I złożcie winny hołd majestatowi.

Łaskawy panie!

(Kłęk).

Król Ryszard. Upodasz, kuzynie,

Twoje książęce kolano, by w dumę

Wbić podłą ziemię, która je całuje.

Jabym twą miłość wolał poczuć sercem,

Niż gniewnem okiem patrzeć na twe hołdy.

Wstań! Choć się nisko twe kolano schyla,

(Dotyka swej głowy).

Wiem — sercem najmniej wznosisz się do tyła!

Bolinbrok. Jam tylko, panie, przybył tu po swoje.

Król Ryszard. Twoje jest twojem... Jam twój... Wszystko
[twoje!]

Bolinbrok. Mojem o tyle, potężny monarcho,

Ile mą służbą na twój wzgląd zarobię.

Król Ryszard. Dobrześ zarobił — bo zarabia sobie

Dobrze, kto pewną zna drogę do zysku.

Daj dłoń, spojrz, stryju, suchemi oczyma,

Łzy świadczą miłość, ratunku w nich niema.

Jam ci, kuzynie, za młody na ojca,

Choć tyś już wyrósł na mego dziedzica.

Dam ci, co zechcesz, i to z dobrej chęci.

Tak, jak chce przemoc, niech się wszystko święci.

Czy do Londynu mamy ruszyć w drogę?

Bolinbrok. Tak, panie.

Król Ryszard. Przeto odmówić nie mogę

(Odgłos trąb. Wychodzą).

SCENA IV.

Langley. Ogród księcia York.

(Wchodzi królowa i dwie damy dworskie).

Królowa. I w cóż się bawić będziem w twym ogrodzie,

Aby rozpędzić ciężkie troską myśli?

Pierwsza dama. Zagrajmy w kręgle.

Królowa. Chcesz-że mi przypomnieć,

Że świat grud pełen, i że się ma dola

Wspak szczęściu toczy?

Pierwsza dama. Potańcujmy, pani.

Królowa. Jakżeż w rozrywce mam dać nogom miarę,

Gdy jej me biedne serce nie zna w smutku?

Nie tańca, dziewczę — innej chcę zabawy.

Pierwsza dama. Prawmy powieści.

Królowa. Smutne czy wesole?

Pierwsza dama. Jedne i drugie.

Królowa. Ani te, ni owe.

Wesole — gdy mi całkiem brak wesela —

Samą sprzecznością wzmagalyby smutek.

Smutne — gdy smutku mam i tak już zadość —

W brak szczęścia nową wdałoby zgryzotę.

Po cóż powtarzać to, co już posiadam,

A czego brak mi, nad tem próżno biadać.

Pierwsza dama. Zaśpiewam, pani.

Królowa. Szczęśliwa-ś, że możesz.

Mnie-byś się płacząc spodobała lepiej.

Pierwsza dama. Mogłabym płakać, gdyby płacz ci pomógł.

Królowa. Gdyby pomogło, i jabym płakała,

Nie pożyczając żadnej łzy od ciebie.

Lecz cyt! gdyż ku nam idą ogrodnicy.

(Wchodzi ogrodnik z dwoma posługaczami).

W cień tych drzew przeto usufimy się na bok.

Stawię mą boleść przeciw setce szpilek,

Że rząd nicują. Każdy o nim gada,

Gdy wietrzy zmianę. Biedę wieści biada!

(Królowa i damy usuwają się).

Ogrodnik. Idź, uwiąż tamte obwisłe morele,

Co gnębią ojca, jak niesforne dzieci

Ciężkim uciskiem swego marnotrawstwa,

I daj podporę gnącym się gałązkom.

Ty, jak oprawca, idź pościnać głowy
Prątkom, co, rosnąc zbyt ręczo, wybiegły
Nad miarę w naszej rzeczypospolitej.
Wszystko być równem musi w państwie naszym.
Tak was zajawszy, sam pójde wyplenić
Szkodliwe chwasty, które bez korzyści
Ssą żyźność gruntu z ujmą zdrowym kwiatom.

Pierwszy posługacz. Mamy-ż my w ciasnych tych szrankach
[przestrzegać]

Praw, form i wszędzie należnych wymiarów,
I jakby na wzór silne państwo stawiać,
Kiedy nasz ogród morzem warowany,
Kraj cały w chwastach, kwiaty przyduszone,
Płoty zwalone, drzewa nieocięte,
Orzędy w nieładzie, a w ożywczych ziołach
Roje gąsienic?

Ogrodnik. Cicho! Daj już pokój.
Ten, który cierpiął bezrząd takiej wiosny,
Sam teraz pożółkł i z liści opada.
Chwasty, co liśćmi chronił szerokimi,
Co żyjąc na nim, zdały się go wspierać,
Wyrwał Bolinbrok z korzeniem i z wszystkim!
Mówię o Buszym, Grynie i Wiltszerze.

Pierwszy posługacz. Czyż już nie żyją?

Ogrodnik. Nie żyją. Rozrzutny

Król w Bolinbroka ręku. Co za szkoda,
Że on tak kraju nie ubrał, nie sprawiał,
Jak my ten ogród. W zwykłej porze roku
My ranim korę, skórę drzew owocnych,
Żeby, za nadto pyszne krwią i miazgą,
Zbytkiem bogactwa nie spożyły siebie.
Odyby był wielkich i dumnych tak zażył,
Żyliby oni, by nieść mu służb owoc,
On, by używać. Zbyteczne gałęzie
My obcinamy, by płodne żyć mogły.
Byłby w ten sposób ocalił koronę,
A dziś gnuśnością wszystko już stracone.

Pierwszy posługacz. Więc myślisz, że król złożonym zo-
[stanie?]

Ogrodnik. On już przygięty, a wkrótce, nie wątpię,
Złożonym będzie. Listy wczoraj w nocy
Jeden z przyjaciół księcia York odebrał
Z straszniemi wieści.

Królowa (*wychodząc z ukrycia*). O! na śmierć mię dławi
Ciężar milczenia. Ty, Adamie wtóry,
W ten tu raj drugi wsadzon, jak śmiesz głosić
Wieść tak bolesną twym srogim językiem?
Jakaż ci Ewa, jakiż wąż doradził
Wznawiać upadek grzesznego człowieka?
Skądże ci mówić, że król Ryszard upadł?
Jak śmiesz — ty mało co lepszy od ziemi —
Zgadywać zgubę króla. Powiedz: jako,
Gdzieś, kiedyś dostał tę złą wieść? Mów, totrze!

Ogrodnik. Wybacz mi, pani. Miła mi to radość
Głosić te wieści — nieszcześnie prawdziwe!
Król Ryszard popadł już w moc Bolinbroka.
Losy ich obu są już odważone.
Mąż twój na szali nie ma nic krom siebie
I kilku blichtrów, co go lekkim czynią;
Lecz na wielkiego Bolinbroka wadze
On sam i wszyscy są Anglii parowie,
I tem on króla tak możnie przeważa.
Śpiesz do Londynu, a znajdziesz, że w całym
Słychać to państwie, ja nic nie dodałem.

Królowa. Ręca niedoła, coś tak zwinna w nogach,
Czyż twe poselstwo nie do mnie? Mnie-ż o niem
Wiedzieć ostatniej? O! ty mię ostatnią
Uraczyć chciałaś, by twój cios najdłużej
Tkwił w mojej piersi. Śpieszmy więc w Londynie
Pocieszyć króla w nieszczęścia godzinie.
Na toż mi przyszło, by mię wiódł w żalobie
Wielki Bolinbrok w tryumfie przy sobie?
Niech, ogrodniku, za tę wieść żalosaną
Krzewy i kwiaty, co sadzisz, nie rosną.

(*Wychodzi królowa z damami*).

Ogrodnik. Jeśli, biedaczko, zda ci się to na co,
Niech się twa ziści kłątwa nad mą pracą!
Tu ła jej padła, tu posadzę w koło
Rządkami rutę, cierpkie smutku zioło —
Rutę, bo struta — a z każdego prątką
Wzrośnie płaczącej królowej pamiątka!

(*Wychodzą*).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Londyn. Pałac Westminsterki.

(Duchowni lordowie po prawej stronie tronu, świeccy lordowie po lewej, izba gmin na dole. Wchodzi Bolinbrok, Omerl, Surrey, Nortumberland, Persy, Fitzwater, jeszcze inny lord, biskup z Karłajl, opat westminsterski i orszak. Za nimi straż, prowadząca Bagota).

Bolinbrok.

Przywołać Bagota.

Teraz, Bagocie, szczerze wywnętrz duszę,
Co wiesz o śmierci zacnego Glostera,
Kto ku niej skłonił króla, kto wykonał
Niewczesnej śmierci krwawy wyrok na nim?

Bagot. Więc lorda Omerl twarz mi w twarz postawcie.

Bolinbrok. Wystąp, kuzynie — spojrz w tego człowieka.

Bagot. Wiem, lordzie Omerl, że twój śmiały język
Gardzi przeczeniem tego, co raz wyrzekł.
Raz, podczas knowań na życie Glostera,
Tyś przy mnie mówił: „Nie długie-ż me ramię,
Które z zaciszy angielskiego dworu
Sięga do Kale aż po głowę stryja?”
I wtedy-m także, wśród wielu słów innych,
Słyszał, gdyś ręczył, żebyś sto tysięcy,
Koron odrzucić wolał, niżli widzieć
Tu Bolinbroka z powrotem do Anglii,
Dodając, jakim byłaby dla kraju
Szczęściem śmierć jego.

Omerl.

Książęta, lordowie,

Jakąż odpowiedź mam dać nędznikowi?
Mam-że me piękne gwiazdy tak zawstydzić,
Bym się potykał z nim, jak równy z równym?
Muszę — inaczej splamioną zostanie
Ma cześć tym pozwem jego ust potwarczych.
Oto mój zakład, własna pieczęć śmierci,
Co cię piętnuje w piekło — mówię: kłamiesz!
I że twe słowa są fałszem, wraz stwierdzę
Krwą twego serca, chociaż ta zbyt podła,
By się jej raczył tknąć mój miecz rycerski.

Bolinbrok. Nie podnoś z ziemi, wstrzymaj się, Bagocie.

Omerl. Wyjawszy ciebie, radbym, by najlepszym

Był w tem zebraniu on, co mię tak wzburzył.

Fitzwater. Jeśli twe męstwo wymaga równości,

Masz mą rękojmię w zamian twej, Omerlu.

Na słońce, co mi wskazuje, gdzie stoisz,

Knę się, żem słyszał, jakoś się przechwalał,

Żeś ty był śmierci Glostera powodem.

Jeśli zaprzeczysz, dwadzieścia-kroć skłamiesz,

A ja to kłamstwo napowrót ci w serce,

Skąd wyszło, wepchnę końcem mego miecza.

Omerl. Nie zdołasz, tchórze dożyć dnia takiego.

Fitzwater. Oby już dzień ten jaśniał w tej godzinie.

Omerl. Piekło cię za to porwie, Fitzwaterze!

Persy. Kłamiesz, Omerlu. Jego cześć w tym pozwie

Tak jest prawdziwą, jak tyś jest fałszywym.

A żeś jest takim, oto rzucam zakład,

Że ci dowiodę chociażby ostatekiem

Tchu i żywota. Jeżeli śmiesz, podnieś.

Omerl. Gdybym nie ześmiał, o! niech mi odgniją

Ręce, i nigdy już pomsty żelazem

Nad lśniącym hełmem nigdy nie zawarczą.

Jeden z lordów. Krzywoprzysiężny Omerlu, w to samo

Zaklinam ziemię, tyle ci zadaję

Kłamstw, ileć da się od słońca do słońca

Wbić w zradne ucho. Oto ma rękojmia.

Jeśli śmiesz, podnieś — niech walka rozstrzygnie!

Omerl. Kto z was chce jeszcze? Z wszystkimi się zmierzę.

Tysiąc mam duchów w jednej piersi mojej,

Choćby was było dwadzieścia tysięcy.

Surrey. Pomnę ja dobrze, lordzie Fitzwaterze,

Właśnie czas, kiedyś z Omerlem rozmawiał.

Fitzwater. Tak, prawda — byłeś rozmowie obecnym.

Więc możesz świadczyć, że co mówię, prawda.

Surrey. Fałsz to, Bóg świadkiem, tak jak Bóg jest prawdą.

Fitzwater. Kłamiesz, Sureju!

Surrey.

Bezczelny młodzieńcze,

Kłam ten tak ciężko legnie na mym mieczu,

Że wzbudzi pomstę po zemście, aż z tobą,

Co kłam zadajesz, legnie kłam ten społem

Tak cicho w ziemi, jak łeb twego ojca.

Na dowód, oto mojej czi rękojmia.

Jeśli śmiesz, podnieś — niech walka rozstrzygnie.

Fitzwater. Rączego konia nie kluj na swą biedę.

Jeśli śmiem jeść, pić i żyć i oddychać,
Będę śmiał spotkać Surreja w pustyni
I plwać mu w oczy, wrzeszcząc: Kłamiesz, kłamiesz,
I jeszcze kłamiesz. Oto ma rękojmia,
Która ci srogą chłostę zapowiada.
Jak szczęścia na tym nowym dla mnie świecie
Pragnę, tak Omerl winien w tem, co rzekłem.
Słyszałem oraz, jak wygnany Norfolk
Mówił, Omerlu, żeś ty dwu z twych ludzi
Posłał do Kale, by księcia zgładzili.

Omerl. Niech z znacznych chrześcijan da mi kto rękojmię,
Że Norfolk kłamie. Ja tu rzucam moją,
Jeśli powróci, by czci swojej bronić.

Bolinbrok. Aż do powrotu Norfolka zawieszam
Spory te wszystkie. Odwołanym będzie
I przywróconym, choć wróg mój, do wszystkich
Swych ziem i dziedzictw. Gdy wróci do kraju,
Zdołam go zmusić do walki z Omerlem.

Biskup. Dnia tak świetnego nigdy nie ujrzymy.
Wygnany Norfolk nieraz dla Chrystusa
Walczył — na słynnych polach rozwijając
Sztandar z Chrystusa krzyżem — przeciw Turkom
I Saracenom, i czarnym poganom,
Aż strudzon bojem do Włoch się usunął,
I tam, w Wenecyi zdał swe ciało ziemi
Tych pięknych krain, a swą czystą duszę
Swemu wodzowi, pod którego znakiem
Tak długo walczył; wodzem tam był — Chrystus.

Bolinbrok. Jakto, biskupie? Czy Norfolk już umarł?

Biskup. Tak, niezawodnie, jakom żyw, mój książę.

Bolinbrok. Niech święty pokój zaczął jego duszę
Na Abrahama łono zaprowadzi.
Wszystkie zaś wasze spory odkładamy,
Aż nie wyznaczym każdemu dzień próby.

(*Wchodzi York z orszakiem*).

York. Wielki Lankastrze, przychodzę do ciebie
Od wuztego z ozdób swych Ryszarda.
Chętnie on ciebie mianuje dziedzicem,
I składa berło w twą królewską rękę.
Wstąp na tron, który po nim ci należy.
Niech żyje Henryk, tego miana czwarty!

Bolinbrok. Na tron królewski wstąpię w imię Boga!

Biskup. Nie, niech Bóg broni! Choćby słowa moje
Brzmiały najgorzej wobec twej godności,
Najlepiej jednak prawda mi przystoi.
Daj Boże, aby w tem zacnem zebraniu
Był kto dość zacnym na prawego sędziego
Nad biednym królem, gdyżby go wstrzymała
Prawdziwa zacość od tak srogiej krzywdy.
Jakiż poddany sądzić może króla?
A któż tu nie jest Ryszarda poddanym?
Nawet złodziejów nie sądzą zaoznie,
Choć ich występki widoczny każdemu.
Miałżeby obraz Boga w majestacie,
Jego wódz, włodarz, wybrany namiestnik,
On, namaszczeniec, on, koronowany,
Król od lat tylu, iść pod sąd poddanych,
Sam nieobecnym będąc? O! broń Boże,
By w kraju chrześcijan dusze wykształcone
Miały się splamić czynem tak ohydny,
Czarnym i sprośnym! Mówię do poddanych,
Wzniesion przez Boga poddany, bym śmiało
Wzniósł głos za królem. Lord Herford, którego
Królem tu zwiecie, jest haniebnym zdrajcą
Monarsze swemu. Jeśli mu tron dacie,
Krew synów Anglii ugnoi jej ziemię.
Najdalsze wieki odcierpią tę zbrodnię,
Pokój spać pójdzie do Turków i pogan,
A tu, gdzie kwitnął, tu gwałtowne wojny
Krewnych z krewnymi, ród z rodem pokłóca.
Bezrząd i postrach, trwoga i rokosze
Mieszkać tu będą, i kraj ten zwan będzie
Polem Golgoty, polem trupich czaszek.
Wznosząc w tym domu jednych przeciw drugim,
Sprawicie rozbrat tak straszny, o jakim
Nikt i nie słyszał w tej przeklętej ziemi.
Ach! stawcie opór, wstrzymajcie to dzieło,
By was potomstwo późne nie przekleło!
Nortumberland. Zręcznieś rzecz wywiódł, więc w nagrodę

[trudu]

Jesteś mym więźniem, jako zdrajca stanu.
Lordzie Westminster, zwierzam go twej pieczy,
Niech do dnia sądu będzie pod twą strażą.
Raczycie-ż przyjąć wniosek gmin, lordowie?

Bolinbrok. Niech przyjdzie Ryszard zrzec się wobec
[wszystkich;

W ten sposób wszelkich unikniem podejrzeń.
York. Pójdę go przyprowadzić.

(*Wychodzi.*)

Bolinbrok. Wy tu, lordowie, przez nas przytrzymani,
Znajdźcie rękojmię, że na sąd staniecie.

(*Do biskupa.*)

Małośmy winni twojej życzliwości,

I na twą pomoc małośmy liczyli.

(*York wraca, przywodząc króla Ryszarda, za którym dworzanie niosą koronę.*)

Król Ryszard. Ach! czemuż stawać mam przed nowym
[królem,

Nim się z królewskich wyoblokłem myśli,
W jakich władałem — i jeszcze nie umiem
Łasić się, schlebiać, kłaniać, giąć kolana.
Dajcie smutkowi czas, by w to poddaństwo
Zwolna mię wdrożył. Przecież dobrze pomnę
Twarze tych ludzi. Czyż mymi nie byli?
Czyż nie krzyczeli mi nieraz: Niech żyje!
Jak Chrystusowi Judasz, lecz w dwunastu
Chrystus miał wiernych, krom jednego, wszystkich,
Ja zaś żadnego w dwunastu tysiącach.
Boże, zbaw króla! Nie rzeknie-ż nikt: amen?
Więc amen mówię wraz ksiądz i ministrant.
Boże, zbaw króla! choć już nim nie jestem,
A przecież amen, bom król bożym chrzestem.
Ku jakim-że tu przyzwano mię służbom?

York. Byś się zrzekł tego z własnej dobrej woli,
Co ci zbyt radził strudzony majestat.

Rząd i koronę zdaj Bolinbrokowi.

Król Ryszard. Podaj koronę! Chwyć ją tu, kuzynie,
Ma ręka po tej, twa po tamtej stronie,
Złote to koło jest, jak o dwóch wiadrach
Głęboka studnia, pełnych na przemiany.
Próżne wciąż w górze kołysze się snadnie,
Drugie, niewidne, pełne wody na dnie.
Na dnie, też pełen, jam ten kubeł wtóry;
Gdy piję smutek, ty idziesz do góry.

Bolinbrok. Jam przecież myślał, że się chcesz zrzec zgoła.

Król Ryszard. Korony — dobrze; — lecz któż smutków
[zdoła?

Możesz mię wyzuć i z rządów i z chwały,
Lecz nie z trosk moich. Jeszczem ich król cały.

Bolinbrok. Część trosk twych spada na mnie wraz z koroną.

Król Ryszard. W trosk twych przyplynie moje nie utoną.

Zysk trosk twą troską — mą troską trosk strata;

Nowa cię wznosi, mnie stara przygniata.

Me troski tobie zdaję nadaremnie —

Winny przejść z berłem, a przecież tkwią we mnie.

Bolinbrok. Czyliż rad jesteś złożyć twą koronę?

Król Ryszard. I rad i nie rad, bo muszę pójść w dziady,
Lecz raczej nie rad, że już nie mam rady.

Teraz uważcie, jak się sam wyniszczam.

Ciężkie to brzemie składam z głowy mojej,

Z ręki niezgrabne berło to, a z serca

Dumę królewskiej władzy i wielkości.

Własnymi łzami zmywam balsam z czoła,

Zdaję koronę własnymi rękoma,

Własnym językiem niszczę praw mych świętość,

Własnym tchem wszystkie rozwiązuję śluby,

Zrzekam się wszelkich pomp i majestatu,

Wszystkich dochodów ziem i zamków, znosząc

Cały mych nadań, praw i ustaw poczet.

Niech Bóg przebaczy tym, co mnie zdradzili,

Ciebie od wszelkich zdrajców niech uchyli.

Mnie, co nic nie mam, niech już nic nie boli.

Tys wszystko posiadał, więc żyj w szczęsnej doli,

Żyj jak najdłużej na Ryszarda tronie,

Mnie niech co prędzej ciemny grób pochłonie.

Ryszard, już nie król, powtarza: Zbaw, Boże,

Króla Henryka, wiedz po słońcu torze.

Cóż chcecie więcej?

Nortumberland (*podając mu papier*). Nic, tylko przeczytaj

Te oskarżenia, ten spis strasznych zbrodni,

Któreś sam spełnił lub stronnicy twoi

Przeciw potędze i chwale tej ziemi.

Wyznaj je głośno, by przekonać ludzi,

Żeś sprawiedliwie pozbawiony tronu.

Król Ryszard. Mam-że to zrobić? Muszę-ż sam rozwikłać

Kłębek mych szaleństw? O! Nortumberlandzie,

Gdybyś przed okiem miał wykaz twych przestępstw,

Czyżbyś mógł spis ten przeczytać bez wstydu

W tak zacnem kole? O! jeśliśbyś zdołał,

Czyn tam ohydny znalazłbyś na czele,

Żeś króla strącił i silną ręką
Przysięgi stargał — czyn czarno wryty
I potępiony w księdze sądów bożych.
I wy tu wszyscy, co patrzycie na mnie,
Jak się w mej nędzy krwawię — choć niektórzy
Jak Piłat ręce umywacie, jawiąc
Rzekomą litość — wyście mię, Piłaci,
Na ten krzyż srogi wydali, i żadna
Już tego grzechu woda z was nie zmyje.

Nortumberland. Śpiesz się, śpiesz, panie — wykaz ten
[przeczytaj.]

Król Ryszard. Czyż łez pełne nie dają mi czytać,
A jednak łzy te nie ćmią ich do tyła,
Bym nie mógł widzieć, że tu poczet zdrajców.
Nawet, gdy spojrzę na samego siebie,
Widzę, że zdrajca jak inni, bom przystał
Na zewleczenie wszelkich ozdób z króla,
I dozwoiliem spodlić pana w służbę,
Blask w brud, cześć w hańbę, a majestat w chłopa.

Nortumberland. Panie!

Król Ryszard. O! nie jam pan twój — jam panem niczym.
Dumny zelżywco! Imię, tytuł wszelki,
Nawet to imię, com przy chrzcie otrzymał,
Już mi wydarto. Smutny dniu, niestety!
Tylem zim przeżył, a dziś nie wiem, jakim
Zwać się imieniem! O, gdybym był królem,
Na pośmiewisko ze śniegu zlepionym,
I pod jaskrawem słońcem Bolinbroka
Stopił się w krople wody! — Królu wielki,
O, dobry królu — (choć nie wielce dobry) —
Jeśli coś jeszcze głos mój w Anglii znaczy,
Niech mi tu zaraz zwierciadło przyniosą,
Bym mógł w niem ujrzeć, jaka jest twarz moja,
Odkąd majestat już w niej nie spoczywa.

Bolinbrok. Niech kto z was pójdzie przynieść tu zwier-
[ciadło]

(Wychodzi jeden z dworzan).

Nortumberland. Nim je przyniosą, przeczytaj ten papier.

Król Ryszard. Jeszcze przed piekłem dręczysz mię, szatanie!

Bolinbrok. Już mu daj pokój, lordzie Nortumberland.

Nortumberland. Więc izba gminna zadość mieć nie będzie.

Król Ryszard. Będzie mieć zadość, gdyż dość tu przeczytam
Z księgi, gdzie wszystkie grzechy me spisane,

To jest gdy ujrzę własne me oblicze.

(Powraca dworzanin ze zwierciadłem).

Podaj zwierciadło. W niem to czytać będę.
Jeszcze-ż nie głębsze zmarszczki? Czyliż smutek,
Co tyle ciosów mojej twarzy zadał,
Głębszych nie wrył w niej ran? Ty mię zwodzisz,
Szkło zbyt pochlebne, jak mię zausznicy
Zwodzili w szczęściu. Czyż to twarz ta sama,
Pod której okiem codzień godowało
Dziesięć tysięcy? Czyż to twarz ta sama,
Co, jakby słońce, ośniewała widzów,
Która na tyle szaleństw poglądała,
I którą w kofcu zaćmił tu Bolinbrok?
Krucza to chwała, co błyszczy w tej twarzy,
I twarz ta sama tak krucha, jak chwała.

(Ciska zwierciadło o ziemię).

I oto prysła w sto drobnych kawałków!
Milczący królu, zważ morał tej sztuczki,
Jak szybko twarz mą zniszczył tu mój smutek!

Bolinbrok. Cień twego smutku zniszczył to, co było
Cieniem twej twarzy.

Król Ryszard. Powtórz to raz jeszcze.
Cień mego smutku? Ha, dobrze, zobaczmy.
Prawda, mój smutek leży wszystek w głębi,
A te zewnętrzne oznaki żałości
Są tylko cieńmi smutku, co ukryty
W zbolątej duszy wznaga się milczeniem.
Tam tkwi rdzeń jego; — i dzięki ci, królu,
Za twoją hojność, gdyż nie tylko powód
Do łez mi dajesz, lecz uczysz, jak płakać
Nad tym powodem. Jednej żądam łaski,
Nim pójde, by ci nie przykrzyć się więcej.
Czyż ją otrzymam?

Bolinbrok. Mów, piękny kuzynie.

Król Ryszard. Piękny? Więc jestem większym niż król
[taki,

Bo gdym królował — każdy, co mi schlebiał,
Był mym poddanym. Dziś mnie poddanemu
Sam król pochlebca. Więc, będąc tak wielkim,
Nie potrzebuję o nic zgola prosić.

Bolinbrok. A jednak wymień, co chcesz.

Król Ryszard.

Czyż otrzymam?

Bolinbrok. Otrzymasz.

Król Ryszard. Pozwól mi odejść.
Bolinbrok. A dokąd?
Król Ryszard. Dokąd chcesz, byłem zeszedł ci z przed oczu.
Bolinbrok. Niech go z was kilku na wieżę zawieźdź.
Król Ryszard. Wyście mnie wszyscy zawiedli na wierze,
 Wy, w skok z mej zguby wyrośli szalbierze!
(Wychodzi król Ryszard z kilkoma lordami i strażą).
Bolinbrok. Na przyszłą środę naznaczam świąteczny
 Dzień koronacyi. Bądźcie więc gotowi.
(Wychodzą wszyscy prócz biskupa, opata i Omerla).
Opat. Bolesny widok przesnuł się przed nami.
Biskup. Ból to przyszłości. Dzień ten, jak cierń jaki,
 Da się najdalszym potomkom we znaki.
Omerl. Święci kapłani, czyż już nie zdołamy
 Oczyszczyć kraju z tej tak zgubnej plamy?
Opat. Nim wam w tym względzie śmiało myśl otworzę,
 Musicie przysiądz na sakrament boski,
 Że tajemnicy święcie dochowacie,
 I że spełnicie wszystko, co urządzę.
 Widzę, jak wasze czoła pełne troski,
 Serca boleści, a oczy łez pełne.
 Pójdźcie wieczerać — ja wam plan przedstawię.
 Co dni radości wróci naszej sprawie.
(Wychodzą).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Londyn. Ulica wiodąca do wieży.
(Wchodzi królowa z damami).

Królowa. Król ma iść tędy. Ulica ta wiedzie
 W złowrogą wieżę Juliusza Cezara.
 W ciemne jej mury skazał mego męża
 Dumny Bolinbrok na srogie więzienie.
 Tu więc spocnijmy, jeśli swej królowej
 Ta krnąbrna ziemia spocząć gdzie pozwoli.
(Wchodzi król Ryszard ze strażą).
 Lecz cicho, patrzcie — a raczej nie patrzcie,
 Jak moja róża więdnie. Jednak spójrzcie,

Byście z litości mogły stajać w rosę
 I cnej miłości łzami go odświeżyć.
 O, ty pomniku, kędy Troja stała —
 Wzorce honoru — ty grobie Ryszarda,
 Lecz już nie króla — ty śliczna gospodo,
 Czemuż ma w tobie brzydki mieszkac smutek,
 Gdy tryumf stał się gościem brudnych szynków?
Król Ryszard. Nie łącz się z smutkiem — nie, piękna niewiasto!
 Byś mnie w zbyt nagły nie przywiodła koniec.
 Sądź, dobra duszko, przeszłość snem szczęśliwym,
 Z której złudzeni widzim, czym naprawdę
 Jesteśmy. Luba! Srogiej konieczności
 Jam bratem ślubnym, i już z nią do śmierci
 Muszę żyć spodem. Ty wracaj do Francyi,
 I w jakim cichym zamknij się klasztorze.
 Świętością w niebie zdobądźmy koronę,
 Którą nam zdarło życie tu skażone.
Królowa. Czyż się tak w duszy jak w postaci zmienił,
 Osłabł mój Ryszard? Czyż cię i rozumu
 Bolinbrok zbawił? Wdarł-że się w twe serce?
 Lew, zanim umrze, wznosi groźną łapę,
 I rani ziemię lub w co sięgnąć zdoła,
 Z gniewem, że uległ — a ty miałbyś chłöße
 Jak żak się poddać i całować różgę,
 Łaszcząc się podle wściekłości twych wrogów,
 Ty, co lwem jesteś, wielkim królem zwierząt?
Król Ryszard. Tak, królem zwierząt! Gdyby nie zwierzęta,
 Byłbym szczęśliwym dotąd królem ludzi.
 W podróż do Francyi gotuj się, królowo,
 Myśl, żem ja umarł, i że tu na zawsze
 Ze mną się żegnasz, jak przy łożu śmierci.
 W długich, zimowych nocach z staruszkami
 Siadaj przy ogniu. Niech ci prawią dzieje
 Nieszczęsnych wieków, dawno już ubiegłych.
 Ty, na dobranoc, w zamian ich powieści,
 Mów im o moim żalosnym upadku,
 I we łzach w łóżę odsyłaj słuchaczów.
 Wtedy się wzruszą nawet twarde głównie
 Rzewnym twym głosem, i łzami litości
 Zgasiwszy ogień, przywdzieją żałobę —
 Te czarny węgiel, tamte popiół biały —
 Po prawym królu, co tak upadł marnie.
(Wchodzi Nortumberland z orszakiem).

Nortumberland. Bolinbrok myśl swą zmienił. Masz się, panie,

Nie do tej wieży, lecz do Pomfret udać.

A co do ciebie, pani, wyszedł rozkaz,

Abyś co prędzej wracała do Francji.

Król Ryszard. Nortumberlandzie — drabino, po której

Dumny Bolinbrok na mój tron wstępuje —

Nim wiele godzin czas się zestarzeje,

Sprośny czyn pęknie wezbraną zgnilizną.

Choćby królestwo Henryk podzieliwszy,

Dał ci połowę, będziesz przecie myślał,

Że to za mało, boś go przywiódł w całe.

On zaś pomyśli, że ty, co znasz drogę,

Jak samowwalców na tronie osadzać,

Mógłbyś go także, za łada urazą,

Z przywłaszczonego tronu strącić na łeb.

Przyjaźń złych ludzi łatwo wiedzie w trwogę,

Trwoga w nienawiść, a ta w zasłużoną

Zgubę wraz z śmiercią jednego lub obu.

Nortumberland. Niech moja wina na mą głowę spadnie.

Dość na tem. Już się żegnajcie. Czas w drogę.

Król Ryszard. Podwójny rozwód! Niegodziwi ludzie,

Wy mnie z dwóch małżeństw — z koroną i żoną —

Wraz wyzuwacie. Między mną i tobą

Niech pocałunek rozwiąże przysięgę.

Ale nie zdoła, gdyż on ją zawiązał.

Nortumberlandzie, rozłącz nas. Mnie wypraw

Na północ drżącą od zimna i chorób —

Ją zaś do Francji, skąd przysła w przepychu

Dnia majowego, by zwrócić w pomroku,

Jak dzień zaduszny, najsmutniejszy w roku.

Królowa. Zdoła-ż rozdzielić nas ten przeniewierca?

Król Ryszard. Tak — dłoń od dłoni, a serce od serca!

Królowa. Skaż króla ze mną na karę wygnania.

Nortumberland. Litość tak radzi, ale rozum wzbrania.

Królowa. Więc gdzie on pójdzie, i ja pójsz z nim wolę.

Król Ryszard. Płacząc we dwoje, jedną snuć niedolę!

Ty mnie we Francji, ja niech cię tu płacze.

Lżejsze z daleka niż z bliska rozpaczę

Licz westchnieniami kroki, ja jękami.

Królowa. Więc dłuższa droga więcej westchnień da mi.

Król Ryszard. Co krok dwa razy jęknę w mej podróży.

Tak krótszą drogę cięższy bój przedłuży.

Ale ze smutkiem skróćmy to swatanie,

Bo raz poślubion, już z nas nie odstanie.

Niech nam ten całus zamknie usta w porę;

Weź nim me serce, ja nim twoje biorę.

(Dają sobie pocałunek).

Królowa. Nie — zwróć mi moje. Byłoby to pięknie

Wziąć ci twe serce, by dręczyć, aż pęknie.

(Znowu się całują).

Gdy teraz znowu mam moje, idź w drogę,

A jednym jękiem pęknać mu pomogę.

Król Ryszard. Ból igra zwłoką w pożegnalnem słowie.

Bądź zdrowa! Reszty niech smutek dopowie!

SCENA II.

Londyn. Komnata w pałacu księcia York.

(Wchodzi księżę i księżna York).

Księżna. Miałeś mi, księżę, skończyć opis wjazdu

W mury Londynu naszych dwóch kuzynów,

Gdy płacz ci przerwał.

York. Na czym-że stanąłem?

Księżna. Na owej smutnej chwili, gdy zelżywe

Ręce poczęły miotać z górnych okien

Pył, kurz i śmiecie na głowę Ryszarda.

York. Więc, jak mówiłem, wyniosły Bolinbrok,

Siedząc na dzielnym, ognistwym rumaku,

Co zdał się wiedzieć, że zwycięzcę niesie,

Jechał wciąż wolnym a poważnym krokiem.

Zewsząd tłum krzyczał: Boże, zbaw Henryka!

Zdały się nawet mówić okna same,

Taki w nich ścisk był i młodych i starych,

Co chciwe oczy wlepiali ciekawie

W jego oblicze. Malowane ściany

Zdały się wszystkie wznosić głos od razu:

Chroń-że cię, Jezu! Witaj, Bolinbroku!

A on, na obie schylając się strony,

Z odkrytą głową, aż pod kark rumaka,

Powtarzał wszystkim: Dzięki wam, rodacy!

I tak wciąż czyniąc, posuwał się dalej.

Księżna. Ach, biedny Ryszard! gdzież on jechał wtedy?

York. Jak na teatrze, kiedy ulubieniec

Zejdzie ze sceny, widzowie niedbale

Patrzą w aktora, który po nim wchodzi,
 I ckliwem jego paplanie znajdują —
 Z taką i z większą jeszcze wzdargą w oku
 Drwił tłum z Ryszarda. Nikt nie rzekł: Bóg, zbaw cię!
 Żaden radosny głos go w dom nie witał.
 Na skroń maszczoną sypnęły się śmiecie,
 Które on strząsał z smutkiem tak łagodnym,
 Mając na twarzy łyzy w walce z uśmiechem —
 Godła boleści natchnione w cierpliwość —
 Że gdyby Bóg był, dla tajnych swych celów,
 Serc nie skamienił, byłyby stały,
 I barbarzyństwo nawet przeszło w litość.
 Lecz w tych wypadkach widać rękę nieba,
 Której nam chętnie poddać się potrzeba.
 Dziś nam Bolinbrok królem, i nawzajem
 Cześć i rząd jego na zawsze uznajem.
(Wchodzi Omerl).

Księżna. Otóż syn Omerl.

York. Ten, co był Omerlem,
 Lecz przepadł, jako przyjaciel Ryszarda.
 Musisz go teraz zwać tylko Rutlandem.
 Sam w parlamencie dałem zań rękojmię
 Czcii i wierności nowemu królowi.

Księżna. Witaj mi, synu! Jakież dziś fiołki
 Zdobią zielone łono nowej wiosny?

Omerl. Nic nie wiem, matko — ani też, Bóg świadkiem,
 Dbam wielce o to, być czy nie być nimi.

York. No, strzeż się dobrze w tej nowej tu wiośnie,
 By cię nie ścięto, nim kwiat twój podrośnie,
 Cóż tam w Oxfordzie? Czy trwają turnieje?

Omerl. Ile wiem, trwają.

York. Sądzę, że tam doli
 Spróbujesz.

Omerl. Chciałbym, jeśli Bóg dozwoli.

York. Jakaż to pieczęć wisi ci z zanadru?

Co ci jest, błedniesz? Pokaż mi to pismo.

Omerl. To nic.

York. Więc mniejsza, jeśli kto przeczyta,
 Chcę się upewnić, pokaż mi to pismo.

Omerl. Błagam cię, książę, błagam — racz wybaczyć,
 Treść tego pisma żadnej nie ma wagi.
 Lecz z pewnych przyczyn chciałbym je utaić.

York. Ja zaś je z pewnych przyczyn widzieć muszę.
 Boję się, boję...

Księżna. Czegoż miałbyś bać się?

To pewnie jakiś układ, który zrobił

O świetną odzież na dzień tryumfalny.

York. Układ sam z sobą? Czyż własne rękojmię

U siebie chowa? Oszalałaś, żono!

Pokaż mi pismo, chłopcze.

Omerl. Błagam cię, wybac — nie mogę pokazać.

York. Musi być, jak chcę. Pokaż, rozkazuję!

(Wydiera pismo i czyta).

Zdrada — wręcz zdrada! Łotrze, podły zdrajco!

Księżna. Cóż to jest, książę?

York. Ho! jest tam który? *(Wchodzi pacholek).* Osiodłać mi konia.

Niebo, miej litość nad nim! Straszna zdrada!

Księżna. Co? Jaka, panie?

York. Mówię, daj buty — osiodłać mi konia.

Na mą cześć, życie i wierność — sam muszę

Oskarżyć łotra.

(Pacholek wychodzi).

Księżna. Przebóg, cóż się dzieje?

York. Cicho, niemądra kobieto!

Księżna. Nie, nie ucihnę. Cóż to jest, mój synu?

Omerl. Daj pokój, matko. Moje biedne życie

Odpowie za to.

Księżna. Co? życiem odpowiesz?

(Pacholek wraca z butami).

York. Podaj mi buty — wraz jadę do króla.

Księżna *(wskazując na pacholka).* Zbij go, Omerlu. Oślupiać
 [żeś, synu?

(Do pacholka).

Precz, łotrze — niech cię już nigdy nie ujrzę.

York. No, podaj buty.

Księżna. I cóż chcesz począć. Yorku? Czyż przestępstwa

Własnego dziecka nie winieneś ukryć?

Czyż mamy więcej synów lub mieć możemy?

Czas już pochłoniął porę mej płodności,

A ty chcesz syna wydrzeć mi na starość,

I szczęsnej matki imienia mnie zbawić?

Wszak to twój obraz, wszak to syn twój własny.

York. Śmiałażbyś ukryć, szalona niewiasto,

Tak czarny spisek? Oto ich dwunastu

Pod sakramentem tu przysięgło sobie,

I podpisało wzajem, że zabiją
Króla w Oxfordzie.

Księżna. On z nimi nie będzie.

Tu go wstrzymamy, więc się nie narazi.

York. Precz, precz, szalona! Jabym go oskarżył,
Choćbym w nim jednym miał dwudziestu synów.

Księżna. Gdybyś był dlań cierpiał,

Jak ja w porodzie, byłbyś litościwszym.

Lecz wiem, co myślisz, ty mię podejrzewasz,

Żem ja niewierną twemu łożu była,

I że on bękart, nie twój syn. O! Yorku,

Drogi mój mężu, nie bądź takiej myśli;

On ci podobien jak tylko być może.

Nie mnie podobien, ni rodowi memu!

Przecież go kocham.

York. Puść, krnąbrna kobieto!

(*Wychodzi*).

Księżna. Za nim, Omerlu! Siądź na jego konia,

Pędź, gnaj i przed nim w cwał przybądź do króla,

I wyproś łaskę, nim on cię oskarży.

Ja się, choć stara, nie spóźnię za wami,

Prędko, jak mąż mój, nie wątpię, przyjadę,

I nie powstanę z ziemi, aż Bolinbrok

Przebaczysz tobie. Więc, co żywo, ruszaj!

(*Wychodzi*).

SCENA III.

Windsor. Komnata w zamku.

(*Wchodzi Bolinbrok w stroju królewskim, Persy i inni lordowie*).

Bolinbrok. Któż co wie o mym marnotrawnym synu?

Od trzech miesięcy wcalem go nie widział.

Jeśli nade mną wisi jaka plaga,

On nią. Daj Boże, by go kto z was znalazł.

Trzeba w Londynie szukać po gospodach,

Gdyż w nich, jak mówią, całe dni przepędza

Wśród towarzyszy niecnych i rozwiązłych.

Nawet i takich, którzy po zaułkach

Biją mych stróżów, rabują przechodniów;

A on, on płochy, zniewieściały chłopiec,

Za punkt honoru ma to, by podpierać

Tak sprośną gawiedź.

Persy. Parę dni temu napotkałem księcia,

I o turniejach w Oxfordzie mówiłem.

Bolinbrok. I cóż rzekł fircyk?

Persy. Odrzekł, że zaraz pójdzie po zamtuzach

Wziąć rękawiczkę najlichszej tam dziewce

Na znak rycerski, pewny pod tem godłem,

Że najzwagszego zwalczy zapaśnika.

Bolinbrok. Chuć i zuchwałość równe w nim, a przecież

Widzę przez obie jakiś błysk nadziei,

Którą wiek starszy szczęście spełnić może.

Lecz któż tu wbiega?

(*Omerl wchodzi szybkim krokiem*).

Omerl.

Gdzież król jest?

Bolinbrok.

Cóż znaczy

W tobie, kuzynie, twarz i wzrok tak dziki?

Omerl. Boże, zbaw króla! Najjaśniejszy panie,

Racz ze mną zaraz pomówić sam na sam.

Bolinbrok. Odejdźcie wszyscy, samych nas zostawcie.

(*Wychodzi Persy i lordowie*).

No, teraz powiedz, cóż ci się to stało?

Omerl (*klękając*). Niech na wciąż w ziemię wrosną me ko-
[lana,

Niech język przywrze do ust, jeśli wstanę,

Albo przemówię wprzód, nim mi przebaczysz.

Bolinbrok. Czyż twe przestępstwo w zamiarze czy w czy-
[nie?

Przebaczę pierwsze, chociażby najkrwawsze,

By odtąd zyskać twą miłość na zawsze.

Omerl. A więc mi pozwól zamknąć drzwi te na klucz,

By nikt tu nie wszedł wprzód, nim powieść skończę.

Bolinbrok. Rób, jak chcesz.

(*Omerl zamyka drzwi na klucz*).

York (*za drzwiami*). Królu! Miej się na baczności,

Strzeż się, bo zdrajcę masz tam wobec siebie.

Bolinbrok (*wyjmując miecz*). Nie ujdziesz, łotrze!

Omerl. Wstrzymaj mściwą rękę.

Nie masz się czego obawiać.

York (*za drzwiami*). Otwórz, zuchwały, zbyt niebaczny królu.

Nie zdrada, miłość chce ci odkryć zdradę.

Otwórz drzwi, mówię, lub je sam wysadzę!

(*Bolinbrok drzwi otwiera. Wchodzi York*).

Cóż to jest, stryju? Mów, odzyskaj oddech,
Powiedz, jak blizkiem jest niebezpieczeństwo,
Bym przeciw niemu zdołał się uzbroić.

York. Czytaj to pismo, a dowiesz się zdrady,
Którą mi pośpiech nie daje wysłować.

Omerl. Czytając pomnij, coś przyrzekł. Mą skruchę
Znasz już. Więc na me nie zważaj tam imię,
Gdyż w tem nie było serce w zgodzie z dłonią.

York. Oj było, łotrze! nim dłoń podpisała,
Jam to z zanadru zdrajcy wydarł, królu,
Trwoga, nie miłość, budzi w łotrze skruchę.
Nie miej litości, by ta się nie stała
Wężem, co w samo ukąsi cię serce.

Bolinbrok. O, niecny, groźny i zuchwały spisku!
O, prawy ojciec zdradzieckiego syna!

Ty jasny, czysty i srebrzysty źródło,
Skąd mknąc ten strumień przez błotne manowce,
Nurt swój w nich zbrudził. Tak w nim złem się staje
Nadmiar twej cnoty. Lecz za to na odwrót,
Obfitość taka twej dobroci zmyje
Tę czarną plamę w twym występny synu.

York. Ma-ż jego zbrodniom ma cnota rajfurzyć?

Ma-ż on mój honor strwonić hańbą swoją,
Jak stratne syny skrzętnych ojców złoto?
Honor mój żyje w jego sromu zgonie,
Inaczej — srom ten me życie pochłonie.
Zabijasz, ojca chroniąc, życie w synie —
Zdrajca-ż żyć będzie, a człek prawy zginie?

Księżna (za drzwiami). Och! o! mój królu! Wpuście mię,
[na Boga!]

Bolinbrok. Jakiż tam głosik błaga nas tak cienki?

Księżna. To ja, kobieta — to głos twej stryjenki!
Słótko. Drzwi otwórz. Miej litość — ach! wrzeszczę
Żebraczka, która nie żebrała jeszcze.

Bolinbrok. Zmienia się scena — oto się rozczuła
Z groźnej w płacziwą żebraczka u króla.
Idź, wpuść twą matkę, zdradliwy kuzynie;
Wiem, przyszła łaskę wyprosić twej winie.

York. Jeśli przebaczysz — mniejsza, kto się wstawia —
Większe z tej łaski wyrosną bezprawia.
Chcesz się uzdrowić, utnij część zropiałą,
Jeśli zostawisz, zgnije całe ciało.
(Wchodzi księżna).

Księżna. Nie bacz, o królu! na tę mowę srogą.

Kto swych nie kocha, nie kocha nikogo.

York. Co tu chcesz? Chcesz-że wykarmić, szalona,
Raz jeszcze zdrajcę u starego łona?

Księżna. Cierpliwość, Yorku! Wysłuchaj mię, panie!

(Kłęk).

Bolinbrok. Wstańcie, stryjenko!

Księżna.

Stryjenka nie wstanie,

Lecz się na klęczkach wiecznie czołgać będzie,

I już się w szczęsnych nie policzy rzędzie,

Aż jej dasz radość, przebacząc winie,

Winie w Rutlandzie, jej występny synie.

Omerl. (kłękając). Kłękam, by błagać wraz z matką kochaną!

York. (kłękając). Przeciw obojgu gnę wierne kolano.

Jeśli przebaczysz, wszelkich klęsk ci życzę.

Księżna. Mówi-ż on szczerze? Spójrz w jego oblicze.

Łez w oczach nie ma, prosi jak na żarty.

Głos jego w ustach, nasz z piersi wydarty.

Prosi tak słabo, jakby chciał odmowy —

My sercem, duszą, wszystkich potęg słowy.

Z kolan znużonych radby wnieść już brzemię,

My klęczeć będziem, aż nie wrosną w ziemię.

Pełne obłudy są jego błagania,

Nasze gorliwość i prawość odstawia.

W dół jego prośby — nasze w górę wiodą;

Bądź więc, o łasko! prawych prośb nagrodą!

Bolinbrok. Wstańcie, stryjenko!

Księżna.

Nie, nie — powiesz: wstańcie,

Jak już przebaczysz. Gdyby mi, jak niańce,

Dziecięcy głos twój dano kształcić mową,

„Przebaczam“ pierwsze byłoby twe słowo.

Wdzięk taki dla mnie w żadnym nie tchnie słowie.

Chciej, a za ciebie litość je wypowie.

Krótkie, lecz w sobie mieści słodycz całą;

Żadne tak ustom królów nie przystało.

York. Więc po francusku powiedz królu: *Pardon!*

Księżna. Tkliwej odprawy nie przemieniaj w twardą!

Ach, cierpki mąż mój z sercem skamienionem

Zmiał słowo słowem, zgnił pardon pardonem!

Lecz ty mów, jak chce zwyczaj nasz krajowy.

Złudnej francuskiej nie rozumiem mowy.

Oko twe mówić poczyną otuchą.

Zgódź język z okiem, w serce wpraw twe ucho,

Aby tam słysząc, jak nasz jęk przeszywa,
Mogła cię w łaskę wznieść litość skwapliwa.

Bolinbrok. Wstaście, stryjenko!

Księżna. Nie błagam o wstanie,

O nic, krom łaski. Racz nam dać ją, panie!

Bolinbrok. Przebaczam. Niech Bóg i mnie tak przebaczy!

Księżna. Szczęsna potęgo klęczącej rozpaczy!

Ach! strach mi jeszcze. Powtórz. Kto powtarza,

Nie niewinnia dwa razy zbrodniarza,

Lecz jedną łaskę wzmacnia słowy swemi.

Bolinbrok. Z serca przebaczam.

Księżna. O! tyś Bóg na ziemi!

Bolinbrok. Lecz za mym wiernym szwagrem, za opatem,

I resztą całej tej sprzysiężnej rzeszy,

Niezwłoczna zguba i śmierć w trop pogoni.

Pomóż, mój stryju, wysłać do Oxfordu,

Lub gdzie są zdrajce, kilka pocztów — bowiem

Knę się, że zgina, skoro wszystkich złowiem,

A złowię, gdy się o ich skryciu dowiem.

Bądź zdrow, mój stryju. Bądź mi wiernymi, bracie.

Dość się twa matka wyklęczała za cię.

Księżna. Pójdź, stary synu — da Bóg, w nowej szacie.

(Wychodzą).

SCENA IV.

(Wchodzi Exton i pacholek).

Exton. Czyś zważał, co król rzekł? »Nikt-że z przyjaciół

Od tej mnie żywej nie uwolni trwogi?«

Wszak te rzekł słowa?

Pacholek. Tak, te słowa właśnie.

Exton. »Nikt-że z przyjaciół?« dwakroć rzekł i dwakroć

Dodał z przyciskiem resztę. Prawdaż?

Pacholek. Prawda.

Exton. I mówiąc, patrzył tak znacząco na mnie,

Jakby chciał wyrzec: Radbym, byś był owym,

Który me serce z tą trwogą rozwiedzie.

Pójdź. Król w Pomfrecie — oto jego trwoga.

Jam ten przyjaciel — i zgładzę mu wroga.

(Wychodzą).

SCENA V.

Pomfret. Więzienie w zamku.

(Wchodzi król Ryszard).

Król Ryszard. Właściem rozmyślał, jakby to więzienie,

W którym tu żyję, porównać ze światem,

Ale nie mogę, gdyż świat jest tak ludnym,

A tu istoty niema, prócz mnie, żadnej.

Jednak to muszę wykonać. Dowiodę,

Że oto mózg mój jest mężem mej duszy,

A ona matką — że płodzą we dwoje

Plemię bez końca mnożących się myśli,

Które ten mały światek zaludniają,

Z dziwactw podobne ludziom na tym świecie —

Gdyż żadna siebie myśl nie zaspokaja.

W wyższych, co boskich rzeczy się dotyczą,

Pełno sprzeczności, te stawiają wiarę

Przeciwko wierze.

Naprzykład: »Puście maluczkie« — i znowu:

»Trudniej do nieba wniść, niż wielbłądowi

Przemknąć się furtką igielnego ucha«.

Myśli ambitne marzą płonne cuda:

O! jakby mogły te wątle paznokcie

Wydrapać otwór w tych skalistych żebrach

Twardego świata, co jest mem więzieniem.

Niezdolne — w własnej umierają pysze.

Myśli ułudne — wmawiają w człowieka,

Że on nie pierwszy igrzyskiem fortuny,

I nie ostatni — jak głupie żebraki,

Co, siedząc w dybach, wstyd tem pocieszają,

Że już w nich wielu i było i będzie,

I rodzaj ulgi w tej myśli znajdują,

Przenosząc własne nieszczęścia na barki

Tych, co przed nimi podobnież cierpieli.

Tak i ja w wielu przywdziewam się ludzi,

A w każdym źle mi. Raz w króla, lecz zdrada

Budzi chęć we mnie, bym żebrakiem został.

Gdy tym zostanę, straszna nędza wmawia,

Że mi się lepiej działo, gdym był królem.

Więc wracam w króla, aliści przybywa

Myśl, że koronę zdziera mi Bolinbrok,

I żem znów niczem. Lecz czemkolwiek jestem,
Ani ja, ani żaden człowiek w świecie,
Nie dozna szczęścia i niczem, aż mu wreszcie
Ulży nicestwo.

(Słychać muzykę).

Cóż to za muzyka?

Ha, ha, w takt graj-że! Jakżeż przykrą ona,
Kiedy takt zgubi i miarę postrada!
Tak też się dzieje i z muzyką życia.
Jakżeż drażliwem jest tu moje ucho
Na takt zgubiony w rozwiedzionej strunie,
A tam na zgodność mych rządów i czasu
Nie miałem ucha, gdy takt chybiać począł.
Czas marnowałem, dziś mnie czas marnuje;
Swym mię zegarem zrobił. Jak minuty,
Me myśli prądem westchnień wybijają
Bieg swój w mych oczach — zewnętrzny to zegar,
Kędy mój palec, jak gwóźdź na kompasie,
Wciąż czas wskazuje, łyzy z nich ocierając.
Dźwiękiem głoszącym godzinę są jęki,
Które w me serce jak w dzwon uderzają.
Tak łyzy, westchnienia i jęki są znakiem
Minut i godzin i dni, — lecz gdy czas mój
Wzbija w lot dumną Bolinbroka radość,
Ja stoję, bzdurząc, jak żak przy zegarze.
Przestań, muzyko! W szaleństwo mię wiedziesz,
Bo, choć szaleńców nieraz uzdrowiałaś,
Zdajesz się we mnie rozum w szal przemieniać.
Lecz błogosławię temu, co ją daje,
Gdyż w niej jest miłość — miłość dla Ryszarda,
Rzadki to klejnot w tym wrażym mu świecie.

(Wchodzi pachotek stajenny).

Pachotek. Witaj mi, królu.

Król Ryszard. Dzięki, zacny Parze,

Z nas i najtańszy — pół-złotka za drogi.
Coś ty za jeden, i jakżeś tu przyszedł,
Gdzie nikt nie wchodzi, prócz tego warchoła,
Co mi jeść nosi, by nędza żyć mogła?

Pachotek. Jam był pachotkiem w twojej stajni, królu,
Kiedys był królem. W podróży do Yorku,
Z wielką trudnością otrzymałem łaskę,
Że mogę ujrzeć twarz dawnego pana.
Jakżeż mię serce bolało, gdy patrzył

W dzień koronacyi w Londynie, jak jechał
Bolinbrok na twym arabskim siwoszu,
Na tym, któregoś dosiadał tak często,
A ja starannie tak pielęgnowałem!

Król Ryszard. Na mym siwoszu jechał on? O, powiedz,

Powiedz mi, bracie, jakże szedł on pod nim?

Pachotek. Tak dumnie, jakby gardził lichą ziemią.

Król Ryszard. Pewno tak dumny, że niósł Bolinbroka!

Chleb jadł ten rumak z mej królewskiej ręki.

Głaszcząc go, dłoń ta budziła w nim dumę.

I nie potknął się, nie upadł, (gdyż pycha

Raz upaść musi) i nie skreślił karku

Dumnemu jeźdźcy, co mu grzbiet znieważał?

Przebac mi, koniu — czemuż szydę z ciebie?

Tys zrodzon sługą człowieka, byś znosił

Potulnie wszystko. Jam nie zrodzon koniem,

A znoszę ciężar, jak osieł, stękając

Pod Bolinbroka biczem i ostrogą.

(Wchodzi dozorca z półmiskiem).

Dozorca. Usuń się, bratku. Nie marudź tu dłużej.

Król Ryszard. Jeśli mię kochasz, nie zwłócz twej podróży.

Pachotek. Co język nie śmie, serce me powtórzy.

(Wychodzi).

Dozorca. Jedz, panie. Oby w smak ci to przypadło!

Król Ryszard. Jak zwykłeś czynić, sam wprzód skosztuj

[jadło.

Dozorca. Nie — gdyż mi Exton (w tych dniach mu wy-
[padło

Widzieć się z królem) dał zakaz w tej mierze.

Król Ryszard. Niechże cię dyabeł wraz z Lankastrem bierze!

Dość cierpliwości! Już mi się sprzykrzyła.

(Uderza dozorcę).

Dozorca. Ratuj! Ratujcie!

(Exton z pachotkami wchodzi uzbrojeni).

Król Ryszard. Śmierć-że niesiecie w groźnym tym napadzie?

Twa własna ręka miecz mi na cię daje.

(Wyrwa miecz jednemu z pachotków i zabija go).

Idź, łotrze, zając nowe miejsce w piekle!

*(Zabija drugiego. Exton wtedy rzuca się na Ryszarda, który
na ziemię pada).*

Dłoni, co mię zgniotła, w wieczny ogień wpadnie.

Extonie, sroga twej prawicy siła

Krwia króla własny jego kraj zboczyła.

Wzleć, wzleć, ma duszo! Twe siedlisko w niebie,
Grzeszne me ciało ta ziemia pogrzebie!

(*Umiera*).

Exton. Pełen krwi królów, jak rycerskiej sławy,
Obie zniszczyłem. Lecz czyż to czyn prawy?
Mówi mi szatan, co chwalił to dzieło,
Że już je piekło w swe dzieje wciągnęło,
Zmarłego króla przed żyjącym stawię.
Tu zaś pogrzebce poległych w tej sprawie.
(*Wychodzą*).

SCENA VI.

Windsor. Komnata w zamku.

(*Odgłos trąb. Wchodzi Bolinbrok, York, lordowie i dworzanie*).

Bolinbrok. Według ostatnich wieści, stryju, słyszę,
Że mi spalili spiskowcy urwisze
Czyczester, miasto w hrabstwie Gloster wyższe.
Lecz nie wiem, czyli wzięci czy zabici.
(*Wchodzi Nortumberland*).

Witaj mi, lordzie — jakież wiadomości?

Nortumberland. Życząc wszech szczęścia twej Królewskiej
[Mości,

Donoszę przytem, że głowa odcięta
Spencera, Blunta, Solsburego, Kenta,
Jest już w Londynie. W jaki sposób wzięci,
Oto w szczegółach ten papier wyświeci.
(*Podaje papier*).

Bolinbrok. Jak trud twój cenię, Persy, wnet dowiodę,
Dając twym służbom należną nagrodę.
(*Wchodzi Fitzwater*).

Fitzwater. Właściem z Oxfordu wysłał do Londynu
Głowę Brokasa i Beneta Syly.
Dwaj to najgorsi z sprzysiężonych zdrajców,
Co cię w Oxfordzie chcieli zabić niecnie.

Bolinbrok. Twych nie zapomnę trudów, Fitzwaterze,
I twym zasługom nagrodę odmierzę.
(*Wchodzi Persy z biskupem karlajlskim*).

Persy. Wielki spiskowiec, opat westminsterski,
Dręczony ciężką zgryzotą sumienia,
Już zdał swe ciało ziemi, lecz Karla

Oto żywego tu przed ciebie wiodę.
Po karę zbrodni i pychy nagrodę.

Bolinbrok. A więc, Karla!ju, posłuchaj wyroku:
Osiądź gdzie w świętem schronieniu na boku,
Cichszem niż teraz. Nie myśląc o wojnie,
Pędź korne życie, a umrzesz spokojnie.
Bo choć mi wrogiem byłeś w życiu całem,
Nieraz cześć w tobie i zacność widziałem.
(*Wchodzi Exton z pachotkami, niosącymi trumnę*).

Exton. Królu! w tej trumnie składam ci twą trwożę
Już pogrzebaną. W niej leży bez życia
Najwyższy z twoich głównych nieprzyjaciół.
Bordelejskiego wnoszę tu Ryszarda.

Bolinbrok. Tobie, Extonie, nie dzięki lecz wzgarda.
Tym czynem ręce twe nieszczęsne zlały
Srom na mą głowę i na kraj ten cały.

Exton. Z własnych ust twoich wyszła myśl nieczysta.

Bolinbrok. Gardzi trucizną ten, co z niej korzysta.

Tak i ja tobą. Choć chciałem, by nie żył,
Klnę zbójcę, kocham tego, coś uderzył.
Niech cię sumienie zgryzie za tę pracę,
Dziękiem ni taską ja ci jej nie spłacę.
Idź wraz z Kainem błakać się w zamroczu,
Nigdy w dzień światła nie pokaż twych oczu.
Klnę się, lordowie, boleję okropnie,
Że krew ta rosi mego szczęścia stopnie.
Pójdźcie, podzielcie ze mną żal głęboki,
Przywdziejcie smutną żałobę bez zwłoki.
Do Ziemi Świętej podejmę wyprawę,
By zmyć z występnej ręki ślady krwawe.
W żałobny pochód przybliżcie się ku mnie,
Z łez hołd składając tej niewczesnej trumnie.
(*Wychodzą*).



57271

SPIS RZECZY.

	Str.
Zimowa powieść	1
Król Jan	99
Król Ryszard II	189

1894

1894

1894



